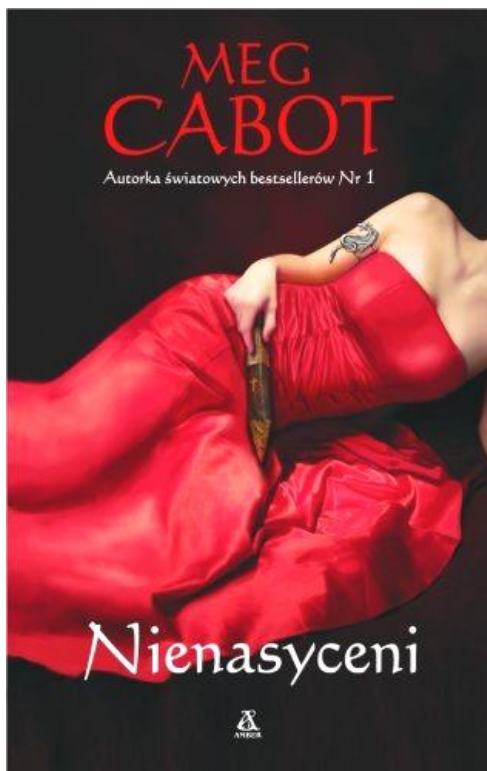


Meg Cabot

Nienasyceni

Przekład: Agata Kowalczyk



Wyd. Amber 2010

Rozdział 1

9.15 czasu wschodniego, wtorek 13 kwietnia,
Stacja metra Downtown 6,
Róg Siedemdziesiątej Siódmej Wschodniej
ulicy i Lexington Avenue, Nowy Jork

To był cud.

Meena wsiadła do wagonu metra i chwyciła za błyszczący drążek; nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

Poranne godziny szczytu, a ona była spóźniona.

Spodziewała się, że będzie tłoczyć się w przepelnionym pociągu, razem z setkami ludzi jadących do pracy, też spóźnionych, jak ona.

Ale oto, wciąż trochę zadyszana po biegu na stację, weszła swobodnie do prawie pustego wagonu.

Chociaż raz, dla odmiany, los się do mnie uśmiechnął, pomyślała.

Nie rozglądała się. Wbiła wzrok w reklamę, z której wynikało, że może mieć nieskazitelną cerę, jeśli natychmiast zadzwoni do niejakiego doktora Zizmora.

Nie patrz, mówiła sobie. Cokolwiek się stanie, nie patrz, nie patrz, nie patrz...

Przy odrobinie szczęścia może dojedzie aż na swój przystanek na Pięćdziesiątej Pierwszej ulicy, nie nawiązując z nikim kontaktu wzrokowego, bez jakiegokolwiek interakcji...

Najpierw zauważyła motyle - naturalnej wielkości. Żadna dziewczyna z miasta nie włożyłaby białych czólenek ozdobionych na czubkach wielkimi plastikowymi owadami. Tytuł, chyba romansu, który czytała dziewczyna - sądząc po obrazku bezradnej, wielkookiej młodej kobiety na okładce - wypisany był cyrylicą. Gigantyczna waliza na kółkach, zaparkowana przed jej siedzeniem, pozwalała przypuszczać, że dziewczyna jest spoza miasta.

Choć wszystko to razem - włącznie z długimi jasnymi warkoczami upiętymi na czubku głowy w stylu „Dźwięków muzyki” i zestawienie taniej, żółtej sukienki z fioletowymi legginsami - to drobiazg w porównaniu z tym, co dziewczyna zrobiła w następnej chwili:

- Och, ja przeprasza - powiedziała, patrząc na Meenę z uśmiechem, który odmienił jej twarz ze zwyczajnie ładnej w niemal piękną. - Poproszę, chcesz siadać?

Przesunęła torebkę leżącą na siedzeniu obok, żeby Meena mogła usiąść, co potwierdziło, że nie jest z Nowego Jorku. Żaden nowojorczyk nie przesunąłby torby, żeby zrobić dla kogoś miejsce. A już na pewno nie wtedy, kiedy w wagonie nie brakowało wolnych siedzeń.

Meena się załamała.

Bo teraz miała już absolutną pewność w dwóch kwestiach.

Po pierwsze, mimo cudu, jakim był prawie pusty wagon, los nie zaczął się do niej uśmiechać.

A po drugie, dziewczyna z plastikowymi motylami na pantoflach zginie przed końcem tygodnia.

Rozdział 2

9.30 czasu wschodniego, wtorek 13 kwietnia
Pociąg linii 6
Stacja Grand Central, Nowy Jork

Meena miała nadzieję, że myli się co do Panny Motyl, że nigdy się nie myliła. Nie w sprawie śmierci.

Poddając się losowi, puściła metalowy drążek i usiadła na krzeselku obok dziewczyny.

- Dopiero przyjechałaś do miasta? - zagadnęła wesołym głosem, który nawet dla niej samej brzmiał fałszywie.

Dziewczyna, wciąż uśmiechnięta, przechyliła głowę.

- Tak. Miasto Nowy Jork! - wykrzyknęła entuzjastycznie.

Cudownie. Angielski zerowy. Panna Motyl wyjęła komórkę i zaczęła przeglądać jakieś zdjęcia. Zatrzymała się przy jednym i pokazała je Meenie.

- Widzi? - powiedziała z dumą. - Chłopak. Mój amerykański chłopak, Gerald.

Meena spojrzała na ziarniste zdjęcie. Westchnęła.

Dlaczego? - zadała sobie pytanie. Dlaczego właśnie dziś? Nie miała na to czasu. Miała spotkanie. I wątek w scenariuszu, do którego chciała przekonać szefa. Zwolniło się miejsce głównego scenarzysty. Ned musiał odejść z pracy po załamaniu nerwowym w stołówce wytwórni, które go dopadło podczas wiosennego podsumowania oglądalności.

W takim serialu jak **Nienasyceńi** główny scenarzysta zarabiał naprawdę sensowne pieniądze.

A Meena potrzebowała pieniędzy. Była pewna, że żaden stres nie doprowadzi jej do załamania nerwowego.

Do tej pory jej się to nie przydarzyło, a z pewnością miała mnóstwo zmartwień poza oglądalnością **Nienasyconych**.

Rozległ się komunikat o zamknięciu drzwi; następną stacją będzie Grand Central na Czterdziestej Drugiej ulicy.

Meena, która właśnie przegapiła swój przystanek, siedziała bez ruchu.

Boże, kiedy moje życie przestanie być do kitu?

- Wygląda na bardzo miłego - skłamała, patrząc na podobiznę Geralda.
- Przyjechałaś go odwiedzić?

Panna Motyl energicznie pokiwała głową.

- On mi pomagał dostać wizę. - I... - Używając komórki, zaczęła udawać, że robi sobie zdjęcia.

- Sesję zdjęciową - odpowiedziała Meena. Pracowała w branży. Doskonale rozumiała, o czym mówi Panna Motyl. I załamała się jeszcze bardziej. - Więc chcesz być modelką. A może aktorką?

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

- Tak, tak. Aktorką.

Cudownie, pomyślała Meena cynicznie. Więc Gerald jest na dodatek jej menedżerem. To wyjaśniało, dlaczego bejsbolówkę miał opuszczoną tak nisko, że nie było widać jego oczu, i kolekcję złotych łańcuchów na szyi.

- Jak masz na imię? - spytała Meena.

Panna Motyl wskazała na siebie, jakby zaskoczona, że Meena ma ochotę mówić o niej zamiast o ultra fantastycznym Geraldzie.

- Ja? Elena. - Świetnie. - Meena otworzyła torebkę, pogrzebała w bałaganie i wyjęła wizytówkę. Zawsze nosiła jedną przy sobie, właśnie na wypadek takich sytuacji, które niestety zdarzały się aż za często... szczególnie kiedy jechała metrem. - Eleno, gdybyś czegoś potrzebowała, cokolwiek by to było, zadzwoń do mnie. Tu jest numer mojej komórki. Widzisz? - Wskazała numer. - Dzwoń do mnie, kiedy chcesz. Ja jestem Meena. Jeśli ci nie wyjdzie z twoim chłopakiem, jeśli będzie dla ciebie niedobry czy zrobi ci krzywdę, czy cokolwiek, to zawsze możesz do mnie zadzwonić. Przyjadę po ciebie, gdziekolwiek będziesz. W dzień czy w nocy. I... nie pokazuj tej wizytówki Geraldowi. To jest sekretna wizytówka. Na wszelki wypadek. Tylko dla przyjaciółek. Rozumiesz mnie?

Elena wpatrywała się w nią z radosnym uśmiechem.

Nie rozumiała. Zupełnie nie rozumiała, że numer do Meeny może dosłownie uratować ją od śmierci.

Nikt nigdy nie rozumiał.

Pociąg wjechał na stację Grand Central. Elena zerwała się z krzeselka.

- Grand Central? - zapytała spanikowana.

- Tak. To jest Grand Central.

- TU spotykam mój chłopak. - Była podekscytowana. Złapała walizę i szarpnęła za uchwyt.

Wolną ręką wzięła wizytówkę od Meeny, uśmiechając się promiennie.

- Dziękuję! Zadzwoń.

Miała na myśli, że zadzwoni kiedyś, żeby się umówić na kawę.

Ale Meena wiedziała, że Elena zadzwoni do niej w zupełnie innej sprawie. Jeśli nie zgubi jej numeru... albo jeśli Gerald nie znajdzie wizytówki i jej nie zabierze. I nie wybije dziewczynie za to zębów.

- Pamiętaj - powtórzyła, wysiadając za nią z pociągu. - Nie mów chłopakowi, że to masz. Schowaj gdzieś.

- Schowam - obiecała Elena i podreptała szybko w stronę najbliższych schodów, wlokąc za sobą bagaż. Waliza była olbrzymia, a Elena tak mała, że ledwie mogła ją uciągnąć.

Zrezygnowana Meena chwyciła spodnią część tego nieprawdopodobnie ciężkiego kloca i pomogła dziewczynie wnieść po stromych i zatłoczonych schodach. Potem wskazała jej właściwy kierunek - chłopak miał się z nią spotkać „pod zegarem” na „dużej stacji”.

Wreszcie, z westchnieniem, odwróciła się i poszła do pociągu wracającego do centrum, by dostać się na stację Madison i Pięćdziesiątej Trzeciej ulicy, gdzie mieściło się biuro.

Wiedziała, że Elena nie rozumiała ani słowa z tego, co do niej mówiła. No, może jedno na pięć.

A nawet gdyby rozumiała, powiedzenie jej prawdy na nic by się nie zdało. I tak by nie uwierzyła.

Bez sensu byłoby iść za nią teraz, obejrzeć sobie chłopaka i powiedzieć mu coś w stylu:

„Wiem, kim jesteś naprawdę i jak zarabiasz na życie. Zawiadomię policję”.

Nie można zawiadomić policji o czymś, co ktoś zamierza zrobić. Tak jak nie można mówić komuś, że umrze.

Meena przekonała się o tym bardzo boleśnie.

Westchnęła jeszcze raz. Będzie musiała biec, jeśli chce złapać najbliższy pociąg...

Modliła się tylko, żeby nie było w nim zbyt wielu ludzi.

Rozdział 3

18.00 czasu wschodnioeuropejskiego, wtorek, 13 kwietnia
Wydział Historii Uniwersytet Bukareszteński Bukareszt/ Rumunia

Panie profesorze?

Lucien Antonescu uśmiechnął się do niej znad ogromnego, zabytkowego biurka, za którym siedział, oceniając prace pisemne.

- Tak?

- Więc to prawda - Natalia rozpaczliwie rzuciła pierwsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy, bo w chwili, kiedy padło na nią spojrzenie ciemnych oczu profesora, kompletnie zapomniała, o co chciała spytać - że najstarsze ludzkie szczątki znaleziono właśnie w Rumunii?

O nie! Ludzkie szczątki? Obrzydlistwo! Jak mogła tak głupio zapytać?

- Najstarsze ludzkie szczątki w Europie - sprostował łagodnie Antonescu. - Najstarsze szczątki na świecie odkryto w Etiopii. I są mniej więcej sto pięćdziesiąt tysięcy lat starsze niż pozostałości znalezione na terenie współczesnej Rumunii, w Grcaricy.

Słuchała go jednym uchem. Profesor Lucien Antonescu był najbardziej seksowny z wykładowców, i to wliczając asystentów. Na uniwersyteckim portalu internetowym w rankingu profesorów dostał same dziesiątki w kategorii „wygląd”.

Nic dziwnego, robił wrażenie - metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szczupły, barczysty, gęste, ciemne włosy zaczesywał do tyłu, odsłaniając skronie i gładkie, piękne czoło.

No i te jego ciemnobrązowe oczy - w pewnym oświetleniu, kiedy wykładał i zapalał się do tematu, a działa się to często, bo historia Europy Wschodniej była jego pasją - połyskiwały czerwono.

Oczywiście notki na tablicach ogłoszeniowych były przesadzone... Sugerowały, że jest hrabią czy księciem, czy kimś takim, spokrewnionym z rumuńską rodziną królewską.

Ale Natalia, od kiedy zapisała się na fakultet profesora Antonescu, doskonale rozumiała, dlaczego zajęcia z nim cieszą się nadzwyczajnym zainteresowaniem. I dlaczego kolejka dziewczyn (chłopaków też, chociaż pokazując zdjęcia starożytnych rumuńskich dzieł sztuki z takim zachwytem mówił o bujnych kobiecych kształtach, że na pewno nie mógł być gejem) w godzinach prywatnych konsultacji pod jego gabinetem zdawała się nie mieć końca. Był utalentowanym mówcą o królewskiej prezencji i ujmującym sposobie bycia... A do tego sexy.

- Wiele wskazuje... - zaczęła Natalia niepewnie, z podziwem przyglądając się szerokim męskim barkom, na których tak doskonale leżała czarna kaszmirowa marynarka; zastanawiała się, dlaczego nie widzi lepiej jego ciemnych, płomiennych oczu, i dopiero teraz zauważyła, że żaluzje w oknach gabinetu są opuszczone. Miała nadzieję, iż profesor mimo wszystko zauważy jej nową bluzkę, dość śmiało odsłaniającą dekolt. Kupiła ją na wyprzedaży w H&M, ale i tak wyglądała w niej obłędnie. - Wiele wskazuje, że Rumunia jest kolebką europejskiej cywilizacji. - To zabrzmiało bardzo inteligentnie, uznała.

- Cieszyłbym się, gdyby to była prawda - odparł profesor Antonescu w zamyśleniu. - Z pewnością człowiek współczesny żył tu od ponad dziewięciu tysiącleci i ziemie te doświadczyły wielu krwawych inwazji, od Rzymian po Hunów, aż wreszcie ukształtowało się to, co składa się na dzisiejszą Rumunię... Mołdawia, Wołoszczyzna i oczywiście Transylwania. Ale kolebka cywilizacji... Nie wiem, czy można tak powiedzieć. - Kiedy się uśmiechał, był jeszcze przystojniejszy, jeśli to w ogóle możliwe.

- Panie profesorze...

Ten uśmiech urzekał. Wiedziała, że nie tylko ją. Kawalerski stan Antonescu stał się już legendą, ciekawość rosła, ilekroć widziano go z kobietą - zawsze z inną - w eleganckich restauracjach w centrum. Ile zaprosił do swojego zamku - tak, miał zamek! - pod Sighisoarą czy do swojego ogromnego mieszkania na poddaszu w najmodniejszej dzielnicy Bukaresztu?

Nikt nie wiedział. Może setki. Może żadnej. Chyba nie interesowało go małżeństwo i założenie rodziny.

Ale on zmieni podejście, kiedy przekona się, jak świetnie gotuje Natalia. Diana, która właśnie stała w kolejce do gabinetu, wyśmiała jej pomysł zaproszenia go na obiad. To takie staroświeckie! Powinna zaproponować, że prześpi się z nim tu, w gabinecie, tak jak zamierzała Iliana, i mieć to z głowy.

Ale matka zawsze powtarzała Natalii, że robi najlepsze sarmale z całej rodziny. Jeden kęs, mówiła, i każdy mężczyzna jest twój.

- Tak? - Profesor Antonescu uniósł gęstą czarną brew.

Natalia wolałaby, żeby tego nie robił. Wyglądał jeszcze bardziej atrakcyjnie, a ona poczuła się jeszcze bardziej głupio.

- Czy nie zechciałby pan kiedyś wpaść do mnie na domowy obiad? - wyrzuciła jednym tchem. Serce jej biło jak szalone. Była pewna, że

profesor widzi w tym głębokim dekolcie nowej bluzki unoszone przyspieszonym oddechem piersi.

Coś zaćwierkało nagle.

- Najmocniej przepraszam. - Antonescu sięgnął do wewnętrznej kieszeni drogiej marynarki i wyciągnął cieniutki telefon, oczywiście najnowszy model. - Myślałem, że go wyłączyłem.

Natalia, oszołomiona, zastanawiała się, czy wspomnieć o sarmalach, czy może odpiąć guzik bluzki, jak zrobiłaby to Iliana... ale zawahała się, widząc minę profesora, kiedy spojrzął na wyświetlacz.

- Przepraszam jeszcze raz. To ważny telefon. Muszę odebrać. Moglibyśmy o tym porozmawiać innym razem?

Poczuła, że się czerwieni. Od samego jego spojrzenia... a przecież ani razu nie spuścił wzroku poniżej jej szyi.

- Oczywiście - odparła zawstydzona.

- I proszę przekazać innym - dodał, wciskając guzik komórki, że dziś, niestety, muszę wcześniej skończyć konsultacje. Pilna sprawa rodzinna.

Pilna sprawa rodzinna. Więc miał rodzinę?

- Zawiadomię wszystkich. - Była mile polechtana. Zaufał jej! To pokaże Ilianie, gdzie jej miejsce!

- Dziękuję - powiedział grzecznie, gdy wymykała się z ciemnego, luksusowo urządzonego pokoju, pełnego obitych skórą mebli i manuskryptów setki lat starszych od niej. Nawet jego gabinet różnił się od gabinetów innych profesorów, pustych jak biura w urzędach i ponurych.

Otworzyła drzwi, wyszła i odwróciła się, żeby je zamknąć...

Ale najpierw usłyszała jego słowa wypowiedziane głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszała, i na dodatek po angielsku:

- Co? Kiedy? - A potem: - No nie, znowu. Spojrzała na profesora i nagle serce podskoczyło jej w piersi.

Ale nie z radości, jak wtedy, kiedy widziała go idącego korytarzem w stronę sali wykładowej.

Wystraszyła się. Śmiertelnie wystraszyła.

Jego piękne oczy przybrały kolor cynobru... taki sam, jak woda pod prysznicem, kiedy przy goleniu przypadkiem skaleczyła się w nogę. Ale to nie była strużka wody. To były oczy człowieka. Jego oczy.

Przybrały kolor krwi.

Wwiercał się w nią spojrzeniem, jakby mógł przeniknąć przez bluzkę, przez stanik, w najbardziej intymne zakamarki serca.

- Proszę wyjść - odezwał się głosem, który, jak przysięgała później, opowiadając o tym matce, nie brzmiał jak ludzki głos.

Odwróciła się, zatrzasnęła drzwi i blada jak śmierć dołączyła do studentów czekających na spotkanie z wykładowcą.

- Widzę, że poszło ci doskonale - rzuciła złośliwie Iliana.

Nacisnęła klamkę gabinetu profesora i przekonała się, że drzwi są zamknięte na klucz. Pukała i pukała, w końcu osłoniła oczy dłońmi i przycisnęła twarz do mlecznego szkła.

- Światło się nie pali. Nie widzę go. Zdaje się... Zdaje się, że wyszedł.

Ale jak mógł wyjść z gabinetu, do którego nie prowadziły żadne inne drzwi?

Rozdział 4

9.45 czasu wschodniego, wtorek 13 kwietnia
Ulica przed biurowcem ABN
Róg Pięćdziesiątej Trzeciej Wschodniej ulicy
i Madison Avenue, Nowy Jork

- Dzień dobry, panno Meeno. To co zwykle? - zapytał Abdullah, sprzedawca w oszklonym stoisku z szybkimi daniami przed biurowcem, kiedy doczekała się na swoją kolejkę.

- Dzień dobry, Abdullah. Dziś chyba wezmę dużą. Czeka mnie ważne spotkanie. Dietetyczną. I proszę nie podpiekać bułki, jestem już strasznie spóźniona.

Kiwnął głową i przygotowywał kanapkę, a Meena przyglądała mu się uważnie. Wiedziała, że nie poszedł do lekarza ze swoim wysokim ciśnieniem, chociaż w zeszłym tygodniu bardzo go namawiała.

To ona któregoś dnia dostanie wylewu, jeśli ludzie nie zaczną jej słuchać. Wiedziała, że wzięcie wolnego” dnia na wizytę u lekarza to kłopot.

Ale jeśli alternatywą jest śmierć?

Jasnowidzenie.

Ponadzmysłowa percepcja.

Czary.

Nieważne, jak się to nazwie; zdaniem Meeny jej rzekomy dar był bezużyteczny.

Co z tego, że przekonała swojego chłopaka Davida, że w jego mózgu rośnie guz?

Owszem, uratowała mu życie; lekarze powiedzieli, że gdyby wykryto guza odrobinę później, nie dałoby się go zoperować.

Ale natychmiast po wyjściu ze szpitala David zostawił ją dla wesołej pielęgniarki z radiologii.

Powiedział, że Brianna leczy chorych. Nie jest odmieńcem, który mówi ludziom, kiedy umrą.

I co Meena na tym zyskała?

Nic, oprócz bólu serca na własne życzenie i kłopotów finansowych.

Musi mu zwrócić połowę zaliczki za mieszkanie, które wspólnie kupili. Żądał od niej spłaty jak ostatni palant, choć wiedział, że żałośnie mało zarabia.

David i Brianna właśnie kupowali swój pierwszy dom. I spodziewali się pierwszego dziecka.

Oczywiście.

To było kolejne doświadczenie, które potwierdziło, że nikt nie chce wiedzieć, kiedy i w jaki sposób umrze.

Z wyjątkiem Leishy, najlepszej przyjaciółki, która zawsze słuchała Meeny... od tamtego dnia w dziewiątej klasie, kiedy Rob Pace zaprosił ją na koncert Aerosmith; Meena zabroniła Leishy jechać i Rob zabrał zamiast niej Angie Harwood.

I dlatego to Angie Harwood, a nie Leishy, urwało głowę, kiedy od naczepy ciężarówki odpadło koło i ścięło dach chevroleta Roba w drodze powrotnej z koncertu.

Meena, kiedy dowiedziała się o wypadku następnego ranka - Rob cudem wyszedł z niego tylko ze złamanym obojczykiem - zwymiotowała śniadanie.

Dlaczego nie zdawała sobie sprawy, że ratując przyjaciółkę, skazała na śmierć inną dziewczynę? Powinna była ostrzec także Angie i zrobić wszystko co w jej mocy, żeby powstrzymać Roba ód wyjazdu na ten koncert.

Przysięgła wtedy, że nigdy nie pozwoli, by kogokolwiek innego spotkało to, co spotkało Angie Harwood. Jeśli tylko będzie mogła temu zapobiec.

Wiec nic dziwnego, że lata ogólniaka, koszmarnie dla wielu osób, były jeszcze gorsze dla Meeny. Dlatego zajęła się zawodowo pisaniem scenariuszy dla telewizji. Dzieciaki w prawdziwym życiu być może nie przepadały za towarzystwem „śmiercionośnej dziewczyny”.

Ale postaci, które Meena odkrywała w mydlanych operach oglądanych przez mamę - jej ulubionym serialem byli **Nienasyceni** - zawsze cieszyły się, że ją widzą.

Kiedy wątki w serialach nie toczyły się po jej myśli, zaczęła pisać własne scenariusze.

I, o dziwo, hobby zaczęło się opłacać.

Oczywiście jeśli pisanie dialogów dla jednej z dwóch najpopularniejszych mydlanych oper w Stanach można nazwać opłacalnym zajęciem.

Meenie się opłaciło. Za taką posadę miliony byłyby skłonne zabić. Praca marzeń.

A biorąc pod uwagę jej „dar”, mogłaby mieć życie tysiąc razy gorsze. Wystarczy wspomnieć Joannę d'Arc.

Kasandra, córka trojańskiego króla Priama, też otrzymała dar przepowiadania przyszłości.

Ponieważ jednak nie odwzajemniła miłości pewnego boga, ten ją ukarał, sprawiając, że w przepowiednie Kasandry nikt nie wierzył.

Chociaż Meenie mało kto wierzył, nie zamierzała się poddać. A na pewno nie w przypadku dziewcząt jak ta, którą spotkała w metrze, i nie w przypadku Abdullaha. Zmusi go, żeby poszedł do lekarza.

Miała pecha: jedyną osobą, której przyszłości nie potrafiła przewidzieć, była ona sama. Przynajmniej do tej chwili:

Wiedziała, że jeśli spóźni się do pracy, straci szansę na przekonanie Sy do swojego wątku.

A wtedy może zapomnieć o awansie na główną scenarzystkę.

Nie musiała być jasnowidzem, żeby przewidzieć taki obrót sprawy.

Rozdział 5

19.00 czasu wschodnioeuropejskiego, wtorek 13 kwietnia
Wzgórza nieopodal Sighisoary Okręg Mureș, Rumunia

Lucien Antonescu był wściekły, a kiedy był wściekły, tracił czasem panowanie nad sobą.

Przestraszył tę dziewczynę w swoim gabinecie, a wcale tego nie chciał. Czuł jej strach... ostry, ściskający gardło jak garota. Była dobrą ludzką istotą. Większość dziewcząt w jej wieku po prostu pragnie miłości.

On ją przeraził.

Ale teraz nie czas się tym przejmować. Teraz miał do opanowania bardzo trudną sytuację, wymagającą całej jego uwagi.

Dlatego tak bardzo starał się uspokoić. Jego ulubiona muzyka poważna - Czajkowski - płynęła z głośników, które sprowadził z USA za ogromne pieniądze; jakość dźwięku była dla niego ważna.

Otworzył też butelkę doskonałego bordeaux ze swojej kolekcji, przelał do karafki i postawił na kredensie, żeby wino poodychało. Czuł zapach nawet z dużej odległości. Kojący aromat...

Chodził niespokojnie po wielkim pokoju, gdzie w ogromnym kominku huczał potężny ogień, a ze ścian szczyrzyły się spreparowane głowy przeróżnych zwierząt upolowanych przez jego przodków.

- Też - warknął do laptopa, stojącego na długim, rzeźbionym stole pośrodku komnaty. - Trzy martwe dziewczyny? Zabite w ciągu ostatnich tygodni? Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

- Nie zdawałem sobie sprawy, że są ze sobą powiązane, panie - odpowiedział po angielsku trochę niepewny głos z głośników laptopa.

- Trzy ciała pozbawione krwi, nagie, porzucone w miejskich parkach. - Lucien nie próbował ukryć sarkazmu w głosie. - Ze śladami ugryzień. A ty nie zdawałeś sobie sprawy, że są powiązane.

- Władze nie chciały wywołać paniki w mieście - odparł głos niespokojnie. - Moi informatorzy nie wiedzieli o śladach ugryzień, dopiero dziś rano wyciekło zdjęcie...

- Jakie działania - Lucien zignorował ostatnią uwagę - podjęto, by wyjaśnić, kto popełnia te potworne zbrodnie?

- Wszyscy, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że nie mają po...

Przerwał mu.

- Widocznie nie rozmawiasz z właściwymi osobami. Albo ktoś kłamie.

- Ja... nie wyobrażam sobie, że ktoś by się ośmielił. Wiedzą, że stoi za mną twój autorytet, panie. Wydaje mi się... za pozwoleniem, panie... że to nie jest... hm, nikt z naszych. Nikt, kogo znamy.

Lucien przerwał marsz po komnacie.

- Niemożliwe. Znamy wszystkich.

Odwrócił się i podszedł do kredensu, gdzie stała karafka wypełniona rubinowym winem.

Widział odbicie ognia z kominka na wypukłości idealnej kryształowej kuli.

- To jest ktoś z naszych - powiedział, wdychając mocny aromat bordeaux. - Ktoś, kto się zapomniał. I zapomniał o przysiędze.

- Na pewno nie. - Głos zdrzął nerwowo. - Nikt by się nie ośmielił. Wszyscy wiedzą, co grozi pod twoim panowaniem za popełnienie takiej zbrodni. Że kara będzie szybka... i sroga. - A jednak. - Lucien podniósł karafkę i przyjrzał się czerwonej warstewce, pozostawionej na ścianie kryształowej bańki przez rozhuśtany płyn. - Ktoś okrutnie morduje kobiety ludzkiego rodzaju i zostawia ich ciała na widoku, by zostały odkryte.

- To prawda, że ten ktoś naraża nas wszystkich na ryzyko - przyznał z wahaniem głos z laptopa.

- Tak. I zupełnie niepotrzebnie. Musi zostać zdemaskowany, ukarany i powstrzymany. Raz na zawsze.

- Tak, panie. Ale... jak? Jak mamy go zdemaskować? Policja... Moi informatorzy twierdzą, że policja nie ma żadnego tropu.

Idealnie wykrojone usta Luciena skrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Policja. Ach tak. Policja. - Oderwał oczy od karafki i spojrzał na twarz na ekranie laptopa. - Emilu, znajdź mi jakąś kwaterę. Przyjeżdżam do miasta.

- Panie? - Emil był przestraszony. - Jesteś pewien? To chyba nie będzie...

- Jestem pewien. Znajdę mordercę. A wtedy...

Lucien otworzył dłoń, upuszczając karafkę na kamienne płyty podłogi. Kryształowe naczynie roztrzaskało się w drobny mak, wino utworzyło krwawą plamę na podłodze, o którą, wieki temu, ojciec roztrzaskał na oczach Luciena czaszki tylu sług.

- Pokażę mu osobiście, co się dzieje, kiedy ktoś śmie złamać złożoną mi przysięgę.

Rozdział 6

10.30 czasu wschodniego, wtorek 13 kwietnia
Biurowiec A BN Madison Avenue 520, Nowy Jork

Meena wcinała właśnie bułkę, kiedy Paul, scenarzysta, wetknął łysiejącą głowę do gabinetu.

- Paul, nie mam teraz czasu, żeby ci pomagać aktualizować profil na Facebooku. Za minutę mam spotkanie z Sy.

- A, więc nie słyszałaś. - Paul miał ponurą minę.

- O czym? - spytała z pełnymi ustami.

- O Shoshonie.

Meenie krew ścięła się w żyłach.

Więc jednak się stało. To jej wina, nic nie powiedziała.

Ale jak powiedzieć kobiecie, że jej zaawansowana gymnoreksja w końcu ją zabije?

Elektryczne bieżnie nie miały reputacji śmiercionośnego sprzętu, a Shoshona pękała z dumy, że zeszła do rozmiaru podwójne zero.

Prawda była taka, że Meena nigdy nie przepadała za Shoshona.

- Shoshona... umarła?

- Nie. - Paul dziwnie na nią spojrział. - Dostała stanowisko głównej scenarzystki. Zdaje się, że jeszcze wczoraj wieczorem.

Meena się zakrztusiła.

- Co? - Zamrugała, by odpędzić łzy, wmawiając sobie, że wycisnął je kawałek bułki, który wpadł nie tam gdzie trzeba.

- Nie widziałaś mejla? - zdziwił się. - Rozesłali go dziś rano.

- Nie - wychrypiała. - Byłam w metrze.

- Aha. W każdym razie ja aktualizuję swoje CV. Domyślam się, że niedługo mnie zwolni, żeby móc zatrudnić swoich imprezowych przyjaciół. Zechcesz na nie później spojrzeć?

- Jasne - odparła automatycznie.

Słuchała go jednym uchem. Pominęli jej kandydaturę na rzecz Shoshony? Po całym roku ciężkiej pracy? W dużej części odwalanej za Shoshonę, która zawsze wychodziła wcześniej, żeby móc iść na siłownię?

Nie. Po prostu nie.

Meena stała w drzwiach gabinetu Sy dokładnie dwie minuty przed wyznaczoną porą spotkania. Gotowała się ze złości.

- Chciałabym z tobą porozmawiać o...

W tej chwili zauważyła, że Shoshona Metzenbaum siedzi już w fotelu na wprost biurka, ubrana, jak zwykle, w jakiś ciuch z dziecięcego działu J Crew. Iaka była chuda.

- O, Meena. - Odrzuciła do tyłu długie, lśniące czarne włosy. - Jesteś. Właśnie mówiłam Sy, że spodobał mi się pomysł na wątek, który mu podrzuciłaś. Kiedy Tabby zakochuje się w chuliganie z nieciekawej dzielnicy. To takie słodkie.

Słodkie? Do dziś praca Shoshony w **Nienasyconych**, tak samo jak praca Meeny, polegała na pisaniu dialogów w „wypełniaczach” fabuły, przede wszystkim dla największej i chwalącej się najdłuższym stażem gwiazdy serialu Cheryl Trent, która grała Victorię Worthington Stone, i dla jej nastoletniej serialowej córki Tabithy.

Tyle że Shoshona rzadko radziła sobie nawet z tymi łatwymi obowiązkami, bo bez przerwy wychodziła wcześniej na trening albo dzwoniła, że się spóźni, bo właśnie wraca z letniego domu Metzenbaumów w Hamptons i zepsuł jej się kabriolet. Albo że dekorator, który urządza jej poddasze w śródmieściu, nie zjawił się na czas.

Albo że przegapiła ostatni lot z St. Croix i będzie musiała zostać jeszcze jedną noc.

Oczywiście nikt ważny nigdy się na nią nie gniewał, biorąc pod uwagę, kim byli jej wujek i ciocia.

Co innego, pomyślała Meena, gdyby Shoshona naprawdę zasłużyła sobie na awans. Jeśli dostałby go Paul czy którykolwiek ze scenarzystów, czasem zjawiających się w pracy, Meena nie miałaby nic przeciwko temu.

Ale Shoshona? Kiedyś chwaliła się przyjaciółce przez telefon, że dopóki nie zaczęła tu pracować, nawet nie oglądała serialu... Meena od dwunastego roku życia nie przegapiła ani jednego odcinka. Shoshona nie знаła imion wszystkich byłych mężów Victorii i przyczyn rozstania; Victoria była nienasycona, to prawda, ale nie miała szczęścia w miłości. Ani że ukochana nastoletnia córka Victorii, Tabitha, szła w ślady mamy. Na razie udało im się zabić każdego z chłopaków Tabby - ostatni roztrzaskał się na nartach wodnych w wypadku zaaranżowanym dla Tabby przez wzgardzonego psychopatę.

- Cieszę się, że ci się podobał - powiedziała Meena z wymuszoną cierpliwością. - Pomyślałam, że podsunięcie Tabby chuligana może przyciągnąć młodzież...

- Właśnie o to samo prosi nas góra. - Shoshona spojrzała ze zdumieniem na Sy. - Właśnie o tym dyskutowaliśmy. Prawda, Sy?

- Prawda. - Uśmiechnął się promiennie do Meeny. - Chodź, mała, siadaj. Słyszałaś już dobrą nowinę o awansie Shoshony?

Meena była wściekła, nie mogła się zmusić, żeby spojrzeć na Shoshonę. Nie spuszczać wzroku z Sy, klapnęła na obrotowy fotel przed biurkiem.

- Słyszałam. I miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z tobą w cztery oczy, Sy.

- Możesz mi o wszystkim powiedzieć przy Shoshonie. - Machnął ręką. - Uważam, że to fantastyczna sprawa. Taki zastrzyk estrogenów dobrze zrobi serialowi!

Zrobiła wielkie oczy. Powiedział „zastrzyk estrogenów”?

I czy naprawdę nie wiedział, że to Meena harowała za Shoshonę cały rok?

- No właśnie - odezwała się Shoshona. - W świetle powyższego, Meeno, chciałabym cię zapoznać z nowym kierunkiem, który mamy obrać zgodnie z życzeniem sieci.

- Sieci? - Meena osłupiała.

- No, właściwie naszego sponsora - poprawiła się Shoshona.

O ile Meena orientowała się, sponsor **Nienasyconych** - Consumer Dynamics Inc., międzynarodowe konsorcjum zarabiające na technologiach i usługach, które było też właścicielem Affiliated Broadcast Network - nigdy nie interesował się serialem.

Do tej chwili.

- Mówiąc w skrócie, mamy teraz grzać temat wampirów. Na wszelkie możliwe sposoby. Cały czas.

Meena poczuła, że bułka i kawa zjedzone na śniadanie podchodzą jej do gardła.

- Nie. Nie możemy tego zrobić.

Sy zamrugał zdezorientowany.

- Dlaczego nie, do licha?

Powinna była się domyślić. Dzień, który zaczął się tak fatalnie, mógł być już tylko gorszy.

- Chociażby dlatego, że konkurencyjna stacja puszcza serial z wampiryzm wątkiem i bije nas na głowę w oglądalności. Taki mały serialik. **Żądza**. Pamiętacie?

Przecież musimy mieć odrobinę godności. Nie możemy tak bezczelnie małpować.

Shoshona udawała, że poprawia wzorzyste rajstopy. Sy spoglądał zza biurka, nie mogąc oderwać oczu od jej sarnich nóg.

Meena pożałowała, że nie ma przy sobie batonika. Mogłaby się pożywić i pocieszyć. Albo rozgniotłaby go na prostowanych włosach Shoshony.

Prostowane włosy! Kto jeszcze się w to bawi? Na pewno nie ona; na polecenie Leishy, żeby „pozbyła się swoich ciemnych loków”, skróciła włosy. Leisha też miała „dar” - patrząc na kogoś, potrafiła od razu stwierdzić, jaka fryzura będzie dla tej osoby najbardziej twarzowa. I tak ledwie zdążyła do pracy bez zwracania sobie głowy prostowaniem włosów, nawet jeśli nie była zajęta ratowaniem w metrze naiwnych dziewcząt, którym groziła śmierć z rąk handlarzy żywym towarem.

- Zrobimy z siebie idiotów - stwierdziła dobitnie.

- Nie wydaje mi się - odparła zimno Shoshona. - Jak widać, radzą sobie lepiej od nas. **Żadza** to jedna z nielicznych mydlanych oper, które nie zostały zdjęte, nie musiano dla oszczędności przenieść zdjęć do Kanady. Oglądalność serialu rośnie. Jak zauważyłaś, żeby przetrwać, musimy przyciągnąć młodszą widownię. Dzieciaki mają w nosie seriale. Dla nich liczą się tylko reality show. Prawdziwe życie.

- Co wampiry mają wspólnego z prawdziwym życiem? - zapytała ze złością Meena.

- O, są prawdziwe - zapewniła Shoshona z kocim uśmiechem. - Czytałaś chyba o dziewczynach z wysaną krwią, które policja znajduje w parkach w całym Nowym Jorku?

- Na litość boską, wcale nie miały wysanej krwi. Po prostu je uduszono.

- Wybacz, ale mam dobrze poinformowane źródło, które twierdzi, że te dziewczyny były pogryzione na całym ciele i pozbawione krwi, do ostatniej kropli. Na Manhattanie grasuje wampir i żywi się niewinnymi dziewczynami.

Meena przewróciła oczami. Okej prawda, ostatnio w kilku miejskich parkach znaleziono martwe dziewczyny.

Ale wyszana krew? Shoshona zaraziła się wampirzą gorączką, która szalała już w całym kraju. Nie dało się temu zaprzeczyć. Zaraziło się nią nawet Consumer Dynamie Inc., do tej pory ślepe na obowiązujące trendy, które uważało portal MySpace za najnowszy krzyk mody.

Tego już było za wiele.

- Niech widzowie poczują, że serial nadaża za wydarzeniami - argumentowała Shoshona - i wprowadźmy do **Nienasyconych** wątek

wampira żerującego na dziewczętach. Na przyjaciółkach Tabby. A ona będzie wampirzą narzeczoną, bo wyprał jej mózg.

Sy wycelował palec w Shoshonę.

- Wampirzą narzeczoną - wykrzyknął. - Jestem zachwycony! Co więcej, CDI będzie zachwycone!

Meena zastanawiała się, czy nie wstać, nie podejść do okna gabinetu, nie otworzyć go i nie wyskoczyć.

- Nie słyszałeś jeszcze najlepszego - ciągnęła Shoshona. - Gregory Bane to mój dobry znajomy...

Sy zachłysnął się i pochylił do przodu.

- Tak?

Meena jęknęła i oparła głowę na rękach. Gregory Bane grał wampira w Żądzy. I chyba żadnego człowieka na świecie nie mdliło na jego widok bardziej niż Meeny.

A przecież nawet go nie znała.

- ...i może ściągnąć Stefana Dominica, żeby przyszedł na przesłuchanie do roli wampira - dokończyła Shoshona.

Sy, z zawiedzioną miną, klapnął na krzesło.

- Kto to jest Stefan Dominie, do diabła?

Shoshona uśmiechnęła się pogardliwie.

- Och, to najlepszy przyjaciel Gregora Bane'a. Co tydzień są w jakimś klubie. Na pewno widziałeś jego zdjęcie z Gregorym w „Us Weekly”. Jeśli go zatrudnimy, będzie świetna reklama. W głowie mi się nie mieści, że nikt go jeszcze nie capnął. A wiecie, co jest najlepsze? Należy do Stowarzyszenia Aktorów Filmowych i może przyjść w ten piątek na czytanie roli z Taylor. - Shoshona miała minę kota, który połknął kanarka. - Już go namówiłam. Chodzi do tej samej siłowni co ja. Meena zrozumiała nagle, dlaczego Shoshona spędza tyle czasu na bieżni. I nie miało to nic wspólnego z chęcią zmieszczenia się w sukienkę jeszcze o numer mniejszą.

- Nie ma mowy - powiedziała Meena, starając się zachować cierpliwość - żeby Taylor zgodziła się zagrać narzeczoną wampira.

Taylor MacKenzie grała rolę Tabby. Przeszła niedawno na dietę makrobiotyczną, zatrudniła osobistego trenera i skurczyła się do rozmiarów Shoshony. I choć była tym zachwycona - a także zainteresowaniem tabloidów - powinna uważać, jeśli nie chciała skończyć w trumnie.

Meena usiłowała ostrzec przed tym Taylor, zostawiając w jej garderobie wielkie kanapki.

Może to niezbyt subtelne, ale nic lepszego nie potrafiła wymyślić.

- Zgodzi się, jeśli się jej każe - oświadczyła Shoshona. - Tego chce ABN.

Meena bardzo się starała nie zgrzytać zębami. Dentysta już ją zbeształ, że robi to przez sen, i zapisał jej szynę ochronną. Nie cierpiała jej zakładać, bo to nie był romantyczny gadżet dodający kobiecie uroku się łóżku. Wyglądała jak bramkarz hokejowy.

Dentysta powiedział, że albo szyna, albo mniej stresująca praca.

Takiej, niestety, nie dało się znaleźć. Przynajmniej w telewizji.

A że Meena teraz sypiała sama uznała, że wygląd i tak nie ma znaczenia.

- Cheryl też się to nie spodoba - ostrzegła. Cheryl była weteranką grającą Victorię Worthington Stone od trzydziestu lat. - Wiecie, że w tym roku miała nadzieję wreszcie dostać nagrodę Emmy.

Trzydzieści lat, dziesięć małżeństw, cztery poronienia, jedna aborcja, dwa morderstwa, sześć porwań i jedna zła bliźniaczka, a Cheryl Trent wciąż nie zdobyła nawet jednej Emmy.

Zdaniem Meeny to zbrodnia. Uwielbiała Cheryl i pisanie dla niej dialogów było najbardziej ekscytującą rzeczą w jej życiu.

Cheryl była jedną z najmiłszych osób, jakie Meena kiedykolwiek знаła.

A w nowym wątku Meeny, który przedstawiła Sy -a który właśnie odrzucił na rzecz wampirycznych pomysłów Shoshony - Victoria Worthington Stone miała zakochać się w ojcu nowego chłopaka Tabby, zgorzkniałym szefie policji, i pomóc mu pogodzić się z wyrodnym synem... Ta rola pozwoliłaby Cheryl zdobyć upragnioną statuetkę.

Ale wątek z wampirami? To nie było w co wbić zębów.

Jeśli można się tak wyrazić.

- Trudno - odparła Shoshona, patrząc na Meenę spod zmrużonych powiek. - Cheryl może zapłakać się na śmierć.

Meena nie mogła w to wszystko uwierzyć. Tak jej się dziękuje, że tyle razy ratowała Shoshonie tyłek, kiedy ta spóźniała się ze scenariuszami?

Po co ona się w ogóle męczyła?

- Mnie się podoba. - Sy pstryknął palcami. - Omów to z ciotką i wujem. Muszę lecieć, jestem umówiony na lunch. - Wstał.

- Sy... - zaczęła Meena. Zaschło jej w ustach.

- Co. - Wyglądał na zirytowanego.

- Nie...

Tyle rzeczy chciała powiedzieć. Musiała. Żeby mieć czyste sumienie. I dla dobra serialu. Dla dobra całego kraju.

Ale wykrztusiła tylko:

- Nie jedź Piątą Aleją. Jest korek. Słyszałam w radiu. Powiedz taksówkarzowi, żeby pojechał inną trasą.

Sy się rozchmurzył.

- Dziękuję, Harper - rzucił. - Nareszcie usłyszałem coś pożytecznego. - I wyszedł z pokoju.

Meena odwróciła krzesło i zabiła Shoshonę spojrzeniem. Nie była wściekła dlatego, że właśnie uratowała życie Sy - gdyby pojechał Piątą Aleją, jego taksówka rzeczywiście trafiłaby na korek; zirytowany wysiadłby i wszedł na oślep na jezdnię, gdzie przejechałaby go dostawcza furgonetka - a on nie okazał ani odrobiny wdzięczności.

Była wściekła, bo wiedziała, co znaczyło „omów to z ciotką i wujem”.

Znaczyło, że Shoshona wygrała.

Krewni Shoshony to Fran i Stan Metzenbaumowie, współtwórcy i producenci **Nienasyconych**.

- Wampiry - powiedziała Meena. - Bardzo oryginalne, Metzenbaum.

Shoshona wstała i przewiesiła torebkę przez ramię.

- Pogódź się z tym, Harper. Wampiry są wszędzie. Nie uciekniesz przed nimi.

Odwróciła się i wyszła.

Dopiero teraz Meena zauważyła wyszywanego kryształkami smoka na boku torebki Shoshony. Niemożliwe.

A jednak.

Torebka Marca Jacobsa, której Meena pożądała od pół roku; odmawiała sobie, bo cena wynosiła jedne pięćset dolarów.

Nie mogła sobie pozwolić na wydanie takich pieniędzy na torebkę.

Shoshona kupiła tę w odcieniu akwamaryny, nie ametystową, która idealnie uzupełniłaby garderobę Meeny.

Ale mimo wszystko.

Meena gapiła się na nią, zgrzytając zębami.

Teraz nie miała już wyjścia; w przerwie na lunch musiała pobiec do delikatesów, żeby uzupełnić zapasy w swojej tajnej szufladce ze słodyczami.

Rozdział 7

12.00 czasu wschodniego, wtorek, 13 kwietnia
Parking przed Wal-Martem Chattanooga, Tennessee

Alaric Wulf nie uważał się za snoba. W żadnym razie.

Gdyby ktokolwiek w głównej kwaterze pofatygował się, żeby zapytać - a nie licząc jego partnera, Martina, żaden z tych niewdzięczników nie był na tyle zainteresowany - Alaric przypominałby, że przez pierwszych piętnaście lat z trzydziestu pięciu, które miał teraz, żył w nędzy i jadał tylko wtedy, kiedy jego przeróżni ojczymowie wygrali pieniądze na wyścigach, i tylko pod warunkiem że z tych pieniędzy zostało coś na jedzenie, kiedy już jego matka, narkomanka, dała sobie w żyłę.

Alaric wybrał życie na ulicach rodzinnego Zurychu i utrzymywał się dzięki swojej pomysłowości, dopóki nie interweniowała opieka społeczna. Został siłą umieszczony w domu dziecka, gdzie, jak przekonał się ze zdziwieniem, obcy ludzie troszczyli się o niego lepiej niż własna rodzina.

Właśnie kiedy przebywał w domu dziecka, zwróciła na niego uwagę - i w końcu zwerbowała - Gwardia Palatyńska. Zawdzięczał to swojemu silnemu ramieniu, zdatnemu do miecza, celnemu oku, wrodzonej zdolności do języków i temu, że absolutnie nic - ani ojczymowie, ani pracownicy socjalni, ani księża, którzy twierdzili, że szepcze im do ucha sam Bóg, ani krwiopijcze wampiry - nie robiło na nim wrażenia.

Teraz spał każdej nocy w pościeli ze stuprocentowej egipskiej bawełny, jeździł audi A6 i regularnie jadał ulubione dania, takie jak foie gras i konfit z kaczki. Miał same włoskie garnitury i nie śniłoby mu się nawet, by włożyć koszulę, która nie została ręcznie wyprasowana. Każdego ranka lubił przepłynąć sto długości basenu, a potem posiedzieć w saunie. Skłonny do zmysłowych uciech, spotykał się z atrakcyjnymi i kulturalnymi kobietami, które nie miały pojęcia o jego przeszłości, kolekcjonował komiksy Betty i Veronica, sprowadzane do Rzymu ze Stanów za spore pieniądze, i utrzymywał się z zabijania wampirów, będąc członkiem ściśle tajnej watykańskiej formacji militarnej.

Życie było dobre.

Mimo że większość współpracowników spoglądała na niego ze zmarszczonymi brwiami - oni podczas podróży woleli zatrzymywać się w miejscowych klasztorach czy parafiach, gdy on zawsze meldował się w najlepszym hotelu, jaki mógł znaleźć, i oczywiście płacił z własnej

kieszoni - Alaric Wulf absolutnie nie uważał się za snoba. Potrafił przystosować się do niekomfortowych warunków, jak inni. Prawdę mówiąc, miał takie teraz.

Siedząc w wypożyczonym samochodzie przed dużym budynkiem supermarketu w Chattanooga - Chattanooga, co to za nazwa dla miasta! - obserwował tłum płynący w porze lunchu w stronę sklepu. Do jego przelozonych z Gwardii trafił list przerażonych rodziców, którzy pisali, że ich córka, pracownica Wal-Martu, gdy wracała wieczorem do domu, została zaatakowana przez wampira na tym właśnie parkingu. Wciąż miała na szyi ślady, które mówiły same za siebie.

Problem polegał na tym, iż ona sama uparcie twierdziła, że rany nie powstały wskutek ataku, lecz „miłosnego ukąszenia”.

Innymi słowy, kochała swojego napastnika.

Oczywiście, dumął Alaric ze swoim zwykłym cynizmem. One wszystkie ich kochają. Kultura popularna uczyniła z wampirów romantyczne postaci, młode kobiety, zafascynowane nimi, wręcz rzuciły się na aktorów grających wampiry w filmach i serialach. To nie wina kobiet. Są zaprogramowane tak, by odczuwać pociąg do wpływowych i przystojnych mężczyzn z wysokim poziomem testosteronu, którzy będą mogli zapewnić opiekę potomstwu. A właśnie tak przedstawiano w filmach wampiry - jako bogatych, silnych, budzących zaufanie.

Alaric zastanawiał się, czy kobiety czułyby do wampirów to samo, gdyby zobaczyły jego byłego partnera, Martina, na OIOM-ie po nalocie, który przeprowadzili we dwóch na gniazdo wampirów w magazynie pod Berlinem.

Wampiry obdarły Martinowi pół twarzy. Jeszcze teraz jadał obiady przez słomkę.

Na szczęście zostawiły mu oczy, więc będzie mógł patrzeć, jak Simone, córeczka adoptowana przez niego i jego chłopaka Karla, i chrześnica Alarica, obchodzi czwarte urodziny.

Także dlatego Alaric był oddany bez reszty swojej pracy.

Zresztą nie wyobrażał sobie innej. Bo w jakiej pracy można używać miecza? Nic nie przychodziło mu do głowy.

Bardzo lubił swój miecz, któremu nadał imię Señor Śliski. Klinga, w odróżnieniu od ludzi, nie kłamie. Nie oszukuje, nie ocenia... nawet jeśli wampiry naprawdę są głupie. Szczególnie amerykańskie wampiry. Płaczą się po miejscach, w jakie on nigdy by nie chodził, zwłaszcza gdyby był nieśmiertelny. Na przykład licea.

I Wal-Mart.

Gdyby Alaric stał się wampirem - co zresztą niemożliwe, bo nawet gdyby jakimś ohydny zrządzeniem losu do tego doszło, Martin miał polecenie zabić go natychmiast, choćby się zażarcie bronił - podniósłby poprzeczkę. Jeśli już supermarkety, to raczej Target.

Alaric sądził, że wampiry odstrasza Target ze względu na kamery ochrony na parkingach. To mit, że nie widać ich w lustrach czy na filmie. Owszem, w dawnych czasach to była prawda, kiedy stosowano lustra i błony fotograficzne z dodatkiem srebra. Ale teraz, gdy światem rządziły technologie cyfrowe - a lustra staniały - odbicie czy obraz wampira były widoczne, jak każdego innego stworzenia.

Alaric lubił Target. W Rzymie go nie mieli. Ostatnim razem kupił tam sobie zegarek z Goofym. Inni gwardziści nabijali się z niego, ale on lubił swój zegarek. Staroświecki, nie robił nic innego oprócz wskazywania godziny.

Czasami człowiek potrzebuje tylko wiedzieć, która jest godzina.

Komórka Alarica zawibrowała; odłożył komiks Bet ty i Veronicą wyjął telefon z kieszeni i z zainteresowaniem przeczytał SMS.

Manhattan. Doniesienia o ciałach pozbawionych krwi. Co najmniej trzy ofiary. Przeczytał wiadomość dwa razy, by mieć pewność, że dobrze zrozumiał.

Ciała pozbawione krwi? Na świecie od stu lat nie było tak głupiego wampira, by całkowicie wykrwawić ofiarę. Przynajmniej Alaric o żadnym nie wiedział.

Ponieważ takie działanie - w odróżnieniu od tego, co robił wampir w Chattanooga - to morderstwo, a nie tylko napaść z użyciem pary kłów.

Tego rodzaju napaści nie da się udowodnić - na pewno nie w zwykłym sądzie, ponieważ ofiara wyraziła zgodę. W wyniku kontroli umysłu, oczywiście.

Ale w to uwierzyliby tylko gwardziści palatyńscy i rodzice dziewczyny.

Jeśli jakiś wampir naprawdę zgłupiał, mordował ofiary, to mogło znaczyć tylko jedno: książkę wypełnił z nory, w której ukrywał się przez ostatnie stulecie.

Będzie musiał. Nie może narażać na bezpieczeństwo swoich poddanych. Alaric się uśmiechnął. Kolejne dni jawiły się w jaśniejszych barwach. Upoluje zdobycz swojego życia.

Nagle, pośród tłumu, dostrzegł pracownicę w uniformie Wal-Mart a kierującą się do samochodu opisanego przez rodziców dziewczyny; Alaric zaparkował swój wóz obok niego.

Sara nie przypominała osoby ze zdjęcia, które dostarczyli jej rodzice... Przynajmniej w tym momencie. Bycie osobistym dawcą krwi dla wampira tak działa na kobiety. Niegdyś okrągłe policzki miała zapadnięte, a uniform wisiał na wyniszczonym ciele. Kręcone, rude włosy straciły żywotność i połysk, apaszka na szyi przykrywała „miłosne ukąszenie”, pozostawione przez jej przyjaciela w trakcie ostatniej wizyty.

Nawet nie zauważyła, kiedy Alaric wysiadł z samochodu i stanął przed nią: potężna postać oświetlona południowym słońcem, z Señorem Śliskim starannie ukrytym pod połą płaszcza.

Popijała napój z dużego kubka trzymanego w dłoni.

Cóż, potrzebowała dużo płynów. Musiała wytworzyć nowe osocze, jeśli miała być dziś wieczorem czyjąś kolacją.

- Saro - odezwał się cicho Alaric.

Stojąc nieruchomo, wreszcie na niego spojrzała apatycznymi, niebieskimi oczami.

Teraz był odpowiedni moment, by pokazać jej miecz. Czasami tylko jego widok do nich przemawiał w tym miłosnym ogłupieniu.

Alaric odchylił połę płaszcza.

- Powiedz mi tylko, gdzie on jest, Saro - mówił łagodnie - a pozwolę ci żyć.

Rozdział 8

14.00 czasu wschodniego wtorek,, 13 kwietnia
Biurowiec ABN Madison Avenue 520, Nowy Jork

Serdecznie zapraszamy...

Na co: Na elegancką kolację u nas, mieszkanie HA, Park Avenue 910

Kiedy: W czwartek 15 kwietnia, o godzinie 19.30

Dlaczego: Do miasta przyjechał książę, kuzyn Emila!

Strój: Elegancki! Wystrójcie się! To wasza szansa na poznanie prawdziwego księcia, jak za dawnych czasów! Wyciągnijcie najładniejsze, najbardziej seksowne, najdroższe buty i sukienki i bawcie się dobrze! Nie trzeba dołować się tylko dlatego, że mąż nie pożyczył wam platynowej karty na zakupy! Zajrzyjcie do szafy i do zobaczenia w czwartek!

xoxo Mary Lou

Meena gapiła się na ekran komputera.

Powinna pracować nad dialogami do przyszłotygodniowej mocnej sceny, kiedy Tabby oskarża matkę o sypanie z jej instruktorem jeździectwa, Romerem, w którym Tabby też się podkochuje.

Ale mogła myśleć tylko o awansie Shoshony i jej koszmarnym wątku z wampirami; Fran i Stan oczywiście pomysł klepnęli, zgadzając się z sicią, która zgadzała się z CDI, że dzięki temu serial będzie bardziej atrakcyjny dla kluczowego żeńskiego targetu w wieku osiemnaście-czterdzieści dziewięć...

...Co z kolei przyniesie więcej pieniędzy z reklam, a to zapewni wszystkim podwyżki; scenarzyści **Nienasyconych** mieli zamrożone pensje od ponad roku.

Jakby tego było mało, jeszcze mejl od Mary Lou wskoczył jej do skrzynki.

Meena do reszty straciła zdolność skupienia się na czymkolwiek.

Zbulwersowana przesłała go swojej przyjaciółce.

Leisha oddzwoniła po kilku minutach.

- Jezu, kto to jest?

- Moja sąsiadka Mary Lou. - Meena zdziwiła się, że Leisha nie pamięta. Żaliła się na Mary bodajże co drugi dzień.

- Ach, tak. Ta, która prześladuje cię w windzie, bo-toksuje twarz tak, że wygląda, jakby nie miała trzydziestki i...

- Hrabina - przerwała jej Meena. - Odtworzyła drzewo genealogiczne swojego męża Emila aż do rumuńskiej rodziny królewskiej i doszła do tego, że jest hrabią, co czyni z niej...

- Hrabinę - dokończyła Leisha. Meena słyszała suszarki do włosów brzęczące w tle. Leisha pracowała jako fryzjerka-stylistka w eleganckim salonie w SoHo. - I jest w radzie wspólnoty mieszkaniowej, to ona nie chciała pozwolić, żebyście z Davidem kupili mieszkanie, bo nie mieliście ślubu i była pewna, że zerwiecie. Ale potem dowiedziała się, że piszesz dialogi dla **Nienasyconych** i zmieniła zdanie, jest fanką Victorii Worthington Stone.

- Tak. - Meena odgryzła kawałek batonika ukrytego w tajnej szufladzie z przekąskami. - I nie cierpi Jona, ale udaje, że tak nie jest.

- Dlaczego nie cierpi twój brata? - spytała zaskoczona Leisha.

- Uważa, że jest pasożytem. Ale ważniejsze pytanie brzmi, jak mam się wyłgać z przyjęcia?

- Hm... Bez obrazy, ale dlaczego miałabyś nie pójść? O ile wiem, twój kalendarz towarzyski nie jest jakoś szczególnie wypełniony.

- Cóż, nie mam czasu na zapoznawanie się z rzekomymi rumuńskimi książętami, kiedy powinnam martwić się, co dalej z Victoria Worthington Stone i jej delikatną, ale upartą córką Tabithą. - Meena odgryzła kawałeczek minibatonika. Chciała, by wystarczył na jak najdłużej.

- Głupio gadam - pokajała się Leisha. - Oczywiście. Więc co będzie z Victoria Worthington Stone i jej delikatną, ale upartą córką Tabithą?

Meena westchnęła.

- Opcja jest tylko jedna. I została nam dziś zesłana z góry.

- To znaczy?

- Żądza wprowadziła wątek z wampirami i daje nam baty w oglądalności. Więc...

Leisha się roześmiała.

- No tak. Gregory Bane. Już od tygodni faceci proszą mnie, żebym ich strzygła na Bane'a.

Jakby to była prawdziwa fryzura, a nie coś uzyskanego za pomocą brzytwy. I pianki do włosów. Ludzie ześwirowali na jego punkcie.

- Co ty powiesz. - Meena odwróciła się z krzesłem, odrywając oczy od komputera, i patrzyła na szary wawóz drapaczy chmur, na którego dnie biegła Pięćdziesiąta Pierwsza ulica.

Wiedziała, że gdzieś tam Elena przekonuje się właśnie, że jej sny o nowym życiu w Ameryce nie do końca się sprawdzają. Była ciekawa, ile

minie czasu, zanim dziewczyna zadzwoni. I czy w ogóle zadzwoni. - Nie rozumiem tego. Facet wygląda jak wykałaczką. Z włosami.

Leisha znów wybuchnęła śmiechem. Meena uwielbiała ten dźwięk. Rozweselał ją i przypominał o dawnych czasach, kiedy jeszcze nie miały na karku kredytów hipotecznych.

Mimo to czuła się w obowiązku powiedzieć:

- To nie jest śmieszne. Wiesz, co myślę o wampirach.

- Wiem - odparła Leisha trochę znudzonym tonem. - Jak to szło? W świecie mizoginicznych potworów wampiry są najgorsze?

- Właśnie tak. Zawsze wybierają na ofiary ładne kobiety, bo te najłatwiej zabić. A jednak z jakiegoś powodu kobiety to kreci.

- Mnie nie. Chcę zginać z ręki syna Frankensteina. Lubię dużych. I głupich. Tylko nie mów Adamowi.

- Chociaż ci faceci przyznają się bez żenady, że chcą nas zabić - ciągnęła Meena - to rzekome szlachetne powstrzymywanie się od zbrodni ma im dodawać uroku? Przepraszam, ale co jest seksownego w tym, że facet ma ochotę cię zabić?

- To, że chce, ale tego nie robi, sprawia, że dziewczyna czuje się wyjątkowa - wyjaśniła logicznie Leisha. - A na dodatek oni wszyscy są bogaci. Nie miałabym nic przeciwko jakiemuś bogatemu facetowi, który chce mnie zabić, ale szlachetnie się powstrzymuje. Mój mąż nie ma pracy, ale nawet nie pomaga w praniu.

- Wampiry nie istnieją! - krzyknęła Meena do słuchawki.

- Nie rozumiem, o co się wściekasz. Jeśli może istnieć dziewczyna, która potrafi przewidzieć moment i rodzaj śmierci każdego spotkanego człowieka, to dlaczego wampiry nie mogłyby istnieć?

Meena wzięła głęboki oddech.

- Mówiłam ci już, że Shoshona dostała posadę głównego scenarzysty? Może od razu mnie dobij?

- O Boże - westchnęła Leisha przepraszającym tonem. - Strasznie mi przykro, Meeno. I co zrobisz?

- A co ja mogę zrobić? Przeczekać. Wcześniej czy później coś spieprzy. Mam nadzieję, że kiedy to nastąpi, jeszcze nie zdejmą serialu, a ja będę na miejscu, żeby przejąć inicjatywę i przyjść na ratunek.

- Rozumiem. Kompleks supermana.

Meena zmarszczyła brwi.

- Co? - Wampiry to mizoginiczne potwory. Ty masz kompleks supermana. Zawsze miałaś. Więc to oczywiste, iż myślisz, że uratujesz serial. A przy okazji cały świat.

Meena parsknęła.

- Jasne. Ale dość o mnie. Jak Adam?

- Od trzech dni nie wstał z kanapy.

Kiwnęła głową, zapominając, że Leisha jej nie widzi.

- To normalne w pierwszym miesiącu bezrobocia.

- Leży tylko i gapi się w CNN jak zombie. Strasznie się wciągnął w sprawę tego seryjnego mordercy.

- Jakiego seryjnego mordercy? - Nagle Meena przypomniała sobie, co mówiła Shoshona na spotkaniu z Sy. - A, chodzi o te zamordowane dziewczyny w parkach?

- Właśnie. Warknął na mnie przedwczoraj, kiedy go zapytałam, czy wyjął pocztę ze skrzynki na dole.

Meena westchnęła.

- Jon zachowywał się tak samo, kiedy stracił pracę i wprowadził się do mnie. Teraz przynajmniej robi pranie. Tylko dlatego, że mam w mieszkaniu pralko-suszarkę, i idąc do niej, nie można się nie potknąć o sterty brudów.

- Pytałam Adama, kiedy ma zamiar się wziąć do pokoiku dziecka - mówiła Leisha. - Czy raczej do wnęki, bo pokój jest tak mały, że to właściwie garderoba. Trzeba zamontować drzwi, położyć suche tynki i pomalować, i w ogóle. Wiesz, co powiedział? Ze jeszcze za wcześnie i że jest mnóstwo czasu. Thomas urodzi się za dwa miesiące! Nie wiem, czy sobie poradzimy. Naprawdę nie wiem.

- Dacie radę. Wszystko będzie dobrze. Uwierz mi.

Meena oczywiście w to nie wierzyła. Minęło już parę miesięcy, od kiedy jej brat, Jon, został zwolniony z firmy inwestycyjnej, gdzie pracował jako analityk systemów informatycznych, i nie był ani trochę bliższy znalezienia nowej pracy niż w dniu zwolnienia... tak samo jak mąż Leishy, Adam; razem studiowali, był współlokatorem Jona i to Jon przedstawił go Leishy. O nieliczne posady, dostępne na rynku, starały się setki, jeśli nie tysiące dobrze przygotowanych kandydatów.

- Czy to jest przecucie? - spytała Leisha.

- Tak - zapewniła stanowczo.

- Trzymam cię za słowo. No dobra, powodzenia z księciem. Na twoim miejscu ubrałabym się na czarno. Czerń zawsze jest odpowiednia. Nawet na wieczorki zapoznawcze z członkami rodziny królewskiej. - Rozłączyła się.

Meena odłożyła słuchawkę, przygryzając dolną wargę. Nie cierpiała okłamywać Leishy.

Wiedziała, że nie wszystko będzie dobrze.

Coś było nie tak. Leisha wciąż jej powtarzała, że termin porodu wypada za dwa miesiące.

Może tak jej powiedział lekarz.

Ale się mylił. Za każdym razem, kiedy Leisha mówiła „Thomas urodzi się za dwa miesiące”,

Meena czuła nieprzyjemne ukłucie.

Dziecko - Meena to wiedziała - urodzi się w przyszłym miesiącu. Może nawet wcześniej.

No i ten Thomas! Leisha i Adam tak zdecydowali: Thomas Weinberg!

Będzie dosyć zabawnym Thomasem, bo to dziewczynka, a nie chłopiec. Ale jak powiedzieć przyszłej matce, że lekarz mylił się... kiedy to tylko przecucia?

Szczególnie że wszystkie dotychczasowe dotyczyły śmierci, a nie nowego życia?

Lepiej nie mówić jej wcale. Trzymać buzię na kłódkę.

Odwróciła się z powrotem do monitora i znów znalazła oko w oko z mejlem od Mary Lou.

Czasami trudno jej było uwierzyć, że na świecie są ludzie, którzy nie muszą zarabiać na życie... Damy, będące kuzynkami księżąt, nie robią nic oprócz planowania wykwintnych przyjęć i chodzenia na całodniowe zakupy z kartą kredytową męża. Ale są też dziewczyny, pomyślała o Elenie, które padają ofiarą takich szumowin jak jej chłopak Gerald i dla których policja nie może nic zrobić...

Tacy ludzie istnieli.

I mieszkali w tym budynku. Drzwi w drzwi. Z determinacją kliknęła „Usuń”, otworzyła nowy dokument i zaczęła pisać.

Rozdział 9

13.00 czasu wschodniego wtorek, 13 kwietnia
Gdzieś nad Atlantykiem

Lucien Antonescu nie lubił latać komercyjnymi liniami, ale chyba nie z tych samych powodów, dla których nie lubili tego inni ludzie. Nie miał problemów z kontrolowaniem fizjologii - nie licząc kontrolowania emocji - i oczywiście nie bał się śmierci. Myśli o ognistej katastrofie czy innym tragicznym końcu zupełnie go nie wzruszały.

Nie podobało mu się za to, w jaki sposób linie lotnicze upychały swoich klientów w metalowe rury, które nazywały „samolotami”, i spodziewały się, że wszyscy będą siedzieć w tych niemożliwie małych, stłoczonych namiastkach „foteli” przez wiele godzin, bez możliwości ruchu czy zażycia świeżego powietrza.

Upłynęło sporo czasu, od kiedy Lucien Antonescu podróżował samolotem, którego nie był właścicielem; jego osobisty learjet był idealny na większość podróży, ale nie dość potężny, żeby przelecieć Atlantyck. Kiedy zapraszano go na jakąś zamorską konferencję lub proponowano trasę promocyjną którejś z czterech ksiązek, Lucien po prostu odmawiał. Zresztą i tak wolał się zanadto nie reklamować...

...choć jeśli trafiał się odpowiednio luksusowy statek, który płynął w pożądanym kierunku i planował zawinięcie do portu w dogodnym dla niego terminie, to była zupełnie inna sprawa. Lucien lubił morze i statki wycieczkowe oraz ich zwykle piękne pasażerki.

Ale dziś Lucien leciał pierwszą klasą. Fotele spełniały tu funkcję oddzielnych przedziałów, więc pasażerowie, siedzący przed nim, za nim czy obok niego, nie byli widoczni.

W pewnej chwili podczas lotu atrakcyjna i bardzo miła stewardesa podała mu menu i poprosiła, by wybrał coś z oszałamiającej gamy potraw i win, wśród których było kilka całkiem przyzwoitych włoskich barolo.

Później, kiedy pilot wyłączył światła, spytała Luciena, czy życzy sobie, by przygotowała mu łóżko.

Zgodził się z czystej ciekawości. Łóżko? Jego szeroki i wygodny fotel za jednym dotknięciem guzika rozłożył się w całkiem przyzwoitej wielkości (nie dla niego, przy jego wzroście) łóżko.

Stewardesa wyciągnęła ze schowka miękki materac, naciągnęła prześcieradło, położyła kołdrę i poduszkę, którą roztrzepała.

W końcu wręczyła mu płócienną torbę zawierającą elegancką piżamę w dużym rozmiarze, szczoteczkę, pastę do zębów i osłonkę na oczy.

Z uśmiechem życzyła mu dobrej nocy. Odpowiedział uśmiechem, choć nie miał najmniejszego zamiaru przebierać się w piżamę i iść spać. Ale cała ta procedura i sama stewardesa były po prostu urocze.

Jego uśmiech sprawił, że się zaczerwieniła. Niedawno rozwiodła się z mężczyzną pozbawionym skrupułów, który zdradzał ją przez osiem lat małżeństwa, i teraz sama wychowywała dziecko. Jedyne, czego chciała od byłego męża, to żeby w terminie płacił alimenty i od czasu do czasu odwiedził córeczkę. Nie powiedziała tego Lucienowi...

...ale wcale nie musiała. Wiedział to wszystko, bo kiedy przebywał wśród ludzi, ich najskrytsze myśli wdzierały się w jego własne. Przyzwyczał się do tego przez lata i czasem nawet mu się to podobało.

Dzięki temu znów czuł się człowiekiem.

Prawie.

Przeprosiła go i poszła zająć się innym pasażerem, korpulentnym biznesmenem siedzącym po drugiej stronie szerokiego przejścia, na miejscu 6J. Pasażer 6J bez przerwy narzekał: jego poduszka nie była dość miękka, piżama nie dość duża, szczoteczka do zębów za twarda, a kieliszek do szampana nie napełniał się dość szybko.

Z tego, co zaobserwował Lucien, mężczyzna z 6J wciskał guzik przywołania co cztery, pięć minut; irytowało to stewardesę i panią na miejscu przed nim, która uniosła osłonkę na oczy i wyjrzała ze swojego zaciemnionego przedziału, by sprawdzić, co to za zamieszanie. Miała rano ważne spotkanie i potrzebowała wypocząć. Kiedy stewardesa przemknęła do części dla personelu, żeby przynieść biznesmenowi inną poduszkę, Lucien wstał i złożył wizytę pasażerowi z 6J.

- A pan czego chce? - prychnął wzgardliwie mężczyzna. Jego umysł był płytki jak naparstek.

Gdy stewardesa wróciła, pasażer z 6J wzbudził jej niepokój. Był blady i pogrążony w głębokim śnie, wyglądało to niemal na śpiączkę. Obrzuciła kabinę szybkim pytającym spojrzeniem i napotkała oczy Luciena, który stał obok swojego miejsca i sięgał do schowka po książkę.

- Pewnie uspił go szampan - powiedział. - Widać nie jest przyzwyczajony do takiej ilości alkoholu na dużej wysokości. - Puścił do niej oczko.

Stewardesa zawahała się, po czym, jakby zahipnotyzowana uśmiechem Luciena, odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem i zaoferowała mu dodatkową poduszkę.

- O, dziękuję. - Skinął głową.

Później, gdy przechadzał się wzdłuż zaciemnionych przejść między siedzeniami samolotu mknącego po nocnym niebie w stronę Nowego Jorku, Lucien słuchał oddechów uspiomych pasażerów, zaglądał w ich sny. Patrzył na ich obnażone, bezbronne szyje. Ktoś powinien postarać się, by podróże lotnicze były przyjemniejsze dla wszystkich, nie tylko dla uprzywilejowanych w pierwszej klasie.

Rozdział 10

18.30 czasu wschodniego wtorek, 13 kwietnia
Park Avenue 910 Nowy Jork

Meena wcisnęła guzik ściągający windę i ukradkiem rozejrzała się wokół siebie. Była zmęczona po ciężkim dniu i miała nadzieję, że spełni się jej choć jedno, małe życzenie: nie nadziać się na sąsiadkę, Mary Lou, i wjechać spokojnie na dziesiąte piętro.

Apartamentowiec Meeny - przy Park Avenue 910 - był eleganckim budynkiem z ochroną przy błyszczących mosiężnych drzwiach, z marmurowym holem, kryształowym żyrandolem i podziemnym garażem, na którym miejsce parkingowe kosztowało pięćset dolarów miesięcznie. Meena wolałaby wydać te pieniądze na wymarzoną torebkę od Marca Jacobsa, ze smokiem z kryształków... Oczywiście gdyby miała wolne pięćset dolarów, a nie miała. Jej mieszkanie nie pasowało do tego luksusu. Rozpaczliwie domagało się remontu, sztukaterie pod sufitami pękały, trzeba by wycyklinować parkiet, zabytkowe kominki nie działały, a szklane drzwi, wychodzące na małe balkon z widokiem na taras Mary Lou - wielkości niemal całego mieszkania Meeny - zaciąły się. I brakowało miejsca w szafach.

Ale najważniejsze, że jej własne - a przynajmniej miało być, kiedy już odda Davidowi jego część przedpłaty. Mieli szczęście, że udało się je kupić, gdy rynek nieruchomości był w najgłębszym dołku, a poprzedni właściciele rozwodzili się i bardzo im zależało na szybkiej sprzedaży. I kiedy nareszcie na jej konto spłynął niewielki spadek po ciotecznej babci Wilhelminie, po której nosiła imię; mama zdecydowała się na pisownię Meena z obawy, że jeśli zostanie przy Minie, nauczyciele i koledzy będą czytać „Majna”.

Choć Davida już dawno nie było, nie wyobrażała sobie, że mogłaby tu przyprowadzić jakiegoś mężczyznę. Ale kiedy, na długo przed piątą, zobaczyła, jak Shoshona wychodzi z gabinetu z jakimś przystojniakiem - teraz wiedziała już, że to na pewno niesławny Stefan Dominie, dostrzegła tylko tył jego ciemnowłosej głowy, zanim zniknęli w windzie - poczuła ukłucie zazdrości.

Nie pamiętała nawet, kiedy ostatni raz była na randce. Chyba że liczyć faceta, z którym umówiła ją Mary Lou i którego Meena poinformowała nad kalmarami w modnej restauracji, że powinien sobie zbadać poziom

cholesterolu, bo inaczej padnie na zawał, zanim skończy trzydzieści pięć lat.

Jasne, że nie umówił się na drugą randkę.

Miała nadzieję, że przynajmniej poszedł do lekarza i zaczął brać leki.

Mimo wszystko uparcie modliła się o tę jedną, jedyną łaskę, która jakoś nigdy nie była jej dana: żeby nie wpaść na Mary Lou.

Spotykała Mary tak często, że w zasadzie powinna randkować z nią.

Każdego ranka - pstryk! - Mary Lou zjawiała się w chwili, kiedy Meena wciskała guzik windy. To samo wieczorem.

Niesamowite.

I za każdym razem wszelkie nadzieje na przejazdkę windą w spokoju rozwiewały się jak dym.

Musiała wysłuchiwać trucia Mary Lou o kolejnym facecie, którego poznała i który, w jej przekonaniu, byłby po prostu idealny dla Meeny, albo na jaki nieprawdopodobny pomysł na scenariusz **Nienasyconych** wpadła poprzedniego wieczoru.

- Doprawdy? - odpowiadała grzecznie. - Dziękuję, Mary Lou, ale tak się składa, że z kimś się spotykam. To kolega z pracy.

Albo: - Och, jestem pod wrażeniem, na pewno powiem Fran i Stanowi o twoim pomysłe, że Victoria Worthington Stone powinna zostać ambasadorem w Brazylii. Będą zachwyceni.

Tyle że nie spotykała się z żadnym kolegą z pracy, nie licząc Paula, w absolutnie platonicznym sensie. Od dwudziestu pięciu lat był szczęśliwym mężem i ojcem trójki dzieci, a pomysły sąsiadki na przygody jej ulubionej postaci do niczego się nie nadawały.

Ostatnio Mary Lou bardzo skutecznie irytowała Meenę wścibskimi pytaniami na temat Jona.

Zdawała się mieć obsesję na punkcie życia prywatnego Meeny i była przekonana, że Jon stoi jej na drodze do związania się z kimkolwiek. Jak Meena ma przyprowadzić do domu chłopaka, jeśli wciąż tam siedzi starszy brat i pichci fettuccine Alfredo? Ktoś musi delikatnie popchnąć Meenę we właściwym kierunku.

Mary Lou wzięła sprawę w swoje ręce.

Stało się to zupełnie jasne dziś, kiedy znów spotkały się w windzie...

Pstryk!

- Meena! - wykrzyknęła hrabina. - Tak się cieszę, że na ciebie wpadłam! Dostałaś mojego mejla? Kuzyn Emila, księżę, przyjeżdża do Nowego Jorku. Będiesz nim zachwycona, jest pisarzem, tak jak ty. Tyle że on pisze książki, a nie mydlane opery. Jest profesorem historii

Rumunii. Dostałaś mejla z zaproszeniem na kolację, którą wydaję w czwartek na jego cześć, prawda? Myślisz, że uda ci się przyjść?

- Oj, nie wiem. W pracy mamy straszny kocioł...

- Och, twoja praca! - Meena zdała sobie sprawę, że lepiej było trzymać buzię na kłódkę, bo Mary Lou natychmiast zapaliła się do tematu. - Pracujesz za ciężko. Chociaż, oczywiście, jestem ostatnią osobą, która chciałaby na to narzekać. W zeszłym tygodniu, kiedy Victoria całowała się z ojcem Juanem Carlosem po tym, jak mu się wypowiedała, bo zżerało ją poczucie winy, dlatego że poszła do łóżka z tym instruktorem jazdy konnej swojej córki, byłam tak podekscytowana, że musiałam wepchnąć sobie chusteczkę do ust, żeby nie piszczeć i nie przestraszyć pokojówki, kiedy odkurzała. Genialnie wymyślane! To jeden z twoich wątków, prawda?

Meena skromnie pochyliła głowę. Rzeczywiście, udał jej się wątek z Victoria i seksownym księdzem. To zupełnie coś innego niż wampiry. Ojciec Juan Carlos też się szlachetnie powstrzymywał, bo był księdzem, ale chciał się tylko przespać z Victoria, a nie wyssać z niej krew.

- Cóż, prawdę mówiąc... - zaczęła, ale Mary Lou jej przerwała.

- Co nie zmienia faktu, że doprowadzisz się do przedwczesnej menopauzy, jeśli będziesz dalej tak harować. Ale słuchaj...

Winda powiedziała „dzyń”, drzwi otworzyły się i weszły do środka. Rozpoczęła się jazda, która dla Meeny zawsze trwała całe wieki.

Mary Lou szczegółowo opisała Meenie zamek w Rumunii, w którym książę spędzał wakacje. Znała go doskonale, bo znajdował się niedaleko ich letniej rezydencji. Co roku przyjeżdżał na dwa miesiące. Przez dwa błogie miesiące Meena mogła jeździć windą uwolniona od towarzystwa hrabiny.

Koło czwartego piętra Meena zaczęła zastanawiać się, dlaczego nigdy nie miała przeczuc na temat śmierci grożącej Mary Lou czy jej mężowi Emilowi. Dziwne.

Chociaż z drugiej strony, byli to najnudniejsi ludzie na planecie i prawdopodobnie przeżyją wszystkich swoich znajomych, włącznie z Meeną, bo zanudzą ich na śmierć.

Choć lubiła bawić się myślą, że jej umiejętność przewidywania zgonów, która objawiła się we wczesnej młodości, teraz, przed trzydziestką, zaczęła zanikać. Zawsze można pomarzyć.

Do dziewiątego piętra Meena usłyszała już wszystko o saksońskich wpływach architektonicznych.

- Proszę - powiedziała Meena, kiedy drzwi windy otworzyły się nareszcie i litościwie na dziesiątym piętrze. - A, Meeno - rzuciła hrabina, gdy szły w stronę drzwi swoich mieszkań. - Zapomniałam zapytać. Jak się miewa twój brat?

Oto i ona. Przechylona głowa.

Przechylonej głowie towarzyszyło oczywiście współczujące spojrzenie. Hrabinę z pewnością łączyła zażyła przyjaźń z botoksem, jako że musiała mieć grubo po czterdziestce, a jej twarz była gładka, jakby Mary Lou nie różniła się wiekiem od Meeny - może dzięki wspaniałej kolekcji bajecznych kapeluszy i rękawiczek, które nosiła z żelazną konsekwencją, by chronić się przed słońcem. Dziś miała na sobie gigantyczną konstrukcję w kolorze kasztanów.

Więc pojawiło się wszystko co trzeba: przechylona głowa, podwójna zmarszczka troski między brwiami, zaciśnięte usta, jakby chciała powiedzieć: „Troszczę się o wasz los. Powiedz mi, co u twojego brata?”

- Jon? Doskonale - odparła Meena z taką dozą entuzjazmu, na jaką potrafiła się zdobyć, biorąc pod uwagę, ile razy musiała już powtarzać to zdanie. - Naprawdę doskonale. Ćwiczy, dużo czyta, nawet gotuje. Wczoraj wieczorem wypróbował nowy przepis z „Timesa” i przygotował mi na kolację świetną wołowinę po chińsku z pomarańczami. Przepyszna!

Wierutne kłamstwo. Wołowina nie nadawała się do jedzenia i Meena, wściekła, wyrzucała Jonowi, że w ogóle się na coś takiego porwał. Nie jest dobrym kucharzem. Jego mocną stroną były steki pieczone na grillu stojącym na balkonie Meeny, więc po co zabierał się do czegoś, co z łatwością mogli zamówić? Danie wylądowało w zsypie. Miała nadzieję, że hrabina i jej mąż nie wywąchali tej „kolacji”, wracając jak zwykle po nocy z jakiegoś bankietu. Ciągłe bywali - kiedy tylko nie przyjmowali gości - na imprezach charytatywnych w całym mieście, ich nazwisko regularnie pojawiała się w kronikach towarzyskich, ze względu zarówno na hojne datki, jak i na zamiłowanie do eleganckich przyjęć.

- Och! - Mary Lou przyłożyła dłoń do piersi, okrytej zakietem Chanel. - Cudownie. To wspaniałe, że pozwalasz mu mieszkać u ciebie, dopóki nie stanie na nogi. Takie wielkoduszne z twojej strony. Księżę uwielbia wielkodusznych ludzi, więc będzie tobą zachwycony. - Oderwała dłoń od zakietu i siedmio- czy ośmiokaratowy brylant, który nosiła na palcu pod rękawiczką, już zdjętą, błysnął w świetle lampy korytarza. - Koniecznie zabierz ze sobą Jona w czwartek. On jest zawsze mile widziany, To taki uroczy młody człowiek.

Przylepiony uśmiech nie znikał z twarzy Meeny.

- Bardzo dziękuję - powiedziała z wymuszoną wesołością. - Ale nie wiem, czy nie mamy jakichś innych planów. Dam ci znać. Miłego wieczoru!

- Nawzajem. Au revoir!

Jedna rzecz, myślała Meena, idąc pospiesznie do swojego mieszkania. Mogła ją dziś spotkać jeszcze jedna dobra rzecz. Nigdy nie straci nadziei. Bez nadziei co człowiekowi pozostaje?

Nic.

Mogła jeszcze znaleźć torebkę ze smokiem. Może gdzieś w Internecie, używaną.

Tyle że nawet używana przekraczałaby jej możliwości finansowe. To byłoby samolubne i okropne kupować coś tak ekstrawaganckiego, czego wcale nie potrzebowała, szczególnie teraz, kiedy tylu ludzi nie ma pracy i ledwie może sobie pozwolić na jedzenie, i żerują na nich tacy złoczyńcy jak chłopak Eleny.

Oczywiście nigdy nie kupi sobie tej torebki. Nawet używanej.

Ale ważne, żeby mieć nadzieję.

Rozdział 11

18.30 czasu wschodniego wtorek, 13 kwietnia
Park Avenue 910, mieszkanie 11B Nowy Jork

Czy masz wszystko, czego potrzeba, żeby wstąpić do nowojorskiej policji?

Aby móc starać się o przyjęcie w szeregi nowojorskiej policji, musisz przejść serię medycznych, sprawnościowych i psychologicznych testów, które określą, czy się nadajesz.

Chcesz dowiedzieć się więcej o naszych wymaganiach?"

Jon, wpatrzony w ekran komputera, wzruszył ramionami, wypił łyk gatorade i kliknął „Dowiedz się więcej”.

„W dniu złożenia podania o dopuszczenie do egzaminów kandydat musi mieć ukończone 17,5 roku...”

- O tak - powiedział Jon, - Właśnie o tym mówię.

Pies Meeny, Jack Bauer, słysząc dźwięk ludzkiego głosu, wyskoczył z legowiska i przytruchtał zaciekawiony do kanapy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jon kiwnął psu butelką z gatorade, jakby wznosił toast, i czytał dalej.

„...i nie może mieć ukończonych 35 lat”.

- Załatwione. - Uśmiechną! się do Jacka Bauera. -Wstępujemy do nowojorskiej policji!

Pies przekrzywił głowę, usiadł i szczeknął piskliwie.

- Tak. - Jon odstawił napój, wziął telefon i wybrał numer. Kiedy tylko usłyszał rozmówcę, oświadczył: - Stary. Wstępujemy do policji.

- Chyba cię pogięło - odparł Adam. - Zaraz zostanę ojcem. Może i potrzebuję pracy, ale nie takiej, w której mi odstrzelą tyłek. Wiesz, że po mieście grasuje seryjny morderca?

- Na pewno niejeden. - Jon oparł stopy w rozmiarze dwanaście na stoliku. Jack Bauer, zainspirowany takim obrotem sprawy, wskoczył na kanapę, gdzie Meena absolutnie nie pozwalała mu siadywać. Jon przesunął się trochę, żeby mu zrobić miejsce. - I my go złapiemy. Wiesz, co robi Departament Policji Miasta Nowy Jork? Zatrudnia. Wystarczy tylko mieć więcej niż siedemnaście i pół roku i mniej niż trzydzieści pięć. Bingo. To my.

- I być wariatem. Czytałeś tę część? Że trzeba być wariatem, żeby chcieć zostać gliną w tym pokreconym mieście?

- Tak, oprócz testu pisemnego i sprawnościowego jest też ocena psychologiczna - przyznał Jon, spoglądając na laptopa. - Możesz mieć problemy z przejściem tej części, byłeś brokerem hipotecznych listów zastawnych.

- Nagadałeś się już? - burknął Adam. - Bo muszę kończyć.

- Tak. No dobra. Wejdz na stronę nowojorskiej policji. Naprawdę uważam, że powinniśmy to zrobić. Możemy zdziałać coś pozytywnego, Weinberg. Możemy aresztować przestępców. Możemy pomagać maltretowanym dzieciom.

- Posłuchaj sam siebie - powiedział Adam. Ale Jon słyszał klikanie w tle i wiedział, że Weinberg robi to, o co go poprosił. - Przestępcy. Jakbyś wiedział cokolwiek o przestępcach. Znowu oglądałeś **Prawo ulicy**?

- Mówię poważnie. Pomyśl o tym. Co robiliśmy na naszych poprzednich posadach? Oczywiście, zarabialiśmy kupę kasy dla siebie i innych. Ale czy mieliśmy jakikolwiek znaczący wpływ na czyjeś życie? Nie.

- Ośmielę się nie zgodzić. Obsługiwałem fundusz emerytalny Związku Nauczycieli na Alasce.

- I co się z nim stało, Adam?

- To nie była moja wina.

- Ci nauczyciele jakoś się z tego wykaraskają. No dobra, pewnie nie. Ale może zwolnienie to zamaskowane błogosławieństwo. Może mamy szansę odrobić to, co straciliśmy. Pomagać ludziom w prawdziwej potrzebie.

- I nosić broń. Przyznaj się, Harper. Tak naprawdę podoba ci się, że dostaniemy broń.

- Myśl, że dostaniemy broń palną i prawo jej noszenia przeszła mi przez głowę. Ale mnie naprawdę zależy na pomaganiu ludziom, Weinberg. Chcesz pozwolić, żeby seryjny morderca, który tak cię wurcza, chodził sobie wolno?

- Nie. Chcę znaleźć pracę, w której będę robił to, co umiem robić. Chcę wdrażać strategie finansowe, wykorzystując gotówkę i instrumenty pochodne, dokonywać transakcji i wymieniać się informacjami o trendach rynkowych ze specjalistami od inwestycji ze swojej firmy.

- Naprawdę? - Jon nie potrafił ukryć rozczarowania. - Tak napisałeś w liście motywacyjnym?

- Tak powiedziałem facetowi od rekrutacji w Trans-Carta. To chyba jedyna firma, która teraz zatrudnia.

- Mógłbyś ratować życie.

- Pozwól, że zapytam. Omówiłeś to z Meeną?
- O co ci chodzi? - Jon poczuł się urażony.
- Myślę, że wiesz, o co mi chodzi. Czy powiedziałeś swojej walniętej siostrze, że chcesz starać się o pracę w policji?
- Nie muszę omawiać z nią wszystkich moich planów - powiedział sztywno Jon.
- Doprawdy? - Adam roześmiał się złośliwie. - Otóż ja nie zamierzam składać podania do nowojorskiej policji, dopóki twoja siostra nie powie, że widzi nas obu na emeryturze w stopniu kapitana czy jak się to tam nazywa.
- Powinieneś już wiedzieć, że u niej to nie działa w taki sposób - wypalił John.
- No tak. Pewnie gdyby działało w taki sposób, zaden z nas nie byłby w tej sytuacji, co?
- Jon westchnął. Nadprzyrodzone zdolności siostry nie ułatwiały mu życia. Dlaczego nie mogła podpowiedzieć właściwych liczb na loterii albo która dziewczyna w knajpie najchętniej się z nim prześpi, albo czegoś w tym stylu, choć trochę przydatnego? Wysłuchiwanie, w jaki sposób może zejść z tego świata, było dość interesujące, ale on wolałby się wzbogacić. Albo zaliczyć jakąś laskę.
- Usłyszał zgrzytanie klucza w zamku. Jack Bauer też usłyszał, więc szybko zeskoczył z kanapy i wrócił do legowiska.
- Pogadamy o tym później. Muszę kończyć. - Jon rozłączył się i zdjął nogi ze stolika.
- Meena weszła, trochę zdenerwowana i zarumieniona, jak zwykle kiedy wracała do domu.
- Czy Jack Bauer przed chwilą siedział na kanapie? - spytała.
- Oczywiście że nie. - Jon wstał. - Jak ci minął dzień, siostrzyczko?
- Do bani. Spotkałam w metrze dziewczynę, która chyba zostanie sprzedana jako biała niewolnica, a potem zamordowana.
- Cudownie - rzucił sarkastycznie Jon.
- Co ty powiesz - burknęła Meena. - Posadę głównego scenarzysty dostała Shoshona. A sieć każe nam wprowadzić główniany wampirzy wątek, więc moja piękna i romantyczna propozycja z chuliganem i jego tatą policjantem odpadła w przedbiegach.
- Shoshona została szefem scenarzystów? Co za kanał. A tej dziewczynie w metrze pewnie dałaś swoją wizytówkę, co?
- Tak. - Rzuciła klucze na tackę na kuchennej szafce, którą ustawiła tam specjalnie w tym celu, kiedy przekonała się, że jej moce są

bezużyteczne, jeśli chodzi o szukanie przedmiotów, które bez przerwy gubiła. - Miejmy nadzieję, że zadzwoni. - A co z Taylor? - Jon starał się, żeby jego głos brzmiał obojętnie.

Kochał się w Taylor MacKenzie - zdaniem siostry była dla niego za młoda - od kiedy Meena zaczęła pisać dialogi do serialu.

- To ona dostanie chłopaka wampira. Ściągnęli najlepszego kumpla Gregora Bane'a, żeby w piątek urządzić mu przesłuchanie z Taylor. Podobno jest przystojny. Zdaje się, że widziałam, jak dziś wychodził z Shoshona z jej gabinetu. Ale widziałam go od tyłu.

Jon spojrział na siebie w okrągłym, zabytkowym lustrze nad stołem.

- Nieźle - stwierdził, podziwiając swoje odbicie. - Jak myślisz? Jestem materiałem na przystojnego wampira?

Meena prychnęła.

- Jasne. Rola chórzysty w musicalu Marne w liceum, niestety, nie liczy się jako doświadczenie aktorskie. Szczególnie że zrobiłeś to tylko dla dodatkowych punktów, żeby cię nie wywalili z drużyny bejsbolowej za dwóję z hiszpańskiego.

Zrzuciła płaszcz i schyliła się do Jacka Bauera, który podbiegł i polizal ją na powitanie.

- A jak tam mój mały mężczyzna? - spytała. - Ocaliłeś dziś świat? Myślę, że tak. Na pewno ocaliłeś świat przed nuklearną zagładą, i to w dwadzieścia cztery godziny. Popatrz na siebie. No popatrz tylko na siebie.

Jacka Bauera, mieszańca pomeraniana z chow-chow Meena wzięła ze schroniska, kiedy pojechała tam z Jonem „żeby tylko popatrzeć”; zostawił ją David i była w depresji, chodziła jak nieprzytomna. Mały mieszaniec siedział w wielkiej, pustej klatce całkiem sam, a jego brązowe oczy były przepełnione niepokojem; Meena stwierdziła, że z tymi oczami i jasną sierścią przypomina Kiefera Sutherlanda podczas szczególnie dramatycznego momentu w serialu **24 godziny**.

Kiedy drzwi klatki zostały otwarte i piesek wpadł jej w ramiona, pokrywając twarz psimi całusami wdzięczności, nieunikniona adopcja została przypieczętowana, a imię Jack Bauer przylgnęło do niego, bo niepokój rzadko znikał z oczu pieska, chyba że miał Meenę przy sobie.

- Ocalił świat, jeszcze jak - powiedział Jon. - Próbował bzyknąć maltipoo* na wybiegu dla małych piesków w parku Carla Schutza.

* Krzyżówka maltańczyka z pudlem (przyp. tłum.).

- Mój bohater! - Meena porwała pieska na ręce i przytuliła. - Ciągłe pokazujesz swoją męską dominację, chociaż jesteś wykastrowany. - Zwróciła się do Jona. - A ty co dziś porabiałeś?

- Miałem twarde postanowienie zrobić kurczaka. Ale kiedy poszedłem do sklepu, żaden kurczak nie wyglądał dobrze.

- Naprawdę? - Usiadła na kanapie i sięgnęła po pilota.

- No. Wszystkie przeterminowane. Jakby dostawca nie dojechał na czas czy co.

- Po prostu coś zamówmy. - Włączyła wiadomości. - Dawno nie jedliśmy nic tajskiego.

Jon odetchnął z ulgą.

- Brzmi smakowicie. Albo coś hinduskiego.

- Też może być. Boże, zostaliśmy zaproszeni w czwartek do hrabiny. Jeśli pogasimy światła - mówiła z przekonaniem, jakby to był najlepszy sposób poradzenia sobie z problemem - nie zobaczą w szparze pod drzwiami, że jesteśmy w domu.

- Meena. - Jon kochał swoją siostrę, ale była totalną, kompletną wariatką. Od zawsze.

Pokręciła głową.

- Jon. Ona mnie próbuje wyswatać z jakimś rumuńskim księciem, z którym jest spokrewniony jej mąż. Dajże spokój.

- Z księciem? - Uniósł brwi. - Naprawdę? Jest bogaty?

- Nie chcę poznawać żadnego księcia. - Wściekła się, co było widać i słyhać. -I tak przeżywam już najgorszy tydzień w życiu, a jest dopiero wtorek!

Znał Meenę dość dobrze, by wiedzieć, że nie chodzi o awans Shoshony ani o dziewczynę z metra, ani nawet o serial, który uwielbiała.

- Co - spytał głucho. - Co widziałaś?

- Nic. - Była zmieszana. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Coś ukrywasz. I dobrze wiesz, o czym mówię. O kogo chodzi? O mnie, tak? Po prostu mi powiedz. Zniosę to. Kiedy umrę? Jeszcze w tym tygodniu?

Odwróciła wzrok.

- Co? Nie. Nic ci nie będzie. Daj spokój.

Jon był pewny, że się nie myli. Znał swoją siostrę od urodzenia i potrafił rozpoznawać oznaki.

Wiedziała coś o kimś... Tylko o kim? I dlaczego nie chciała powiedzieć?

- Chodzi o rodziców? Mówiałaś, że są zdrowi. To znaczy, stosunkowo zdrowi.

- Są zdrowi. - Zmierzyła go złym wzrokiem. - Jak na dwójkę ludzi, którzy mieszkają w Boca i co wieczór idą zaszaleć w czasie happy hour, jakby uważali się za Scotta i Zeldę Fitzgeraldów.

- No to nie rozumiem. - Jon wzruszył ramionami. - Twoja walnięta sąsiadka, która uważa się za hrabinę, zaprosiła cię na kolację, żebyś poznała prawdziwego rumuńskiego księcia. A ty mi mówisz, że nie wysiesz z tego żadnych pomysłów do serialu? Poważnie?

Spojrzała na niego wielkimi, ciemnymi oczami, w których odbijały się złociste refleksy zachodzącego za oknami słońca, i róz nieba zmieniał w bladą lawendę. W końcu uśmiechnęła się.

- Masz rację. Jak mogłabym przegapić taką fantastyczną okazję, aż trudno sobie wyobrazić większą bufonadę. Będzie z czego kpić w **Nienasyconych**. Pójście tam to moja zawodowa powinność.

- Oczywiście!

- Zaraz odpiszę hrabinie, że przyjmuję zaproszenie.

- Brawo. - Jon wyciągnął rękę i zmierzwił jej ciemne, ostrzyżone na chłopczycę włosy. - Zamówię nam samosy.

Meena roześmiała się i pogłośniła wiadomości; mówili właśnie, że policja wciąż nie zdołała zidentyfikować żadnej z ofiar mordercy, nazywanego już Parkowym Dusicielem. Proszono o zgłaszanie się wszystkich, którzy mogliby rozpoznać te kobiety.

- Ostatecznie - powiedziała zamyślona, zupełnie nie zwracając uwagi na informacje - Victoria Worthington Stone zadawała się już z lekarzami, prawnikami, milionerami, magnatami handlu morskiego, nie brakowało też gangsterów, morderców, gliniarzy, kowbojów, księży, a raz nawet z własnym bratem przyrodnim, dopóki nie dowiedziała się, kim on naprawdę jest.

Najwyższa pora, żeby związała się z księciem.

- Tak trzymać. - Jon zaczął wybierać numer.

Rozdział 12

18.30 czasu wschodniego, wtorek, 13 kwietnia
Wampirze gniazdo.
Czwarta Zachodnia ulica Chattanooga, Tennessee

Alaric Wulf nie był zaskoczony, że Sara, jak większość kobiet - i mężczyzn - zadurzonych w wampirze, nie chciała podać adresu swojego kochanka.

- Powiedz mi tylko, gdzie on jest, a puszczę cię żywą.

Wykręcała się. Reagowała w sposób typowy dla ofiar wampirów, nie obchodziło jej już własne życie. Zależało jej tylko na chronieniu pana. Była wycieńczona ciągłym oddawaniem krwi.

Alaric przyłożył jej miecz do gardła.

W encyklopediach i wyszukiwarkach Gwardia Palatyńska przeważnie figurowała jako dawno rozwiązane formacje wojskowe Watykanu, utworzone niegdyś w celu obrony kościelnego państwa przed agresorami z zagranicy.

Gwardia Palatyńska stanowiła formację wojskową Watykanu, to prawda. Ale z całą pewnością nie została rozwiązana. Agresorami, przed którymi miała strzec, nie byli ludzie, lecz demony. Gwardziści nie bronili przed nimi Watykanu, tylko cały świat.

Członkowie Gwardii stosowali różne metody, by skłonić ofiary demonów, często zakochane w swoich oprawcach, do mówienia. Abraham Holtzman, obecnie oficer najstarszy rangą, który szkolił i Alarica, i Martina, zawsze wolał podstęp. Pokazywał wizytówkę szacownej - nieistniejącej - kancelarii adwokackiej i wyjaśniał, że został wynajęty przez rodzinę wampira, by dostarczyć mu czek z pokaźnym spadkiem.

Często ofiara była tak uradowana miłą niespodzianką, iż nie zauważała, że Holtzman nie wymienił nazwiska wampira.

Dlatego że go nie znał.

Alaric podejrzewał, że Holtzmanowi udaje się tylko dlatego, że wyglądał na mola książkowego. Jego żydowscy rodzice przerazili się, kiedy zaczął pracować dla Watykanu, mimo że się nie nawrócił; nie stawiano takich warunków w tej pracy; niełatwo było znaleźć kogoś, kto nie tracił głowy, wymachując mieczem, i nie wytrącał go z równowagi wrzask sukuba. Wymaganie, żeby na dodatek wyznawał wiarę katolicką, utrudniałoby sprawę.

Gwardziści stanowili eklektyczną mieszankę religijną, znaleźli się wśród nich nawet ateści, jak Alaric.

Holtzmanowi na pewno pomagało w podstępie to, że wyglądał na prawnika.

Ale w wyglądzie zbudowanego jak szafa łowcy demonów też nie było nic złego... Alaric nie miał żadnych naukowych stopni - umiał tylko odrąbywać głowy wampirom i przywracać ofiary rodzajowi ludzkiemu.

Więc nie tracił czasu na podstępny, jak Holtzman. Szczególnie w przypadku Sary. Przeszedł od razu do rzeczy, przykładając jej Señora Śliskiego do gardła.

Wreszcie wyjąkała:

- Felix... Felix mieszka na poddaszu nad antykwariatem na Czwartej Zachodniej ulicy... ale proszę... - Złapał ją za kark i wepchnął na siedzenie pasażera do swojego samochodu. Już nie wysłał nieumarłemu kochankowi SMS-a z ostrzeżeniem, by ten mógł skrzyknąć wampirzych przyjaciół i zastawić pułapkę.

Jazda do Feliksa nie była miłą przejażdżką. Sara szlochała, cały czas szepcząc:

- Błagam, błagam... nie rób mu krzywdy. Ty nie rozumiesz... on nie chce być taki. Nienawidzi tego, czym jest. Nienawidzi tego, że musi... mnie ranić.

- Tak? - Alaric spojrzał na nią. Włączył radio i nastawił stację z heavy metalem. Nie przepadał za tym rodzajem muzyki, ale potrzebował czegoś głośnego, żeby zagłuszyć jej szlochy. - Więc dlaczego pozwalasz mu to robić?

- Bo - wykrztusiła przez łzy - on umrze, jeśli mu nie pozwolę.

- Mylisz się - powiedział Alaric. - Nie może umrzeć, chyba że ktoś przebije mu serce drewnianym kołkiem albo odetnie mu głowę. Albo wystawi go na słońce czy też zanurzy w święconej wodzie. Ale - dodał, zerkając na nią - na pewno o tym wiesz.

- To nieprawda. Mówił, iż krążą różne mity. Też jest kłamstwem, że wampiry mogą żywić się zwierzęcą krwią. Powiedział, że jeśli to robią, umierają. Dlatego musi pić moją krew. Żeby utrzymać się przy życiu.

Alaric przewrócił oczami.

- Zdajesz sobie sprawę, że dziewczyny takie jak ty nabierają się na to od stuleci? Wampiry po prostu nie lubią zwierzęcej krwi. Ona je osłabia. Kiedy pożywiają się nią przez jakiś czas, nie wyglądają ładnie. A wampiry są próżne. Ludzka krew jest dla nich jak filet mignon. Więc jeśli ci powiedział, że umrze, jeśli nie pozwolisz mu pić swojej krwi, to

oprócz tego, że jest obrzydliwą i bezduszną kreaturą, to jest jeszcze przeklętym kłamcą.

Sarze widocznie nie spodobał się jego sposób wyrażania, bo rozszlochała się jeszcze bardziej.

Alaric miał przez to lekkie wyrzuty sumienia. Holtzman zawsze mu powtarzał, że powinien popracować nad swoim podejściem do ludzi.

Podał dziewczynie chusteczkę z paczki, którą wypożyczalnia samochodów zostawiła w aucie.

- Jesteś podły - wydusiła Sara przez łzy, kiedy wydmuchała już nos. - Felix nie jest bezduszną kreaturą. Jest wrażliwy. Ma uczucia. Czyta mi poezję. Szekspira.

Alaric miał ochotę zatrzymać samochód i zwymiotować, ale nie chciał tracić czasu. Im szybciej będą to mieć z głowy, tym prędzej wróci do hotelu, zamówi coś do jedzenia, weźmie miłą, relaksującą kąpiel - w najmniejszej wannie świata, z szorstkimi paskami przyklejonymi na dnie, żeby gość się nie pośliznął pod prysznicem. To zawsze najbardziej wkurzało Alarica w hotelach poniżej pięciu gwiazdek. Był dorosłym człowiekiem. Umiał stać w wannie tak, żeby się nie przewrócić. Potem pójdzie do łóżka.

A jutro rano poleci do Nowego Jorku, zamelduje się w hotelu Peninsula, znajdzie księcia i go zabije.

Wtedy może cały ten wampirzy nonsens się skończy. Na jakiś czas.

Ale nie martwił się, że zostanie bez pracy. Choć Kościół zapewniał swoje owieczki, że jest inaczej, demoniczne byty nie przestaną istnieć, tajna papieska gwardia im nie odpuści. Señor Śliski będzie śpiewał jeszcze przez wiele lat. Przynajmniej tak długo, aż Alaric zestarzeje się i przejdzie na emeryturę.

Był szczęśliwy, los mu sprzyjał.

- To co czujesz - tłumaczył Sarze życzliwym, jak mu się zdawało, tonem - nie jest miłością. To dopamina. Felix różni się od wszystkich, których znasz. Jako tajemnicza istota jest dla ciebie ekscytujący i aktywuje w twoim mózgu neuroprzekaźnik, który wywołuje uczucie euforii, kiedy jesteś z nim... tym bardziej że wiesz, iż nigdy nie będziecie mogli być razem; on wydaje ci się skomplikowany, nawet wrażliwy, chwilami wręcz bezbronny. Ale zapewniam cię, że jest odwrotnie.

- Jak śmiesz? To nie jest żadna dopa... Nieważne! To jest miłość! Miłość!

Alaric nie chciał się z nią kłócić. Wampiry nie były zdolne do miłości, ludzkiej miłości, bo nie miały serc. No dobrze, z technicznego punktu

widzenia może i miały - właśnie w serce trzeba je dźgnąć, żeby zabić. Ale ich serca nie pompowały krwi, nie biły.

Więc jak wampir mógłby odczuwać miłość? Odwzajemnić ją?

Spieranie się z nastolatką o niuanse wampirzej miłości nie wydawało mu się kuszącym pomysłem.

- Och, dajże już spokój - rzucił w stronę szlochającej dziewczyny. - Ta sytuacja ma też swoje dobre strony.

- Jakie? - Sara spoglądała na niego ze złością. - Jakie dobre strony? Chcesz zabić mojego chłopaka!

- Trudno zaprzeczyć. - Podjeżdżali przed dom, którego adres podała. - Ale spójrz na to inaczej. Obiecał, że zmieni cię w wampira, prawda?

- Tak - przyznała Sara, trochę zaskoczona. - Mówił, że mnie przemieni, kiedy tylko odzyska siły. Wtedy będę piękna jak on. I nieśmiertelna.

- Oczywiście - powiedział Alaric z lekkim sarkazmem. Wiedział, że ten cały Felix nie ma najmniejszego zamiaru przemienić Sary w wampira. Pozbawiłby się podstawowego źródła pożywienia.

Był pewien, że wampir będzie ją wodził za nos jeszcze przez parę miesięcy, a potem uzna, że chora, anemiczna na nic mu się nie przyda, i porzuci ją dla zdrowszej żywicielki. Pewnie powie, że „potrzebuje czasu, by wszystko sobie przemyśleć”. Potem zniknie.

A kiedy jej złamane serce i wyniszczone ciało dojdą do siebie, Felix wróci do Chattanooga i do Sary, i cały cykl zacznie się od początku. Chyba że ona znajdzie w sobie siłę, żeby tupnąć nogą i powiedzieć mu: nie. Nie da się wykorzystywać.

Wiedział, że tak się nigdy nie działo. Wampiry były zbyt powabne. A ich ofiary przekonane, że zasługują na takie właśnie traktowanie. Zupełnie jakby bały się rozstania w obawie, że nigdy nie trafi im się nic lepszego...

Właśnie do Alarica należało przerwanie tego błędnego koła. Tupnie nogą za Sarę, skoro ona nie ma dość siły czy woli, żeby to zrobić. On zadba, żeby znalazła coś lepszego, żeby cykl się nie powtórzył. Utnie to raz na zawsze.

Znalazł miejsce do parkowania... tyle że koło hydrantu.

Nie szkodzi. Nie mieli tu stać zbyt długo.

- Załóżmy, że zamieniłby cię w wampirycę. - Wyłączył silnik i odwrócił się, by na nią spojrzeć. - Wtedy ja czy któryś z moich towarzyszy musiałby cię wcześniej czy później zabić, bo tym się zajmujemy. Jesteśmy zabójcami demonów. A uwierz mi, nie chciałabyś

mieć nas na ogonie. Bylibyśmy twoim najgorszym koszmarem. To najlepsze miejsce. Pozostaniesz człowiekiem, może pójdziesz na studia, zrobisz dyplom i zajmiesz się czymś, co ci się podoba. Albo znajdziesz sobie w Wal-Marcie jakiegoś miłego chłopaka, może nawet za niego wyjdiesz. Będziesz mogła mieć z nim dzieci, oczywiście jeśli ich chcesz, i zestarzeć się, i patrzeć, jak twoje dzieci mają dzieci, i zostaniesz babcią. Nie chciałabyś tego? Z Feliksem nie mogłabyś mieć dzieci.

- Wampiry mogą mieć dzieci. Czytałam w książce. Zirytowała go.

- Cóż, w książkach wampiry szlachetnie walczą z własną naturą, żeby was nie ugryźć, bo tak bardzo was kochają. Ale to nie do końca było tak, prawda? Więc książki nie są zbyt wiarygodne, co?

Wbiła w niego złe spojrzenie.

- Nienawidzę cię.

Alaric skinął głową.

- Wiem. - Sięgnął przez nią i otworzył drzwi. - Wysiadaj.

Zrobiła wielkie oczy.

- Co?

- Idź. Wiem, że aż cię skręca, żeby tam pobiec i ostrzec kochasia. Powiedz mu, że go puszczę, pod jednym warunkiem.

Nagle zrobiła się milutka i chętna do współpracy.

- Pod jakim warunkiem? - spytała żarliwie.

- Jeśli mi zdradzi, gdzie mogę znaleźć ich księcia, pozwolę wam odejść. Będziecie mogli uciec i mieć wampirze dzieci. - Nie potrafił wypowiedzieć ostatniego zdania poważnym tonem, choć bardzo starał się nie śmiać, pamiętając, że miał pracować nad swoim podejściem do ludzi.

Sara nic nie zauważyła.

- Och, dziękuję! - Z uśmiechem wysiadła z samochodu. - Jestem taka wdzięczna!

- Nie ma za co - rzucił. Patrzył, jak przebiegła przez chodnik do nierzucających się w oczy drzwi obok witryny sklepu z antykami, w budynku o fabrycznym wyglądzie. Kiedy wciskała guzik domofonu, Alaric pobierał swoje rzeczy, a potem spokojnie wszedł w zaułek, gdzie, jak przypuszczał, znajdzie schody pożarowe. Podskoczył, sięgnął zardzewiałej żelaznej drabiny i w tej chwili usłyszał, jak Felix pyta przez domofon:

- Kto tam?

Rozległ się brzęczyk, Sara weszła do budynku.

Alaricowi zajęło tylko chwilę wspięcie się na dach budynku, umocowanie kotwiczki do ściany i przypięcie końca liny do pasa.

Kilka sekund później zeskoczył z dachu i wpadł z trzaskiem przez wielkie okno do salonu Feliksa, w momencie, kiedy wampir wkładał czarną pelerynę, by osłonić się przed słońcem i uciec. Sara krzyknęła, gdy odłamki szyby filtrującej promienie UV poleciały na cały pokój.

Wampir, w rozpaczliwej ucieczce przed światłem słońca, które mogło być dla niego zabójcze, rzucił się do drzwi.

- O nie - powiedział spokojnie Alaric. - Tamtędy też nie wyjdiesz.

Po sekundzie Felix wrzasnął. Dlatego że Alaric rzucił w drzwi szklaną fiolkę ze święconą wodą. Roztrzaskała się o klamkę i sparzyła wampirowi palce, kiedy do niej sięgnął. Zasyczał z bólu, cofnął rękę i przycisnął do piersi dymiące palce.

- Przecież mówiłeś, że go puścisz, jeśli ci powie! - wykrzyknęła Sara z oburzeniem.

- I puszczę. - Alaric się uśmiechnął. - No więc? -zwrócił się do Feliksa. - Gdzie mogę znaleźć waszego księcia?

Felix, przystojny chłopak osiemnasto-, może dwudziestoletni - plakaty na ścianach świadczyły, że lubił zespół Belle and Sebastian - rozciągnął wargi, odsłaniając komplet mocnych białych zębów. Siekacze miał nienaturalnie długie i spiczaste.

- Nigdy ci nie powiem, łowco demonów - warknął. Odrzucił głowę i zasyczał; długi język wyskoczył z ust jak język jaszczurki.

Sara była w szoku. Jej ukochany nigdy tak się nie zachowywał. I nie widziała, by jego oczy jarzyły się czerwienią.

- Felix! Powiedz mu! Obiecał, że cię puści, jeśli powiesz.

Kiedy odwrócił się i spojrzał na nią, cofnęła się o krok.

- Dlaczego go tu przyprowadziłaś, głupia dziwko? - Ział wściekłością.

Przerażona Sara zaczęła płakać.

Alaric uznał jej łzy za wskazówkę, że nie będzie miała nic przeciwko, by wypełnił swój obowiązek. Wyciągnął Señora Śliskiego z pochwy.

Po kilku sekundach było już po wszystkim. Trzeba przyznać, że wampir godnie walczył.

Ale osaczony przez światło słoneczne z jednej strony i wodę święconą z drugiej, nie miał dokąd uciekać. Znalazł się w pułapce.

Alaric nie dał mu szansy na ostatnie słowo. Wiedział z doświadczenia, że wampiry nie mają do powiedzenia nic interesującego czy głębokiego. Jedna wielka poza. Szekspir i emo. Spojrzał na dziewczynę. Siedziała skulona pod rozbitym oknem, płacząc cicho.

Ale - wiedział, że to nie jest złudzenie - jej włosy już zaczęły odzyskiwać blask, a na policzkach pojawił się rumieniec, którego przedtem nie było.

Za parę dni dojdzie do siebie, jeśli rodzice ją odkarmią; przydałaby się dieta wysokobiałkowa.

Schował miecz.

- No, wstawaj. - Miał nadzieję, że głos brzmi kojąco. Ta część wciąż szła mu marnie. Martin zawsze wiedział, co trzeba powiedzieć. - Zawiozę cię do domu, do matki.

Rozprostowała się trochę i spojrzała na niego zimno.

- Obiecałeś, że go nie zabijesz, jeśli ci powie. - Głos już brzmiał silniej, a w oczach pojawił się błysk, który nie miał nic wspólnego z łzami. Stała się sobą, nie była już pionkiem w wampirzej grze. Zabijając Feliksa, Alaric ją uwolnił.

- Nie powiedział.

- Nie dałeś mu szansy!

Zaczęła wstawać; omijała wzrokiem miejsce, gdzie leżały zwłoki.

Tyle że tam nie było już ciała. Pozostało tylko ubranie. Musiał mieć ponad sto lat. Jego kości obróciły się w proch.

- Nigdy by nie powiedział - stwierdził Alaric. - Gdyby to wyjawiał, zabiłby go książę albo jego słudzy, i byłiby bardziej okrutni niż ja. Wolał zginąć od mojego miecza, wiedział, że tale będzie szybciej. - Spojrzał na nią. - Nie uszłabyś z życiem, gdybyś tu była. Pożeraliby cię, aż nic by nie zostało.

Sara zamrugła.

- Chcesz powiedzieć... że umarł, by mnie ochronić? Och... to takie słodkie!

Chciał jej pokazać zdjęcia, które zawsze nosił przy sobie, żeby zobaczyła, co kumple Feliksa zrobili Martinowi. Jak odgryzali i odrywali kawałki jego ciała dla zabawy. Wampiry nie potrafiły być słodkie.

Ale wiedział, że Holtzman by tego nie pochwalił.

Poza tym już wykonał zadanie. Sara była wolna.

Teraz powinien wrócić do hotelu, spakować się i ruszyć do Nowego Jorku, żeby zapolować na wampira, który będzie prawdziwym wyzwaniem dla jego miecza - nie to, co jej głupi chłopak.

Więc powiedział tylko:

- Chodź, zawiozę cię do domu. I tak zrobił.

Rozdział 13

12.00 czasu wschodniego, wtorek 13 kwietnia
Park Avenue 91C7
mieszkanie 11A Nowy Jork

- Co to jest? - Emil wszedł do przestronnej sypialni, którą dzielił ze swoją żywiołową smukłą żoną. W dłoni trzymał wydruk mejla znaleziony na jej biurku.

- Och, kotku. - Mary Lou minęła go, idąc do toaletki. - Takie zaproszenie wysłałam wszystkim moim przyjaciółkom. Wydaję w czwartek kolację na cześć księcia Luciena.

Emil poczuł lekkie, ale uporczywe klucie w brzuchu, podobne do dżgania bardzo długimi paznokciami... To uczucie, tak się składało, nie było Emilowi obce.

- Rozesłałaś mejla o przyjeździe księcia? - Nie mógł uwierzyć. - Zdajesz sobie sprawę, że jeśli ta wiadomość wpadnie w niepowołane ręce, nas wszystkich narazi na ogromne ryzyko?

- Oj, nie bądź niemądry. Wysłałam go tylko najlepszym przyjaciółkom. W czyje ręce miałyby wpaść?

Z trudem zachował cierpliwość.

- Klanu Smoka, chociażby - wytknął jej, kiedy mógł już mówić. - Albo Gwardii Palatyńskiej? Naszych śmiertelnych wrogów? Ludzi, którzy chcą unicestwić i nas, i księcia?

- E tam. - Mary Lou prychnęła. Usiadła przy toalecie, przed wielkim lustrem, i zaczęła zmywać makijaż. - Dramatyzujesz. Nikt już nie chce nas unicestwiać. Wszyscy nas uwielbiają! Popatrz, jacy jesteśmy popularni w książkach i telewizji. Gdyby wszyscy dowiedzieli się, idę o zakład, że zostałbyś zaproszony do Oprah jako gość dnia.

- Mary Lou! - Wpatrywał się zdumiony w jej odbicie. - Ktoś morduje kobiety! W całym mieście! Nikt nie będzie nas zapraszać do Oprah, kiedy ktoś z naszych braci jest mordercą. A księcia nie zachwyci wydanie proznej kolacji na jego cześć. Z pewnością będzie wolał zachować pobyt w Nowym Jorku w tajemnicy, żeby znaleźć mordercę.

- Mam tyle pięknych, inteligentnych przyjaciółek - powiedziała Mary Lou zamyślona. - Dlaczego nie miałabym się nimi pochwalić? Książę zbyt długo był sam.

- Lucien nie przyjeżdża tu, żeby szukać żony. - Emil czuł, że tonie. - Przyjeżdża służbowo. Morderstwa...

- A czy to takie straszne - przerwała mu Mary Lou - gdyby tu przypadkiem poznał jakąś miłą dziewczynę? W swoim kraju nie miał szczęścia. Ale wiesz, że tu, w starej dobrej Ameryce mamy najwspanialsze kobiety na świecie...

- Mary Lou. - Gapił się zdeprymowany na nagie ramiona żony. - Chyba rozumiesz, że stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. Lucien prosił, żebym nikomu nie wspominał o jego przyjeździe, a ty rozsyłasz mejla wszystkim ze swojej listy znajomych. Mejla, po którym da się namierzyć nadawcę...

- Nie wszystkim - oburzyła się. - Tylko moim najlepszym niezamężnym przyjaciółkom i kilku zamężnym, żeby to nie wyglądało na tak ewidentne swatanie. Żadna nie jest zatrudniona przez Watykan, na litość boską, ani nie jest członkiem klanu Smoka. Zaprosiłam tylko Lindę i Toma, Faith i Franka, i Carol z twojego biura, i Bekkę, i Ashley, i Meenę z naprzeciwnika.

- Meenę? - Nie rozumiał własnej żony. Nawet gdyby spędzili razem całą wieczność, a miał wrażenie, że już spędzili, nigdy jej do końca nie zrozumie. - Księżę... i Meena Harper? Ależ ona jest...

- Dlaczego nie? - Mary Lou odrzuciła do tyłu naturalnie kręcone i wciąż naturalne blond włosy. - Na pierwszy rzut oka nie wydaje się dziewczyną w jego typie, ale ją lubię. Ma taką uroczą, drobną figurę, a w nowej fryzurze na chłopczycę bardzo jej do twarzy. Większość kobiet źle wygląda z takimi włosami, ale jej to pasuje. A jeśli spodoba się księciu, pomyśl tylko, jaki będzie nam wdzięczny. Poza tym - dodała, wzruszając ramionami - ona tylko w kółko pracuje, żeby utrzymać siebie i tego niedołęgę, swojego brata. Potrzebuje trochę odetchnąć.

- Lubi swoją pracę. - Emil przypomniał sobie, ile razy widział sąsiadkę w piżamie i boso w zsybie na śmieci, jak z obrzydzeniem upychała do rozdrabniarki gęsto pokreślone strony scenariusza.

No, może nie zawsze lubiła swoją pracę.

- Och, oczywiście - przyznała Mary Lou. - To świetny serial, Ale myślisz, że pracowałyby, gdyby nie musiała?

Zastanowił się.

- Tak.

- Cóż, to pokazuje, ile wiesz o kobietach. Nic nie wiesz. Popatrz na dwie kobiety, dla których pisze w **Nienasyconych**, Victorie Worthington Stone i jej córkę Tabby. Victoria nigdy w życiu nie miała pracy, no, może raz, kiedy była modelką i projektantką mody. Była też kierowcą rajdowym, ale tylko przez tydzień, bo się rozbiła, straciła dziecko i leżała

w sypialni. To nawet nie są prawdziwe prace. Podobno każdy pisze o tym, czego chciałby dla siebie. Więc to oczywiste, że Meena wolałaby nie pracować.

- Albo - zadrwił Emil - chciałaby być kierowcą rajdowym.

- Książkę Lucien - ciągnęła Mary Lou, ignorując go - mógłby się o nią zatroszczyć. - Przeciągnęła po powiekach wacikiem nasączonym mleczkiem do demakijażu. - A że on też lubi pisać, już mają ze sobą coś wspólnego.

- To zupełnie inny rodzaj pisania. Lucien pisze książki historyczne. Poza tym, kiedy z nim rozmawiałem, wyraził się bardzo jasno, że chce zachować przyjazd w tajemnicy. To jest bardzo krytyczny moment dla klanu Smoka. Morderstwa...

- Och, nie histeryzuj. Nie ma takiego mężczyzny, który nie chciałby zjeść kolacji w towarzystwie pięknych kobiet. - Roześmiała się i dziabnęła męża palcem w brzuch, który lekko wystawał nad paskiem spodni. - Nie mów mi, że nie chciałbyś być w centrum zainteresowania mojego i moich przyjaciółek. Chociaż oczywiście jesteś...

- Cóż. - Emil poczuł, że klucie w brzuchu odrobinę zelżało. - Może nie będzie się bardzo gniewać. Przecież każdy musi jeść.

- No właśnie. Więc dlaczego nie robić tego w towarzystwie uroczych, wykształconych dam?

- Rzeczywiście, dlaczego nie?

Może naprawdę nie będzie tak źle, pomyślał. Jego żona miała rację. Każdy musi jeść.

Rozdział 14

3.45 czasu wschodniego, środa 14 kwietnia
Park Avenue 910
mieszkanie IIB Nowy Jork

Meena spojrzała na jaskrawoczerwone cyfry elektrycznego budzika przy łóżku. Trzecia czterdzieści pięć. Za pięć godzin będzie musiała wyjść do pracy. Cztery godziny spania, zanim wstanie i zacznie przygotowywać się do wyjścia.

Nie mogła spać. Leżała gapiąc się w sufit, zgrzytała zębami i myślała o Elenie - przed oczami wciąż miała obraz zmasakrowanego biciem ciała dziewczyny - i o Cheryl, i o CDI, i stanowisku, którego nie dostała, o Jonie, o rodzicach, o Davidzie, hrabinie, i o Leishy, Adamie i ich dziecku.

Już na pewno nie zaśnie.

Ten problem miał tylko jedno rozwiązanie, a znajdowało się ono w małej, pomarańczowej fiolce w szafce z lekami w łazience. Nie cierpiała łykać pigułek nasennych, ale ostatnio coraz częściej musiała je brać.

Już miała sięgnąć po swój sekretny zapasik tabletek w apteczce, kiedy usłyszała za sobą cyk, cyk, cyk pazurków Jacka Bauera na drewnianej podłodze.

Widząc, że wstała, pomyślał, że już rano i pora na pierwszy spacer.

- Okej, Jack - szepnęła do niego. - Okej. Pójdziemy.

Wypluła szynę na zęby, zostawiając ją w umywalce, jak najciszej włożyła płaszcz i adidasy i zdjęła smycz z haczyka.

Postanowiła, że to będzie szybki spacer wokół kwartału, zajmie jej to mniej niż piętnaście minut, potem wróci do łóżka. Jeśli łyknie pół pigułki, może liczyć na pełne cztery godziny regenerującego snu przed pracą. Wszystko będzie dobrze.

W holu apartamentowca Pradip, nocny portier, drzemał z głową na podręczniku.

Przygotowywał się do zawodu masażysty, co zdaniem Meeny było w jego przypadku trafną decyzją - miał dożyć późnego wieku, a w dzisiejszych czasach ludzie mogli cieszyć się zawodową karierą nawet po osiemdziesiątce.

Przemknęła obok portiera, ostrożnie, żeby go nie obudzić - cały personel budynku ciężko pracował - i wyszła na zewnątrz, gdzie Jack Bauer zgodnie z rytuałem szybkoitko pobiegł ulżyć sobie pod palmą w

donicy przed wejściem do budynku. Czekala, wdychajac swieze, poranne powietrze. A moze jeszcze nocne? Niebo nad jej glowa bylo polacia granatu, odrobinę bledszego na krawedziach, w miejscach, gdzie znikalo za wysokimi budynkami.

Pociagnela za smycz i Jack Bauer poslusznie truchtal obok niej. Mieli ustalona trase: za rog, wzdluz kwartału, obok katedry Swietego Jerzego, teraz zamknietej z powodu prac renowacyjnych, i z powrotem do domu.

Ale z jakiego powodu tej nocy czy tez tego ranka Jack zachowywal sie dziwnie, inaczej niz zwykle; zignorowal kilka miejsc, ktore zawsze dlugo obwachiwal, wrywal do przodu, niespokojnie weszyl, zupełnie jakby... hm, jakby wyczuwal cos zlego.

Ale poniewaz czesto reagoval nerwowo - ostatecznie mial na imie Jack Bauer, ciagle spodziewal sie najgorszego, rzucal na drzwi, choc to tylko hrabina i jej maz wracali z przyjecia - Meena nie zwrócila na to szczegolnej uwagi, Pozwalala ciagnac sie psu, rozmyslajac o pracy. Jak ma przemycic księcia dla Cheryl do wampirzego watku Shoshony? Biorac pod uwage, jakim obibokiem byla Shoshona, istniala szansa, ze w ogole tego nie zauwazy.

Ale Sy moze o tym uslyszec. A juz na pewno zauwaza Fran i Stan. Zaraz dowie sie o tym siec. A potem CDI.

Meena wyleci z pracy.

A Elena? Czy nie powinna byla isc za nia na spotkanie z chlopakiem? Moze moglaby mu cos powiedziec, poslac spojrzeenie, zrobic cokolwiek, by dac mu do zrozumienia, ze ma na niego oko... Nagle zauwazyła męczyzna, pierwszą osobę, na jaką natknęła się od wyjścia z budynku. Szedł po tej samej stronie ulicy, ale z przeciwnego kierunku, zbliżając się do niej.

Bardzo wysoki męczyzna mial na sobie dlugi czarny płaszcz, który powiewal za nim jak peleryna.

Meena mocniej scisnela smycz Jacka Bauera, nie tylko dlatego ze pies zaczal warczeć. Była sama na ciemnej ulicy. Co, u licha, mógł robic na dworze o czwartej nad ranem, jeśli nie wyprowadzal psa i nie wygladal na pijanego?

Nie dziwila się Jackowi Bauerowi, ze był podejrziwy. Ona tez była podejrziwa.

Przy katedrze Swietego Jerzego, otoczonej rusztowaniami, Meena dostrzegła w swietle reflektorów zamontowanych na wiezach, ze męczyzna jest bardzo przystojny - chyba przed czterdziestką - i nie sprawia wrazenia kogos niepasujacego do tej bogatej dzielnicy. Jego

ubranie było nienagannie skrojone i w dobrym guście, a ciemne włosy bez śladu siwizny zaczesane do tyłu i odsłaniające skronie miał doskonale wymodelowane, baczki idealnej długości równiutko przycięte.

To ona, zdała sobie nagle sprawę, wygląda podejrzanie: bez makijażu, rozczochrana, bo włosy zawsze jej sterczały na wszystkie strony po wstaniu z łóżka, w mocno znoszonych adidasach i niebieskiej piżamie w białe chmurki wystającej spod płaszcza.

Kiedy mężczyzna ją mijał, uniosła oczy, żeby spojrzeć mu w twarz, i uśmiechem przeprosiła za swój wygląd i zachowanie Jacka Bauera, który aż charczał.

Przechodzień odpowiedział uśmiechem; jego oczy były ciemne i tajemnicze, jak okna zerkające na nich z okolicznych budynków.

Meena się uspokoiła.

Nie miała żadnych złych przeczuc dotyczących tego człowieka. Ani jednego przebłysku, jak i kiedy umrze. Zdumiewające, że nie czuła nic...
...absolutnie nic, kiedy na niego patrzyła.

- Ćśśś - powiedziała do Jacka Bauera, zawstydzona jego zachowaniem.
I w tej chwili zawaliło się niebo.

Rozdział 15

04.00 czasu wschodniego, środa, 14 kwietnia
Katedra Świętego Jerzego
ulica Siedemdziesiąta Ósma Wschodnia 180, Nowy Jork

Tak naprawdę wcale się nie zawaliło.

Coś spadło na Meenę z wieży katedry.

Krzyknęła i przygarbiła się, obejmując Jacka Bauera, by choć trochę osłonić jego i siebie przed czymś, co wyglądało jak atramentowa płachta, która sfrunęła z góry.

Tyle że wciąż widziała przeblyski mglistego, żółtego światła latarni między czarnymi plamkami, pędzącymi w jej stronę z nieprawdopodobną szybkością.

Wtedy zdała sobie sprawę, że nie runęły wieże katedry, a czarna płachta, która spadła jej na głowę, to nietoperze. Setki, może tysiące czarnych, skrzeczących nietoperzy leciały prosto na nią z otwartymi różowymi pyszczkami, z wysuniętymi pazurami ostrymi jak brzytwy, z wybaluszonymi żółtymi oczkami - śmigały z wież katedry, przysłaniały niebo i światła latarni rozpostartymi skrzydłami, celowały prosto w Meenę Harper i jej psa.

W pierwszej chwili zamarła. Sparaliżował ją nie tyle strach, ile szok. To w taki sposób umrę?

Zagryziona przez latające szczury?

Miała wizje śmierci innych ludzi, ale nigdy nie przyszła refleksja, że któregoś dnia i ją to spotka.

Teraz, w obliczu nieuniknionej śmierci, mogła tylko myśleć, że nigdy, ani przez sekundę, nie spodziewała się tego.

Z sercem w gardle, zbyt przerażona, żeby krzyczeć, porwała Jacka Bauera na ręce - nietoperze były prawie tak duże jak on - i skuliła się na klęczkach na schodach katedry, chroniąc psa, twarz i oczy. Wcisnęła nos w sierść Jacka i gorąco modliła się, chociaż do tej pory nie była szczególnie religijną osobą. Och, błagam, błagam, błagam, szeptała w panice, a wrzaski nietoperzy brzmiały w jej uszach coraz głośniejsze i głośniejsze z każdą sekundą.

I nagle, kiedy wydawało się, że pierwsze szpony muszą wbić się w skórę jej głowy, w kark, w nieosłonięte plecy, poczuła, że coś - a właściwie ktoś - osuwa się na nią, zasłania ją, niemal całkowicie odcinając światło i dźwięki.

Odważyła się zerknąć w górę i zobaczyły, że to mężczyzna spotkany na ulicy... ten wysoki, przystojny, z ładnymi włosami, w drogiem płaszczu. Nie miała absolutnie żadnej wizji dotyczącej przyszłości.

To niemożliwe. Rzucił się na nią, żeby ochronić ją przed nietoperzami.

Teraz on, zamiast niej, był rozdzierany na strzępy przez pazury, tłuczony rozpędzonymi ciałami nietoperzy. Czuła się ich uderzeń, wpadały na niego, jeden za drugim, drgania przenosiły się przez jego ciało na nią, gdy kulili się na stopniach katedry, bombardowani zawodzącymi, skrzydlatymi pociskami.

Nie miała pojęcia, dlaczego nie krzyczał z bólu, który musiał czuć, kiedy dosięgały go szpony. Nie próbował nawet osłaniać twarzy i karku przed nietoperzami. Meena nie widziała twarzy mężczyzny pod ciemnymi połami jego płaszcza, tworzącymi nad nią ochronny namiot.

Chyba dostrzegła błysk jego oczu, kiedy wyjrzała, by sprawdzić, co się dzieje, i mogłaby przysiąc, że rozjarzyły się czerwono, jak tylne światła samochodu.

Ale to oczywiście niemożliwe.

Również to, iż w chwili, gdy go dostrzegła na ulicy, nie wyczuła, że dziś zginie.

Zginie, chroniąc ją.

To musiało się stać. Żaden człowiek nie mógłby wyjść żywy z takiego ataku. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Była czwarta nad ranem, znajdowali się na Siedemdziesiątej Ósmej ulicy, przed kościołem, który mijala setki, może nawet tysiące razy, i zaatakowały ją nietoperze, a jakiś mężczyzna, zupełnie obcy, rzucił się na ratunek, z własnej woli oddając za nią życie.

Czuła, że nie znieśie tego ani chwili dłużej... Atak nigdy się nie skończy, nietoperze przegryzą się przez ciało mężczyzny aż do jej ciała. I nagle one zniknęły. Po prostu zniknęły w nocnym niebie, tak samo niespodziewanie i tajemniczo, jak się pojawiły.

Na ulicy znów zrobiło się cicho, nie licząc dalekich odgłosów ruchu drogowego na Park Avenue. Było słycać tylko skomlenie Jacka Bauera i jej nierówny oddech. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że płacze.

Nie słyszała oddechu mężczyzny. Już nie żył? Jak mógł nie żyć, skoro nie wyczuła, że grozi mu śmierć? Powinna była to wiedzieć. Jej zdolność przewidywania zgonów - choć nieproszona - nigdy przedtem jej nie zawiodła.

- Och! - Nie mogła złapać tchu. Chwytała hausty powietrza, ale tlen jakoś nie docierał do płuc. I wcale nie dlatego, że przygniatało ją martwe ciało. - O Boże.

Mężczyzna stoczył się z Meeny i głębokim głosem z brytyjskim akcentem, mającym jakieś dziwne, egzotyczne naleciałości zapytał:

- Nic pani nie jest?

Rozdział 16

4.10 czasu wschodniego, środa, 14 kwietnia
Katedra Świętego Jerzego
ulica Siedemdziesiąta Ósma Wschodnia 180 Nowy Jork

Wszystko co się działo, było absolutnie niemożliwe.

To, że on wyszedł cało i rozmawiał z nią uprzejmie, jakby tylko potknęła się o smycz Jacka Bauera i upadła na chodnik, a on pomógł jej wstać, pytając o samopoczucie.

To, że patrzyła w oczy uroczego nieznanego, który klęczał obok niej, i widziała, że wcale nie są czerwone, ale zupełnie zwyczajne, ciemnobrązowe.

- Nic mi się nie stało - wybąkała. Puściła Jacka Bauera, bo wrywał się jak oszalały.

Odskoczył na całą długość smyczy i stanął, warcząc, ze zjeżoną sierścią na grzbiecie.

Zachowywał się okropnie, aż Meena nie mogła uwierzyć.

- A pan dobrze się czuje? - Głos jej drżał.

- Doskonale, dziękuję. - Mężczyzna podniósł się z klęczek i wyciągnął ręce, by pomóc Meenie wstać. - Słyszałem oczywiście, że Nowy Jork jest niebezpieczny. Ale nie miałem pojęcia, że aż tak.

Czy on...? Jasne. Żartował sobie.

Uścisk jego dłoni był silny i pewny. Dziwnie uspokajający, a żart jakby przywrócił normalność całej sytuacji.

- Wcale nie - wyjąkała.

Poczuła, że musi usiąść, bo inaczej się przewróci. Lekki uścisk jego dłoni trzymał Meenę na nogach.

- Chyba powinien pan jechać do szpitala - usłyszała własne słowa.

A ja razem z nim, pomyślała. Żeby zbadali mi głowę.

- Ależ skąd - powiedział, obejmując jej drżące ramiona. Swoją postawą zdawał się mówić: panuję nad wszystkim. Nie trzeba się o nic martwić. Już wszystko będzie dobrze. W jakimś zakamarku mózgu Meeny rozkwitło pragnienie, żeby on już nigdy jej nie puszczał. - Nic mi nie jest. Ale chyba powinienem panią odprowadzić do domu. Jest pani roztrzęsiona. Mówiła pani, że gdzie mieszka?

- Nie mówiłam. - Miała mętlik w głowie. Ale kto by nie miał po czymś takim? Jak on potrafił zachować kamienny spokój? Przypomniała sobie, że nietoperze mogą przenosić wściekliwość.

- Czy któryś pana ugryzł? Powinien pan natychmiast jechać na ostry dyżur. Można zapobiec wściekliwości, jeśli zadziała się odpowiednio szybko.

- Żaden mnie nie ugryzł - odparł rozbawionym tonem. Wziął od niej smycz i teraz prowadził i ją, i Jacka Bauera, choć w przeciwieństwie do Meeny Jack Bauer doskonale trzymał się na nogach i szarpał się na smyczy z miną bardzo podobną do miny Kiefera Sutherlanda, kiedy w jednym z odcinków terroryści porwali prezydenta: jakby chciał zagryźć każdego, kto wejdzie mu w drogę. - Ale pojedę do szpitala i każę się zbadać, kiedy tylko odstawię panią bezpiecznie do domu.

- To bardzo ważne - przekonywała Meena. Wiedziała, że papiele od rzeczy, ale nic nie mogła na to poradzić. Co się dzieje? Kim on jest? Jakim cudem nie odniósł obrażeń? Dlaczego Jack Bauer zachowuje się, jakby zwariował? - To bardzo ważne, żeby pan się zbadał. Victoria Worthington Stone zaraziła się kiedyś wściekliwością od nietoperza, kiedy jej samolot rozbił się w Ameryce Południowej, dostała zapalenia mózgu i przespała się ze swoim bratem przyrodnim... chociaż wtedy nie wiedziała, że to jej brat przyrodni.

O czym ona mówi? O Victorii Worthington Stone? Boże!

- To jakaś pani znajoma? - spytał.

Aż skuliła się z zażenowania.

- Cheryl jest moją znajomą. Gra Victorię Worthington Stone w **Nienasyconych**. Piszę dla niej dialogi. Ale o nietoperzach i wściekliwości to prawda. Nawet w mydlanej operze staramy się o wiarygodność naszych wątków...

Przynajmniej kiedyś się staraliśmy, zanim Shoshona została szefem scenarzystów i ugięła się przed żądaniami sponsora. Meena ledwie się powstrzymała, żeby tego nie dodać.

- Rozumiem - powiedział jej towarzysz, gdy przechodzili koło sklepu spożywczego, do którego, jak twierdził Jon, nie dowieziono kurczaków. Teraz przed sklepem stała dostawcza ciężarówka z włączonym silnikiem. Znaczy że dziś będzie kurczak, pomyślała Meena półprzytomnie. Odbijało jej.

- Więc jest pani pisarką.

- Scenarzystką - sprostowała. - I takiej sceny nigdy nie napisałam - dodała, mając na myśli wydarzenie przed katedrą.

Nie mogła się z tego otrząsnąć. Wciąż słyszała łopot skrzydeł. Czowała ohydny zapach, jaki wydzielają nietoperze - wyobrażała sobie, że tak

właśnie cuchnie śmierć, choć na szczęście nigdy nie miała okazji poczuć jej zapachu. Niektóre osoby umarły, nie zdołała ich uratować...

Ale śmierć nigdy nie była tak blisko niej.

Ten pisk... ten niesamowity, ledwie słyszalny dźwięk, który wydawały nietoperze, gdy ich ciała uderzały o jego ciało.

Oczy tego mężczyzny. Czerwone. Na pewno jej się przywidziało. . Otarła się o śmierć, o piekło na ziemi, chociaż wcale nie miała ochoty zapoznawać się z nim bliżej.

Jakim cudem on wyszedł z tego cała? Nie mogła pojąć.

- Przepraszam. - Zatrzymała się przed nim i uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Nie przejmowała się łzami ani tym, jak wygląda, co mówi i jak to brzmi. Musiała wiedzieć, co tu jest grane. - Ale ja nie rozumiem. Jak to możliwe, że pan nie jest ranny? Widziałam je. Setki nietoperzy leciały prosto na nas. Czułam, jak uderzają w pańskie ciało. Powinny pana rozerwać na strzępy. Ale pan nie jest nawet draśnięty.

Był taki przystojny, taki... miły. Jak mogła myśleć o czymkolwiek innym niż wdzięczność dla tego wysokiego, cudownego nieznanego, który uratował jej życie?

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - ciągnęła, kręcąc głową. - Jestem dozołgonnie wdzięczna. To niesamowite, co pan zrobił... Nigdy nie zdołałam się odwdziżyć. Ale... jak pan to zrobił?

- To tylko kilka małych nietoperzy - odparł z uśmiechem.

Parę małych nietoperzy.

Nie. W tym kryło się coś więcej. O wiele więcej. Była pewna.

Jeśli mogła być pewna czegokolwiek o tej porze nocy, po tak traumatycznym przeżyciu.

- Jest pani w domu. - Wskazał głową automatyczne mosiężne drzwi, przed którymi stali. - Przykro mi, że coś takiego panią spotkało. Obawiam się, że to moja wina. Ale dziś jest już pani bezpieczna.

Meena oprzytomniała; rzeczywiście są na Park Avenue 910. Nad ich głowami wisiała znajoma zielona markiza. Przez oszklone drzwi widziała Pradipa, drzemącego za biurkiem z twarzą na książce.

- Ale... - Spojrzała na swojego wybawcę. Wciąż czuła się oszołomiona.

- Nie powiedziałam panu, gdzie mieszkam. Ani, jak mam na...

Jack Bauer skomlał i szarpał się na smyczy, chcąc jak najszybciej oddalić się od człowieka, który uratował im życie.

- Ależ powiedziała pani. Cieszę się, że mogłam panią poznać, Meeno. - Puścił jej ramiona. - Teraz byłoby lepiej, gdyby pani zapomniała o wszystkim i weszła do środka.

Jack Bauer pociągnął ją do drzwi, które otworzyły się z cichym szumem. Pradip obudził się i podniósł głowę. Stopy Meeny same niosły ją w stronę holu.

W progu się odwróciła.

- Nawet nie wiem, jak pan ma na imię. - Nieznajomy, stał z rękami w kieszeniach, czekał, jakby chciał upewnić się, że Meena bezpiecznie znajdzie się w domu.

- Jestem Lucien.

- Lucien - powtórzyła, żeby zapamiętać. Choć było mało prawdopodobne, by zapomniała jakkolwiek szczegół tej nocnej przygody. - Bardzo dziękuję, Lucienie.

- Dobranoc, Meeno.

Jack Bauer wciągnął ją do budynku i automatyczne drzwi zamknęły się za nią z cichym szelestem.

Gdy odwróciła się, żeby spojrzeć na Luciena ostatni raz, już go nie było. Nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek istniał.

W mieszkaniu zauważyła, że spodnie od piżamy są brudne na kolanach; znaczy, że klęczała na chodniku.

Miała dowód, to, co ją spotkało, nie było tylko koszmarnym snem.

Rozdział 17

4.45 czasu wschodniego, środa, 14 kwietnia
Katedra Świętego Jerzego
ulica Siedemdziesiąta Ośma Wschodnia 180 Nowy Jork

To nie powinno było się zdarzyć. Zaatakowali go, w dodatku na otwartej przestrzeni, każdy mógł zobaczyć, co się działo. I ktoś zobaczył. Oczywiście, tylko istota ludzka, dziewczyna, zbyt zszokowana tym, że otarła się o śmierć, by zdobyć się na jakąkolwiek wiarygodną relację...

...Gdyby jakimś cudem w ogóle to pamiętała. Na pewno nie pamięta.

Ale nie w tym rzecz.

Ktoś będzie musiał za to zapłacić.

Pytanie tylko kto?

Kiedy już odprowadził dziewczynę bezpiecznie do domu - a nie umknęło mu, gdzie mieszka; co za ironia losu. Ale chyba należało się tego spodziewać. Pod wieloma względami Manhattan był po prostu zbieraniną wiosek, zupełnie jak jego ojczyzna. Ludzie rzadko zapuszczali się poza swoje sąsiedztwo, szczególnie młode kobiety wyprowadzające małe, puchate pieski o czwartej nad ranem. Więc kiedy już ją odprowadził, zawrócił i stanął przed katedrą; patrzył na jej wieże.

Katedra Świętego Jerzego. Ironia tej nazwy też mu nie umknęła. Bo czyż patron nie pokonał smoka?

Świątynia stała pusta, zamknięto ją na czas renowacji. Czy był lepszy moment, by dzieci klanu Draculi - czyli „smoka” w jego ojczystym języku - mogły ją sprofanować?

I czy był lepszy moment na przekazanie jednemu pełnoprawnemu synowi księcia ciemności, że nie będą już uznawać jego panowania?

Lucien z westchnieniem wszedł na schody, na których przed chwilą odpierał atak swoich poddanych. Wiadomość o jego przyjeździe musiała rozejść się, ledwie postawił stopę na amerykańskiej ziemi, skoro zdołali skrzyknąć tak wielu, by wzięli udział w zamachu.

Poczuł lekkie rozczarowanie na myśl, że jest aż tak nie lubiany przez swoich braci.

Zresztą nigdy nie zależało mu na sympatii. Wyłącznie na posłuszeństwie.

Rozejrzawszy się po ulicy, by mieć pewność, że jest sam - żadnych ładnych spacerowniczek w piżamach - uniósł kawałek niebieskiego parkanu otaczającego katedrę i przedostał się na zamknięty teren.

Kościół bardzo potrzebował remontu, a jeszcze bardziej gruntownego sprzątnia. Niektóre witraże były stłuczone, nawet w miejscach, gdzie zabezpieczała je druciana siatka.

Ale, oczywiście, to nie mogło powstrzymać ani Luciena, ani żadnego przedstawiciela jego rodzaju.

Teraz powrócił tu spokój. Jak długo musieli czekać, wiedząc, że wcześniej czy później będzie tędy przechodził, idąc do Emila lub w drodze powrotnej? Na pewno zrzędzili. Szczególnie kobiety klanu Smoka; zawsze miary jadowite języki.

Odrobina wysiłku i pokonał zamknięte na łańcuch drzwi kościoła. Ruszył zaśmieconą główną nawą. Ławki były poprzesuwane, niektóre wywrócone, niektóre leżały na skos, jak pijani marynarze po nocnej zabawie.

Nie mylił się, podejrzewając, że weszli do kościoła. Na ozdobnym, marmurowym ołtarzu widniał prymitywnie nasprejowany kontur smoka.

Ołtarz kompletnie zniszczyli. Nawet jeśli parafianie uzbierali sporą sumę na renowację kościoła, będą musieli dozbierać na piaskowanie ołtarza. Lucien pokręcił głową. Tyle bezsensownego wandalizmu. Tyle pogardy dla piękna.

Usłyszał coś za sobą i odwrócił się na pięcie; jego błyskawiczny refleks był odrobinę spowolniony, bo atak przed kościołem zmusił go do ogromnego wydatku energii.

Na szczęście to tylko gołąb, który wyfrunął spomiędzy porzuconych ławek, zakłócił teraz jego samotność. Spiskowcy zniknęli, bez wątplenia sfrustrowani nieudaną próbą zamordowania go.

Odetchnął z ulgą, że nie będzie musiał znów bronić się po tak krótkim czasie. Zużył całą moc na leczenie obrażeń doznanych podczas ataku. Nie byłoby w porządku, gdyby ta dziewczyna zobaczyła rany na jego twarzy i ciele, więc zadbał o to, by leczyć je od razu, w miarę jak się pojawiały. Pewnie byli na świecie ludzie, którzy z łatwością znieśliby widok ludzkiej twarzy poszarpanej przez mięsożerne nietoperze...

Ale istnieli też tacy, którzy by nie znieśli.

Dziewczyna z psem na pewno zaliczała się do tych drugich. Chyba była dobra, a przynajmniej wyglądała na kogoś, kto stara się postępować właściwie. Jej myśli z jakiegoś powodu nie dawały się łatwo spenetrować.

Niektórzy ludzie mieli umysły suche i jałowe niczym pustynia, nawigowanie po nich nie sprawiało żadnej trudności. Psyche innych, tak

jak tej dziewczyny, bardziej przypominała dżunglę. Bez maczety ani rusz.

Dziwne, że bardzo ładna, pełna życia dziewczyna miała tak duży bagaż emocjonalny. Oby tylko mroczne sekrety kryjące się w jej głowie nie przeszkodziły wymazaniu pamięci, któremu ją poddał. Liczył, że nie zapamiętała wypadku i będzie normalnie zajmować się swoimi sprawami, jakby to się nigdy nie wydarzyło.

Też by tak chciał.

Lucien stał w ruinach katedry, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. Niedługo wzejdzie słońce. Musi zejść pod ziemię, a potem rozmówić się ze swoim przyrodnim bratem Dimitrim.

I oczywiście zasilić hojnym czekiem fundusz renowacji katedry Świętego Jerzego.

Rozdział 18

8.45 czasu wschodniego środa, 14 kwietnia
Hotel Tennessean Chattanooga, Tennessee

Alaric po powrocie z basenu - zawsze rano pływał - wpatrywał się w mejla na ekranie komputera. To wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

„Serdecznie zapraszamy...

Na co: Na elegancką kolację u nas, mieszkanie 11 A, Park Avenue 910

Kiedy: W czwartek 15 kwietnia o godzinie 19:30 Dlaczego: Do miasta przyjechał książę, kuzyn Emila!”

- Skąd to wytrzasnąłeś? - spytał Martina przez komórkę.

- Dział informatyczny namierzył podczas rutynowego skanowania poczty i uznano, że może być istotne.

Watykan już dawno postawił na nowoczesne technologie i teraz zatrudniał cały oddział pełnoetatowych programistów i analityków na potrzeby Gwardii Palatyńskiej. Dzięki nim bitwa ze złem toczyła się nie tylko na ulicach, ale także w cyberprzestrzeni.

- Dlaczego uważacie - Alaric mówił po włosku - że to ma coś wspólnego z naszym księciem?

Martin nie krył irytacji. Nic dziwnego. W Rzymie była pora drzemki. Przynajmniej dla córki Martina, Simone. Ale pewnie dla Martina też, dopóki leczył rany.

- Sprawdzili listy pasażerów wszystkich samolotów, komercyjnych i prywatnych, przylatujących do Nowego Jorku. Wczoraj w nocy z Bukaresztu przyleciał niejaki Lucien Antonescu, profesor rumuńskiej historii starożytnej. Pierwszą klasą.

- I co z tego? - Alaric już się nudził. Polowanie poprzedniego dnia nie było specjalnie ekscytujące, może z wyjątkiem chwili, kiedy wpadł z trzaskiem przez okno, co oczywiście sprawiło mu frajdę. A bufet śniadaniowy, do którego zajrzał, wracając z basenu, nie poprawił mu nastroju.

- Sprawdzili tego profesora Antonescu - powiedział Martin. - Chodzą plotki, że wykłada na uniwersytecie, wyłącznie na kursach wieczorowych, przynajmniej od trzydziestu lat. Ale dorwali zdjęcie z okładki jego ostatniej książki... Facet wygląda najwyżej na trzydzieści pięć.

Alaric prychnął.

- Och - rzucił zjadliwie. - Zdjęcie z okładki. No, to przesądza sprawę. Żaden pisarz nie użyłby nieaktualnego zdjęcia.

- Ma letni dom w Sighisoarze - ciągnął Martin. - Zamek, jak mówią ludzie.

- A kto dzisiaj nie ma zamku w Sighisoarze? - Alaric wziął pilota z łóżka i zaczął przeglądać kanały. Hotel Tennessean, który reklamował się jako luksusowy, miał tylko jeden bonusowy kanał w kablówce, HBO, w którym leciał tylko, jak można się było spodziewać, serial o wampirach. Przez chwilę patrzył na hollywoodzkie wampiry, uśmiechając się pod nosem, jakie atrakcyjne i powściągliwe były w sypialni. Gdyby ludzie wiedzieli, jak jest naprawdę.

- Wydaje mi się, że teraz to nie jest fałszywy alarm -kontynuował Martin. - Kobieta, która wysłała mejla, też nazywa się Antonescu. Dama z manhattanskiego towarzystwa. Jej mąż jest deweloperem i robi interesy na dużą skalę. Nigdy wcześniej nie mieliśmy powodu ich podejrzewać. Tyle że komputerowi spece trafili na zbieżne nazwiska i dzisiejszy przyłot profesora - Tak czy inaczej, góra mówi, że nie zaszkodzi sprawdzić to przyjęcie. Wszyscy twierdzą, że gość pochodzi z królewskiego rodu. To musi być ten książę z mejla. A ta kobieta twierdzi, że jej mąż jest potomkiem rumuńskiej rodziny królewskiej. Oni też mają nieruchomości w Sighisoarze. - Rumuńska rodzina królewska. - Palce Alarica znieruchomiały na pilocie, gdy wyłączał hollywoodzkie wampiry.

- Właśnie. Dlatego Johanna przysłała mi mejla. Pomyślała, że zechcesz go zobaczyć.

- Dlaczego nie wysłała go do mnie?

- A jak myślisz, kołku? - Martin był nie tylko zirytowany, ale i ubawiony. - To nie twoje zadanie. Masz szukać seryjnego zabójcy. A poza tym...

Alaric pochylił się do przodu.

- Poza tym co? - spytał.

Nie spał dobrze. Poduszki w hotelowym łóżku nie były zbyt wygodne. Ułożył je jedna na drugiej, ale wciąż nie dorównywały luksusowym poduchom z gęsiego puchu, które miał w domu. Nawet nie chciał myśleć, co by znalazł, gdyby poświecił ultrafioletowym światłem po kołdrze. Tak czy inaczej zwinął ją w kłęb i upchnął do szafy, razem z obrazami ze ścian.

- Holtzman rozkazał, żebyś trzymał się seryjnego mordercy. Z tego, co mówi Johanna, wszyscy uważają, że możesz być zbyt osobiście

zaangażowany, by pozwolić ci zapolować na księcia - dokończył szybko Martin. - Przykro mi, stary.

Alaric omal nie udławił się łykiem gazowanej wody z butelki, którą wziął z minibaru.

- Wiem - powiedział uspokajająco jego były partner, kiedy Alaric wypluł kilka wyrafinowanych przekleństw. - Słuchaj, stary. Wiem, jak się czujesz. Myślisz, że mnie to nie dobieja, że jestem wyłączony z akcji, kiedy tyle się dzieje?

- To są jakieś biurokratyczne bzdety. - Alaric cisnął butelką po wodzie o ścianę, w miejscu gdzie przedtem wisiał nieznośnie brzydki obraz. Jego złość jeszcze podsycało to, że butelka się nie rozbiła. Plastikowa.

- Rozumiem - mówił mu Martin do ucha. - Ale spójrz na to z punktu widzenia Holtzmana. Trudno cię uważać za bezstronnego. Wiadomo że nie trzymasz się protokołu, jeśli chodzi o ściganie demonów, prawda? Panowanie nad odruchami też nie należy do twoich mocnych stron. Czym właśnie rzuciłeś?

- Niczym. - Alaric wstał z łóżka i sięgnął po miecz. - Nie podoba mi się insynuacja, że w potyczce jeden na jednego z księciem ciemności mógłbym zachować się nieprofesjonalnie. - Włączył telewizor i wycelował miecz w ładnego wampira na ekranie. - Potrafię utrzymać emocje na wodzy, oddzielając głowę tego drania od jego tułowia. Przecież to nie ksiączę we własnej osobie cię zaatakował.

- Nie wiemy, kim oni byli - odparł spokojnie Martin. - Nasi szefowie chcą go pojmać żywcem, jeśli to możliwe.

Alaric prychnął.

- Po co? Zabić księcia, a połowa wampirów na świecie obróci się w pył. To on musi być ich stwórcą.

- Jasne. Niby dlaczego wysłałem ci tego mejla?

Przekłęci biurokraci. Alaric kochał swoją pracę, ale nigdy nie mógł zrozumieć jednej rzeczy: dlaczego ci na górze nie widzą, że tylko utrudniają wszystko cholernymi zarządzeniami. Przykłady można by mnożyć.

Martin wciąż jeszcze musiał ukrywać przed przełożonymi, że jest po ślubie z mężczyzną.

Oczywiście nie przed Holtzmanem... On, tak jak Alaric, miał w nosie, do kogo jego koledzy i podwładni wracają wieczorem do domu, byle tylko dobrze wykonywali pracę, do której zostali wyszkoleni, tyle że jeśli chodzi o Holtzmana, wolałby, żeby wykonywali ją poniżej kosztów.

Ale czasy - i nastawienie ludzi - zmieniały się na całym świecie. Pozostawała nadzieja, że niedługo zmienią się również w Watykanie.

Pojmać księcia ciemności żywcem? Już to widzi.

- Niby jak mielibyśmy go utrzymać? Przecież wiesz, że posiada moce, których nie mają inni. - Trumna wykładana srebrem - zasugerował Martin. Alaric się roześmiał. Watykan miał sporo srebra, nie wspominając o złocie.

Wątpił, żeby chcieli pożyczyć choć trochę swojej jednostce, by mogła złapać najbardziej poszukiwanego demona świata.

- Słuchaj, pamiętaj tylko, że nie dostałeś tego mejla ode mnie. Rozumiesz?

- Jasne. - Alaric schował miecz do pochwy. - Dzięki. A tak w ogóle, jak się czujesz?

- Bywało lepiej. Ale i gorzej. Muszę kończyć. Simone chce się zdrzemnąć. Co będziesz dziś robić?

Alaric się roześmiał.

- Oj, to co zwykle. Wymelduję się. Polecę do Nowego Jorku. Uratuję świat.

Rozdział 19

14.00 czasu wschodniego, środa, 14 kwietnia
Biurowiec ABN Madison Avenue 520 Nowy York

- Już wiem. - Dolna warga Cheryl zaczęła drżeć. - Shoshona powiedziała mi wczoraj wieczorem.

- Proszę nie płakać. - Meena sięgnęła do pudełka chusteczek i podała ich garść gwieździe serialu. - Wie pani, jak spływa makijaż, kiedy pani płacze. A teraz nadajemy w HD.

- Nie będzie problemu - odparła Cheryl, ale i tak wzięła chusteczki i przytknęła do oczu. - Mogą go nasprejować. Ale aż trudno uwierzyć, że po tylu latach tak łatwo kapitulują. Weiskają nam wampira. Dla Taylor.

- Polecenie sieci - wyjaśniła Meena. Nie wiedziała, dlaczego broni Shoshony. - Tak chce CDI. Na pewno zamierzają wypuścić na rynek jakiś nowy produkt...

- To tylko pogarsza sprawę. - Cheryl pociągnęła nosem.

- Niech pani nikomu nie mówi - poprosiła Meena, starając się, by jej głos był pełen otuchy - ale chyba coś dla pani wymyśliłam. Coś fantastycznego.

Nie miała ochoty mówić o tym głośno. Jeszcze nie teraz. Choć nie bardzo wiedziała dlaczego.

No dobrze, wiedziała: sieci to się na pewno nie spodoba.

I może reakcja Leishy, kiedy Meena opowiedziała jej wcześniej przez telefon, co jej się przydarzyło przed katedrą, trochę zachwiała jej pewnością siebie.

- Nietoperze? - powtórzyła Leisha.

- Tak. Nietoperze.

- Przed katedrą Świętego Jerzego - dodała Leisha, jakby chciała się upewnić. - Przypadkowy facet tak po prostu rzucił się na ciebie, żeby cię przed nimi obronić?

- I Jacka Bauera.

Leisha zignorowała tę uwagę.

- Nie miał nawet zadrapania, chociaż nietoperze atakowały jego twarz?

- Nie miał. A potem odprowadził mnie do domu. Nie powiedziałam mu, gdzie mieszkam. Zupełnie jakby to wiedział sam z siebie.

- Okej, posłuchaj - powiedziała Leisha. W tle, jak zwykle, głośno szumiały suszarki do włosów. - Jest zupełnie racjonalne wytłumaczenie

tej historii. Wzięłaś pigułkę nasenną, chociaż zdawało ci się, że nie wzięłaś. A potem zabrałaś psa na spacer. I miałaś koszmar na jawie.

- Nie wzięłam wcześniej pigułki nasennej, Leisha; dopiero po powrocie do domu. Musiałam, bo strasznie się trzęsłam po tym wszystkim, co się stało. Niby jak miałabym zasnąć? Byłam zszokowana.

- W takim razie nie ma innego wytłumaczenia. Nic z tego, co opisujesz, nie mogło się zdarzyć. Wielkie stada nietoperzy czy roje, czy jak się to tam nazywa, w ich przypadku nie pojawiają się znikąd i nie atakują ludzi na Manhattanie. Skąd ten człowiek miałby wiedzieć, gdzie mieszkasz i jak masz na imię, skoro mu nie powiedziałaś? Nie ma ludzi, którzy czytają w myślach, Meeno. Chyba że Sookie Stackhouse, a ona jest wymyślona. Nawet ty potrafisz tylko przewidzieć, kiedy ktoś umrze, co nie jest ani tak pomocne, ani tak fajne. Wzięłaś pigułkę przed wyjściem, tylko po prostu nie pamiętasz, i wszystko ci się przyśniło. Pracujesz nad wątkiem o wampirach, prawda? To naturalne, że śnią ci się nietoperze. Wampiry, nietoperze. Dziwne, że ten gość z twojego snu nie miał na sobie czarnej, błyszczącej peleryny albo czegoś w tym stylu.

- Miał na sobie płaszcz Burberry. - Meena zmarszczyła brwi. - Ale z pewnością nie błyszczący. Był bardzo uprzejmy. I silny. Przez całą drogę do domu obejmował mnie ramieniem. Tylko dlatego się nie przewróciłam. Totalnie panował nad sytuacją.

Myśli o sile i władczej postawie Luciena przywoływały z powrotem to uczucie ciepła i bezpieczeństwa. Nie grała tu tylko jedna rzecz.

- Jack Bauer nie mógł go ścierpieć. Dlaczego miałoby mi się śnić coś takiego?

- Boże, ja się tylko cieszę, że nic ci nie jest. Cokolwiek działo się wczoraj w nocy, nie powinnaś wychodzić o tej porze, nawet z Jackiem Bauerm. A gdyby ten facet nie był taki uprzejmy i dżentelmeński? Powiedziałaś o tym Jonowi?

Meena wypila łyk napoju gazowanego.

- Nie. To znaczy... tak jakby. Powiedziałaś mu, że widziałam kilka nietoperzy przed kościołem. I tyle.

- Nie powiedziałaś mu, bo ten gość był ciachem.

- Nie! Leisha, daj spokój. Zamieniłam z nim ledwie parę słów. - Nie wspomniała, że sama myśl o jego sile i opanowaniu wywołuje uczucie ciepła.

- Co? Speszylaś się! Z powodu jakiegoś faceta poznanego we śnie! Nie do wiary. Spodobał ci się.

- Jeśli to sen - Meena nie kryła urazy - to niektóre jego fragmenty były bardzo realistyczne. I dlaczego miałby mi się nie podobać? Uratował mi życie. No i Jackowi Bauerowi - dodała pospiesznie.

- Wiedziałam, że pisanie zwariowanych wątków do mydlanej opery kiedyś padnie ci na mózg, i tak się stało. Meena, zakochałaś się w supermanie, który uratował cię przed atakiem nietoperzy, ale jego stworzyła twoja podświadomość. Boże, to takie oczywiste. Uratował cię przed koniecznością pisania o wampirach, a tych nie cierpisz! Zwłaszcza że kazała ci o nich pisać Shoshona jako twój nowy szef.

Meena wstała, żeby wyrzucić puszkę. Zatrzymała się, kiedy już miała upuścić ją do kosza do recyklingu.

- Hm... Nie tłumaczyłam sobie jego w taki sposób. Ale, zgadzam się, nietoperze rzeczywiście mogły uosabiać moje obrzydzenie do wampirów.

- No właśnie. Czy to nie bardziej sensowne wyjaśnienie niż upieranie się, że wcale nie śniłaś?

- Może i tak. A plamy na spodniach od pizamy? Skąd się wzięły? Były na kolanach. Musiałam klęczeć na ziemi...

- Wyszłaś na spacer z Jackiem Bauerem i uklękałaś, żeby zebrać jego kupę. Tylko po prostu nie pamiętasz.

Meena skrzywiła się.

- Potrafisz zepsuć każdą romantyczną historię.

- Od tego są przyjaciółki, skarbie. Brudna robota, ale ktoś musi ją wykonać.

Siedząc w garderobie Cheryl, Meena zastanawiała się, czy to wszystko było snem? Wytworem jej podświadomości, przejawem frustracji z powodu przymusu pisania o czymś, czego nie cierpiała? Tak uważała Leisha.

- A jeśli masz rację... Cóż, czemu by tego nie wykorzystać do własnych celów?

- Proszę posłuchać. - Rozejrzała się po luksusowej garderobie weteranki ekranu, jakby bała się, że ktoś podsłuchuje. Ale patrzyła na nie tylko ogromna kolekcja lalek Cheryl: Madame Alexander z serii Victoria Worthington Stone. - Proszę nie mówić Shoshonie, bo jeszcze nic nie napisałam, ale myślałam o tym, żeby Victoria poznała... księcia.

- Księcia? - Cheryl przestała płakać ze zdumienia. - Jakiego księcia?

- Ehm... rumuńskiego.

Prawdę mówiąc, kiedy obudziła się dziś rano, wciąż oszołomiona po ciężkich nocnych przeżyciach - a może to tylko było snem? - nie

schodził jej z myśli Lucien z tym swoim lekkim europejskim akcentem. Całkiem możliwe, że był tylko wytworem jej nadaktywnej wyobraźni, manifestacją twórczego ja - dziwne, że twórcze ja uosabiał seksowny facet w czarnym płaszczu, ale okej - które uratowało ją przed nietoperzami reprezentującymi wampirze wątki wymyślone przez Shoshonę (miała dziś na sobie kabaretki, i to pewnie całkiem zwykłe, bez modelującej góry).

Meena czuła się bezpieczna i spokojna w jego ramionach, jak nigdy przedtem. Ostatnio wciąż miała wrażenie, że ściga ją stado wilków czy nietoperzy. Jeśli nie rachunki pod koniec miesiąca, to Shoshona, która mimo że obibok, dostaje awans.

Podejrzała, że w Cheryl też narasta poczucie zagrożenia; aktorka westchnęła ciężko, spojrzała na swoje odbicie w lustrze i poprawiła dekolt.

- No nie wiem, dziecko. - Miała sceptyczną minę. - Nie obraż się, ale ty sama przeciwko sieci? To się nie uda. Przedwczoraj pozwolili Bane'owi z **Żądy** zabić Beverly Rivington.

Dwadzieścia pięć lat w serialu i pozwolili, żeby jakiś chudy młokos z idiotyczną fryzurą wysał z niej całą krew. Obawiam się, że to zapowiedź dalszego ciągu mojej kariery.

- Sytuacja jest trudna, ale nie beznadziejna - oceniła Meena. Miała nadzieję, że Cheryl nie słyszała o Beverly. Oczywiście nie powinna się łudzić; w tym biznesie wszyscy mieli iPhone'y i przez całą dobę byli podłączeni do plotkarskich portali w Internecie. - Nie pozwolę, żeby panią to spotkało.

Cheryl uniosła brew.

- Ale co może pani zrobić?

- Wprowadzę do wątku rumuńskiego księcia, który jest pogromcą wampirów i którego Victoria wynajmie, żeby zabił chłopaka jej córki - wyjaśniła dramatycznym tonem.

Wiedziała, że stąpa po cienkim lodzie. Wprowadzić nową postać tylko po to, żeby zabiła bohatera Shoshony? Wampira mającego uratować notowania **Nienasyconych** przed spadkiem na łeb na szyję? Wampira, którego chciała sieć?

Zwariowała?

Nigdy w życiu nie czuła się zdrowsza na umyśle. Cheryl nie była zachwycona pomysłem.

- To twój pogrzeb, kotku.

- Moim zdaniem to pewniak, który wygra dla pani Emmy.

Aktorka zrobiła skromną minę.

- Och, kochanie. Oby usłyszeli to członkowie jury. No cóż. - Poprawiła polakierowane na sztywno włosy. - Chyba muszę już iść całować się z tym księdzem.

Meena wyszła za nią na korytarz, ale zamiast pójść do studia, wróciła na górę, do gabinetu. Musiała zacząć pisać o rumuńskim księciu, który jak najszybciej zabije wampira Shoshony.

Kto by pomyślał, że traumatyczne spotkanie ze stadem nietoperzy może być tak inspirujące?

Ale dobrze wiedziała, że to nie nietoperze podsyciły jej wenę, tylko ciepłe brązowe oczy Luciena...

Może powinna dać ogłoszenie w Internecie, że szuka przystojnego nieznanego, który... To chyba jedyna szansa, że znów się zobaczy?

Właśnie próbowała wymyślić, jak opisałaby w ogłoszeniu te ciepłe brązowe oczy, kiedy omal nie wpadła na Taylor, która wychodziła z windy ucharakteryzowana do sceny w stajni z Romero, instruktorem jazdy konnej.

- Boże, Meena! - Taylor chwyciła ją w objęcia. - Dziękuję! Strasznie dziękuję!

Trochę przyduszona, odwzajemniła uścisk.

- No coś ty. Nie ma sprawy. - Za co ona mi dziękuje?

- Nawet nie masz pojęcia - Taylor mówiła jednym tchem ze łzami w wielkich, niebieskich oczach - ile dla mnie znaczy ten fantastyczny wątek. Zazdrościłam Mallory Piers z **Żądzy**, że ma taką prasę za sceny z Gregorym Bane'em. A teraz będę miała własnego wampira!

- No tak. - Przeciągnęła ręką po swoich krótkich włosach. Czuli się trochę winna, że właśnie szła na górę z zamiarem zabicia nowego chłopaka Taylor. - Cóż, to pomysł sieci, a właściwie CDI...

- Wiem. Shoshona do mnie wpadła i mi powiedziała. Założę się, pomyślała Meena, że ona gania po całym biurówcu i papie ile wlezie.

- Super, że pracujecie razem, żeby wprowadzić do **Nienasyconych** trochę świeżej krwi - gadała Taylor, ściskając jej dłonie.

- Tak, jasne - mruknęła Meena. To chyba nie był dobry moment, by wspomnieć, że planuje wprowadzenie amanta Cheryl, który przesyje nowego kochasia Taylor kołkiem.

- Dzięki jeszcze raz, i dzięki za te pyszne kanapki, które mi podrzucasz do garderoby. Szkoda, że nie mieszczą się w mojej nowej diecie. Musimy kiedyś wyskoczyć na sashimi!

Kiedy biegła, jej szczupłe uda wyglądały tak, jakby należały do gazeli. Meena z ponurą miną wsiadła do windy, by przekonać się, że w kabinie jest już Shoshona.

Cudownie.

- Cześć, Meena - powiedziała Shoshona z kocim uśmiechem.

- Cześć. - Nie mogła nie zauważyć, że Shoshona ma torbę ze smokiem. Z bliska dostrzegła, że torebka ma na dodatek doskonały odpinany pasek do przełożenia przez ramię, więc nieważne, ile rzeczy by się do niej napakowało, nie wrzynałaby się w ramię i nie przecięła nadgarstka.

- Jedziesz na górę?

- Oczywiście. Nie możesz już doczekać się piątku, żeby poznać naszego Maximilliana Cabrere?

- Kto jest Maximilian Cabrera? - Meena osłupiała.

- Wampirzy kochanek Taylor. - Przewróciła oczami, bo przecież tylko głupi tego nie wie. Ale Meena nie widziała chociażby ogólnego szkicu wampirzego wątku. Shoshona jak zwykle nie dała go nawet Paulowi do uzupełnienia. - W piątek przychodzi Stefan na przesłuchanie do tej roli. Przecież byłaś przy tym, kiedy mówiłam to Sy. Nie pamiętasz?

Meena, zirytowana, nie odrywała oczu od zapalających się cyferek nad drzwiami.

- Tak, coś sobie przypominam.

- Stefan jest prawie pewien, że przyjdzie z nim sam Gregory.

- Och, świetnie - burknęła Meena. Może jednak powinna przyprowadzić w piątek Jona.

Przecież nie mógł wypaść na przesłuchaniu gorzej niż jakiś kolega Gregory'ego Bane'a.

A już na pewno był bardziej przystojny. Oczywiście nigdy by mu tego nie powiedziała.

- Bardzo się cieszę, że postanowiłaś grać w mojej drużynie, Meeno. - Shoshona się uśmiechnęła. - Ty pójdziesz na rękę mnie, a może któregoś dnia ja pójde na rękę tobie.

Już to widzę, pomyślała cynicznie Meena.

Rozdział 20

1.00 czwartek, 15 kwietnia
Klub Ooncubine Lounye
ulica jedenasta Wschodnia 125 Nowy Jork

W klubie panowały ciemności, a techno łomotało nawet głośniejsze niż w większości bukareszteńskich dyskotek.

Nie żeby Lucien był w takich miejscach, jeśli tylko mógł tego uniknąć. Były zbyt zadymione i zwykle przyciągały nieciekawe towarzystwo szukające taniego alkoholu i szybkiego seksu. Takie kluby przeważnie okupowała młodzież, a on czuł się niezręcznie, jeśli widywano go w tych samych lokalach, w których bawili się jego studenci. Uważał, że to niewłaściwe.

Szczególnie kiedy dziewczyny obejmowały nogą jego biodra i zaczynały ocierać się o niego kroczem; ostatnio był to popularny styl tańca, zwany grinding.

Widział przeróżne mody taneczne, które przychodziły i odchodziły, i wszystkie bardziej go bawiły, niż niepokoiły. Miał jednak nadzieję, że grinding szybko zakończy swój żywot.

Uważał, że nie ma w nim nic atrakcyjnego czy podniecającego.

Ale kiedy tak stał, rozglądając się po Concube, przekonał się, że grinding wciąż jest popularny w Stanach, i w Bukareszcie. Niewiele widział, bo pomieszczenie wypełniał sztuczny dym, ale na to wyglądało, sądząc po skąpo odzianych ciałach, wijących się jedno przy drugim.

Kiedy ciało, przystrojone tylko w czarne skórzane spodnie i metaliczny top od bikini, oderwało się od innych i zaczęło ocierać o niego, Lucien zapytał:

- Gdzie jest Dimitri?

Dziewczyna przeciągnęła dłonią z paznokciami pomalowanymi na czarno po jego płaskim brzuchu i wyciągnęła mu koszulę zza paska spodni. Popatrzyła na niego spod blond grzywki sklezionej w długie kolce, zaczęła rytmicznie trzeć o niego biodrami i powiedziała zalotnie:

- Nie potrzebujemy go. Chyba że lubisz trójkąty. Chwyć jej nadgarstek żelaznym uściskiem, zanim zdążyła wsunąć dłoń za pasek spodni.

- Gdzie - jego oczy błysnęły czerwono - jest Dimitri?

Przestała się więc i zdjeta strachem wykrzyknęła piskliwym głosem:

- Tam jest! Jezu! Ja tylko chciałam być miła.

Puścił jej rękę i podszedł do kącika dla VIP-ów, który wskazała drżącym palcem. Nie chciał jej wystraszyć.

Była naćpana, liczyła, że on ma narkotyki i da jej działkę. Umysł miała pusty jak Sahara.

Przypomniawszy sobie dziewczynę z psem spotkaną zeszłej nocy, której umysł - przeciwieństwo tego tu - okazał się nieprzenikniony jak dżungla.

Nie wiedział, dlaczego nie może przestać o niej myśleć. Być może dlatego, że tamta dziewczyna i ta z dyskoteki były w podobnym wieku, i obie atrakcyjne.

Ale na tym podobieństwo się kończyło. Już dawno przestał się litować nad ćpunami.

Ostatnimi czasy widywał ich zbyt często.

Kącik dla VIP-ów, gdzie siedział Dimitri, oddzielały od reszty sali czarne aksamitne sznury.

Kilka eleganckich kanap z wysokimi oparciami tworzyło nisze, które przytłumiały głośną muzykę i odgradzały od ciał płaszących na parkiecie. W jednej niszy, na siedzeniach z miękkiej czarnej skóry rozwalalo się sześciu mężczyzn w średnim wieku - za starych i za brzuchatych dla młodzieńców, szczupłych kobiet uwieszonych na nich z każdej strony; miały w oczach pustkę, jak dziewczyna, która dobiegała się do Luciena.

W sąsiedniej niszy siedziało kilku dużo młodszych mężczyzn, jeden z nich uśmiechnął się, kiedy podchodził Lucien. Dwóch barczystych goryli próbowało zablokować mu drogę, gdy stanął przy sznurach.

- Przepraszam pana - odezwał się ochroniarz ważący co najmniej sto trzydzieści kilo i wystrojony w złoty łańcuch na szyi; nosił plaketkę z wygrawerowanym imieniem Reginald. - To są miejsca tylko dla VIP-ów.

- Widzę, Reginaldzie - odparł Lucien. - Przyszedłem do pana Dimitriego. A ty mnie przepuścisz.

- Oczywiście, że przepuszczę. - Usunął się na bok. - Bardzo pana przepraszam.

Partner Reginalda, niemal tak samo ciężki i umięśniony, zaprotestował.

- Reggie! Co ty wyprawiasz?

Reginald już odpinał aksamitny sznur, by wpuścić Luciena.

- Słyszałeś. Pan Dimitri ma gościa.

Dimitri wstał i wyszedł Lucienowi na spotkanie. Był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną w garniturze, który leżał na nim doskonale,

tak samo jak garnitury Luciena; na szyi, pod rozpiętym kołnierzykiem białej koszuli, wisiał na rzemyku niewielki żelazny symbol smoka.

- Bracie. - Dimitri wyciągnął rękę i serdecznie ucisnął dłoń Luciena. - A to niespodzianka. Kopę lat. Kiedy przyjechałeś?

- Witaj, Dimitri - odparł chłodno Lucien, ostentacyjnie ignorując jego pytanie. - Widzę, że dobrze ci się powodzi.

- Ach, to? - Dimitri zatoczył łuk lewą ręką, w której trzymał drogie kubańskie cygaro. Lucien pamiętał, że brat zawsze miał słabość do tytoniu, dorównującą jego słabości do dobrych win.

Ogarnął gestem cały klub.

- To jest nic. Mam jeszcze cztery kluby w kraju, a w przyszłym miesiącu otwieram kolejny w Rio de Janeiro.

- W Rio? - Lucien uniósł brwi. - Zawsze lubiłeś niebezpieczne zabawy.

- Co w tym niebezpiecznego? To nocny klub. - Dimitri zaakcentował słowo „nocny”. - A Rio bardzo by ci się spodobało. Ta wilgoć! Doskonale robi na cerę. Chodź, musisz poznać moich nowych przyjaciół z TransCarta. Na pewno słyszałeś? Inwestycje na rynku kapitałowym. Właśnie są w trakcie ubijania potężnego interesu i musieli się trochę odstresować. Oczywiście przyszli tu. Ci, którzy pracują w finansach, mają teraz ratalną reputację. Czarny PR. Ty i ja coś o nim wiemy, bracie, co?

Dimitri roześmiał się ze swojego żartu i ująwszy Luciena za ramię, kierował go do niszy, gdzie siedzieli panowie w średnim wieku, otoczeni łaszącymi się do nich dziewczynami.

- Może później, Dimitri. Najpierw wołałbym porozmawiać z tobą sam na sam. Mamy do omówienia kilka biznesowych spraw.

- Bzdura. Przyjemności przed interesami! Wiem, o czym mówisz i dlaczego tu jesteś. - Objął Luciena i pociągnął go w stronę kanapy, którą przed chwilą opuścił. - Bardzo niefortunna historia z tymi zabitymi dziewczętami. Popytałem tu i ówdzie, bo uwierz mi, że taki maniak grasujący w mieście nie wpływa dobrze na interesy klubu, i mogę cię zapewnić, że nikt nic nie wie na ten temat. Gdybym miał jakieś informacje, nie sądził, że już bym się tym zajął? Znasz mnie przecież. Zrobię wszystko, żeby poprawić wynik finansowy!

Lucien wskazał ruchem głowy dziewczynę w metalicznym biustonoszu, tę, która go zaczepiła. Teraz tańczyła sama na parkiecie, we własnym małym świetku narkotycznego odurzenia,

- A ona? Chyba słabo się starasz, żeby w twoim lokalu nie było narkotyków. To też poprawia ci wynik finansowy?

Dimitri podążył wzrokiem za spojrzeniem przyrodniego brata.

- Och, narkotyki. - Przewrócił oczami. - Co poradzisz? Są wszędzie. Rząd już dawno powinien był je zalegalizować, opodatkować i wykorzystać wpływy na łatanie deficytu, także zapewnić uzależnionym pomoc, jakiej potrzebują. Ale dlaczego rozmawiamy o tak przygnębiających sprawach? Chodź, od wieków nie widziałeś Stefana. I musisz poznać moje najnowsze przedsięwzięcie.

- Najnowsze przedsięwzięcie? - Lucien uniósł brew. - Nie jest nim ten klub?

- Ależ skąd! - Dimitri poprowadził go do stolika, przy którym siedział dość osobliwie wyglądający młody człowiek i jego, też osobliwy, towarzysz. Obydwaj byli ubrani w niezwykle obcisłe spodnie, koszule rozpięte niemal do brzucha i skórzane motocyklowe kurtki. Obok mężczyzn siedziały cienkie jak ołówki młode kobiety, które, jeśli chodzi o ubranie, nie miały na sobie zbyt wiele, miały za to wyjątkowo płaskie klatki piersiowe i bardzo długie, bardzo proste włosy.

- Całkiem nowy biznes - oznajmił entuzjastycznie Dimitri. - Poznaj Gregora Bane'a. Gregory, pozwól, że ci przedstawię swojego brata Luciena Antonescu; przyjechał do nas z wizytą aż z Rumunii.

- Witam pana. - Chudszy mężczyzna wstał, by się przywitać. Lucien był pod wrażeniem, przynajmniej dobre maniery nie poszły w zapomnienie w Ameryce.

Kiedy zacisnął dłoń na palcach młodzieńca, zrozumiał dlaczego...

...jeszcze zanim zauważył tatuaż smukłego smoka, zdobiący spodnią część jego bladego nadgarstka.

- Miło mi - powiedział bez uśmiechu.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Gregory Bane mrugał nerwowo.

Lucien był ciekaw, od jak dawna chłopak jest przemieniony i kto go przemienił. Na pewno nie Dimitri. Jego bratu można przypisywać różne rzeczy, ale nie to, że lubi chłopców. Bardziej prawdopodobne, że dostrzegł okazję i zlecił to którejś ze swoich licznych kochanek. Chłopak zapewne był przystojny według dzisiejszych standardów i na pewno zwróciłby uwagę jego studentek: chudy i niedomyty.

Drugi młodzieniec, który nosił swojego smoka tak jak Dimitri, w formie żelaznego wisiora na skórzanej bransoletce, wstał i wyciągnął prawą rękę.

- Witaj, stryju - powiedział Stefan odrobinę nieufnie.

Ten chłopak zawsze wydawał się dziwny, pomyślał Lucien, ściskając dłoń bratanka.

Czy dlatego, że widział, jak ojciec morduje matkę - to były inne czasy, kiedy żonobójstwo zdarzało się dość często - czy dlatego, że został przemieniony w zbyt młodym wieku? Lucien nie wiedział.

Młodzieniec okazał się wielkim rozczarowaniem. Dimitri wiecznie snuł jakieś plany mające ukierunkować chłopaka w życiu, a przy tym nawet nie pozwalał mu używać tego samego nazwiska. Jakim cudem Stefan miał wykazać inicjatywę w wyborze swojej kariery?

W jaką grę bawił się teraz Dimitri? I co mieli z tym wspólnego brzuchaci analitycy finansowi z TransCarta? Czy to wszystko było tylko elementem nowego „przedsięwzięcia” przyrodniego brata?

Czy może czymś bardziej podstępny?

O, Dimitri świetnie odegrał serdeczne powitanie członka rodziny. Zamówił nawet do stolika parę butelek veuve, choć Lucien nie przepadał za szampanem. Nie lubił bąbelków, które znikwały natychmiast na języku. Wolał cięższe wina pozostawiające w ustach smak jak... hm, jak posiłek.

Ale wszystko to trochę przypominało szampana - te młode kobiety, które wieszały się na Gregorym i nieszczęsnym Stefanie, na bankierach w sąsiedniej niszy, i które często znikwały w damskiej toalecie, po czym wracały, ocierając nosy; mózgi miały puste, tak samo jak dziewczyna, która chciała z nim się zabawić. Wszystko na pokaz. Za mało treści. Same bąbelki.

Uznał, że dość się już napatrzył. Jeśli w klubie przyrodniego brata kryły się jakieś odpowiedzi, to w ten sposób ich nie wydobędzie.

Przeprosił towarzystwo i powiedział, że musi już iść.

Dimitri wyprowadził go tylnym wyjściem, bo przy frontowych drzwiach kłębił się tłum naćpanych imprezowiczów.

- Gdzie się zatrzymałeś? - spytał Dimitri zbyt obojętnym tonem, wydmuchując dym z cygara w wygwieżdżone niebo.

- Emil znalazł mi lokum. - Im mniej wiadomo o miejscu jego pobytu, tym lepiej. Ufał swojemu bratu, ale tylko do pewnego stopnia.

Dimitri się roześmiał.

- Emil. Wciąż jest z tą idiotką, swoją żoną?

- Owszem.

- Małżeństwo. Jedyna rzecz, która nas łączy. Nie widzimy potrzeby, żeby się w to wplątywać. Cóż. W każdym razie nie drugi raz.

- To nigdy nie wydawało mi się rozsądne - przyznał ostrożnie Lucien.

Brat, patrząc na niego ze zdumieniem, wybuchnął śmiechem.

- Rozważne - wykrzyknął. - Posłuchaj sam siebie! Nie zmieniłeś się ani trochę przez cały ten czas.

Lucien zmierzył go wzrokiem.

- Nie - odparł. - Zdaje się, że ty też nie.

Dimitri nagle przestał się śmiać i wycelował w Luciena palec.

- Nie podobają mi się te insynuacje - powiedział niskim głosem. - Mam nadzieję, że nie przyjechałeś tu, żeby narobić kłopotów, Lucien. Doskonale radziliśmy sobie po tej stronie Atlantyku bez choćby cienia kłopotów ze strony Gwardii Palatyńskiej i bez twojego wtrącania się.

Przy ostatnich słowach jego ciemnobrązowe oczy, nieróżniące się zwykle kolorem od oczu brata, rozżarzyły się jak czubek cygara.

Warstwa śmieci, kurzu, żwiru i tłuczonego szkła, zaścielająca zaułek, wzbila się w powietrze, krążyła coraz szybciej i szybciej, aż utworzyła potężny, wysoki wir, który pędził wprost na Luciena.

Uniósł rękę, żeby osłonić twarz.

W tej chwili jakaś siła poderwała Dimitriego i cisnęła nim tak, że uderzył plecami o bok kontenera na śmieci. Jego upadek złagodziły puste pudła, które ktoś zgniótł i ułożył przed pojemnikiem do recyklingu. Gdyby nie one, grzmotnąłby o stalowy kontener jak wystrzelony z pistoletu pneumatycznego.

Leżał oszołomiony, wir zniknął w mgnieniu oka, a śmieci i mniejsze kawałki szkła opadły z klekotem na ziemię.

Lucien podszedł do brata; zatrzymując się po drodze, by starannie zdeptać upuszczone przez niego cygaro, podnieść je i wyrzucić do pojemnika.

Był wściekły, ale nawet kiedy był wściekły, śmieci przeszkadzały mu, jak zawsze.

- Nie mam pojęcia, w co grasz, Dimitri. - Oparł się łokciem o kontener i spoglądał z góry na brata. Spokój jego głosu wydawał się niesamowity po gwałtownej scenie, która rozegrała się przed kilkoma sekundami. - Nocne kluby, pełne bankierów inwestycyjnych i naćpanych dziewcząt. Próba zabicia mnie, a przynajmniej oślepienia. To są twoje interesy i zgodnie z naszą umową możesz je sobie spokojnie robić. Ale to nie Gwardii Palatyńskiej powinieneś się bać, tylko mnie.

Dimitri skrzywił się, patrząc w górę na brata.

- Wiem. - Rozcierał sobie kark. - Zawsze to wiedziałem. Nie musiałeś rzucać mną tak mocno, bracie.

Lucien zignorował jego słowa.

- Martwe dziewczyny. Co o nich wiesz?

- Powiedziałem ci. Nic nie wiem.

Błat z nierdzewnej stali, który leżał przy pojemniku, uniósł się nagle w powietrze i zawisł groźnie nad głową Dimitriego.

- Czekaj! - krzyknął Dimitri; zakrył twarz ramionami, żeby ochronić się przed zmasakrowaniem. - Dobrze już, dobrze. No więc, słyszałem plotki...

Lucien pozwolił, żeby błat opadł obok brata, nie zrobił mu krzywdy. Huk był ogłuszający; usłyszeli piski spłoszonych szczurów. Dimitri, skulony pod śmietnikiem, skrzywił się.

- Nie możesz myśleć, że wiem, kto to zrobił. Gdybym wiedział, ukróciłbym to. Dlaczego uważasz, że mordercą jest ktoś z naszych? To jakiś umysłowo chory zboczeniec.

- Który pije ludzką krew - dodał spokojnie Lucien.

- Nie on jeden. Ostatnio to bardzo modne być wampirem. A przynajmniej udawać wampira.

Lucien popatrzył na brata. Chciałby wierzyć, że Dimitri jest niewinny. Ale już kiedyś popełnił ten błąd.

I niemal kosztowało go to życie.

Nie chciał powtórzyć błędu, zwłaszcza że teraz w grę mogło wchodzić życie istot ludzkich.

- Jeśli dowiem się, że wiedziałeś cokolwiek o tych morderstwach - zaczął - i nie powiedziałeś mi albo nie zrobiłeś nic, żeby powstrzymać mordercę, albo, co gorsza, sam za tym stoisz, zniszczę ciebie, twoich bliskich i wszystko, na czym ci zależy. Rozumiesz mnie?

Dimitri z trudem dźwigał się na nogi, szamocząc w śmieciach i błocie.

- Bracie! Znów źle zaczęliśmy. Przepraszam za to małe nieporozumienie. Czy nie moglibyśmy...

Ale Lucien jeszcze nie skończył. Pchnął go z powrotem w błoto. Pochylił się i szepnął mu do ucha:

- Nie. Nie moglibyśmy. Przypomnij sobie, jaka była umowa. Wszystkim wolno pić. Ale nikomu nie wolno...

- Na miłość boską, Lucien! Myślisz, że tego nie wiem? Nikomu nie wolno zabić człowieka, choćby zżerało go pragnienie, laki czyn spowoduje szybką i ostateczną karę z rąk księcia. Żyję pod twoim panowaniem od ponad wieku. Sądzisz, że mogłem zapomnieć o twoich nakazach?

- Tak - odparł ponuro Lucien. - Bo już ci się to zdarzało. I znów się zdarzy.

W tej chwili tylne drzwi klubu otworzyły się i stanęły w nich dwaj goryle.

- Panie Dimitri? - Reginald zrobił wielkie oczy na widok szefa leżącego na ziemi.

Lucien się wyprostował.

- Pomóż mu, z łaski swojej, Reginaldzie - rzucił przez ramię. - Pan Dimitri będzie potrzebować wszelkiej możliwej pomocy. - Odwrócił się i szybko odszedł w noc.

Rozdział 21

19.00 czasu wschodniego, czwartej 15 kwietnia
Katedra świętego Jerzego
ulica Siedemdziesiąta Ósma Wschodnia 180 Nowy Jork

Meena patrzyła na katedrę. W gasnącym świetle dnia kościół wyglądał pięknie ze swoimi bliźniaczymi wieżami, sięgającymi pod wiosenne niebo, i z eleganckimi witrażami, choć niektóre zniszczyli wandalę. Kto rzuca kamieniami w okna kościoła?

Otaczał go parkan z niebieskiej płyty wiórowej, jaki zawsze pojawia się wokół remontowanych czy wznoszonych budynków na Manhattanie.

Nie był jednak dość wysoki, żeby zasłonić wielką, piękną katedrę.

Przedwczoraj w nocy doszło w tym miejscu do brutalnego ataku.

Ale czy na pewno?

Meena stała z Jackiem Bauerem u stóp schodów, w tym samym miejscu, gdzie znajdowała się, kiedy znikąd pojawiły się nietoperze.

Bała się, że Jack nie będzie chciał zbliżyć się do kościoła. Ale pies nie miał żadnych oporów, żwawo dreptał, nie szarpał smyczą, w końcu podniósł łapę przy samochodzie zaparkowanym przed kościołem.

Znaczy, że nie miał żadnych złych wspomnień po nocnym incydencie.

I choć wspomnienia Meeny z początku były trochę zamazane, teraz przypomniała sobie wszystko wyraźnie, jakby to wydarzyło się przed paroma minutami, a nie czterdzieści osiem godzin temu. Waśnie w tym miejscu kulila się na chodniku, z sercem w gardle, kiedy nietoperze rzucały się na Luciena, usiłując - wtedy była tego pewna - rozerwać go na strzępy.

Wyszedł z tego cało, nawet bez najmniejszego zadrapania.

Spojrzała na chodnik - nie było żadnych śladów krwi, które dowodziłyby, że doszło tu do ataku.

Ale rozpoznała pęknięcie na chodniku. Leżała z twarzą niemal przyciśniętą do niego, gdy Lucien osłaniał ją własnym ciałem.

Dziwne, myślała Meena, patrząc na iglice kościoła. Zastanawiała się, czy nietoperze są tam teraz, i kiedy znów się zbudzą - i zaatakują. Nie czuła żadnego zła w katedrze, nie miała złych przeczuc, choć stała dokładnie w miejscu, w którym omal nie straciła życia.

Nie pochlebiała sobie, że jako twórczyni dialogów do takiego serialu jak **Nienasyceni** jest szczególnie utalentowana.

Nie uważała, że jest bardziej kreatywna niż, na przykład, artyści widywani pod Metropolitan Museum of Art, którzy malują amatorskie landszafty z zachodami słońca i sprzedają je turystom.

Czuła, że jej scenariusze są sztuką mniej więcej tego samego rodzaju: odzwierciedlają to, co przeciętny Amerykanin może obserwować codziennie, tak samo, jak zachód słońca...

...tyle że mają w sobie więcej dramatyzmu, żeby widzowie nie stracili zainteresowania.

Zdawała sobie sprawę, że jest odrobinę bardziej niż inni wyczulona na nastroje. Niewykluczone, że miała na to wpływ jej zdolność przewidywania, kiedy kogoś spotka coś złego.

Ale może w katedrze Świętego Jerzego nie było nic strasznego do wycucia. Bo tragedia na jej stopniach jednak się nie wydarzyła...

...dzięki Lucienowi, kimkolwiek był. Uratował jej życie. Nie wiedziała, jak ani dlaczego, ale to zrobił. Zastanawiała się, czy on myśli o tym, co wydarzyło się przed kościołem. Czy także i jemu wydaje się to dziwne. Może też przychodził tu i zadawał sobie takie pytania, jak ona. Może umieścił ogłoszenie w Internecie, żeby ją znaleźć - za bardzo się wstydziła, żeby to zrobić.

Powinna sprawdzić...

- Meena?

O mało nie wyskoczyła ze skóry. Odwróciła się błyskawicznie, podświadomie spodziewając się ujrzeć Luciena.

Ale to był tylko Jon, zdumiony, że znalazł ją przed katedrą w czwartkowy wieczór, zapatrzoną w przestrzeń.

- Co tu robisz? Myślałem, że wyszłaś na spacer z Jackiem Bauerem.

- Bo wyszłam. - Pociągnęła za smycz, gdy Jack leżał na chodniku, wylizując tylną łapę; ignorował swoją panią. - Przecież spacerujemy. Ja tylko myślałam o czymś.

- Właśnie widzę. - Jon stanął obok niej i spojrzął na wieże. Miał na sobie wyprasowane spodnie, ładną koszulę i z jakiegoś powodu włożył nawet krawat. W prawej dłoni trzymał brązową papierową torbę. - Ciągłe się boisz tego stada nietoperzy?

- To była kolonia. Sprawdziłam w Wikipedii. Nietoperze żyją w koloniach. I dowiedziałam się, że zwykle nie atakują niczego ani nikogo całą grupą, tak jak wtedy. To musiał być przypadek. Zwykle polują samotnie. No wiesz, bo używają sonaru, który emituje dźwięki o wysokiej częstotliwości.

Popatrzył na nią, jakby jej odbiło.

- Okej. Dobrze wiedzieć. Przyjdiesz do domu, żeby się przygotować? Za pół godziny idziemy na kolację do państwa Antonescu.

Zamrugła.

- Co?

- Proszona kolacja u hrabiny. Nie pamiętasz? Na cześć księcia, jej kuzyna. Jest czwartek wieczór. Powiedziałaś, że się wybieramy.

Przewróciła oczami.

- Och! Tak. No tak - bąkała. - Nie możemy iść. Nie odesłałam odpowiedzi.

- Meeno. - Pokręcił głową. - Rozmawialiśmy o tym. Ustaliliśmy, że idziemy.

- Ale nie potwierdziłam. Więc chyba nie możemy. Trudno. Urządzimy sobie za to maraton filmowy.

- Nie - powiedział twardo Jon. - Darmowa wyżerka. Pamiętasz? Zresztą spotkałem dziś Mary Lou w windzie. Zapytała, czy się zjawimy, i powiedziałem, że tak. Musimy iść. Patrz, kupiłem im wino. - Uniósł papierową torbę. - Kosztowało mnie sześć dolców. Nie zamierzam go zmarnować.

Meena przygarbiła się, wzdychając ciężko.

- Boże. Jestem wykończona. To był naprawdę fatalny tydzień.

- Wiem. - Jon wziął ją za łokieć i odwrócił od kościoła. - Ale chcesz poznać księcia, tak? Chcesz go wykorzystać jako model pogromcy wampirów dla Cheryl, tak?

- Prawdę mówiąc, chyba spotkałam kogoś, kto byłby lepszym modelem księcia.

- Naprawdę? A kto to?

- Och, taki jeden.

Wiedziała, co Jon miałby do powiedzenia na temat jej przygody z Lucieniem przedwczorajszej nocy. Usłyszałaby poważny, braterski wykład na temat wychodzenia z mieszkania w środku nocy.

Sama wiedziała, że nie powinna tego robić. W szowinistycznym amerykańskim społeczeństwie kobieta nie była bezpieczna, spacerując nocą bez eskorty po ulicach Nowego Jorku, chociaż, uczciwie mówiąc, nikt nie mógł czuć się bezpieczny - po mieście szalały kolonie wściekłych nietoperzy.

- Facet, którego mamy dziś poznać, rzekomo jest prawdziwym księciem - mówił Jon. - Gdzie indziej mogłabyś poznać księcia?

- Nigdzie - przyznała Meena.

Nagle dotarło do niej, że Jon naprawdę cieszył się na to przyjęcie. Nieczęsto miał okazję gdzieś wyjść, jako że był... cóż, splukany i bezrobotny. Podobnie jak większość jego przyjaciół. Urządzenie imprez to ostatnia rzecz, o jakiej mogliby myśleć. Powinna była wiedzieć, że brata ucieszy każda szansa wyrwania się z domu, nawet jeśli tylko do sąsiadów po drugiej stronie korytarza.

Gdy Jon poprowadził ją w stronę domu, spojrzała przez ramię na wieże kościoła, strzelające w lawendowe niebo, usiane różowymi chmurkami; słońce zachodziło. Kościoły, pomyślała od niechcenia. Po co one w ogóle są?

Żeby oddawać cześć, oczywiście. Właściwie komu? Bogu, który obdarza cię nieproszoną umiejętnością, która jest bardziej przekleństwem niż darem?

A z drugiej strony, co innego pozostawało ludziom?

Nic.

Oprócz nadziei, że kiedyś będzie lepiej. Nadziei, jaką próbowała dawać ludziom Meena w swoim serialu i ksiądz w swoim kościele.

- Masz rację - westchnęła, odwracając się od katedry.

- Nie musimy tam siedzieć cały wieczór, siostra. Jeśli ksiązę to ścierna, wyniesiemy się.

Jasne

- Zresztą, kto wie? Może nawet będzie zabawnie.

Oczywiście nie wierzyła w to ani przez chwilę.

Rozdział 22

19.30 czasu wschodniego, czwartek 15 kwietnia
Park Avenue 910
mieszkanie 11A Nowy Jork

Lucien był pewien, że jego kuzynka zwariowała.

- Proszona kolacja? - powtórzył, podając płaszcz pokojówce, która zabrała go, by powiesić w szafie w przedpokoju.

- Bo widzisz, panie - Emil mówił cicho, żeby nie usłyszała Mary Lou, zajęta rozmową z dostawcą jedzenia w salonie - ona wbiła sobie do głowy, że potrzebujesz żony i że znajdziesz ją właśnie w Nowym Jorku. Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro. Jeśli zechcesz mnie ukarać, panie, zrozumiem.

Lucien, zamiast wpaść w furję - a wiedział, że właśnie takiej reakcji spodziewał się po nim Emil - był rozbawiony. Choć wyraził się bardzo jasno, że nie chce, by ktokolwiek wiedział o jego przyjeździe do Nowego Jorku, szkoda już się stała, wrogowie i tak wiedzieli już, gdzie on jest; przecież próbowali go zabić. Wieści rozeszły się pocztą pantoflową.

Miał nadzieję, że tak samo rozejdzie się po mieście wiadomość, w jaki sposób potraktował swojego brata. Liczył na to. Jeśli do wszystkich dotrze, że Dimitri mu się postawił i Lucien wygrał potyczkę, będą mniej skłonni do knucia zamachów - ten z przedwczorajszej nocy, jak widać, nie powiódł się.

Księżę ciemności był w mieście, niezłomny jak zawsze.

Ale proszona kolacja? Z ludźmi? Uśmiechnął się.

- Twoja żona jest odważną kobietą.

- Można to ująć i tak - przyznał Emil z niepewnym uśmiechem. - Ale naprawdę, panie, jeśli zyczysz sobie wrócić do hotelu...

- Nic się nie stało - odparł uspokajająco Lucien. Czasami bał się, że Emil ulegnie samospaleniu, był tak strasznie spięty. - Zakładam, że zaserwujesz jakieś przyzwoite wina.

Emil od razu poweselał.

- Oczywiście, panie. Mam kilka świetnych amarone, które kupiłem specjalnie dla ciebie. Chodźmy, otworzę je.

Poprowadził Luciena do biblioteki, gdzie odkorkował doskonałe włoskie czerwone wina. Po chwili, siedząc w ciemnym, wygodnym

pokoju, usłyszeli pierwszych gości i żywiołowy głos Mary Lou, która ich witała.

- Zdaje się - powiedział Emil z niechęcią - że powinniśmy tam iść.

- Będzie dobrze - zapewnił kuzyna Lucien. - Nawet lubię ludzi. Kiedyś byłem jednym z nich, pamiętasz? I nawet ich uczę.

Gdy przeszli do salonu, Mary Lou pisnęła z radości.

- O proszę, są! - wykrzyknęła. Była w długiej turkusowej sukni, miała sporo złotej biżuterii i złote pantofle. Jej cień do powiek nie różnił się kolorem od sukni. Piękne jasne włosy, perfekcyjnie wymodelowane, spływały falą na ramiona. - Gdzie wyście się chowali? Książę, chciałabym przedstawić naszych przyjaciół, Lindę i Toma Bradfordów, a to są Faith i Frank Herrera, Carol Priestley i Becca Evans, i Ashley Mendez z biura Emila. Kochani, to jest książę Lucien Antonescu...

Kobiety były atrakcyjne, mężczyźni jowialni. Lucien uściśnął wszystkim dłoń i włączył się do pogawędki na temat Nowego Jorku, przedstawień, które musi zobaczyć, i restauracji, które musi odwiedzić, kiedy bawi w mieście.

Piękny wiosenny wieczór miał swój urok, Emil i Mary Lou otworzyli wszystkie drzwi prowadzące na wielki taras, który otaczał całe mieszkanie. Słońce zatoneło już na zachodzie, a niebo przybrało śliczny odcień lawendowego różu. Lucien wyszedł na taras w towarzystwie kilku pań; raczyły się szampanem i rozmawiały z ożywieniem o wernisażu, na którym były w zeszłym tygodniu.

Mary Lou dobrze wybrała. Tym kobietom nie zbywało na urodzie, nie brakowało im też inteligencji.

Kiedy usłyszał dzwonek do drzwi, nie obejrzał się, by zobaczyć, kto się zjawił, bo i tak wiedział, że nie jest to członek klanu Smoka ani Gwardii Palatyńskiej, który przyszedł go zamordować - oni nie używaliby dzwonka - a nie chciał sprawiać wrażenia, że nie słucha uroczych świątowych przyjaciółek Mary Lou.

W końcu jednak spojrzął, bo coś mu mówiło, że powinien to zrobić.

I nagle rozmowa wokół niego ucichła. Nie dlatego, że jego towarzyszki przestały mówić.

Dlatego, że już ich nie słuchał.

To była kobieta, która wyprowadzała psa w noc zamachu; ta, która sama omal nie zginęła.

Meena Harper.

Zobaczył, że Mary Lou całuje ją na powitanie i odbiera butelkę taniego wina od wysokiego mężczyzny, jej towarzysza.

Oczywiście, że zjawiała się u Emila. Oczywiście. Czego się spodziewał? W głębi duszy musiał to wiedzieć. Inaczej wyszedłby stąd już godzinę temu. Nie przyjechał do Nowego Jorku, żeby nawiązywać stosunki towarzyskie z psiapsiółkami żony Emila. Nigdy nie brakowało mu damskiego towarzystwa, kiedy go potrzebował, i doskonale potrafił znaleźć je sam, bez pomocy żony kuzyna.

A teraz ostatnia kobieta na świecie, z którą powinien się zadawać - bo czuł, że przyciąga go jak magnes - weszła do mieszkania, w taniej czarnej sukience i z chłopięcą fryzurą. A on stał i patrzył na nią jak głupi.

Było jasne już po pierwszym spojrzeniu, które mu posłała, że wymazywanie pamięci nie zadziałało. Rozpoznała go od razu. Jej szeroko otwarte oczy mówiły, że doskonale pamiętała spotkanie przy katedrze.

Delikatnie dotknął jej umysłu, tak tylko, żeby się przekonać, czy ucieszyła się na jego widok, z czystej próżności. I pewnie zasłużył sobie na szok, którego doznał - dostrzegł coś zdumiewającego, coś niemal przerażającego, czego w żaden sposób nie mógł pojąć:

To wampir. To słowo było na samym wierzchu jej mózgu. Myślała tylko o tym. O wampirach.

A także, co niepokojące, o śmierci.

Natychmiast wycofał się z jej umysłu, ale zdążył jeszcze uchwycić swoje imię.

Lucien.

Ona wiedziała.

Jakim cudem? Co się stało? Co poszło nie tak? Dlaczego wymazywanie wspomnień się nie udało? Jak mogła tak tramie skojarzyć fakty?

Kim była? Czym była? O co chodziło z tą dziewczyną i z jej nadaktywnym mózgiem? Musiał dowiedzieć się, zanim ten wieczór - i cała jego nowojorska misja - skończy się katastrofą.

- Meena Harper - zapiała Mary Lou, kiedy podszedł. Przypomniał sobie nagle, że bez jednego słowa opuścił kobiety, z którymi tak przyjaźnie gawędził. Ale sytuacja stała się poważna.

Mówił sobie, że to nie ma nic wspólnego z ciemnymi oczami Meeny Harper, z jej smukłą talią, podkreśloną krojem taniej bawełnianej sukienki. Absolutnie nic. To była sprawa życia i śmierci dla całego wampirzego rodzaju.

- Meeno, poznaj kuzyna Emila, księcia Luciena Antonescu.

- Ach. - Uśmiechnęła się. Jej dwa przednie zęby były odrobinę krzywe. Jak mógł tego nie zauważyć tamtej nocy? - Tak. My już...

- Bardzo miło mi parną poznać - powiedział szybko Lucien, biorąc ją za rękę. Zdumienie na jej twarzy zmieniło się w dezorientację.

Książę! - krzyczał jej mózg. - To on!

Na Boga, co to miało znaczyć? Kim ona jest?

- Mnie też jest bardzo miło - odpowiedziała spokojnym tonem, który nie zdradzał chaosu myślowego, jaki miała w głowie.

Jej dłoń była szczupła i ciepła. Jego, i dobrze o tym wiedział, wręcz odwrotnie.

- A to brat Meeny, Jonathan Harper. - Mary Lou ledwie maskowała dezaprobatę.

- Jon - poprawił ją ciemnowłosy mężczyzna stojący obok Meeny i wyciągnął rękę. - Jestem Jon.

Książę przywitał się z nim szybko, uważając, żeby nie ścisnąć jego dłoni zbyt mocno. Mimo to młody mężczyzna skrzywił się.

Lucien zwrócił się z powrotem do dziewczyny, która nie spuszczała z niego wzroku, od kiedy weszła do mieszkania. Jeszcze raz, ostrożnie, spróbował sięgnąć w jej myśli... wampir, śmierć, książę, ksiądz, smok ...i znów wycofał się szybko.

Nic dziwnego, że nie zdołał wymazać wspomnienia swojej osoby. Dziewczynce brakowało piątej klepki. Miała w środku kompletne wariackowo.

- Jonathanie - mówiła właśnie Mary Lou do jej brata. - Wiem, że znasz się na elektronice.

Moja przyjaciółka Becca kupiła iPhone'a i zupełnie sobie nie radzi ze ściągnięciem jakichś, jak to wy nazywacie? Ach tak, aplikacji. Myślisz, że umiałbyś jej pomóc?

Spojrzał na Beccę, piersiastą młodą damę w mocno dopasowanej czerwonej sukience.

- Ależ oczywiście.

Dziewczyna popatrzyła, jak jej brat odchodzi za Beccą.

Wampir. Lucien nie mógł nie usłyszeć krzyku w jej mózgu. Lucien, książę, pogromca, smok, śmierć.

W jego głowie błysnął obraz damskiej torebki z pełznącym po niej smokiem z kryształków - obraz, którego zupełnie nie mógł pojąć.

Zresztą nie pojmował niczego.

Kiedy tylko brat sobie poszedł, dziewczyna odwróciła się do Luciena.

- Więc to pan jest księciem, o którym tyle słyszałam?

Uśmiechnął się - doskonale zdawał sobie sprawę, jak druzgocąco jego uśmiech działa na kobiety - po czym wziął ją pod ramię i delikatnie pociągnął w kąt tarasu, mówiąc coś o ładnym widoku, który koniecznie chciałby jej pokazać.

Może zdołałby się z nią dogadać, nawet jeśli to wariatka.

- Nie powiedziałem żonie kuzyna, co się stało przed kościołem - wyjaśnił jej szybko cichym głosem, kiedy byli już z dala od wszystkich.

- Nie chciałem jej niepokoić. Chyba żadna kobieta nie chce dowiadywać się o kolonii nietoperzy grasującej w okolicy...

Oczywiście nie zamierzał wspominać o Smokach.

- Ja też nie powiedziałam Jonowi - odparła zupełnie rozsądnie, co go trochę zaskoczyło. - A w każdym razie nie o panu.

- Chyba słusznie - stwierdził. - Nie chcemy martwić naszych bliskich.

Spuściła oczy; zdawała się patrzeć w okna mieszkań znajdujących się niżej zamiast na niego.

Musiał przyznać, że jest naprawdę urocza, i ostrzegł siebie, że powinien uważać. Była istotą ludzką, a do tego, sądząc po chaosie w jej mózgu, szaloną.

Wielka szkoda, bo go pociągała.

- Tym bardziej - dodała - że nikomu nic się nie stało.

- Więc się zgadzamy. Nie mówimy o tym. Nikomu.

- Powiedziałam mojej przyjaciółce, - wreszcie na niego spojrzała. - Ale ona nie wierzy. Myśli, że mi się przyśniło.

Może jednak sytuacja nie była tak poważna, jak sądził.

- Trudno jej się dziwić. To rzeczywiście niewiarygodne, nie sądzi pani? Nietoperze na Manhattanie. Absurd.

- Nie tak niewiarygodne, jak jedyne wyjaśnienie faktu, że pan wyszedł z tego cało, jakie udało mi się wymyślić. - Oparła się o ceglana barierkę tarasu. - Bo przecież ja wiem, że mi się to nie przyśniło.

Był pewien, że powie „wampiry”. Nie bardzo wiedział, jak postąpić, kiedy to słowo już padnie. Minęło tyle czasu, od kiedy ostatni raz dowiedział się o nich człowiek... człowiek, który chciał ich zguby. Nie licząc oczywiście Gwardii Palatyńskiej.

Bardzo go smuciło, że odkryła to właśnie ta niepokojąco ładna, acz nienormalna dziewczyna.

A jeszcze bardziej smuciło go, co będzie musiał jej zrobić, jeśli okaże się, że ona naprawdę wie. Ale przecież musiał przestrzegać swoich dekretów.

- A mianowicie? - spytał, starając się, by jego ton brzmiał od niechcenia.

- Myślę, że pan jest aniołem. - Uśmiechnęła się promiennie. - A przed katedrą Świętego Jerzego wydarzył się cud.

Rozdział 23

20.00 czasu wschodniego, czwartek, 15 kwietnia
Park Avenue 910, mieszkanie 11A Nowy Jork

Księżciu Lucienowi Antonescu nie spodobało się, że nazwała go aniołem.

Ale przecież, jak zdała sobie sprawę poniewczasie, niewielu mężczyznom by się spodobało.

- Nie było żadnego cudu - powtarzał uparcie. - A ja nie jestem aniołem. Zapewniam panią.

- Nieprawda - powiedziała. Przekomarzała się z nim. Miała wrażenie, że rzadko się zdarza, by ktoś się z nim droczył. Wydawał się strasznie poważnym człowiekiem. -Zaryzykował pan życie, żeby ocalić moje, a potem zniknął pan, zanim zdążyłam podziękować jak należy.

Anielskie zachowanie.

Księżę chyba nie pogniewał się za te żarty.

- Myślę, że pani przyjaciółka ma rację - mówił, kiedy kelner przyniósł im kieliszki szampana na srebrnej tacy - i mieszaj pani sny z rzeczywistością. Przelatywało tylko kilka małych nietoperzy...

- Powiedział pan to samo tamtej nocy - przypomniała mu z udawanym oburzeniem. - Wtedy nie była to prawda i dziś nie jest. Dokładnie pamiętam najbardziej przerażające wydarzenie w moim życiu i wciąż twierdzę, że stał się cud: wyszedł pan z tego bez jednego zadrapania. Ale jeśli pan chce to bagatelizować, proszę bardzo. Możemy prowadzić banalną rozmowę, jak inni. Długo będzie pan w mieście? Widział pan już jakieś dobre przedstawienia?

Gapił się na nią zaskoczony. I nagle wybuchnął śmiechem.

- Właściwie nie. Przyjechałem tamtej nocy, kiedy poznaliśmy się, więc jeszcze nie miałem czasu. A co pani poleca?

Meena wypła łyżak szampana. Jej myśli pędziły tysiąc kilometrów na godzinę. Bo jakie były szanse, że Lucien - jej Lucien, którego poznała przed katedrą - i księżę; hrabiny okażą się tą samą osobą? To będzie doskonałe! Musiała dowiedzieć się o nim wszystkiego, co się dało, żeby móc stworzyć idealną charakterystykę postaci, którą zastrzeli Sy.

Chociaż jej księżę nie mógł być dokładną repliką Luciena. Lucien był za młody dla Victorii Worthington Stone. Potrzeba kogoś starszego, para musi być dobrze dobrana.

Oczywiście Cheryl w prawdziwym życiu poleciałaby na Lucienę w nowojorską sekundę. Każda kobieta by poleciała. Bo spójrzcie na niego! Idealny męskiej urody. Ten profil, te imponujące bary.

Ale aktor, który będzie go grał, musi mieć odrobinę siwizny na skroniach i... okulary. Tak! Właśnie tak! Pogromca wampirów, czy jak oni się tam nazywają, z pewnością powinien nosić okulary.

- Przepraszam? - Wpatrywał się w nią tymi boskimi, ciemnobrązowymi oczami. - Pani coś mówiła?

- Nie - odparła. Przenikliwość jego spojrzenia wytręcała Meenę z równowagi. Jakby czytał w myślach. Albo widział na wylot przez jej sukienkę.

Ale był najbardziej seksownym facetem, jakiego spotkała od długiego czasu... i nie musiała namawiać go, żeby, na przykład, przestał jeździć motorem.

- Zastanawiam się, czym się pan zajmuje. Wiem, że to niegrzeczne pytanie i bardzo nowojorskie. My tu wszyscy mamy obsesję na punkcie zajęcia innych ludzi. Ale jestem naprawdę ciekawa. No bo co może robić księżę na co dzień? Czy ma pan w zwyczaju ratować bezradne damy w potrzebie, czy ja po prostu znalazłam się w odpowiednim miejscu i czasie? Ma pan zamek? Potyka się pan w turniejach? Miał zakłopotaną minę. Nie krył zdumienia. Meena była ciekawa, o czym zwykle rozmawiają z nim kobiety. Ale jej wydawało się naturalne, że pyta się księcia o turnieje.

- Owszem, mam zamek. Właściwie rodzinną posiadłość. Emil i Mary Lou przyjeżdżają tam na lato. Mary na pewno pani opowiadała...

Meena uniosła rękę. Słyszała o zamku aż za dużo.

- Wszystko wiem. W Rumunii.

- Pod Sighisoarą - dodał z uśmiechem. - A odpowiadając na pani drugie pytanie, nie, nigdy nie potykałem się w turniejach. Wykładam.

- Wykłada pan? - Gdyby jej powiedział, że twitteruje, chyba nie byłaby bardziej zaskoczona. - Co pan wykłada? Techniki obrony przed atakami nietoperzy?

- Historię Europy Środkowej - odparł ubawiony. - Na Uniwersytecie Bukareszteńskim. Głównie na kursach wieczorowych.

Uniosła brew.

- Naprawdę? - Biorąc pod uwagę nie tylko zamek, ale i wygląd drogiego zegarka, i w ogóle to, jak się nosił, podejrzewała, że księżę Lucien nie potrzebuje posady wykładowcy, żeby się utrzymać.

To, o czym mówił dalej, potwierdziło jej podejrzenia.

- Mój kraj ma długą i bogatą historię. Wydaje mi się ważne, by przekazać ją możliwie ciekawie kolejnemu pokoleniu. Wie pani, jak dzisiejsza młodzież jest pochłonięta grami komputerowymi i telefonami komórkowymi. Próbuję sprawić, żeby historia była dla młodych interesująca, obudzić w nich taką samą miłość, jaką ja zawsze czułem, do odkrywania innych kultur i ich przeszłości. A czy mi się to udaje... - Wzruszył ramionami.

Meena miała ochotę klaskać z radości. Gdyby okazało się, że w kieszeni marynarki ma dwuogniskowe okulary, pewnie podskoczyłaby i pocałowała go w usta.

- Przyjechał pan tu na ferie wiosenne?

- Właściwie nie. - Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kaszmirowej marynarki okulary w srebrnych oprawkach i włożył na nos. - Przyjechałem na serię odczytów, które wygłasza kolega w Metropolitan Museum na temat Władcy Tepesa.

Na widok okularów Meena zachwiała się na swoich wysokich obcasach i omal nie upadła.

- Dobrze się pani czuje? - spytał ze szczerą troską w głosie. - Pozwoli pani, że pomogę.

Poczuła, jak jego silne ramię, tak znajome po przygodzie przed katedrą, obejmuje jej nagie ramiona. Prowadził ją delikatnie i z wprawą w stronę żeliwnych ogrodowych krzeseł na tarasie.

Z ulgą usiadła na biało-zielonej pasiastej poduszce. Jedyne, o czym mogła myśleć: Okulary!

Okulary! Boże! To się nie dzieje naprawdę.

Zdjął okulary i pospiesznie schował je do kieszeni, pochylając się nad nią.

- Przynieść pani szklanek wody?

- Nie, dziękuję. - Dopiła resztę szampana i odstawiła kieliszek na stolik. Szybko zmieniała temat. - Kto to jest Władca Tepes?

- Był najpotężniejszym księciem Wołoszczyzny, czyli obecnej Rumunii, w XV wieku. Na Bałkanach jest uznawany za wielkiego bohatera. Ale czy pani na pewno dobrze się czuje? Nie wygląda pani najlepiej.

Meena położyła dłoń na jego dłoni, opartej na poręczy krzesła. Nie mogła się powstrzymać.

Miał w sobie coś, co sprawiało, że chciała go dotykać. I nie chodziło tylko o to, że uratował jej życie.

- Nic mi nie jest - zapewniła, myśląc, że jego palce są dziwnie chłodne. Ale też na dworze nie było zbyt ciepło. Żałowała, że nie wzięła jakiegoś okrycia. Jon przekonał ją, że nie będzie potrzebne.

Powiedział to tylko dlatego, żeby nie spóźnili się na przyjęcie jeszcze bardziej, bo tale by się stało, gdyby zaczęła szukać swetra pasującego do sukienki. - Po prostu miałam fatalny tydzień w pracy.

- Przykro mi to słyszeć. - Zdjął marynarkę i troskliwie okrył jej ramiona.

Meena poczuła się tak, jakby dostała łokciem w brzuch od innej klientki na wyprzedazy próbek u Marca Jacobsa.

Uspokój się, powiedziała sobie. On jest księciem. Ma klasę. Dla niego to był najbardziej naturalny gest na świecie. Są uczeni od urodzenia, żeby się tak zachowywać.

Wystarczy na niego spojrzeć. Nawet się nie poci. Jego marynarka nawet nie jest rozgrzana.

- Lepiej? - zapytał.

Shoshona, pomyślała Meena. Gdybyś mogła mnie teraz widzieć. Wyplakałabyś oczy do swojej sałatki bez dressingu.

- Tali, dużo lepiej. Bardzo dziękuję, Lucien. Och, czy mogę pana nazywać Lucien? Czy woli pan profesora Antonescu? Albo doktora Antonescu? A może waszą księżęcą wysokość?

- Lucien, i bez żadnego „pan”. - Znów się uśmiechnął. Kiedy się uśmiechał, był wręcz nieznośnie przystojny z tymi swoimi ciemnymi włosami i smutnymi oczami. Nie mogła przestać myśleć, że Lucien Antonescu jest człowiekiem, który potrzebowałby mnóstwa żartów, by wynagrodzić to, co mu się przydarzyło i co tchnęło takie cierpienie w jego oczy. - Dlaczego miałaś fatalny tydzień?

- Hm. Pewnie słyszałeś o wojnie wampirów?

- Co?

Mogłaby przysiąc, że przez ułamek sekundy brązowe oczy błysnęły czerwono, jak wtedy, przed katedrą. Spojrzał z niedowierzaniem, niemal z gniewem, wysunął dłoni spod jej dłoni błyskawicznie, jakby go sparzyła.

- Podano kolację - zawołał jasnowłosy kelner, uczesany w kucyk, w białej koszuli i czarnych spodniach, uśmiechając się do nich z najbliższych drzwi tarasu.

Meena nie wiedziała, czym uraziła księcia. Sięgnął po kieliszek z szampanem, którym do tej pory zupełnie się nie interesował, i wychylił zawartość jednym haustem.

Co ja takiego zrobiłam? - zastanawiała się. Co takiego powiedziałam? Co się stało, że ksiązę, który przed chwilą troskliwie opiekował się nią, nagle żłopie alkohol jak zawodowy pijak spragniony kielicha?

- Przepraszam - wyjąkała. - Ja tylko...

Ale kiedy odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, stwierdziła z ulgą, że jego oczy znów mają zwykły brązowy kolor.

Oczywiście. Pewnie znowu jej się przywidziało. Naprawdę miała zbyt bujną wyobraźnię.

Dzięki temu dostała pracę w telewizji.

- Nie, to ja przepraszam. - Powrócił miły, ciepły ton. Ale Meena miała wrażenie, że Lucien z trudem nad sobą panuje. Ścisnął tak mocno kieliszek, aż zbiały mu kostki. Jeszcze sekunda, a zgniecie go w dłoni.

- Chyba źle usłyszałem. Powiedziałaś „wojna wampirów”?

- Tak - zaczęła Meena powoli. Zauważyła, że Mary Lou idzie w ich stronę, i pomyślała: O nie. Nie zabierzesz mi go. Muszę opanować sytuację. - Piszę dla **Nienasyconych** sieci ABN. Niestety, Żądza bije nas w rankingach. Mają tam wampira... Wiem, to śmieszne. Ale w tym tygodniu moi szefowie oznajmili, że my też musimy wprowadzić wampirzy wątek...

- Ach, chodzi o tę wojnę wampirów...

- Oczywiście. - Roześmiała się. Ten facet brał wszystko zbyt poważnie. Potrzebował naprawdę całego mnóstwa żartów i droczenia się. - A jest jakaś inna? Myślałeś, że mam na myśli prawdziwą wojnę wampirów?

Zauważyła, że zerknął w stronę hrabiny. Jedyne, co Meena zdołała wyczytać z tego spojrzenia, to: pomocy.

Nie bardzo wiedziała, co zaszło między tymi dwojgiem, ale Mary Lou, wyjmując kieliszek z dłoni Luciena, zanim go zgniecie, powiedziała:

- Co wy tu jeszcze robicie? Kolacja na stole, wszyscy czekają. O czym mogliście rozmawiać, że nie usłyszeliście zaproszenia?

- O niczym ważnym. - Ksiązę Lucien wciąż wyglądał, jakby mocno zaciskał szczęki. - Tylko o wojnie wampirów.

Hrabina posłała mu dziwne spojrzenie, ale odrzuciła do tyłu swoje złote włosy i się roześmiała.

- Więc Meena opowiedziała ci o wojnie na wampiry między serialem, w którym pracuje, a ich głównym rywalem, serialem innej stacji. - Jej południowy akcent zawsze robił się wyraźniejszy, kiedy piła alkohol. - Nie obraż się, Meeno, wiesz, że jestem gorącą fanką **Nienasyconych**, ale wprost nie mogę się napatrzeć na tego seksownego Gregora Bane'a.

- No cóż. - Meena skrzywiła się, jak zawsze, gdy słyszała to nazwisko.
- O ile wiem, nasz wampir będzie bardzo seksowny.

Miała wrażenie, że Lucien odetchnął z ulgą.

- Och, telewizja - powiedział. - Oczywiście.

Nie rozumiała, co się tu dzieje. Dlaczego napięcie w twarzy księcia nagle zniknęło...

...ani dlaczego uśmiech, który jej posłał, był tak zniewalający, że znów zmiękły jej kolana.

Nie była pewna, czy zdoła dojść na obcasach do jadalni państwa Antonescu, nie przewracając się po drodze.

Ale na szczęście odezwała się Mary Lou:

- Oczywiście, że chodziło o telewizję, głuptasie. Jakaż może być inna wojna wampirów? Tak czy inaczej, niej chcę wam przerywać rozmowy, więc zarezerwowałam dla was miejsca na końcu stołu. Książę, bądź tak miły i odprowadź Meenę.

Książę był tak miły. Wstał i z galanterią podał Meenie ramię. Była tym wszystkim oszołomiona.

I nic dziwnego. Jeszcze żaden mężczyzna nie zaoferował jej ramienia. David nie rozpieszczał Meeny dżentelmeńskimi gestami, kiedy się do niej zalecał - bardziej niż maniery obchodziły go medyczne podręczniki i spotkania klubu Toastmasters.

Nie wiedziała, czy ma wsunąć rękę pod ramię księcia, czy tylko położyć dłoń z wierzchu, tak jak bohaterki Jane Austen w filmach BBC.

Prawdę mówiąc, odrobinę kręciło jej się w głowie...

...i nie wiedziała, czy to od szampana, czy od bliskości księcia. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Przecież zdarzało jej się już przebywać w towarzystwie przystojnych mężczyzn. Na litość boską, pracowała z kilkoma najbardziej seksownymi aktorami telewizyjnymi.

Ale może to dlatego, że żaden nie okazywał jej szczególnego zainteresowania.

A może... może dlatego, że po raz pierwszy od czasu odejścia Davida spotkała mężczyznę, który wydawał jej się atrakcyjny, a przy tym nie był żonaty, nie był gejem i nie groziła mu pewna śmierć.

Przełożyła rękę pod jego ramieniem - by móc się przytrzymać, gdyby zakręciło jej się w głowie jeszcze bardziej - i uśmiechnęła się do niego.

- A więc? - spytała. - Na czym skończyliśmy?

Rozdział 24

21.00 czasu wschodniego czwartek, 15 kwietnia
Chodnik przed apartamentowcem na Park Avenue 910 Nowy Jork

- Co pan tu robi? - zaczęła ostro starsza pani o błękitnych włosach, kiedy jej pekińczyk podniósł łapę niedaleko miejsca, gdzie stał Alaric Wulf. - I niech pan nie próbuje kłamać, młodzieńcze. Obserwowałam pana z okna. Sterczy pan tu od pół godziny.

- Czekam na żonę, droga pani. Ma wizytę u. doktora Rabinowitza. - Wskazał ruchem głowy mosiężną tabliczkę „Dr Rubin Rabinowitz, położnik” na budynku, o który się opierał.

Niebieskowłosa dama popatrzyła na tabliczkę i znów na niego. Widział po jej minie, że nie uwierzyła w ani jedno słowo.

- O tej porze? - zapytała groźnie. - Dlaczego nie siedzi pan w poczekalni?

- Mam klaustrofobię - odparł Alaric. Posłał złe spojrzenie pekińczykowi. Jego płaską mordkę wykrzywił psi grymas głębokiego niesmaku, przypominający minę właścicielki. - Doktor Rabinowitz idzie mojej żonie na rękę z jej wariackimi godzinami pracy. Jest supermodelką.

- Phi. - Staruszka zmierzyła go wzrokiem i oddaliła się pospiesznie.

Alaric stał pod budynkiem sąsiadującym z numerem 910 - oczywiście nie na widoku; opierał się o boczną ścianę, gdzie mogły go zauważyć tylko starsze panie, które wyprowadzały swoje niemożliwie małe pieski i spoglądały na niego z dezaprobatą. Podobało mu się tu.

Nie chodziło o Niebieskowłosą, choć i ona mu się spodobała - lubił kobiety z ikrą, bo przypominały mu Betty i Veronice.

Podobał mu się apartamentowiec przy Park Avenue 910 i jego mieszkańcy. Przynajmniej ci żywi.

Okazały ceglany budynek na samym rogu, dobrze utrzymany prezentował się elegancko.

Rośliny w donicach po obu stronach automatycznych drzwi były zdrowe i bujne. Drzwi osłaniała zielona markiza, a pod nią rozciągał się nienagannie czysty czerwony dywan. Drzwi, pilnował portier, młody i pełen zapału, by dobrze wykonywać swoją pracę. Alaric widział, jak przegania dostawców chińszczyzny, którzy chcieli wśliznąć się do budynku i wsunąć ulotki pod drzwi lokatorów.

Portier sprawdzał też starannie nazwisko każdego gościa, przybywającego na przyjęcie u Antonescu, i dopiero po potwierdzeniu, że jest na liście, wpuszczał na górę. Alaric wiedział, że nie wejdzie na przyjęcie bez zaproszenia... Chyba że użyłby siły.

Tą kartą nie chciał zagrywać. Jeszcze. Budynek miał dwadzieścia pięter, a Antonescu mieszkali na dziesiątym i nie było tam schodów pożarowych, więc sztuczka z wpadaniem przez okno na linie też nie wchodziła w grę.

Zanim wymyśli sposób, jak przemknąć się przez garaż w podziemiach albo przez służbowe drzwi, zdąży nauczyć się na pamięć wszystkich rejestracji samochodów parkujących przed domem.

Ale nie musiał się spieszyć. Spokojnie zaplanuje kolejny ruch.

Poprzedniego wieczoru zameldował się w hotelu Peninsula i bardzo mu się podobała ta poprawa standardu w porównaniu z Chattanooga. Hotel miał kilka bonusowych kanałów kablówki, które mógł oglądać - tak! - na plazmowym telewizorze, mocząc się w wielkiej, głębokiej wannie bez gumowych pasków na dnie. Miał też pościel Frette, nie wspominając już o krytym basenie w przeszklonym atrium na dachu, w którym mógł nadrobić stracone treningi. Menu roomserwisu było długie i urozmaicone, a w kilku barach i kawiarniach siadywały atrakcyjne kobiety wszelkich narodowości, pisząc SMS-y do koleżanek przy filiżance herbaty, po całodniowych zakupach. O nie, Alaricowi nie spieszyło się, żeby opuścić Manhattan.

Gdyby nie jeden drobny, nieprzyjemny haczyk.

Sam powód, dla którego tu przyjechał.

Ale jeśli mejl od Martina nie był fałszywym alarmem, księżę przybył do miasta z tego samego powodu: by dopilnować, żeby nikt nie wyssał życia z kolejnej niewinnej dziewczyny.

Teczka ze zdjęciami wszystkich ofiar czekała już na Alarica, kiedy się zameldował.

Zawartość przeraziła go.

A mało co przerażało Alarica; przez dwadzieścia lat służby w Gwardii widział już wszystko. Zdjęcia nie zostały opatrzone nazwiskami. Biuro koronera podejrzewało - sądząc po plombach dziewcząt - że pochodziły z Europy Wschodniej, może nawet z Rosji, i były nielegalnymi imigrantkami...

...co wyjaśniałoby, dlaczego nie zgłosił się nikt, kto mógłby je zidentyfikować.

Alaric nadał im amerykańskie imiona, pasujące do amerykańskich snów o dobrobycie, które zapewne przygnały je do tego kraju.

Pierwsza, długowłosa Aimee, znaleziona wczesnym rankiem ledwie dziesięć dni temu w Środku Central Parku.

Potem ruda Jennifer, znaleziona kilka dni później przez sprzątacza w Bryant Parku.

Ostatnią ofiarę nazwał Hayley. Jej zdjęcie poruszyło go chyba najmocniej, bo przypominała córeczkę Martina, Simone. Obie były ciemnoskóre, czarne włosy okalały twarze loczkami, wijącymi się jak korkociągi.

Znaleziono ją w ostatni weekend w Central Parku, jak Aimee...

Alaric, oglądający zdjęcia w hotelowym pokoju, dostrzegł to, czego nie dostrzegli ci nieliczni funkcjonariusze spoza biura koronera, którzy widzieli ciała, i o czym nie miała pojęcia publika. Przyczyna śmierci wydawała się oczywista, a po przesłaniu zdjęć do Watykanu nie ulegało wątpliwości, kto - czy raczej co - ponosi winę za morderstwa.

Jedyną niewiadomą było, czy Gwardia zdoła unicestwić mordercę - właściwie morderców, bo Alaric po obejrzeniu zdjęć uważał, że było ich więcej - zanim zrobi to książę.

Alarica wciąż dręczyła myśl, że wampir mógł przyjechać do Nowego Jorku w tym samym celu, co on. I to nie byle jaki wampir, ale sam książę ciemności. Podejrzał jednak, że księciu nie chodzi o zamordowane dziewczęta. Dla niego te morderstwa wiązały się tylko z ryzykiem, że istnienie osobników jego rodzaju zostanie ujawnione przed opinią publiczną. Bał się, że ludzie odkryją, iż wampiry nie są tylko wytworem gorączkowej wyobraźni Brama Stokera. Zresztą Alaric musiał uczciwie przyznać, że Watykan zadaje sobie tyle samo trudu, co wampiry, by utrzymać sprawę w tajemnicy. Nie potrzebowali paniki, jak ta, która wybuchła na Bałkanach w XVIII wieku, kiedy ciemni wieśniacy, mamieni przez szarlatanów nazywających się „pogromcami wampirów”, kupowali kosztowną „broń na wampiry” i rozkopywali groby swoich krewnych, by uciąć im głowy, przekonani, że są nieumarłymi.

Poniekąd logiczne, że książę przyjechał tu, by powstrzymać morderców, tak samo jak gwardziści. Martwił się nie mniej niż Watykan, że prawda o wampirach wyjdzie na jaw.

Mimo to Alaric nie posiadał się z wściekłości, że może mieć taki sam cel, jak najgroźniejszy seryjny morderca wszech czasów.

Oczywiście Alaricowi przyświecał też inny cel: zamierzał znaleźć i zniszczyć księcia. Czy jego szefowie z Gwardii Palatynskiej to pochwalali, czy nie.

Spędził dużo czasu w basenie, chcąc treningiem zagłuszyć frustrację, a po pływaniu zjadł doskonały lunch w Per Se.

Nie zachwycały go okoliczności, w jakich się tu znalazł, ale przynajmniej dobrze jadał.

Nie groziło mu, że umrze z głodu, gdy sterczał na Park Avenue i nie odrywał wzroku od budynku 910 - może księżę się pojawi. Zaczynał nawet, choć z niechęcią, myśleć, że podziwia ludzi, których obserwował. Państwo Antonescu byli bogaci - śmierdząco, obrzydliwie bogaci. Podobnie jak on, zdawali się czerpać radość z wygodnego życia. Mieli letni dom w Rumunii, całkiem spory, sądząc ze zdjęć, i lubili chodzić do drogich restauracji. Wczoraj jedli kolację w Four Seasons.

Chociaż „jedli kolację” to umowne określenie. Oczywiście nie jedli dużo jako ohydne, nieżywe, szatańskie twory.

Zona była prezeską wspólnoty mieszkaniowej Park Avenue 910 - rady, która decydowała, komu wolno zamieszkać w budynku. Bez wątpienia dlatego, by nie dopuszczać hołoty (takiej jak ja, domyślał się Alaric).

Ciekawe, że nikt, z kim rozmawiał, nie powiedział o niej złego słowa, i nikt nie reagował na jego aluzje, że pani Antonescu może być nieumarłą, która sypia w trumnie. To jeszcze jedna bzdura, którą Stoker rozpowszechnił w swojej książce. Wampiry nie potrzebowały sypiać w trumnach ani mieć w pobliżu ziemi ze swojego grobu. Więc albo nie była wampirem, albo ona i jej mąż zasymilowali się lepiej niż jakiegokolwiek demony, z którymi siej zetknął.

Należała nawet do kilku komitetów charytatywnych; jeden z nich, na przykład, pomagał fundować letnie] obozy dzieciom chorym na raka.

Rak. Niezła przykrywka dla krwiopijcy.

Mąż, właściciel i zarządca licznych nieruchomości w całym mieście, często towarzyszył żonie w imprezach charytatywnych.

Ha! Wampiry, które chodzą na bankiety, żeby zbierać pieniądze na letnie obozy dla dzieci... chorych na raka! Przechabawne. Nawet bardziej zabawne niż Betty i Veronica.

Teraz będzie mógł powiedzieć Martinowi, że widział już wszystko.

Simone chwyciła słuchawkę, kiedy Alaric i jej ojciec wciąż śmiali się z „dobroczynnych wampirów”, i powiedziała:

- Wujku Alaricu?

- Tak, skarbie?

- Dopadniesz te paskudy, które zjadły tatusiowi twarz?
- Na pewno - odparł, poważniejąc natychmiast. - Dopadnę.

Tak jak zamierzał dopaść tych, którzy zabili Aimee, Jermifer i Hayley - czy jak tam naprawdę miały na imię ofiary.

Bo właśnie o to chodziło. Jeśli Antonescu naprawdę byli spokrewnieni z Lucienem Antonescu, a on naprawdę był księciem ciemności, Alaric ich zniszczy. Co do jednego. Nie obchodziło go, czego chcą przełożeni z Watykanu, ani ile pieniędzy państwo Antonescu ofiarowali, żeby dzieci chore na raka mogły jeździć na obozy. Byli pasożytami - jak kleszcze - które należy wytepić. Zapłacą za to, 00 zrobili Martinowi. I tej dziewczynie, Sarze, z Wal-Marta w Chattanooga. I tym niezidentyfikowanym zabitym dziewczętom, które leżą w kostnicy.

I niezliczonym innym, podobnym do nich, wykorzystywanym i okaleczanym. Alaric napatrzył się na to przez lata służby w Gwardii, wampiry trzeba likwidować. Bo inaczej będą stwarzać więcej takich samych kreatur, które z kolei dopadną kolejne ofiary, jak Martin, Sara i te dziewczyny.

Wampiry były brudnymi szumowinami. I roznosiły ten brud - i tę chorobę - na każdego, kogo tknęły.

Należało je wybić do nogi.

Nie ma co nad tym deliberować.

On będzie czekał pod apartamentowcem przy Park Avenue 910. Nie obchodzi go, ile starszych pań, mijając go, zapyta, co tu robi. Jeśli będzie musiał, pokaże im zdjęcia Aimee, Jennifer i Hayley.

A może przy okazji także zdjęcia tego, co było kiedyś twarzą Martina. To je uciszy.

Rozdział 25

0.30 czasu wschodniego, piątek 16 kwietnia
Park Avenue 910 mieszkanie 11A Nowy Jork

Mary Lou i jej mąż robili, co mogli, by kieliszek Meeny przez cały wieczór nie opróżnił się bardziej niż do połowy.

Ale Meena pilnowała się, żeby nie pić za dużo. Ostatnia rzecz, jakiej chciała, to schlać się na oczach ludzi, których codziennie spotykała w windzie.

Nie wspominając już o księciu.

Dopiero kiedy Mary Lou spytała, czy ktoś chce kawy, zdała sobie sprawę, jak jest późno.

Zauważyła też, że brat; ukradkiem spogląda na zegarek, widocznie jego towarzyszka przy kolacji, Becca, nie zdołała go wyleczyć z platonicznej miłości do Taylor MacKenzie. Tak czy inaczej, minęła północ.

- Och - powiedziała z prawdziwym żalem. - Tak mi przykro. Muszę już iść. Wstaję rano do pracy. No i trzeba wyprowadzić psa.

- Ja to zrobię. - Jon zerwał się z kanapy aż nieprzyzwoicie szybko, Meena była zażenowana.

- Przyłączę się do ciebie, Meeno, jeśli nie masz nic przeciwko. - Lucien odstawił kieliszek. - Z przyjemnością trochę rozprostuję nogi po tej pysznej kolacji.

Poczuła, że płoną jej policzki. Nie do wiary. Nie zdarzało jej się to od wieków.

- Będę zachwycona - odparła. Nie wypominała mu, że ledwie skubnął tę „pyszną kolację”.

Twierdził, że jeszcze nie do końca przestawił się na nowojorski czas.

Jon klapnął z powrotem na miejsce; z trudem ukrywał rozczarowanie.

- Więc pewnie sami sobie poradzicie.

Becca wyjęła telefon i przeglądała aplikacje, patrząc wszędzie, byle nie na Jona.

- Doskonały pomysł - stwierdziła entuzjastycznie Mary Lou. - Idźcie na spacer. Taka piękna noc. Czy nie jest piękna, Emilu?

- Tak, piękna.

Wydawał się lekko zaniepokojony, kiedy wysyłał pokojówkę po płaszcz księcia.

- Przejdziemy się tylko kawałek ulicą - zapewnił Lucien.

- To ja biegnę po Jacka - powiedziała Meena. wymknęła się na korytarz, słysząc, że Jon żegna się pospiesznie i pędzi za nią, nie przejmując się, że jego zachowanie będzie źle odebrane.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał, kiedy weszli do mieszkania i zamknęła drzwi. - Ten facet ci się podoba czy jak?

- Hm, niech pomyślę. - Zdjęła płaszcz z wieszaka, włożyła na siebie i mocno ściągnęła paskiem w tali. Jack Bauer, wariując z radości, tańczył wokół niej. - Co miałoby mi się nie podobać? Jego maniery ze starego świata, mroczna uroda czy może to, że ja mu się spodobałam i pewnie będzie kiedyś ojcem moich dzieci?

Jon, który po wejściu wyciągnął się na kanapie, podniósł głowę i gapił się na siostrę.

- Myślałem, że nie zamierzasz mieć dzieci. Bo nie chcesz być najgorszą, najbardziej nadopiekuńcza matką świata i wszędzie za nimi chodzić z bąbelkową folią i strzykawkami z adrenaliną, bo od chwili narodzin będziesz wiedziała, jak i kiedy umrą.

- No dobra. - Meena pociągnęła nosem. - To była figura retoryczna. Tak naprawdę wcale nie chcę mieć z nim dzieci. Ale teraz serio. Co o nim myślisz?

- Chyba jest w porządku - stwierdził Jon, kładąc głowę z powrotem i biorąc pilot. - Jeśli się lubi takie mroczne, tajemnicze typy.

- Masz rację. - Zdjęła smycz z haczyka na ścianie i przypięła do obroży podskakującego psa. - Musisz częściej schodzić z tej kanapy, Jon. Lucien Antonescu to facet idealny.

- Chciałaś znać moje zdanie. - Jon włączył telewizor. - Nie miej do mnie pretensji, jeśli spróbuje cię pożreć w jakiejś ciemnej bramie.

- Ech, pomarzyć zawsze można - westchnęła. - A ty mogłeś być trochę miłszy dla Becki. Wydaje się urocza.

Jon zrobił głupią minę.

- Myślałem, że ma na imię Becca.

Meena przewróciła oczami.

- Jeśli nie wrócę za godzinę, to nie czekaj.

- Pamiętaj o bezpiecznym seksie - zawołał za nią. Spojrzała na brata przez ramię, krzywiąc się z niesmakiem.

- Pamiętaj naszą rozmowę sprzed pięciu sekund, kiedy mówiłam, że nie chcę rujnować życia przyszłego potomstwa? Zawsze pamiętam o bezpiecznym seksie.

- No i dobrze. - Jon podkreślił głośność TopGear. - Bo jestem za młody na wujka.

Meena znów przewróciła oczami, ale w ostatniej chwili złapała swoją drugą torebkę - tę dużą, w której miała zapasik prezerwatyw, pozostały po nieszczęsnej randce z niedoszłym zawałowcem, co oczywiście było z jej strony wyłącznie myśleniem życzeniowym - i wyszła z mieszkania.

Nie zaszkodzi być ostrożną, myślała. I przygotowaną. Chociaż oczywiście do niczego nie mogło dojść. Przecież to książę! Książęta nie robią takich rzeczy. Na pewno nie na pierwszej randce.

Lucien czekał na nią w korytarzu i wyglądał właśnie tak, jak opisał go Jon - mrocznie i tajemniczo. Serce Meeny zabiło żywiej na jego widok.

- Cześć - powiedziała nagle zmieszana. Okej. Co ona wyprawia?

- Witam.

Spojrzenie jego ciemnych oczu zdawało się przenikać ją na wylot. Te oczy nie wydawały jej się już smutne. Była przekonana, że wiedział nie tylko o tym, że wzięła torebkę z prezerwatywami, ale też wiedział dokładnie, jak wygląda bez sukienki.

A najdziwniejsze, że nie miała nic przeciwko temu.

Szkoda tylko, że Jack Bauer miał mnóstwo przeciwko temu. Przynajmniej tak wyglądało; szarpał się na smyczy i warczał.

- Przepraszam. - Była zawstydzona zachowaniem psa.

- Nie ma za co - odparł Lucien z uśmiechem. Wcisnął guzik windy. - Chyba jest trochę nerwowo.

- Łagodnie mówiąc. Dlatego nazwaliśmy go Jack Bauer.

- Jack Bauer. - Patrzył na psa, który nie przestawał na niego warczeć. - Och, rozumiem. Po tym bohaterze z serialu.

- Tak. - Ucieszyła się, że wreszcie załapał jakieś odniesienie do amerykańskiej popkultury. - Oglądałeś?

- Kawalek. - Z jego głosu przebijała niechęć. Nie podobał mu się serial. - Nie lubię oglądać programów, gdzie pokazują tortury.

- Ach tak. - Chciała zapaść się pod ziemię. Chyba miał osobiste powody, żeby nie lubić takich wątków. Może był torturowany, na przykład kiedy służył w wojsku? Całkiem prawdopodobne. Meena prawie nic nie wiedziała na temat historii Rumunii, a jeszcze mniej o jej akcjach wojskowych.

Ale wydawało jej się, że pamięta coś... Och, coś okropnego. Dlaczego szybciotko nie wygoogłała Rumunii, kiedy była w mieszkaniu? Przynajmniej wyrobiłaby sobie jakieś pojęcie.

- No cóż. - Czuła się zażenowana. - Rozumiem cię. Ja nie lubię oglądać programów, w których ktoś umiera. - Tego miała aż za dużo w prawdziwym życiu. - Ale Jack Bauer torturował tylko złych ludzi.

- Czy możesz być tak pewna jak Jack Bauer - zapytał Lucien, kiedy drzwi windy otworzyły się i przytrzymał je dla niej z uśmiechem - że zawsze potrafisz odróżnić złych ludzi od dobrych?

To słowa sprawiły, że zawahała się, zanim weszła do kabiny. Jack Bauer cofał się i nie miał ochoty opuszczać korytarza. Meena przypomniała sobie uwagę Jona o ciemnych bramach i swoją żartobliwą odpowiedź.

No więc, czy potrafiła odróżnić złych ludzi od dobrych? Leisha twierdziła, że David, którego Meena zawsze uważała za dobrego, był złym człowiekiem - ale jakoś nie potrafiła przyznać jej racji. Ostatecznie poszedł tylko za głosem serca, czyż nie?

Prawdę mówiąc, Meenie żyło się bez niego dużo lepiej. Gdyby została z Davidem, byłaby teraz kurą domową w New Jersey, gdzie przeprowadził się z nową żoną; i dzieckiem w drodze, żeby otworzyć praktykę.

Nie takiego życia pragnęła dla siebie. Kochała swoją pracę, Nowy Jork, nawet jeśli nie wszystko układało się doskonale.

Podsumowując, jej historia z Davidem dobrze się skończyła.

A teraz stał przed nią Lucien, który uratował jej życie. To dowodziło że jest szlachetnym człowiekiem, prawda? Z całą pewnością.

No dobra, może Jack Bauer go nie lubił.

Nie lubił też Mary Lou i Emila, od pierwszego dnia, kiedy Meena przywiozła go ze schroniska.

Dziwne, przecież oni byli uroczy, nie licząc śmiertelnie nudnych rozmów w windzie. No i przekazali dużo pieniędzy na cele dobroczynne.

Uśmiechając się do Luciena, ostrożnie przekroczyła szparę między kabiną windy a podłogą holu, pamiętając o swoich szpilkach.

- Myślę, że ty jesteś dobrym człowiekiem - powiedziała z powagą, kiedy wszedł za nią do windy. - I Jack Bauer też tak uważa. Może tylko trzeba go dłużej przekonywać, bo ma mózg wielkości orzeszka.

Niestety, pupil zilustrował ten fakt, zatrzymując się w progu windy, kiedy drzwi zaczęły się zamykać; Meena odwróciła się i mocno szarpnęła za smycz. Pies zaskowyczał i uderzył ciałem w jej nogi, zachwiała się i wpadła prosto w ramiona Luciena.

- Och - bąknęła. - wybacz.

- Nie masz za co przepraszać. Nic ci nie jest?

- Nic. - Nie potrafiła oderwać spojrzenia od jego oczu. Wyglądało na to, że jedno nie ma ochoty puszczać drugiego.

Stali tak, patrząc sobie w oczy, przez dobrych pięć sekund. Oddech Meeny stał się dziwnie płytki. Zastanawiała się, czy i on też ma wrażenie, że między nimi przepływa prąd...

A może to znów sprawka nadaktywnej wyobraźni. Puls przyspieszył i bił nierówno. Jedynym dźwiękiem, nie licząc ziania Jacka Bauera, było brzdękanie windy na każdym piętrze. Meena nie chciała przerywać milczenia; pomyślała, że to takie milczenie, podczas którego wszystko może się zdarzyć.

Czuła, że on może nawet schylić się i pocałować ją, gdyby tylko trzymała buzię na kłódkę wystarczająco długo, żeby na to pozwolić.

Oczywiście nie dała rady. Zjadły ją nerwy.

- Co takiego cię spotkało, że nie możesz patrzeć na filmy z torturami? - zapytała lekko zachrypniętym głosem.

Wpatrywała się w jego twarz, żeby wysondować reakcję.

Pozostała nieprzenikniona. Na jej pytanie odpowiedział pytaniem:

- A co spotkało ciebie, że nie możesz patrzeć na filmy, w których ktoś umiera?

Opuściła ręce, oparte na jego ramionach, i odwróciła się do drzwi, kiedy zapaliła się literka P i drzwi otworzyły się, ukazując hol na parterze.

- Nic takiego - odparła z nonszalanckim śmiechem i pociągnęła do holu niegrzecznego Jacka Bauera. - Po prostu lubię szczęśliwe zakończenia i tyle.

- Ja też. - Wychodząc za nią, uśmiechnął się. - Jutro zacznę oglądać twój serial.

- Och. - Ucieszyła się. - Świetny odcinek, polecam, i Cheryl znów znajdzie się w ramionach ojca Juana Carlosa, zobaczy ich, całujących się, największa plotkara w mieście i rozpęta się piekło. Nie możesz tego przegapić.

Roześmiał się.

- Będę siedział przyklepiony do ekranu. Minęli Pradipa, który pomachał im z wesołym:

- Dobry wieczór, panno Harper!

Wyszli na nocne powietrze, dość chłodne po zachodzie słońca. Meena, tak szczęśliwa, jak nie była od wieków, ruszyła utartą trasą spaceru z Jackiem Bauerem.

Ale Lucien wziął ją pod ramię i delikatnie skierował . w inną stronę.

- Tędy - powiedział. - Chciałbym ci coś pokazać.

Uśmiechnęła się zaskoczona.

- Naprawdę?

Zauważyła, że oddalają się od dwóch mężczyzn, którzy chyba sprzeczali się przed wejściem numeru 912, i od katedry Świętego Jerzego.

Jej serce wezbrało radością. Chciał ją chronić!

Minęły całe wieki, od kiedy jakiś mężczyzna - nie licząc portierów, bo dawała im hojne napiwki na święta - zadawał sobie trud, żeby chronić ją przed czymkolwiek.

Jon chyba uważał, że ona doskonale potrafi sama o siebie zadbać, ale też się nie liczył, przecież był jej bratem. Ojciec rozmawiał z nią tylko o drobiazgach, od kiedy ujawniła się jej umiejętność przewidywania śmierci, w tym również jego. Obydwoje rodzice uważali ją za swego rodzaju wybryk natury. Ilekroć odwiedzała ich na Florydzie, słyszała, jak klóć się szeptem, po której części rodziny odziedziczyła swoje zdolności - sporo wskazywało, iż może być winna cioteczna babka Wilhelmina.

I chociaż to prawda, że potrafi zatroszczyć się o siebie - pomijając atak nietoperzy i rycerskie zachowanie Luciena, dbałość o jej bezpieczeństwo sprawiło, że czuła się przez to bardzo kobieco.

Kto powiedział, że nie ma już rycerzy na świecie?

- Jaka to niespodzianka? - Z trudem ukrywała przepelniającą serce błogą radość.

- Taka, która ci się spodoba, jak sądzę. - Szli Siedemdziesiątą Dziewiątą ulicą, w stronę Piątej Alei. W tej części miasta były tylko luksusowe apartamentowce, hotele i Central Park...

I jeszcze jeden budynek, u zbiegu Osiemdziesiątej ulicy i Piątej Alei, do którego szybko się zbliżali.

- Metropolitan? - Spojrzała ze zdziwieniem na Luciena. Sięgnął po jej dłoń, kiedy przechodzili przez Piątą Aleję, zanim stanęli przed ogromnym gmachem, nieprawdopodobnie oświetlonym na tle nocnego nieba. Na schodach siedziało kilkoro ludzi - gawędzili, palili, nawet czytali książki w blasku podświetlonych kolumn. Próbowwała ignorować podniecające mrowienie, które poczuła, gdy wziął ją za rękę.

- Ale muzeum jest zamknięte o tej porze - wyjąkała. Nie była pewna, czy jako obcokrajowiec - nawet jeśli wykładał na uniwersytecie i dla przyjemności czytywał klasyków - zdaje sobie z tego sprawę.

- Dla większości ludzi. - Uśmiechnął się tajemniczo. Wciąż trzymając się za rękę, szli po długich schodach, które prowadziły do głównego wejścia Metropolitan Museum of Art.

Meenie aż zakręciło się w głowie, gdy czuła jego dotyk; nie trzymała smyczy tak mocno, jak powinna, kiedy dotarli pod nierzucające się w oczy, boczne drzwi, pies się wymknął.

- Och! Jack! - Puściła dłoń Luciena, żeby pobiec za zwierzakiem. Jack uciekł tylko do grupki studentów, którzy siedzieli kilka metrów dalej, słuchali iPodów i dzielili się pizzą, którą Jack był szczególnie zainteresowany. Kiedy wzięła już psa na ręce i przeprosiła studentów, którzy uśmiechnęli się do niej miło, odwróciła się i zobaczyła Luciena - stał przy otwartych drzwiach i czekał, żeby weszła z nim do ciemnego muzeum.

- Och. - Rozejrzała się. Nikt z siedzących na schodach chyba nie zauważył, że jej towarzysz właśnie włamał się do budynku pełnego bezcennych dzieł sztuki.

Przecież książę nie mógł mieć klucza do Metropolitan Museum of Art.

A może miał? Może wszyscy rumuńscy książęta - profesorowie mieli taki klucz.

- Jak ty to...? - urwała, wybuchając śmiechem. - Lucien, jak się tu dostałeś?

Uniósł czarną kartę z magnetycznym paskiem.

- Mówiłem ci. Muzeum gości mojego przyjaciela, w tym tygodniu on wygłasza odczyty. Pomyślałem, że zechcesz zobaczyć to, co będzie tematem. Chodź. Nie robimy nic złego.

Wciąż się wahała.

- Ale... Tu nie ma strażników?

- Nie martw się. Zajmę się nimi.

Uniosła brwi. Zajmie się nimi? Co to znaczy? Och, pewnie, że ich przekupi. Jasne.

Lucien jest księciem. Jest bogaty. I przyzwyczajony, że Wszyscy go słuchają. A szczególnie personel.

Pewnie ma mnóstwo służby. Pokojówki. Może nawet kamerdynerów. Obsługę letniej posiadłości. Pilotów swojego prywatnego odrzutowca.

Meena też miała służbę - gosposię, która przychodziła raz na dwa tygodnie i nie chciała robić prania.

- Ale... jestem z psem.

- Mały piesek nikomu nie będzie przeszkadzać. - Był nieprawdopodobnie przystojny, kiedy tak stał, mając za sobą ciemność; jedną rękę wyciągnął do Meeny, a drugą przytrzymał otwarte drzwi. - Zaufaj mi, proszę.

Najbardziej niewiarygodne to, że mu ufała. Ledwie się znali.

Ale dlaczego miałyby nie ufać? Uratował ją przed śmiercią, ryzykując własne życie. Jakie ma znaczenie niewielkie włamanie z wtargnięciem w porównaniu z czymś takim? Meena nigdy nie była skłonna do ryzyka - przynajmniej w swoich sprawach. Leisha ciągle jej truła o kompleksie supermana i rzeczywiście Meena zrobiłaby wszystko, by ocalić kogoś życie - jeżeli tylko ten ktoś jej na to pozwalał.

A jeśli chodziło o nią? Chociaż potrafiła zajrzeć w przyszłość obcych ludzi, nigdy nie mogła dostrzec, co los szykuje dla niej samej.

I zbyt wiele razy wybierała najprostsze wyjście - była z chłopakiem, który tak naprawdę jej nie kochał, nie narzekała na nielojalną współpracownicę, powinna zrobić to, co należało zrobić.

Jak ma postąpić teraz?

Wiedziała, że jeśli wsunie palce w dłoń Luciena Antonescu, może za to zapłacić nie tylko aresztowaniem przez policję.

Odda mu swoje serce.

Czy ma odwagę podjąć takie ryzyko?

Ale co innego jej pozostawało? Będzie siedzieć na kanapie jak Jon i czekać, aż idealną miłość, idealną pracę, idealne życie dostanie od losu w prezencie?

Skąd mogła wiedzieć, czy właśnie w tej chwili nie stoi przed szansą spełnienia marzenia o idealnej miłości? Skąd ktokolwiek mógł to wiedzieć?

Nikt tego nie wie. Po prostu trzeba zaryzykować.

Wsunęła dłoń w jego dłoń. Nie widziała w swojej przyszłości. Ale to nie znaczy, że jej nie miała.

- No dobrze - powiedziała z uśmiechem. - Pokaż mi. Pokaż mi wszystko.

Rozdział 26

0.45 czasu wschodniego, piątej 16 kwietnia
Park Avenue 910 Nowy Jork

Alaric zobaczył, jak wychodzą z budynku razem - wysoki, ciemnowłosy mężczyzna i drobna brunetka z krótkimi włosami, w trenczu mocno ściągniętym paskiem. Prowadziła na smyczy jakiegoś mieszańca pomeraniana. Pies szarpał się i szczerzył zęby, bardzo chciał zaatakować mężczyznę... - ...który wyglądał jak ten ze zdjęcia, Martin przysłał je mejlem - na okładce książki Luciena Antonescu.

Schował do kieszeni komiks Arenie i wyprostował się. Nie zamierzał sięgać po miecz.

Jeszcze nie. Postanowił, że pójdzie za nimi i sprawdzi, dokąd się udają, i czy ten mężczyzna nie zechce zrobić coś złego.

Kiedy tylko spróbuje - Alaric był pewny, że ręka władająca mieczem nigdy go nie zawiedzie - on odetnie mu głowę i będzie miał przyjemność patrzeć, jak księżę ciemności nareszcie zamienia się w proch.

A razem z nim wszyscy, których kiedykolwiek przemienił w wampiry.

Gdy już miał ruszyć za tą parą, na jego ramię spadła ciężka dłoń. Przestraszony - a nieczęsto dawał się podejść z zaskoczenia - odwrócił się z mieczem na w pół wysuniętym z pochwy... i stanął twarzą twarz ze swoim szefem.

- Niech cię licho, Holtzman. - Schował ostrze. - Co robisz? Chcesz, żebym cię wyfiletował?

- Łamiesz rozkaz, Wulf. - Abraham Holtzman, łysiejący facet, który postanowił śledzić władcę wszystkiego, co nie święte, był w dżinsach, na nogach miał sandały i skarpetki. Szyję zdobiła gwiazda Dawida. - Nie powinienes się tu znaleźć.

- Ładne skarpetki - rzucił Alaric. - Bardzo maskujące. Nikt na Manhattanie cię nie zauważy ani nie pomyśli, że nie jesteś z miasta. A teraz wybacz, idę zabić księcia ciemności, zanim zwieje.

- Stój! - Holtzman wyciągnął rękę, żeby zatrzymać Alarica. W tej samej chwili Lucien Antonescu dostrzegł ich i objął ramieniem młodą brunetkę, by poprowadzić ją w przeciwną stronę.

Księżę ich zdemaskował?

Poczuł zimny dreszcz, kiedy spojrzenie ciemnych oczu, to trwało sekundę, padło na niego. Czy księżę zgadł, kogo i co oni reprezentują? Zdawał sobie sprawę, że śledzi go Gwardia Palatyńska?

Alaricowi nie było dane dowiedzieć się tego. Holtzman sięgnął właśnie pod marynarkę i wyciągnął jedyną rzecz, która przerażała Alarica bardziej niż banda wampirów oszalałych od zapachu świeżej ludzkiej krwi:

Książeczkę *Polityka kadrowa Gwardii Palatynskiej*.

- Nie. - W Alaricu narastała irytacja. - Na litość boską, Holtzman, Nie musimy...

- Popatrz tu, Wulf. Na stronie czternastej jest napisane: „Jeśli oficer będzie świadkiem ranienia swojego partnera podczas pełnienia obowiązków, jest zobowiązany wziąć nie mniej niż dwa tygodnie urlopu wypoczynkowego, a oprócz tego obowiązkowo poddać się terapii psychologicznej”. Jak wiadomo, oczywiście się uchyliłeś, I dalej: „Nie zostanie ponownie dopuszczony do służby, dopóki nie spełni powyższych warunków”. Wszyscy wiemy, że jesteś pracoholikiem. Od lat nie wzięłeś wolnego dnia. To, co spotkało Martina w Berlinie, było koszarne. Potem sam tropiłeś całe gniazdo... Nie zaprzeczaj, widziałem raport. Nie twoja wina, że zeszli pod ziemię, i nie przez twoje zaniedbanie nie zostali znalezieni. Dlatego przymknęliśmy oko na to, że znów ignorujesz przepisy: Jednak, jeśli chodzi o księcia ciemności, będziesz musiał odstąpić i pozwolić nam... Alaric! Alaric, mówię!

Ale on usłyszał już więcej, niż był w stanie znieść, i pobiegł za parą, która właśnie zniknęła za rogami.

Oczywiście zdążył ich już zgubić.

Co było niemożliwe. Mężczyzna miał dobre metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a kobieta najwyżej metr sześćdziesiąt, i to na obcasach. Rzucali się w oczy jako para i z pewnością wyróżniali z tłumu. Na dodatek ona ciągnęła za sobą rudą, puchatą kulkę na czterech łapach.

Jak mogli tak po prostu zniknąć?

- Nie ma ich - wykrzyknął, kiedy Holtzman podbiegł do niego. - To twoja wina, ty biurokratyczny bufonie! Gdybyś tu nie stał i nie cytował mi polityki kadrowej...

- Nie zniknęli. - Uważnie przepatrzył ulicę. - On się z nami bawi.

- Co? - Holtzman szkolił go na początku służby, i Alaric zawsze szanował jego umiejętności.

Ale wywoływał w nim wściekłość upór tego człowieka, żeby robić wszystko według przepisów.

- Zobaczyl nas - powiedział przełożony. - I rzucił czar, żeby się chronić.

Alaric się speszył.

- Oczywiście. Dlaczego na to nie wpadłem?

Holtzman pokręcił ze smutkiem głową.

- A jak myślisz, dlaczego cię prosiłem, żebyś skupił się na przydzielonym zadaniu, czyli szukaniu mordercy dziewcząt, a nie na polowaniu na księcia? Jesteś w to zbyt osobiście zaangażowany. Twoje pragnienie, żeby zmieść cały wampirzy rodzaj za to, co zrobili twojemu partnerowi, sprawiło, że jesteś nieefektywny, wracaj do hotelu. Oczywiście jak zwykle najdroższego w mieście, tak słyszałem. Nie myślisz, mam nadzieję, że księgowość przyjmie rachunki z takiego miejsca. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie mogłeś zatrzymać się w mieście, w parafii Świętej Klary, jak ja.

Alaric zacisnął szczęki. Nie lubił, kiedy ktoś mu mówił, co mu wolno, a czego nie - nawet jeśli to był jego najstarszy mentor.

Ani że powinien mieszkać w spartańskich warunkach za pieniądze pracodawcy zamiast w luksusowym hotelu, za który płacił sam.

Nie lubił też słuchać, że osobiste uczucia czynią go nieefektywnym w pracy... nawet jeśli istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że to prawda.

Ale przede wszystkim nie podobało mu się, że spotkał wampira, który bez wysiłku posługiwał się taką mocą, jaką zdawał się posiadać Lucien Antonescu. Umiejętność zniknięcia tak po prostu na prawie pustym chodniku? I sprawienie, by jego towarzyszka - i jej pies! - także stali się niewidzialni?

Walczył już z potężnymi wampirami - pamiętał, że paru z Ameryki Południowej było wyjątkowo przerażających - ale żaden nie miał takich zdolności.

- Nie wiadomo, czy tu wróci - rzucił z irytacją Holtzman, patrząc na Piątą Aleję. - widział nas. Zdaje sobie sprawę, że wiemy o mieszkaniu Antonescu. Zgubiliśmy go.

Nie dodał: „I to jest twoja wina, Wulf?”. Ale Alaric wiedział, że tak właśnie myśli.

- Mamy przecież Mary Lou i Emila Antonescu. Możemy ich wykorzystać, żeby go odnaleźć.

- Nigdy nie zaczną sypać. - W głosie Holtzmana było słyhać żal. - A już na pewno nic nie powiedzą, jeśli ty ich będziesz przesłuchiwać. Odrąbiesz im głowy, zanim zdążę spytać, kto ich stworzył. Znam cię.

Alaric pokręcił głową. Wyprostował się i zawrócił, zamierzając udać się na Park Avenue 910.

- Wulf? - Holtzman był zaskoczony. Pospieszył za nim. - Wulf. Żartowałem z tym odrąbywaniem głów. Antonescu wciąż mogą być dla nas ważnym źródłem informacji. Nie zdradzajmy się jeszcze. Nie wiedzą, że ich namierzaliśmy. Może Lucien wcale nas nie widział, a może nie domyślił się, kim jesteśmy. Nie rób niczego pochopnie... Alaric przeszedł po czerwonym dywanie przed apartamentowcem. Mosiężne, dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się z szumem. Portier w ciemnozielonej liberii przerwał lekturę *Sztuka zmysłowego masażu*, uniósł wzrok znad książki i się uśmiechnął.

- Mogę w czymś pomóc, sir?

- Tak. - Alaric uśmiechnął się szeroko. - Mógłbym przysiąc, że przed chwilą widziałem przyjaciela ze studiów, wychodzącego z tego budynku. Wysoki, ciemnowłosa facet... Ale wskoczył do taksówki, zanim zdążyłem go zawołać. Czy to był on, Lucien Antonescu, czy zwariowałem?

- Lucien Antonescu? - Portier nie przestawał się uśmiechać. Obawiam się, że tu nie... Och, pewnie chodzi panu o tego wysokiego dzentelmena, który dziś gościł u państwa Antonescu! Tak, tak. Na liście figurował jakiś pan Antonescu.

- Wiedziałem - rzucił Alaric. W tej samej chwili do holu wpadł Holtzman. - Wiedziałem, że to Lucien!

Portier, na którego plakietce widniało imię Pradip, spojrzął na listę na biurku.

- Zgadza się. Pan Lucien Antonescu był dziś na przyjęciu u państwa Antonescu.

- Widzisz, tato - powiedział Alaric, zwracając się do Holtzmana. - Mówiłem ci, że to on.

- Tato? - Holtzman, kompletnie zbity z tropu, zrobił wielkie oczy.

- A ta piękna młoda kobieta z pieskiem, która była z Lucieniem - ciągnął Alaric, patrząc na portiera - to pewnie jego żona. Nie do wiary. Nie pochwalił mi się, że się ożenił!

- Och. - Pradip roześmiał się. - Nie, to panna Harper. Mieszka w tym domu. Nie, nie, panna Harper nie jest mężatką.

Alaric zrobił zawiedzioną minę.

- Poważnie? To nie żona Luciena?

- Nie, nie - zapewnił portier. Śmiał się już na całego, jakby sugestia, że panna Harper wyszła za pana Antonescu, była najlepszym dowcipem świata. - Panna Meena Harper mieszka ze swoim bratem, panem

Harperem. Oni i pański przyjaciel poznali się dziś na przyjęciu u państwa Antonescu, jak sądzę.

Apartamentowiec przy Park Avenue 910 zyskał w oczach Alarica kolejny punkt. Portier okazał się bardzo spostrzegawczy. Chociaż trochę za mało dyskretny, jeśli! chodzi o prywatne życie lokatorów... Alaric wiedział już jak nazywa się kobieta towarzysząca Lucienowi, że mieszka w tym budynku, z bratem. Całkiem sporo informacji, kiedy on powiedział na swój temat tylko jedno kłamstwo, że przyjaźnił się z Antonescu na studiach.

- Cóż, szkoda, że go nie złapałem - westchnął Alaric. - Wie pan co? Sprawdź, czy nie znajduję Luciena na Facebooku.

- Świetny pomysł. Na Facebooku można skontaktować się z każdym. Mnie przedwczoraj udało się odnaleźć koleżkę, którego nie widziałem od przedszkola. Uwierzy pan?

- Widzisz, tato? Facebook, tak się to robi.

Holtzman wyglądał na lekko ogłuszonego.

- Facebook?

Alaric puścił portierowi oczko.

- Dzięki, Pradip - powiedział. - Pewnie nie wiesz, gdzie Lucien się zatrzymał, co?

- Och, nie. Ale jeśli chce pan zadzwonić do państwa Antonescu, na pewno z chęcią panu... - Podniósł słuchawkę domofonu.

- Nie trzeba. - Alaric unióśł rękę. - Nie chcę im zawracać głowy o tej porze. Może wpadnę kiedy indziej, dzięki.

Odwrócił się i wyszedł z budynku, a Holtzman podążył zanim.

- Imponujące. - Przełożony był pod wrażeniem. - Aż miło patrzeć, jak dla odmiany używasz techniki, której cię nauczyłem, zamiast na oślep machać mieczem.

- Staram się unikać zabijania cywilów, jeśli to tylko możliwe. - Alaric posłał szefowi zirytowane spojrzenie. - Tego też mnie nauczyłeś, pamiętasz?

- Pamiętam. Ale co właściwie osiągnąłeś? Ostrzegłeś Antonescu, że o nich wiemy. Portier na pewno im powie, że byliśmy. Nie jesteśmy ani o krok bliżej znalezienia księcia.

- To prawda. Ale znamy nazwisko dziewczyny.

- Niby co nam z tego przyjdzie?

- O, całkiem sporo, jak sądzę. Doprowadzi nas prosto do niego.

Po czym dodał zamyślony:

- Oczywiście jeśli przeżyje dzisiejszą noc.

Rozdział 27

01.00 czasu wschodniego; piątek, 16 kwietnia
Metropolitan Museum of Art
Piąta Aleja 1000 Nowy Jork

Meena spędziła sporo czasu w Metropolitan Museum of Art, kiedy przeprowadziła się do Nowego Jorku. Szczególnie przyciągał ją wizerunek Joanny d'Arc autorstwa Jules'a Bastiena-Lepage'a, w XIX-wiecznym skrzydle; często oglądała obraz.

Ukazywał Joannę stojącą na podwórku domu rodziców; zapatrzona w przestrzeń słuchała głosu anioła. Anioł unosił się za jej plecami - eteryczna istota o białych skrzydłach - i zdawał się szeptać jej do ucha.

Obraz nie miał w sobie nic szczególnego, zdaniem ekspertów. W porównaniu z innymi skarbami znajdującymi się w muzeum był uważany za jedną z mniej znaczących prac w kolekcji.

Ale Meena po wejściu do muzeum zawsze kierowała się najpierw do tego płótna; kiedy czuła się zniechęcona, pozbawiona nadziei, potrafiła patrzeć na nie i przez godzinę, w towarzystwie też zdołowanych nieszczęśliwców!

Tej nocy, gdy księżę Lucien wciągnął Meenę do Metropolitan, nie poszli do XIX-wiecznego skrzydła.

Skierowali się w stronę ekspozycji sztuki średniowiecznej na parterze, przecinając ciemną i cichą Wielką Salę.

Dziwnie czuła się w muzeum, kiedy nie było ludzi. Nigdy nie widziała tych sal tak pustych i tak cichych.

Słyszała rytmiczny stukot swojego serca, trochę przyspieszony. Mimo zapewnień Luciena, że nie robię niej złego, nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest w tym coś nielegalnego. Przecież to oczywiste!

Na dodatek on znów trzymał Meenę za rękę.

Jego palce zawsze były chłodne w dotyku, ale uścisk dłoni w dziwny sposób dodawał jej otuchy, jak wtedy, przed katedrą Świętego Jerzego.

Wyczuwała w Lucieniu niemal dziecięce podniecenie, jakby nie mógł doczekać się, żeby pokazać jej skarby muzeum. Prowadząc ją coraz dalej, położył palec na ustach.

- Nie uruchomimy żadnych alarmów? - spytała nerwowo Meena; trzymała kurczowo pod pachą Jacka Bauera, który usiłował się wyrwać.

- Tylko jeśli spróbujesz coś ukraść - zażartował księżę.

- Hm, w takim razie będę musiała się powstrzymać. - Dobrze, pomyślała, że nareszcie odsłonił pogodniejszą stronę swojej natury. Może i nie oglądał brutalnych scen w telewizji. Umiał się bawić.

Po chwili otoczyły ich przepiękne tryptyki z Madonną i Dzieciątkiem i wysadzone klejnotami złote krucyfiksy, które zdawały się pałać nieziemskim blaskiem w podświetlonych gablotach.

Książę pokierował ją dalej, w stronę kolekcji XV-wiecznych portretów i drzeworytów. Nie mogła odczytać podpisów na dziełach, bo było za ciemno, ale Lucien wyjaśnił:

- Te przedstawiają księcia Vlada Tepesa z Wołoszczyzny, wiesz, tego, o którym ci mówiłem, naszego bohatera narodowego. Żył w czasach pierwszych drukowanych ksiąg, więc pozostało sporo historycznych dokumentów z nim związanych. Jego ojciec, Vlad Drugi, był członkiem Zakonu Smoka, założonego przez króla Węgier, żeby zjednoczyć sąsiednie królestwa przeciwko Imperium Otomańskiemu. Vlad Tepes również został członkiem zakonu, w wieku pięciu lat... a niedługo później ojciec oddał go i jego młodszego brata sułtanowi tureckiemu jako zakładników. Mieli stanowić osobistą gwarancję, że Vlad Drugi nie zaatakuje sułtana, dopóki chłopcy będą pod jego dachem.

- O rety. - Meenie trochę popsuł się humor. Ta historia mogła zdołować.

Ale chyba nie powinna się dziwić okrucieństwu Vlada Drugiego, który dla celów politycznych poświęcił synów; na portrecie nie wyglądał sympatycznie. Miał czarne, groźne wąsiska i oczy jak guziczki. Ciekawe, czy młody Vlad był podobny do ojca?

A może po prostu w tamtych czasach nie umieli dobrze malować.

Meena zawsze unikała tej części muzeum. Bardziej interesował ją romantyzm...

Lucien chyba tego nie zauważył. Profesor historii entuzjastycznie podchodził do tematu największego bohatera swojej ojczyzny.

- Chociaż jego brata sułtan faworyzował, Vlada nie traktowano dobrze na otomańskim dworze - ciągnął. - Kiedy odziedziczył tron po ojcu i wrócił na Wołoszczyznę, do domu, wciąż był trochę rozgoryczony tą całą historią, a i potem, jak sądzę, nie działo się lepiej. Miał bardzo nieszczęśliwe życie, pełne smutku. Jego pierwsza żona, którą kochał całym sercem, była piękną i niewinną dziewczyną. Niektórzy szeptali nawet, że to anioł na ziemi.

Meena uniosła brwi, słysząc to, i zobaczyła, że Lucien się uśmiecha.

- No właśnie - powiedział. - Tak sądziłem, że spodoba ci się ta część opowieści.

Wziął ją za rękę i poprowadził do prymitywnego, czarno-białego drzeworytu, przedstawiającego zamek z wieżyczkami i rzeką u jego stóp.

- Niestety - mówił dalej głosem, który Meenie wydał się celowo pozbawiony emocji - opowieść nie ma takiego zakończenia, jakiego byś chciała. Vlad i jego żona żyli w burzliwych czasach. Kiedy usłyszała, że ich zamek jest oblegany przez Turków, którzy, jak głosiła wieść, byli okrutni wobec pojmanych kobiet z rodzin królewskich, rzuciła się z okna wieży. Wolała zginąć, niż czekać na to, czego mogła doświadczyć z ich rąk.

Meena gwałtownie chwyciła powietrze, zerkając na drzeworyt.

- Spadła do rzeki i utonęła - ciągnął Lucien tym samym obojętnym tonem. - Rzeka dziś nazywa się rzeką Księżniczki.

- Och. - Meena westchnęła żałośnie. Coraz mniej podobała jej się ta historia. - To takie smutne!

- Tak, to smutne. A dalej jest jeszcze smutniej. Vlad poślubił ją z miłości... co było rzadkie w tamtych czasach. Po jej śmierci nie mógł dojść do siebie. Niektórzy mówią, że oszalał. Zaczął traktować swoich wrogów, a nawet własnych poddanych... i własnych synów... Cóż, w godny pożałowania sposób.

Jego ton nie odzwierciedlał żadnych emocji i pewnie nikt inny nie zauważyłby najlżejszej zmiany w głosie, ale Meena wiedziała, że księżę mówi o swoim dzieciństwie. To jego ojciec traktował w „godny pożałowania sposób”. Była pewna...

...i nabrała jeszcze większej pewności, kiedy dostrzegła żar w jego oczach, gdy wpatrywał się w drzeworyt.

Serce ścisnęło się jej z żalu. To prawda, był księciem, był przystojny, bogaty i światowy. Ale ona wiedziała, jak to jest mieć problemy. Prawdziwe problemy. Takie, które nie dają spać po nocach, każą wstawać po omacku i sięgać po buteleczki z pigułkami nasennymi.

Meenę ogarnęła potrzeba, nagłą i żarliwa, by go ratować... Taka sama, jak w przypadku każdego spotkanego człowieka, o którym wiedziała, że niebawem umrze.

Ale Luciena chciała ratować przed smutkiem, widocznym w jego brązowych oczach. Tyle że nie wiedziała jak. Umiała ratować ludzi tylko przed ich przyszłością, a i to nie wychodziło jej najlepiej. Jak można uratować kogoś przed przeszłością?

Lucien otrząsnął się szybko ze smutku, uściśnął jej dłoń i powiedział z uśmiechem:

- Przepraszam, Meeno. Mówiłaś, że lubisz szczęśliwe zakończenia, a ja opowiedziałem ci tę ponurą historię. Nie wiem, dlaczego poczułem potrzebę podzielenia się nią z tobą. To ważna historia. Dla mnie. Dla mojego narodu. Ale na pewno nieodpowiednia dla takiej kobiety jak ty, pełnej życia i radości.

Uniosła brwi. Rany, mylił się co do niej, totalnie.

- Ale chodzi o to - wciąż się uśmiechał - że Vlad Tepes to największy rumuński bohater. Jest jak wasz generał Waszyngton. Gdyby nie on, nie istnielibyśmy jako kraj.

- Godne uznania. Należą mu się brawa.

Nie bardzo mu wierzyła. I nie chodziło o tego całego Vlada, kimkolwiek był. Chodziło o uśmiech Luciena. Fałszywy, wciąż wyczuwała w nim utajony smutek...

Wiedziała, jakie to uczucie, gdy doskwiera samotność, bardzo chciała znaleźć lekarstwo na jego ból.

Błądził spojrzeniem po sali, szukając czegoś, co mogłoby pomóc.

Po chwili to ona prowadziła jego, w stronę ikony, która połyskiwała złotem w podświetlanej gablocie.

- Popatrz - rzuciła triumfalnie, myśląc: och, świetnie, na pewno zadziała. - To bardzo odpowiedni obrazek, jeśli sobie przypomnimy, jak się poznaliśmy. Uśmiechnęła się.

Malowidło na desce przedstawiało dzielnego rycerza na rumaku; przeszywał lancą serce smoka wijącego się pod kopytami koma.

- Ach, tak - powiedział Lucien tym samym suchym, obojętnym tonem. - Święty Jerzy. Smok strzegł źródła, nie pozwalał mieszczanom czerpać wody, dopóki nie złożą mu dziewicy w ofierze. Ale w mieście nie pozostała już żadna dziewica oprócz córki króla. Dziewczyna, mimo protestów ojca, postanowiła pójść do źródła; wiedziała, że zginie. Ale pojawił się rycerz zwany Jerzym, który pokonał smoka i ocalił ją i cały lud. Wszyscy byli mu tak wdzięczni, że na zawsze porzucili pogaństwo.

Meena stała z dłonią w jego dłoni, patrząc na ikonę. Okej, powiedziała sobie w duchu. Więc to jednak nie podziałało. Wciąż jest przygnębiony. I ja wpadam w ponury nastrój. Dzięki, święty Jerzy. Kto by pomyślał, że jesteś patronem smutasów?

Ale nagle ni stąd, ni zowąd...

Już wiedziała.

Graniczyło z szaleństwem... odsłanianie się przed nim o wiele bardziej niżby chciała.

Ale zrozumiała, że musi to zrobić.

- Chcesz zobaczyć mój najukochańszy obraz?

Wyglądał na zaskoczonego i ubawionego.

- Z przyjemnością.

Wyprowadziła go z sali z ekspozycją sztuki średniowiecznej i pociągnęła do skrzydła XIX-wiecznego.

Była trochę zdenerwowana, kiedy zbliżyli się do obrazu.

Ale czym się martwiła? Przecież to Joanna d'Arc, którą kochali wszyscy...

Obraz był cudowny, jak zwykle... Przynajmniej dla Meeny. Lampa nad rzeźbioną złotą ramą paliła się i wyławiała z mroku twarz kobiety o chłopięcej urodzie; patrzyła w dal, a anioł pochylał się nad nią. Meena patrzyła jak zaczarowana, nawet nie pomyślała, czy obraz spodoba się Lucienowi.

Postawiła Jacka Bauera na podłodze i podeszła do płótna. Była tak blisko niego jak jeszcze nigdy podczas odwiedzin w muzeum.

- Czy nie jest piękna? - szepnęła z zachwytem.

- Jest - przyznał posępnie.

Odwróciła głowę - dopiero teraz zorientowała się, że Lucien stoi o wiele bliżej, niż sądziła...

...ledwie krok od niej. Nie patrzył na obraz. Spoglądał na jej twarz. Meena zarumieniła się; taki mężczyzna jak Lucien, przystojny i o szlachetnych rysach, spokojnie może rywalizować z urodą malowidła.

Musiała też przyznać, że wspaniale pachniał. Nie wiedziała, jaki to zapach. Jon przerobił w życiu całą serię męskich wód kolońskich, z których większość była mdła.

Woda Luciena pachniała lekko i czysto.

Meena z ochotą oblałaby się nią cała.

- A co takiego jest w świętej Joannie - spytał, uśmiechając się - że tak do ciebie przemawia?

Zdawała sobie sprawę, że sama jest sobie winna.

Ale przecież prosił ją, żeby mu zaufała, kiedy stali przed muzeum.

Nie może mu powiedzieć prawdy. Wiadomo, co by się wtedy stało. Miała doświadczenie z Davidem. Pomyśli, że jest wariatką. A nawet gorzej niż wariatką. Wybrykiem natury.

Nie mogła do tego dopuścić. Musi ukrywać przed nim prawdę tak długo, jak to możliwe.

Zawsze, jeśli będzie trzeba.

Ale chyba mogła mu podać jakąś wersję prawdy, nie ujawniając zbyt wiele na swój temat.

- Chyba to - zaczęła, bardzo starannie dobierając słowa - że zdołała odmienić życie wielu ludzi, mimo że była biedna, i była kobietą... miała więc przed sobą bariery, w owych czasach nie do pokonania. W jej wizje, zadziwiająco trafne, z początku nikt nie wierzył. Ale przekonała do siebie bardzo dużo osób, król udzielił jej audiencji. I też jej uwierzył, - Meena popatrzyła na portret, próbując sobie wyobrazić, jak musiała się czuć Joanna. Nie brakowało jej determinacji, a na jej drodze wciąż pojawiały się nowe przeszkody. - Oczywiście ludzie mówili, że jest szalona. Dziś niektórzy twierdzą, że „głos Boga” który słyszała, to była młodzieńcza schizofrenia. Pewnie jako nastolatka...

- Ale ty nie chcesz w to wierzyć - przerwał jej w pół zdania.

Czując, że znów się rumieni, spojrzała na swoje stopy.

Nie oszukiwała się, dlaczego tak kocha ten obraz. Dlatego że tak jak Joanna borykała się z „głosami”. Choć oczywiście nie wierzyła, że „głosy”, przepowiadające czyjąś śmierć pochodziły od Boga.

Wiedziała, że nie jest schizofreniczką.

- Sądzisz, że wariatka zdołałaby oszukać króla, którego własny ojciec cierpiał na psychozę? Rozpoznałby oznaki.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie chorowała na schizofrenię. Naprawdę wiedziała różne rzeczy. Nigdy w historii Francja nie miała lepszego stratega wojskowego. Nastoletnia dziewczyna, która słuchając głosów w głowie, prowadziła swoich ludzi do zwycięstwa za zwycięstwem...

Kiedy Meena znów spojrzała na Luciena, była zawstydzona, że nie może pohamować łez.

- Aż w końcu - ciągnęła drżącym głosem - została schwytana przez wroga, porzucona przez swojego króla i spalona na stosie jako czarownica.

Lucien uśmiechał się, dopóki nie zobaczył jej łez. Jego usta wykrzywiły się boleśnie i wyciągnął ku niej rękę.

Meena znalazła się nagle w jego ramionach, z twarzą przyciśniętą do piersi...

- Jesteś do niej podobna - wyszeptał w jej krótkie, ciemne włosy.

Zawstydzona łzami i tym, że Lucien ją tuli, bo rozpląkała się przez średniowieczną świętą, poczerwieniała jak chyba nigdy w życiu.

- Nie, nie jestem - wymruczała w gors jego koszuli. - Nie mam z nią absolutnie nic wspólnego. Naprawdę. Ja...

- Ależ tak. - Odsunął ją na długość ramion, żeby móc spojrzeć w oczy.
- Jesteś podobna. Zauważyłem to, kiedy tylko tu weszliśmy. Masz krótsze i ciemniejsze włosy. Ale ten sam żar w oczach. Powiedz, Meeno Harper, ty też słyszysz głosy?

Nie wiedziała, co robić. Miała ochotę wybuchnąć płaczem. I śmiechem. Miała ochotę krzyknąć: lak. Tak, słyszę!

Tylko o tobie nic nie mówią. Co mogło znaczyć, że albo jej „talent” zanikał, albo...

Albo on nie umrze. W odróżnieniu od wszystkich; mężczyzn, których spotkała kiedykolwiek, i którzy jej się podobali, Lucien Antonescu nie umrze.

A przynajmniej przez bardzo, bardzo długi czas.

Nagle, zanim zdążyła wymyślić jakąkolwiek odpowiedź, uniósł jej podbródek, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy.

- Meeno. - Głos zabrzmiał w ciemnej galerii ochryłym szeptem. - Co ty przede mną ukrywasz?

- Nic - skłamała. - Przysięgam. - Też miała ochrypły głos.

I wtedy stało się coś niewiarygodnego. Jego usta opadły na jej wargi.

Była w szoku, znieruchomiała, nie wiedziała, co robić. Dawno nie całował jej żaden mężczyzna, po prostu nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje.

A jednak naprawdę trzymał ją w ramionach i przyciskał do piersi. Czuła jego wargi na swoich, dziwnie chłodne, tak jak palce, ale cudownie słodkie, ciepłe, jakby był skłonny czekać całą noc, aż Meena ogarnie sytuację...

I nagle ogarnęła. Jej serce załomotało jak szalone, i dotarło do niej: rany, on mnie całuje. Wspięła się na palce i objęła go za szyję, oddając pocałunek; zatonała w ramionach Luciena, a on obejmował ją coraz mocniej, wdychała z rozkoszą ten jego świeży, czysty zapach.

Zaniknęła oczy, obojętna na piękno obrazu za nimi, kiedy unosił ją w powietrze, przytuloną do serca; nie czuła jego bicia, bo jej serce tłuło jak szalone.

Miała wrażeniem, że sufit zniknął, a zimny biały blask (gwiazd i księżycy zlał się w jeden rozmigotany snop światła i pomknął w jej stronę jak błyskawica.

Nawet sobie nie wyobrażała, że można czuć coś takiego podczas pocałunku. Ale pocałunek Luciena sprawiał, że czuła się adorowana. Trzymał ją tak delikatnie, jakby była jednym z tych bezcennych dzieł... wagą dynastii Ming, którą bał się stłuc, gdyby ścisnął zbyt mocno. Jego

usta eksplorowały jej usta, najpierw ostrożnie, a potem, kiedy przekonał się, że jest nietłukąca, coraz bardziej natarczywie.

Nie mogła się powstrzymać, by nie rozchylić warg...

I nagle coś w nim jakby wybuchło. Jakby jakieś więzy, które go krępowały, puściły.

Wszystkie jego maniery, cała ogłada, zniknęły.

A Meena nie miała nic przeciwko temu. Pragnęła go tak samo, jak on jej. To było zupełnie jakby spytał ją o zgodę.

A ona powiedziała tak.

Im bardziej namiętnie Lucien ją całował, tym głośniej warczał Jack Bauer, wreszcie Meena odsunęła głowę

I spoglądając na psa, rzuciła z irytacją:

- Jack. Zamknij się!

Szczeknął, nastawił uszy zaskoczony, popatrzył na Meenę i kichnął.

Roześmiała się. Spojrzała na Luciena, czy i jego to rozbawiło.

Ale się nie uśmiechał. Patrzył na nią wzrokiem, który mogła opisać tylko jako ognisty. I prawdę mówiąc kogoś jej przypominał; nie wiedziała tylko kogo. Sądząc z wyrazu jego twarzy, sytuacja wcale nie wydawała mu się zabawna. Wciąż trzymał Meenę, tak że jej nogi dyndały kilkanaście centymetrów nad podłogą, i głęboko patrzył jej w oczy,

- Spędź ze mną noc - powiedział głosem szorstkim; od namiętności.

Nie była zaskoczona.

Spodziewała się tego. Czują, jak doskonale pasują do siebie ich ciała. Byli chyba stworzeni dla siebie. Głód w jego pocałunkach podsycił głód w niej - pragnęła tego mężczyzny tak samo, jak on pragnął jej. Doprawdy, ostatnią rzeczą, której potrzebowała, było zakochanie się.

A zakochiwała się w Lucienie Antonescu... Jego pocałunki zdawały się przepalać jej skórę, docierać do wnętrza duszy.

Czują, że zsuwa się w przepaść, że spada z tej cudownie cienkiej linii, która oddzielała podziw i przyjaźń od miłości

To było niemądre, nawet głupie. Meena leciała w przepaść na łeb na szyję, po wariacku zakochując się w mężczyźnie, którego dopiero co spotkała. Straciła głowę. Ledwie go знаła.

Ale jak mogła nie zakochać się w nim po tym, co razem przeszli, co dla niej zrobił?

Zupełnie bezradna wobec tych pocałunków, poddała się. Spalały ją na popiół.

Prześpi się z Lucieniem Antonescu, i co? On wyjedzie. Przyjechał na krótko. Nigdy nie miała okazji spróbować, ale chyba nie nadawała się do związków na odległość. Przecież on nie przeprowadzi się do Nowego Jorku. A ona nie przeprowadzi się do Rumunii. Chociaż może należałoby to ująć inaczej: będzie się starała z całych sił nie pojechać za nim do Rumunii.

Więc najrozsądniej byłoby odrzucić jego prośbę o wspólną noc. Nie. Trzy litery. Nie.

Przecież nie lubi ryzykować. Prawda?

- Dobrze - usłyszała swój szept.

Co jej odbiło?

Oszalała?

Lucien, uśmiechnięty, objął ją jeszcze mocniej - myślała, że to niemożliwe - a potem zakręcił nią w kółko, aż ze śmiechem zaczęła go błagać, żeby przestał, wspierana ujadaniem oburzonego Jacka Bauera. Lucien też się śmiał, postawił ją na podłodze z niemal triumfalną miną.

- Nie pożałujesz tego - obiecał z powagą.

Meena klęczała, chcąc uspokoić Jacka Bauera. Spojrzała ze zdziwieniem na Luciena.

Nie pożałuje tego? Oczywiście że nie. Dlaczego miałyby żałować?

Rozdział 28

2.00 czasu wschodniego, piątej 16 kwietnia
Union Square West 15 Nowy Jork

Lucien wiedział, że to, co robi, jest błędem.

Ale to nie znaczyło, że potrafił się powstrzymać.

Oddała mu płaszcz, a potem stanęła, podziwiając mieszkanie, które znalazł dla niego Emil - elegancki firmowy apartament o surowym wystroju, z najlepszym systemem alarmowym, jaki był dostępny, i z tarasem tak dużym, że mógłby na nim wylądować śmigłowiec. Taras Emila, na którym swobodnie mogło bawić się ze dwadzieścia osób, wyglądał przy tym jak znaczek pocztowy. Przez szyby filtrujące promienie UV - a trzeba dodać, że większość ścian stanowiły szklane drzwi tarasowe, z jednej strony było widać centrum Manhattanu, z drugiej rzekę Hudson, z trzeciej Union Square Park, a dalej drapacze chmur w śródmieściu - wystrzelały przed nimi ni czym rżęsiście oświetlone choinki. W oddali, za East River, błyskały czerwone światła samolotów, gdy schodziły niżej nad Queens i lądowały na tamtejszych lotniskach.

- Tu jest niesamowicie - szepnęła Meena. Podeszły do ściany ze szkła i patrzyła z zachwytem na jaskrawe światła i czyste, rozjaśnione księżycem niebo. Dekolt prostej czarnej sukienki i krótka fryzura odsłaniały smukłą szyję, która wydawała się szczególnie bezbronna i delikatna.

Dziewczyna zupełnie nie miała pojęcia, jaka burza emocji w nim szaleje. Wiedział, że jego zachowanie jest naganne - wręcz złe - od pierwszej chwili, kiedy otworzył usta u Emila i zapytał, czy może jej towarzyszyć na spacerze z psem.

Ha, nawet pies od razu wyczuł, z kim ma do czynienia, wiedział, że to, co robi Lucien, jest złe.

Kiedy tylko te słowa padały z jego ust, już beształ się za nie.

Potem, gdy wyszła do swojego mieszkania z bratem, Lucien przez chwilę miał nadzieję, że Jon będzie próbował wybić jej z głowy pomysł spaceru z obcym mężczyzną. Myślał: I dobrze. Brawo. On mnie powstrzyma. Postąpi jak dobry brat.

Ale nie. Brat, zbyt skupiony na sobie, nie mógł zauważyć, co się naprawdę dzieje - choć może to zbyt mocne stwierdzenie; on, Lucien,

był tym, czym jest, przez prawie pół milenium. Jon żył ledwie trochę dłużej niż trzydzieści lat. Chyba nie powinien go oceniać zbyt surowo.

Więc stał wtedy w korytarzu, mówiąc sobie, że powinien wyjść. Uciec schodami i dać jej spokój. Była dobrym człowiekiem, lepszym niż on kiedykolwiek, bardzo starała się postępować właściwie. Nie zasługiwała, żeby jego rodzaj zniszczył jej życie. Co w ogóle strzeliło do głowy Mary Lou, że wciągnęła dziewczynę w ich pokręcone życie?

Więc niech wymyśli jakąś historyjkę, dlaczego zniknął. Meena Harper przeżyje w spokoju swoje małe, szczęśliwe życie.

Nie potrafił się na to zdobyć. Był zbyt zaintrygowany. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak go ciekawiła jakaś kobieta, a co dopiero istota ludzka.

Ani kiedy ostatnio tak go do kogoś ciągnęło.

Ale to nie znaczy, że zasłużył sobie, żeby ją mieć. Przecież niszczył wszystko, czego dotknął.

Jak każdy z jego rodzaju.

A mimo to nie poszedł. Nawet kiedy powiedział sobie, że nie może się teraz rozpraszać. Zbyt wiele spraw wymagało jego uwagi: to, że ktoś wypijał krew z młodych kobiet i zostawiał ich nagie ciała rozrzucone po Manhattanie jak zużyte chusteczki. To, że ktoś próbował go zabić.

I to, że ten pierwszy i drugi ktoś to zapewne ta sama osoba.

Tak czy inaczej, musiał zachować przytomność umysłu.

Odwracał się już w stronę schodów z postanowieniem, że da jej spokój, kiedy drzwi jej mieszkania otworzyły się i wyszła na korytarz.

Zrozumiał, że prowadzi beznadziejną bitwę z samym sobą. Nigdzie się nie wybierał.

Wyglądała atrakcyjnie jak ślicznie zapakowany prezent.

On chciał być tym, który go rozpakuje.

Najgorsze, że nie była to tylko seksualna fascynacja. Nie dawała mu spokoju zagadka jej umysłu. Kakofonia w głowie Meeny Harper to nie wynik szaleństwa; tego już się domyślił. Nie. Dziewczyna coś ukrywała. Coś, o czym nie lubiła myśleć, i przez lata stała się prawdziwym ekspertem w ukrywaniu tego czegoś... nawet przed sobą. To coś prześladowało ją nie tylko w snach, ale i na jawie. Ledwie mógł odczytać mentalne obrazy, które przepływały przez jej świadomość, bo niektóre bolesne wspomnienia pogrzebała bardzo głęboko. Jej myśli docierały do niego falami i wybuchami, jak stacja radiowa, która traci zasięg.

Nigdy nie używał swoich mocy, żeby odkryć prawdziwe uczucia kobiety, która go zainteresowała w romantycznym sensie. To nie dżentelmeńskie i niesportowe.

Ale w wypadku Meeny nie mógł się powstrzymać. Jej żywiołowy monolog wewnętrzny - a przynajmniej to, co z niego rozumiał - lśnił jak reflektory na Empire State Building, zbyt jasno, żeby go zignorować. A jednak coś przesłaniało widok. Dlatego jeszcze bardziej go fascynowała. Trudno sobie wyobrazić, że pod tą żywą osobowością - pod tymi flirciarskimi żartami i zamiłowaniem do szczęśliwych zakończeń - kryje się coś tak mrocznego, że sama z trudem znosiła myśli na ten temat.

A jednak wyglądało, że tak właśnie jest. I ten mroczny sekret przyciągał go do niej nieodparcie.

Czy to znaczy, że spotkał kobietę, która potrafiłaby zrozumieć potwora w jego wnętrzu, bo sama ukrywała własnego?

Jeśli tak, dlaczego wyczuwał w niej również słodycz, w której mógłby znaleźć własne odkupienie?

Niemożliwe. Człowiek może znaleźć odkupienie jedynie w Bogu.

Bóg Zapomniał o jego rodzaju już wieki temu.

A mimo to Lucien nie mógł zaprzeczyć temu, co czuł przez cały wieczór, patrząc w jej ciemne oczy... Rosnącemu przekonaniu, że Meena Harper może go ocalić.

Za dużo wymagał od jednej ludzkiej istoty?

Nie wiedział.

Ale bardzo chciał się dowiedzieć.

W muzeum musiał się bardzo kontrolować, żeby utrzymać ręce z daleka od niej. Zdawał sobie sprawę, że na swój niezgrabny sposób próbował ją uczciwie ostrzec, pokazując jej portret. Starał się dać jej do zrozumienia, w co się pakuje. Głupie.

Ale prawdziwe.

Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że ona wie... coś. Oczywiście nie wszystko, bo mimo całej swojej empatii uciekłaby przerażona.

I były też inne chwile, jak ta przed portretem świętej Joanny...

Lucien żył dość długo, by wiedzieć, że na świecie nie ma ani aniołów, ani świętych, choć Meena bardzo chciała w to wierzyć w wypadku Joanny d'Arc. A jeśli nawet byli, to on ich nie spotkał. Co jest oczywiste, bo gdyby spotkał, to i on, i cały jego rodzaj zostaliby unicestwieni dawno temu.

Ale jak inaczej mógł wytłumaczyć Meenę Harper i swoje bolesne pragnienie posiadania jej? Z drugiej strony, przecież on był wampirem -

przed nim rozpaczliwie usiłował ją ostrzec nawet pies, choć ona zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Nawet teraz, kiedy spacerowała po apartamencie, podziwiając widoki, nie miała pojęcia, w jakim jest niebezpieczeństwie.

Czuł, że musi coś powiedzieć. Byłoby nie fair, gdyby nie dał jej szansy obrony.

Nie zachowywałyby się jak dżentelmen.

- Wspomniałaś wcześniej o wojnie wampirów - zaczął. Kiedy weszli, włączył system audio i mieszkanie wyj pełniły ciche dźwięki kwartetu smyczkowego. Podszedł do przeszklonej, chromowanej lodówki na wina i wybrał butelkę. Coś lekkiego, pomyślał, jak ona. Nie będzie jej smakowało nic zbyt ciężkiego, zbyt ciemnego.

- Ach, to. - Roześmiała się. - Tak. Praca. - Zadrzała. - Nie rozmawiamy o pracy. To mi psuje nastrój.

Lucien znalazł pinot noir, w które zaopatrzył go Emil. Doskonale.

- Przykro mi - powiedział z uśmiechem. - Aż tak źle?

- Fatalnie - przyznała, podchodząc do baru, przy którym stał. Usiadła na chromowanym stołku z obiciem z czarnej skóry. - Przeszedł mi koło nosa awans, a bardzo mi na nim zależało; w dodatku kanał czwarty bije nas w notowaniach i tylko dlatego, że mają w swoim serialu ten okropny wątek o mizoginicznych potworach; ostatnio to najbardziej kręci ludzi.

Lucien znieruchomiał z butelką nad kieliszkiem.

- O mizoginicznych potworach? - Uniósł brew.

Podniosła rękę i zgięła palce, udając, że to szpony.

- No wiesz. Wampiry. - Odsłoniła zęby i zasyczała jak filmowy wampir.

Omal nie upuścił kieliszka, który właśnie jej podawał. Pies zjeżył się i rozszczękał z zjadłością imponującą u tak małego zwierzaka.

- Jack! - Meena opuściła rękę i odwróciła się na stołku. - Uspokój się wreszcie! - Zapytała Luciena: - Masz w lodówce hamburgera albo coś w tym rodzaju?

Zamarł. Jeśli ona otworzy lodówkę, znajdzie najnowszą czarnorynkową dostawę z Nowojorskiego Centrum Krwiodawstwa.

- Nie wydaje mi się...

- Oj, nieważne - przerwała mu. Na szczęście zaczęła przeszukiwać torebkę wiszącą na oparciu stołka. - Może coś tu mam. No proszę. Psie ciasteczka. Zwabię go do łazienki, zamknę i może będziemy mieć chwilę spokoju.

Zsunęła się ze stołka i wyciągnęła dłoń do psa, który nie przestawał szczekać, dopóki nie zwęszył ciastek.

Nastawiając czujnie swoje lisie uszy, podreptał za nią do łazienki, którą wskazał im Lucien.

Meena wypłukała mydelniczkę, napełniła ją wodą i postawiła na podłodze, żeby miał co pić, a obok wysypała trochę psich ciastek. Kiedy Jack Bauer wciął, wyszła z łazienki i zamknęła drzwi.

Lucien robił, co mógł, żeby nie okazać ulgi, jaką poczuł. Niewiele brakowało. Zwykle nie popełniał tak głupich błędów - nie zostawiał zapasu krwi w kuchennej lodówce, gdzie mogła go znaleźć zaproszona kobieta, szukając przekąski dla swojego pieska.

Nie spodziewał się, że będąc w Nowym Jorku, spędzi z kimś noc. Przyjechał służbowo. I tylko dlatego, że Meena Harper była zupełnie niepodobna do wszystkich innych znanych mu kobiet, pogwałcił swoje, od dawna wyznawane zasady.

I omal wszystkiego nie zepsuł.

- No, wreszcie spokój - powiedziała, wracając na stołek. - Przepraszam za to zamieszanie. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Zwykle jest bardzo miły dla wszystkich. Nie lubi tylko twojego kuzyna, nie wiadomo dlaczego. I Mary Lou. Może chodzi o ludzi, którzy mają własny zamek. Jack Bauer widocznie ma marksistowskie poglądy. - Roześmiała się i uniosła kieliszek. - Więc?

- Więc za Jacka Bauera, nieopierzonego marksistę. - Stuknął kieliszkiem o jej kieliszek.

Znów się roześmiała; jej wielkie, ciemne oczy błyszczały nad szerokim brzegiem kieliszka.

Lucien nie pochlebiał jej, kiedy stwierdził, że jest trochę podobna do dziewczyny z obrazu, z którą czuła się głęboko związana. Ale tak naprawdę była ładniejsza.

Dużo ładniejsza i bardziej bezbronna.

- Więc domyślałam się, że nie lubisz wampirów? - spytał.

Meena się zaśmiała.

- Biorąc pod uwagę, że właśnie rujnują mi życie? Nie za bardzo.

- A są mizogmicznymi potworami, bo...?

- No wiesz. W horrorach, książkach i serialach potwór albo seryjny morderca z piłą łańcuchową zawsze poluje na bezradną, ładną dziewczynę. To takie seksistowskie. A wampiry są najgorsze ze wszystkich. Zwróciłeś uwagę, że niemal zawsze kasażą i zamieniają w wampiry młode, piękne kobiety? A to dlatego, jak stwierdził Van Helsing

w Draculi Brama Stokera, że członkowie rodziny będą mieli większe opory, żeby uciąć głowę ładnej panience, nawet jeśli jest wampirzycą. Niby że łatwiej jest uciąć głowę własnemu synowi niż córce. Poza tym wampir zawsze chce zrobić z ładnej dziewczyny swoją nieumarłą narzeczoną. Albo jeszcze gorzej, nie chce, ale ona go namawia, ku zachwyтови widzów. Widocznie być martwą i z kimś to szczęśliwsze zakończenie niż być żywą i samotną. Tylko jak śmierć może być szczęśliwym zakończeniem? - Jej oczy błysnęły. - Uwierz mi. Bycie martwym to nigdy nie jest happy end.

Przyjrzał jej się uważnie. W tym ostatnim stwierdzeniu była pasja. Zastanawiał się, dlaczego, i czy ta dziwna przeszkoda w jej umyśle ma z tym coś wspólnego.

- Ale - zaczął ostrożnie - ty nie wierzysz w wampiry?

Zakrzuszyła się winem.

- Co? - wyjąkała. - Czy mnie właśnie spytałeś, czy wierzę w wampiry?

Lucien znów podniósł kieliszek i wpatrywał się w rubinowy płyn. Wiedział, że za żadną cenę nie może jej teraz spojrzeć w oczy. Bał się, co mógłby zdradzić, gdyby spojrzął w te oczy, które zdawały się widzieć tak wiele, a zarazem tak mało.

- Wybacz. Po prostu zdawało mi się, że wtedy pod kościołem...

- Och. - Wypiła łyżek wina; jej kieliszek był prawie pusty. - O to ci chodzi? Przecież to ty ciągle powtarzasz, że przelatywało tylko kilka małych nietoperzy.

Odgryzła się jego własnymi słowami. Pewnie sobie zasłużył.

- Ale wierzysz, że święta Joanna słyszała głosy, które przepowiadały przyszłość. Jak to jest, że wykształcona kobieta, jak ty wierzy w coś takiego, nie wierząc przy tym w stworzenia nocy? A może... - Uśmiechnęła się. - Może wolisz wierzyć tylko w szczęśliwe legendy, tak jak wolisz szczęśliwe zakończenia?

Spojrzenie, które mu posłała, było tak ostre, że można by nim ciąć szkło.

- Historia Joanny nie zakończyła się szczęśliwie - przypomniała. - I lubię obejrzeć dobry horror tak samo jak wszyscy, pod warunkiem że giną w nim też jacyś faceci, a nie tylko dziewczyny. Głosy, które słyszała Joanna, były realne. Są na to jasne i konkretne dowody. Wygrywała bitwy, które inaczej skończyłyby się porażką, bo dzięki tym głosom francuscy generałowie stosowali zupełnie inne strategie niż przedtem, zanim zjawiała się Joanna. Te głosy uratowały życie wielu ludzi.

- A nie ma takiego dowodu, że wampiry istnieją naprawdę, tak? - Lucien nie odrywał oczu od kieliszka.

- Jest za to mnóstwo dowodów, że niektóre korporacje zarabiają mnóstwo pieniędzy na publiczności, która chciałaby wierzyć, że istnieją. Również sponsorzy **Żądzy**. Niby dlaczego nasz korporacyjny sponsor tak się uparł, żebyśmy przyłączyli się do tej zabawy? Pieniądze są bardzo, bardzo realne. Ale pozbawieni duszy nieumarli, którzy chodzą po świecie i gryzą ludzi w szyję, piją ich krew którzy nie mogą wychodzić na słońce, bo spalą się na frytkę, i muszą sypiać w trumnach? Błagam.

- Część mitów na przestrzeni lat została mocno rozdmuchana. - Lucien skrzywił się lekko. - Niektórzy pisarze, włączając w to twojego pana Stokera, mogli sobie pozwolić na zbytnią swobodę.

- I może jeszcze zmieniają się w nietoperze? - rzuciła Meena sarkastycznie.

- A część nie - ciągnął Lucien, trochę spięty. Nalał jej wina do pustego już kieliszka. - więc żeby wszystko było jasne. Chociaż nigdy nie spotkałaś wampira, bo oczywiście nie istnieją, nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego?

Przygryzła dolną wargę. Nie mógł nie zauważyć, jak napłynęła do niej krew, czyniąc ją jeszcze pełniejszą i czerwiejszą.

- Rzeczywiście, wygląda na to, że mam uprzedzenia - zgodziła się Meena. - Będiesz o mnie źle myślał, jeśli; przyznam się, że nie lubię też wilkołaków i hobbitów?

Położył dłoń na jej dłoni. Skórę miała kusząco gładką i miękką. Niezwykłe przyjemną w dotyku, jak się spodziewał.

- Nigdy nie mógłbym źle o tobie myśleć.

- Och. - Wolną ręką uniosła kieliszek i wypić spory łyk wina.

- Uwierz mi. Mógłbyś. Nie wiesz o mnie wszystkiego. - Z jej głosu przebijał smutek.

- A gdybym ci powiedział, że jestem wampirem? - Lucien rysował palcem kółeczko na grzbiecie jej dłoni. Znienawidziłabyś mnie?

- Ha. - Roześmiała się. - Byłbyś marnym wampirem.

Uniósł brew.

- Tak?

- Oczywiście. - Wciąż się śmiała. Odstawiła kieliszek, a potem wysunęła dłoń spod jego palców, żeby chwycić go za krawat. Przechyliła się w jego stronę na barowym stole, aż jej kolana znalazł się między jego udami. - Tamtej nocy z nietoperzami miałeś mnóstwo okazji, żeby mnie

ukąsić, a potem jeszcze więcej, w wielkim, ciemnym muzeum. I nie zrobiłaś tego. Nie myśl, że nie zauważyłam.

Położyła drugą rękę na stołku Luciena, dokładnie między jego nogami, żeby móc się podeprzeć i pochylić ku niemu. Pociągając za krawat, delikatnie ściągnęła jego głowę niżej, a kiedy jej twarz znalazła się centymetry od jego twarzy, powiedziała głosem tak ochryplym od wina, że brzmiał jak pomruk:

- Rzecz w tym, że kiedyś byłam z chłopakiem, który gryzł... Oczywiście, mówiąc w przenośni. I miałam nadzieję unikać takich facetów w przyszłości.

Lucien zastanawiał się, kto właściwie jest tu w większym niebezpieczeństwie. Jej oczy były jak bliźniacze jeziora, ciemne niczym niebo o północy.

Poczuł, że w nich tonie.

Nie miał nic przeciwko temu.

- Ja ciebie nigdy nie ugryzę - szepnął. - Chyba że mi pozwolisz.

I przycisnął wargi do jej warg.

I nie bardzo wiedział, czy to porażka...

...czy sukces, bardziej spektakularny niż mógł mieć nadzieję. Powiedział jej to, co kazał mu powiedzieć honor.

To jego wina, że mu nie uwierzyła?

Tak. Bo nie przedstawił jej dowodu, którego potrzebowała.

Ale teraz nie miał zamiaru tego robić - teraz, kiedy jej dłoń spoczywała tak niebezpiecznie blisko wewnętrznej strony jego uda. Jego część, która wciąż była człowiekiem, być może pragnęła odkupienia z jej ręki.

Ale ta część, która była potworem, chciała zupełnie czegoś innego.

Człowiek będzie musiał poczekać.

Objął ją w pół i przycisnął do siebie z zaborczością której chyba się nie spodziewał, bo krzyknęła cicho. Ale on dawno już przekroczył granice dobrych manier. Pociągnął ją ze stołka na swoje kolana, miażdżył w objęciach, pijąc wargami i językiem to, do czego nie mógłby się dobrać zębami... samą jej esencję, to coś, co, miał nadzieję, wreszcie go ocali. Śnił o tym od dawna...

Sygnaly z mózgu były mgliste, jak zwykle, ale z okrzyków Meeny - protestu? przyjemności? - wnosił, że jego pocałunek był jeszcze bardziej drapieżny niż ten w muzeum, jakby chciał ją sobie wziąć na własność.

Nic nie mógł na to poradzić. Tam całował ją z szacunkiem, jakby się bał, że może się stłuc.

Ten pocałunek był inny... Tym pocałunkiem obnażał przed nią duszę... A zarazem żądał w zamian jej duszy.

Chyba nie miała nic przeciwko temu. Nie zawahała się, nie próbowała go odepchnąć, kiedy przyciągnął ją do siebie. Przeciwnie. Rozsunęła uda, żeby móc go dotrzeć, i teraz ich skórę rozdzielały tylko czarna koronka jej majteczek i materiał jego spodni. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Żar bijący od niej przepalał go na wylot. Czuł przez cienką sukienkę, jak jej serce tłucze się tuż przy jego piersi, rytmiczne pulsowanie w ciele dudniło w jego skroniach i prowokowało do jeszcze gwałtowniejszych pocałunków...

Przeciągnął ustami w dół, po podbródku, do szyi; zsunął dekolot jej sukienki i koronkową miseczkę stanika, nakrył dłonią krągłość piersi i poczuł pod palcami bicie serca; galopowało jak rozpędzony koń. Opuścił głowę w miejsce, gdzie leżała jego dłoń, i zastąpił palce ustami, przycisnął wargi do jedwabistej skóry.

Meena chwyciła go za włosy, przyciągając głowę do siebie. Westchnęła rozkosznie, gdy dotknął językiem skóry i smakował delikatnie; ścisnął jej biodra, tak że czarne koronkowe majteczki ciasniej przylegały do jego spodni.

Oderwał usta od jej piersi. Poczuł, że nie wytrzyma dłużej. Odsunął się od niej gwałtownie, wsunął jedną rękę pod jej plecy, drugą pod kolana i wstał, podnosząc ją.

Roześmiała się, zachwycona, i objęła go za szyję.

- Nie mów. Zabierasz mnie do sypialni, żeby mnie pożreć.

- Tak - warknął.

I odwrócił się w stronę ciemnych drzwi sypialni. Wiedział, że będzie potępiony za to, co chciał zrobić.

Ale przecież i tak był potępiony.

Rozdział 29

9.15 czasu wschodniego, piątej 16 kwietnia
Union Square West 15 Nowy Jork

Meenę obudził zapach smażonego bekonu.

Przez kilka sekund myślała, że znów jest w rodzinnym domu w New Jersey, gdzie się wychowała. Wtedy ostatni raz, o ile pamiętała, ktoś robił dla niej śniadanie.

Jon na pewno nigdy nie wstał tak wcześnie, żeby zrobić cokolwiek - może z wyjątkiem bałaganu.

Ale kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nie liliowo-białą sypialnię swojej młodości i kolekcję lalek Beanie Baby, ale ultraelegancki apartament Luciena Antonescu, urządzone w kojących tonach szarości i brązu. Jack Bauer stał na materacu obok jej głowy i dyszał w twarz.

- Jack - mruknęła Meena jeszcze zaspana. Co się działo ostatniej nocy?
- Złaż.

Podniosła psa i postawiła go na podłodze z czarnych płytek; odbiegł kawałek, zgrzytając pazurkami, zawrócił, rozpedził się i wskoczył z powrotem na łóżko.

Wydarzenia ostatniej nocy zaczęły wracać do niej strzępami i skrawkami.

Hrabina. Była z Jonem na przyjęciu u hrabiny, bo Jon ją zmusił... I on tam był...

Mężczyzna spod katedry Świętego Jerzego. Lucien uratować jej życie. Rozmawiali, żartowali, a potem spytał, czy może się do niej przyłączyć, kiedy będzie spacerowała z Jackiem Bauerem.

A potem włamał się do Metropolitan Museum of Art. I całowali się przed portretem świętej Joanny. Zaprosił ją do swojego mieszkania. A ona z nim poszła. A potem... Potem...

O Boże, potem...

Usiadła na łóżku i ścisnęła skronie - zawrót głowy! Padła na poduszki.

Kochała się z Lucieniem Antonescu przez calutką noc?

I czy on naprawdę - jeśli ten zapach mógł być jakąś wskazówką - robił jej śniadanie?

Na twarz Meeny wypłynął błogi uśmiech. Ale zniknął, kiedy pies wskoczył jej na sam środek brzucha.

- Uf. Jack! To nie jest zabawne - wystękała.

Ale Jack chyba nie próbował być zabawny. Skomlał i drapał ją łapami - to nie było przyjemne, bo Meena leżata całkiem naga pod ciemnoszarą pościelą - jednocześnie układając jej twarz niespokojnymi liźnięciami.

Dlaczego ze wszystkich psów w nowojorskim schronisku musiała zabrać do domu akurat tego najbardziej nieprzystosowanego?

- No dobra, dobra. Już wstaję.

Spojrzenie przez szklane ściany, za którymi było widać taras, powiedziało jej, że jest piękny wiosenny dzień. Miała wrażenie, że szkło jest lekko przyciemniane, ale widziała, że to już późny ranek.

Zerknęła na komórkę, którą wygrzebała z torebki leżącej na podłodze koło łóżka. Cudownie. Spóźniła się do pracy.

Zobaczyła też, że ma siedem wiadomości - cztery od Leishy, dwie na pocztę głosowej od matki i jedną od Jona, który chciał ją uprzedzić, że mama dzwoniła na domowy numer, szukając jej. Meenie rzadko zdarzało się zniknąć na całą noc. No dobra... nigdy.

Ale kiedy już zniknęła, to na całego. „Wszystko w porządku - odpisała Leishy, siedząc na brzegu łóżka - Nawet więcej niż w porządku. Zadzwonię później”.

Jonowi napisała tylko: „Chyba nic jej nie powiedziałaś, co? PS: I ♠ Rumunię”.

Mamie nie odpisała nic. Zadzwoni do niej później. Mama nie umiała pisać ani odczytywać SMS-ów.

Nie bardzo wiedziała, co zrobić z pracą. Jaki dziś dzień? Nawet tego nie pamiętała... A, tak.

Piątek. Co się miało dziś dziać? Coś z jakimś czytaniem roli...

- Zdawało mi się, że wstałaś. - Przestraszył ją głęboki głos od drzwi. Podskoczyła, odwróciła się i zobaczyła najcudowniejszy widok, jaki miała okazję oglądać od bardzo długiego czasu: Luciena Antonescu, ubranego tylko w szare jedwabne spodnie od piżamy. Trzymał szampanówkę, napełniona czymś, co wyglądało na sok pomarańczowy.

- Chcesz mimozę? - spytał.

Pomyślałaby, że wciąż śni, gdyby Jack Bauer nie postanowił właśnie w tym momencie wbić jej łapy w nerkę.

- Och! - Delikatnie zepchnęła psa z łóżka. Szczeknął piskliwie, gdy wylądował na splecionej kupce ubrań Meeny i Luciena. - Jak to miło z twojej strony, Lucien. Z przyjemnością - powiedziała, przytrzymując szare prześcieradło, którym zasłaniała piersi.

Podszedł do niej z pełnym miłości - nie dało się tego inaczej nazwać - uśmiechem na twarzy, a Meena miała okazję przyjrzeć się jego prawie nagiemu ciału za dnia. Było doskonale...

...równie doskonale jak w nocy, potężne, ale bez grama tłuszczu, atletyczne ale bez przesady, i podniecająco męskie. Przypomniała sobie, jak głaskała te szerokie plecy i obejmowała go w pasie, bo chciała, żeby był jeszcze bliżej. Przypomniała sobie nawet - i na to wspomnienie rumieniec stał się mocniejszy - jak całowała ścieżkę ciemnych włosów, biegnącą po twardym brzuchu.

- Dzień dobry. - Lucien pochylił się, żeby ją pocałować. Podał jej szampana z sokiem.

- Czyżbym czuła zapach bekonu? - Meena próbowała zmienić temat swoich diabelskich myśli.

- W rzeczy samej. Chyba nie jesteś wegetarianką, co?

- Powinam być. - Wypiła ryk drinka. Pomarańcze były świeżo wyciśnięte. - Jako miłośniczka zwierząt i tak dalej. Ale niestety jestem tylko hipokrytką.

- Podobają mi się dziewczyny, które jedzą. - Poglądził ją po kości policzkowej. - Smażę też jajka. Jakie lubisz?

Nie pamiętała, żeby jakikolwiek mężczyzna pytał ją o to, nawet ojciec.

- Ehm - mruknęła. - Jajecznicę? - Uśmiechnęła się do niego, rozkoszując się jego dotykiem, i usiłowała ignorować psa, który warczał z drugiej strony łóżka.

- Więc będzie gotowa, kiedy ty będziesz gotowa. Pomyślałem, że zechcesz się zrelaksować. Przygotowałem gorącą kąpiel. - Wskazał drzwi naprzeciwko tych, przez które wszedł. Meena dopiero teraz zauważyła, że wydobywają się spod nich kłęby pary.

- Och. Naprawdę? Jesteś kochany. Naprawdę nie musiałeś robić tego wszystkiego.

- Uwierz mi. Musiałem.

Chwył dłoń jej twarz, pochylił się i pocałował ją głęboko. Meena przypomniała sobie, ile było tego całowania w nocy. Wargi miała trochę obolałe. Prawdę mówiąc, całe ciało. W pozytywnym sensie.

Jack Bauer usadowił się na kupce ubrań i warczał głucho.

- Nie powiedziałem ci - Lucien przerywał pocałunek i posłał Jackowi nieodgadnione spojrzenie - że wyprowadziłem psa.

Meena uniosła brwi. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Naprawdę?

- No cóż. Powinienem chyba powiedzieć, że kazałem go wyprowadzić. Bardzo chciał wyjść, a portier z przyjemnością zabrał go na spacer. Tak czy inaczej, nie musisz się o niego martwić. A teraz biegnij. - Wskazał władczym gestem drzwi łazienki. - Zanim zawrócisz mi głowę jeszcze bardziej.

Roześmiała się. To nawet przyjemne słuchać rozkazów przystojnego faceta w jedwabnych spodniach od piżamy.

A tym bardziej faceta, który robił z nią w nocy takie rzeczy,

Okryta się prześcieradłem, wyskoczyła z łóżka i poszła do wielkiej łazienki wykładanej brązowym marmurem, z Jackiem Bauerelem drepzczącym za jej piętami. To, co zobaczyła w ogromnych lustrach, uspokoiło ją. Nie wyglądała jak ofiara katastrofy. Prawdę mówiąc, wyglądała całkiem dobrze. Może dlatego, że po raz pierwszy od długiego czasu porządnie się wyspała? No zgoda, może i nie spała długo, ale z pewnością doskonale.

I choć raz, dla odmiany, obudziła się szczęśliwa. Nie potrzebowała nawet szyny na zęby. Tej nocy nie zgrzytała zębami przez sen.

Wielkie jacuzzi było do połowy wypełnione parującą wodą. Lekko zdziwiona, że w Rumunii wrzątek uważa się za przyjemną temperaturę, dopuściła zimnej wody i zanurzyła się w kąpieli.

Niebo. Gdyby nie Jack Bauer, siedzący obok wanny. Tuż nad brzegiem widziała czubki jego uszu, czujnie nastawionych w jej stronę. Próbowwała go ignorować, żeby wykapać się w spokoju.

Ale na widok jego lisiej mordki, spoglądającej na nią, kiedy wyszła z wanny i sięgnęła po puchaty, biały szlafrok, dopadły ją wyrzuty sumienia. Gdzie Jack Bauer spędził tę noc?

Zamknęła go w łazience? Przynajmniej dywanik był gruby i puchaty jak szlafrok i pewnie spało się na nim całkiem wygodnie.

Ale dość tego. Potraktowała go okropnie. Postanowiła, że zabierze Jacka na porządny, długi spacer, żeby mu wynagrodzić swoje zachowanie...

Włożyła szlafrok - musiała podwinąć rękawy, bo dłonie ginęły jej w mankietach - i szybko wyplukała usta płynem, który znalazła w łazience. W torebce miała trochę kosmetyków.

Umalowała się, ale jej policzki i wargi były naturalnie zaróżowione od nienasyconych pocałunków Luciena, wystarczyła tylko odrobinę tuszu i linera do oczu.

Odnalazła swoją sukienkę, przewieszoną przez oparcie czarnej skórzanej otomany, i bieliznę rozrzuconą po podłodze. Ubrała się,

rozmyślając, że po pracy będzie musiała przeparadować przed portierem. Czy dyżurujący zauważy, że panna Harper ma na sobie to samo ubranie, w którym wyszła poprzedniego wieczoru? Modliła się, żeby Pradip miał dziś wolne. Chociaż oczywiście nie przejmowała się, co myślą o niej portierzy.

A jeśli wpadnie w windzie na Mary Lou? Nie, nie ma żadnego „jeśli”. Na pewno wpadnie w windzie na Mary Lou.

Mimo wszystko wierzyła, że los wreszcie zaczął się do niej uśmiechać, sądząc po tym, co się wydarzyło ostatniej nocy.

Nie chciała myśleć o tym, czy Lucien gdzieś ją dziś zaprosi. Piątkowy wieczór. Nie miała zamiaru o tym wspominać. Żadnych gier. Są na coś takiego za poważni. On przyjechał do Nowego Jorku w interesach, a ona nie chciała wyglądać na napaloną nastolatkę.

- Jesteś wolna dziś wieczorem? - zawołał Lucien z kuchni, z której coraz mocniej pachniało bekonem, a teraz także i kawą.

- Ehm, tak mi się zdaje - odwróciła się i poszła za dźwiękiem jego głosu.

Położył na stalowo-szkalnym stole w jadalni tylko jedno nakrycie. Jedna ciemnopopielata serwetka, jeden komplet srebrnych sztućców, jedna filiżanka, jedna szklanka soku pomarańczowego i tak dalej.

Zauważył jej zdziwione spojrzenie, kiedy mijają drzwi do kuchni.

- Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale zjadłem wcześniej, Wyszedłem pobiegać i zrobiłem się głodny jak wilk. Nie chciałem cię budzić... tak słodko spałaś. Jak anioł. - Puścił do niej oczko.

- Och, ależ skąd, nie gniewam się.

Okej, to było dziwne, pomyślała. Usiadła przy nakryciu i w tej chwili Lucien wyszedł z kuchni z talerzem, który podał jej szarmanckim gestem. Na talerzu leżały trzy paski doskonale usmażonego bekonu, idealnie roztrzepana jajecznica z dwóch jajek, delikatnie podpieczony pełnoziarnisty tost z dżemem morelowym, kilka cienkich jak papier plasterków pomarańczy i wielka dojrzała truskawka.

Gapiała się na to z otwartymi ustami.

Lucien usiadł na krześle obok niej.

- Nie wiedziałem, jaką pijasz kawę. Cukier i śmietanka są na stole.

- Dzięki - mruknęła, kiedy już mogła mówić.

On jest księciem, powiedziała sobie. To wcale nie jest dziwne. Pewnie wszyscy książęta robią coś takiego, żeby zaimponować swoim dziewczynom po pierwszej wspólnej nocy.

Może to poranne bieganie nie jest wcale dziwne; spojrzała na Luciena, podziwiając jego bicepsy. Musi ćwiczyć, żeby tak pięknie wyglądać. Ja też powinnam zacząć ćwiczyć. Moglibyśmy trenować razem. Przynajmniej dopóki nie wróci do Rumunii.

- Pomyślałem, że dziś wieczorem moglibyśmy pójść do opery - powiedział. - Jeśli zechcesz. Mam bilety na koncert Nowojorskiej Orkiestry Symfonicznej. Grają Beethovena, dyryguje Masur. Może nie zanudzisz się na śmierć.

Spojrzała na niego skromnie znad widelca pełnego jajeczniczy.

- Wcale nie będę się nudzić. Lubię Beethovena. - Może wyjść na kompletną idiotkę, nie wie, kto to jest Masur. A czas na koncercie mogłaby spożytkować na wymyślanie jakichś dobrych dialogów do swojego wątku z łowcą wampirów, który chciała przedstawić Sy.

- Doskonale. Na kolację niestety umówiłem się już wcześniej z kolegą. Spotkamy się koło fontanny przed Lincoln Center o wpół do ósmej?

- Oczywiście. I przyjdę bez niego. - Spojrzała znacząco na Jacka Bauera, który siedział pod stołem, warczał na Luciena, zerkał na nią błagalnie i czekał na smakowite kąski, które mogłaby upuścić.

- Jest bardzo lojalnym towarzyszem ~ stwierdził łagodnie Lucien.

- Rzeczywiście. - Wypiła łyk kawy. - Można to tak nazwać. Jak długo zwykle trwają koncerty symfoniczne?

- Jeśli pytasz, kiedy znów zedrę z ciebie ciuchy i zrobię z tobą nieprzyzwoite rzeczy, które przeraziłyby twoją matkę, gdyby o nich wiedziała, możemy to zrobić teraz.

Meena, której policzki z każdym jego słowem stawały się bardziej czerwone, odsunęła się od stołu.

- Nie mogę. To znaczy bardzo bym chciała. Ale jestem spóźniona do pracy. Więc chyba już pójdę. Do zobaczenia o wpół do ósmej.

Roześmiał się. Wstał od stołu i złapał ją w objęcia.

- Mówiłem ci już, że lubię patrzeć, kiedy się rumienisz?

- A, to dobrze - odparła Meena w sam środek jego piersi, bo jakoś nie mogła spojrzeć wyżej. - Wygląda na to, że przy tobie nie umiem robić nic innego. Więc widzimy się wieczorem?

- Nie zapomnij płaszcza.

Wyjął go z szafy, pomógł włożyć, a potem odprowadził ją do windy; jednej z tych, które przyjeżdżają prosto do mieszkania. Kiedy drzwi otworzyły się, znów objął ją w pasie i przycisnął do siebie, a potem ucałował mocno i zupełnie mu nie przeszkadzało, że smakowała tostem i kawą.

- Wpół do ósmej - przypomniał, puszczając ją. - Nie spóźnij się.

Patrzył z uśmiechem, kiedy wchodziła do windy, jak zahnipnotyzowana. Jack Bauer wkroczył do kabiny na sztywnych łapach, bardzo zadowolony, sądząc pewnie, że więcej nie zobaczy Luciena Antonescu. Odwrócił się i po raz ostatni szczerknął ostrzegawczo na księcia.

- I nawzajem, przyjacielu - powiedział Lucien. W tej chwili drzwi się zamknęły.

Meena, sama w windzie, patrzyła na błyskające numerki pięter. Z każdym kolejnym jej umysł się rozjaśniał. Kiedy drzwi otworzyły się, kiedy przeszła z Jackiem Bauerem przez hol do wyjścia luksusowego apartamentowca i wreszcie wyłoniła się na jaskrawe wiosenne słońce, rzeczywistość dotarła do niej w pełni.

A razem z nią świadomość tego, co się stało.

Rozdział 30

9.30 czasu wschodniego, piątej 16 kwietnia
Hotel Península Nowy Jork

Co rano przed śniadaniem Alaric przepływał sto długości basenu stylem dowolnym. A czasem stylem grzbietowym, jeśli przy basenie siedziała akurat jakaś atrakcyjna kobieta.

Ale że w Península odbywała się akurat ogólnokrajowa konferencja wytwórców i dystrybutorów implantów dentystycznych, taka ewentualność nie wchodziła w grę.

Robił właśnie sto osiemdziesiątą ósmą długość - basen w Península był mniejszy niż te, do których Alaric przywykł, więc musiał zwiększyć liczbę długości - kiedy nagle przez kryształowo niebieską wodę przebiła się czyjaś ręka i chwyciła go za głowę.

Błyskawiczny refleks Alarica kazałby mu przerzucić tego kogoś przez ramię i do basenu, gdyby w ostatniej chwili nie zauważył, że to szef.

- Niech cię szlag, Wulf! - huknął Holtzman, szukając ręcznika, żeby wytrzeć mokre ramię. - Próbowalesz mnie utopić? Chciałem tylko zwrócić twoją uwagę. Mamy tu sytuację kryzysową, zauważyłeś? A może jesteś zbyt zajęty korzystaniem z hotelowych luksusów?

Alaric zasapany przyłgnał do ściany basenu. Starał się nie okazać zadowolenia, że udało mu się zniszczyć niewiarygodnie brzydką marynarkę szefa.

- Jaką sytuację kryzysową? - Jego głos rozległ się przyjemnym echem po przeszklonej pływalni.

- Ćśś. - Holtzman wziął ręcznik od basenowego i zaczął się energicznie wycierać. - Nie tak głośno. Ktoś cię usłyszy.

Alaric pokręcił głową. W pomieszczeniu było dwóch czy trzech uczestników konferencji, ale nie sądził, by mogli stanowić zagrożenia dla interesów Gwardii Palatyńskiej.

- Nikt z nich nie zna niemieckiego - powiedział po niemiecku. - To amerykańscy dentyści.

- Mimo wszystko. - Holtzman podszedł do brzegu basenu, gdzie Alaric czekał na niego. - Dziś rano znaleziono w parku kolejną martwą dziewczynę.

- Meenę Harper?

- Nie, to nie Meena Harper. Niby dlaczego miałyby być martwa? Była wczoraj wieczorem z księciem, a książe przyjechał tu powstrzymać morderstwa, a nie popełniać je.

Alaric wzruszył ramionami zawiedziony. Oczywiście nie dlatego, że życzył sobie śmierci Meeny Harper. Była ich jedynym tropem prowadzącym do księcia, i o ile dobrze pamiętał, nawet ładna.

Ale jej śmierć powiązałaby jego misję ze sprawi księcia.

I może wreszcie kwatery główna pozwoliłaby mu na niego zapolować.

- Jeszcze nie zidentyfikowali tej zamordowanej - kontynuował Holtzman. Ukląkł przy basenie, starannie unikając mokrych plam na podłodze, i mówił półgębkiem jakby ktokolwiek na pływalni nie zdążył się jeszcze zorientować, że się znają. - Tak jak poprzednich.

- Więc to jednak może być Meena Harper. - Alaric myślał z lekkim żalem o jej kształtnych nogach i ciemnych włosach.

- To nie ona - warknął Holtzman. - Widziałem zdjęcie. Ta ofiara ma długie włosy. Meena Harper ma krótkie. Przystaniesz wreszcie z tą swoją obsesją na jej punkcie?

- Nie mam żadnej obsesji na jej punkcie. Chodzi tylko o to, że jeśli mamy złapać księcia...

- Żadne my - przerwał szef. - Ja mam złapać księcia. A ty wytropić mordercę. Ubierz się i przejrzyj zdjęcia paszportowe świeżych imigrantek pasujących do profilu tej dziewczyny. Może coś dopasujesz. Na podstawie plomb sądzą, że ona też może pochodzić z Europy Wschodniej, jak tamte.

- Dobra - powiedział Alaric. Strata czasu. - Na twoim miejscu złożyłbym dziś rano wizytę Meenie Harper.

- Och, doprawdy?

- A jak myślisz, co ona i Lucien Antonescu robili wczoraj w nocy? Nie wrócili do jej mieszkania. Ona wie, gdzie ten nietoperz założył gniazdo. Dowiedz się, gdzie to jest, i go mamy.

- Wpadłem na lepszy pomysł. Złożę wizytę Emilowi i Mary Lou Antonescu.

Alaric potężnie chapnął wodą na szefa.

- Hej! - Holtzman odskoczył do tyłu. - Co ty wyprawiasz?

Dystrybutorzy implantów, odpoczywający na leżakach, roześmiali się.

- Powiedz jedno słowo tym Antonescu, a ściągniesz nam na głowy całą wampirzą populację na Manhattanie. - Alaric był wściekły. Naprawdę wściekły. Najpierw Holtzman przeszkodził mu w treningu. A teraz

podejmował kolejne idiotyczne, biurokratyczne decyzje, jakby specjalnie chciał utrudnić mu pracę.

- Nie wiem, jak to się stało - ciągnął Alaric - ale księżę nas wczoraj nie zauważył. Skąd to wiem? Bo obaj ciągle jesteśmy żywi, a Antonescu nie wyprowadzili się z Park Avenue 910. Dzisiaj rano zadzwoniłem do portierni, udając, że jestem serwisantem kablówki, i zapytałem, czy z ich łączem jest wszystko w porządku. I ciągle tam są.

Holtzman popatrzył na niego zatroskanym wzrokiem.

- Wiedziałem, że powinienem być cię posłać na urlop i terapię. Nie nadajesz się do pełnienia obowiązków. Jesteś...

- Jestem najlepszym człowiekiem, jakiego masz, Holtzman. - Alaric dźwignął się z basenu. Sięgnął po ręcznik upuszczony przez szefa. - Przyniosę ci tego mordercę w zębach. Ale, co ważniejsze, przyniosę ci też księcia. Tylko pozwól mi wykonywać moją robotę, choć raz nie mówiąc mi, jak mam to robić. Żadnych podręczników. Żadnych zasad. Tylko martwe wampiry.

Holtzman przyglądał mu się badawczo. Alaric zdawał sobie sprawę, że spojrzenie szefa zsunęło się na jego umięśniony tors.

Bo czemu by nie? Dbał o siebie, regularnie ćwiczył! na siłowni, pływał. Prezentował się imponująco. Nawet sprzedawcy implantów nie mogli się powstrzymać, żeby nie zerknąć.

Nagle zorientował się, że spojrzenie Holtzmana przyklepione jest do paskudnej, wypukłej blizny tuż poniżej żeber, w miejscu, gdzie wampir w Berlinie zdołał kłami wyrwać mu kawałek ciała, kiedy Alaric próbował uwolnić Martina.

Westchnął. Wiedział, dlaczego Holtzman się gapi.

Watykańscy chirurdzy zalecali operację plastyczną.

Alaric odmówił. Nie lubił szpitali, a co dopiero niepotrzebnych zabiegów medycznych.

Holtzman pewnie myślał, że on nie chciał pozbyć się blizny z tego samego powodu, dla którego odmówił terapii psychologicznej po incydencie w Berlinie.

Ale blizna odgrywała ważną rolę: za każdym razem na; jej widok Alaric przypominał sobie, jak bardzo nienawidzi nieumarłych.

I jak ważne jest uwolnienie od nich świata na dobre.

- Jeśli chcesz znaleźć wampira - powiedział, ignorując spojrzenie Holtzmana, i to, że jego mentor ewidentnie próbuje wymyślić coś do powiedzenia na temat blizny I najlepiej zapytać jego ostatni posiłek. W

wypadku księcia jest to Meena Harper, park Avenue 910, mieszkanie 11B.

To wreszcie odwróciło uwagę Holtzmana od blizny.

- Racja - przyznał. - I dlatego pójdę do niej dziś wieczorem, udając...

- Abrahamie - przerwał mu Alaric. - Ten numer ze spadkiem po zaginionym krewnym nie przejdzie. Ona ci nic uwierzy. Kto zostawiałby spadek księciu? Jest bogatszy od Midasa.

- No tak. - Holtzman miał głupią minę. - O tym nie pomyślałem.

- Dlatego to ja pójdę dziś wieczorem do mieszkania Meeny Harper. I przesłucham ją po swoim.

- Niezbyt mądry pomysł. Zabraniam ci. Nie pozwolę na to.

Alaric gapił się na niego zaskoczony.

- Dlaczego?

- Bo zachowasz się tak, jak zwykle, wpadniesz do niej z mieczem w garści. Mieliliśmy już sporo skarg, Alaricu. Ludziom to się nie podoba.

- Ona właśnie spędziła noc z księciem ciemności - odparł. - Myślisz, że jestem bardziej przerażający od niego?

Poczuł się zawiedziony, kiedy Holtzman tylko spojrział znów na jego bliznę i nie powiedział nic. Jego blizna nie była przerażająca. Zdaniem Alarica naprawdę przerażający był garnitur Holtzmana.

Rozdział 31

10.30 czasu wschodniego, piątek, 16 kwietnia
CJN 155 Avenue of the Americas Nowy Jork

- Proszę, proszę - powiedziała Leisha, kiedy Meena stanęła przed jej fryzjerskim stanowiskiem w salonie Głowa jak Nowa - ktoś tu był bardzo niegrzeczną dziewczynką.

Siedziała wygodnie we fryzjerskim fotelu, z nogami skrzyżowanymi jak nubijska królowa, z dużą sałatką z grillowanym kurczakiem na brzuchu, chociaż właściciel salonu, Jimmy, stosował surową zasadę „żadnego jedzenia na stanowisku pracy”.

Ale zasady nie dotyczyły Leishy, jego najbardziej rozchwytywanej stylistki, a do tego w siódmym miesiącu ciąży.

Meena bez słowa wskazała pusty fotel na stanowisku obok.

- Siadaj. - Leisha machnęła ręką, aż zadzwoniły bransoletki. Meena zauważyła świeży francuski manikiur; pewnie ktoś z salonu na niej ćwiczył. - Ramonę wziął wolny dzień, bo dowiedział, się, że jego chłopak nie wykasował swojego profilu z serwisu randkowego. Ale do rzeczy. - Leisha spojrzała na nią z irytacją. - Jestem na ciebie totalnie wkurzona. Jon powiedział, że poszłaś na spacer z jakimś facetem po przyjęciu u hrabiny i nie wróciłaś. A dziś rano w wiadomościach powiedzieli, że znaleziono kolejną zamordowaną dziewczynę. Więc oczywiście siedziałam tu przez cały rano przekonana, że to ty, dopóki mi nie odpisałaś. Miałam mdłości ze zmartwienia. Możesz spytać, kogo chcesz. Normalnie mdłości.

Meena spojrzała znacząco na sałatkę z kurczakiem.

- Widać nie tak silne, że przeszkodziły ci zjeść wczesny lunch beze mnie.

- To nie ja. - Leisha dotknęła brzucha. - To on! Jego nie obchodzi, co się z tobą dzieje. Umierał z głodu. Kopał mnie. Boże. Nie uwierzysz, jak mnie kopał przez cały rano. I to wszystko twoja wina.

- Jakim cudem to moja wina? - Meena pochyliła się i wzięła Jacka Bauera na kolana.

Przytulił się, spragniony odrobiny miłości. Kiedy Luciena nie było w pobliżu, zachowywał się normalnie, na byle kogo nie warczał.

- Bo naraziłaś mnie na taki stres! Myślisz, że Thomas nie czuł, jak się o ciebie bałam? Co ty sobie myślałaś? Nigdy nie chodzisz z obcymi facetami. Co ci strzeliło do głowy, Harper?

Meena podrapała Jacka Bauera pod brodą, aż uniósł łebek do góry.

- Nie poszłam na spacer z obcym facetem. - Znów przegapiła okazję, by powiedzieć Leishy, że lekarz źle określił płeć dziecka. Ale to chyba nie był odpowiedni moment. - Tego mężczyznę poznałam przedwczorajszej nocy. To ten od nietoperzy.

Leisha wybałuszyła oczy.

- Niemożliwe.

Meena drapała psa tak mocno, że zaczął wierzgać tylną łapą. Pohamowała się trochę,

- Rzeczywiście. Niemożliwe. Lucien Antonescu, księżę, z którym próbowała mnie umówić hrabina, to ten sam gość, który uratował mnie przed nietoperzami koło kościoła. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie. Ale taka jest prawda. I wiesz co, Leisho, on mi się podoba. Bardziej niż podoba.

- Nic dziwnego, że przyszłaś prosto tutaj zamiast wpaść do domu przed pracą. Zwariowałaś i tyle. - Pokręciła głową.

Meena zmarszczyła brwi.

- Zwariowałam? Sądysz, że zmyślam?

- Nie. Ale to jest kompletnie pokręcone!

- Bo się z nim przespałam?

- Bo to ten sam facet! - wykrzyknęła Leisha. - To oczywiste, że się z nim przespałaś i że ci się podoba, skoro wystraszyłaś nas wszystkich na śmierć, znikając z nim na całą noc. - Odłożyła sałatkę na jeżdżący stojak na su szarki między ich fotelami i spróbowała usadowić się tak wygodnie, jak to możliwe w siódmym miesiącu ciąży. - No więc? Jak było?

- Było... - Meena spojrzała w strop, którego Jimmy nie kazał zasłonić podwieszanym sufitem; pomalował tylko wszelkie rury na srebrno, a strop za nimi na ciemno-fioletowo. - Niesamowicie - westchnęła. - Naprawdę. Nie potrafię tego opisać inaczej.

- Więcej przymiotników, proszę - powiedziała Leisha. - Sypiam z tym samym facetem od prawie siedmiu lat i mam tego dość. Chcę szczegółów. Bawiliście się w doktora?

- Leish! - Meena wybuchnęła śmiechem.

- Pytam serio. Nie obchodzi mnie nic innego. Och, czekaj, obchodzi. Jaką on ma datę ważności?

Spojrzała na przyjaciółkę rozplywając się w uśmiechu.

- To jest właśnie najlepsze. Nie ma żadnej.

Leisha osłupiała.

- Jak to, nie ma? Każdy kiedyś umrze, Mee. Co zresztą sama mi powtarzałaś milion razy. Ja należę do nielicznych szczęściarzy, którzy dostali odroczenie, dzięki Angie Harwood, bo pojechała za mnie na koncert.

Kiedy Meena zgaśniła ją wzrokiem, dodała:

- Sorki. Ale poważnie... Każdy kiedyś kopnie w kalendarz.

- Nie Lucien. A może po prostu... - przerwała w pół zdania. Chciała powiedzieć, że może po prostu jej zdolności przewidywania śmierci zanikają.

Ale wiedziała, że to nieprawda. Bo skąd by się brały dziwne przecucia na temat małej Weinberg? Musiała powiedzieć przyjaciółce. Musiała. Ale jak miała to zrobić? Wystraszy ją do nieprzytomności!

- Może po prostu co? - Leisha spojrzała na nią z irytacją. - Co z tobą? Wyglądasz jakoś dziwnie. Na pewno dobrze się czujesz? Wydaje mi się, że masz gorączkę. Czekaj, sprawdzę.

Palce Leishy były przyjemnie chłodne, gdy dotknęła jej czoła. Meena chciała, żeby zostawiła je tam na zawsze. Może miała gorączkę.

- Hm. Na pewno masz podwyższoną temperaturę. Co on ci zrobił? To gorączka nowej miłości czy zaraził cię Świńską grypą?

- Och, Leish. Był cudowny. - Wiedziała, że paple jak egzaltowana nastolatka, ale nic nie mogła na to poradzić. Wciąż czuła zapach Luciena na skórze po całusie na pożegnanie. - On jest taki... inny niż faceci, których ostatnio spotykałam, wiesz? Chodzi mi o to, że nawet nie wie, co to jest „Halo”. I zrobił mi śniadanie. Zapytał, jakie lubię jajka. I przygotował mi kąpiel. I był miły dla psa, chociaż Jack zachowywał się jak wariat i warczał na niego przez całą noc. I...

- Więc było idealnie - dokończyła za nią Leisha.

- Było idealnie - przyznała Meena. Nagle coś jej przyszło do głowy i przygryzła dolną wargę. - Tylko że...

- Co? - Leisha zmarszczyła brwi. - Nie mów mi. Jest żonaty. Ma żonę w Estonii.

- W Rumunii. I nie ma żony, oczywiście że nie. To nie to. Ale jest w nim coś... Okej, nie śmieję się. Coś żalnego.

- Żalnego? - Leisha pokręciła głową, aż jej czarne włosy, które z uporem prostowała i dziś seksownie podwinęła na końcach, opadły jej na ramiona. - Jak to „żalnego”? Ofermą? Nie masz już dość oferm po Davidzie?

- Nie. Nie w tym sensie żalnego. Smutnego. Jakby przydarzyło mu się kiedyś coś tragicznego i nigdy tego nie przeboleał.

- Może jego żona zmarła przy porodzie - podsunęła Leisha. Ona, w przeciwieństwie do Meeny, uwielbiała filmy z nieszczęśliwym zakończeniem. Im smutniejsze, tym lepsze. Była wielką fanką Jodi Picoult i Nicholasa Sparksa. - Albo zginęła w wypadku samochodowym, kilka godzin przed ślubem! Albo udusiła się na śmierć pod peruwiańską lawiną błotną, kiedy szczepiła sieroty.

Meena spojrzała na nią z politowaniem.

- Wróć do rzeczywistości. Myślę, że miał paskudne dzieciństwo. Nie bardzo chce o tym mówić. Kiedy gadaliśmy sobie po wszystkim, no wiesz... zapytałam go o rodzinę i powiedział, że oboje rodzice nie żyją. i że ma przyrodniego brata, ale nie są ze sobą blisko.

- No więc widzisz - powiedziała Leisha, trochę zawiedziona, że nie ma żadnej zmarłej żony, którą w filmowej wersji mogłaby grać Rachel McAdams. - Potrzebuje tylko miłości i kobiety, żeby go rozweseliła. Kobiety takiej jak ty... którą uratował przed atakiem nietoperzy. Romantyczna historia. Gdyby nie to, że zaliczyłaś go na pierwszej randce. Zupełnie nie w twoim stylu. Daj, jeszcze raz dotknę ci czoła. Chcę sprawdzić, czy ci gorączka nie wzrosła.

Sięgała właśnie do czoła Meeny, kiedy młody człowiek: o skórze niemal tak ciemnej jak skóra Leishy i z czarnymi artystycznie podgolonymi włosami pojawił się przed stanowiskiem Leishy. Meena nie wątpiła, że fryzura to dzieło przyjaciółki, bo doskonale pasowała do kształtu jego twarzy.

- O rany, Meena! - Uśmiechnął się szeroko. - I Jack Bauer Drugi! Tak się cieszę, że was widzę! - Podszedł prosto do niej, wziął psa z jej kolan i zaczął głaskać. Jack radośnie polizał go po twarzy. - Leisha przekazała mi dobrą nowinę!

To był Roberto, stylistą uczący się w salonie.

Meena nie miała pojęcia, o czym mówi.

- Dobrą nowinę? - powtórzyła, odchylając się na krzesło.

- O **Nienasyconych**. - Roberto głaskał Jacka Bauera po uszach. - Wreszcie będziecie mieć jakieś wampiry. Fajnie! Najwyższy czas. Uwielbiam Gregora Bane'a. Kiedy tylko się pojawia, przylepiam się do telewizora. On i ten drugi gość, z tych filmów o wampirach, na podstawie tych książek, wiecie. Boże, oni są tacy seksowni. Chętnie posłużyłbym im za przekąskę.

Meena spojrzała z irytacją na Leishę.

- No tak - mruknęła.

- Ach, i posłuchałem twojej rady, pamiętasz? Kiedy tu byłaś ostatnio? Oznajmiłem Felipe, że nie mam zamiaru jechać na naszą rocznicę do Maroka, tale jak on chciał - ciągnął Roberto, nie przestając głaskać Jacka. - Tak jak mi kazałaś. Powiedziałem, że powinniśmy jechać na Bahamy. Więc pojechaliśmy. I nie uwierzysz, co się stało. Hotel, w którym Felipe zrobił rezerwację w Maroku, został wysadzony w powietrze przez jakiegoś samobójcę z bombą! Akurat wtedy, kiedy mieliśmy tam być! Niesamowite, co? Zupełnie jakbyś to wiedziała czy jak? Felipe nie może przeżyć, jakiego mieliśmy farta, że nas tam nie było. Mogliśmy siedzieć w restauracji, jeść sobie śniadanie i, kurna, zginąć!

Meena posłała Robertowi mdły uśmiech. Ona oczywiście mogła myśleć tylko o tych ludziach, którzy jedli tam śniadanie i, kurna, zginęli... O tych, których nie zdołała uratować. Tak jak Angie Harwood.

- Cieszę się, że udał się wam wyjazd na Bahamy - powiedziała, kiedy Leisha wytrzeszczyła na nią oczy zza pleców Roberta.

- Och, żartujesz? - rozpywał się Roberto. - Było zajefajnie. Ale słuchaj, kto się spiknie z wampirem w Nim nasyconych Victoria Worthington Stone czy Tabby! Bo...

- Roberto - przerwała mu Leisha. Nigdy nie miała dużo cierpliwości do współpracowników, ale teraz, kiedy była w ciąży, miała jeszcze mniej, - Pić mi się chce. Może skoczyłbyś na zaplecze i przyniósł nam po butelce wody mineralnej? I miskę wody dla Jacka Bauera.

- Och, żaden problem, skarbie. - Z ociąganiem postawił Jacka Bauera z powrotem na kolanach Meeny. - Chcecie jakieś owoce? - Mango? - Leisha się uśmiechnęła. A kiedy uśmiechała się, nikt nie potrafił jej niczego odmówić. Miała tak od dziecka. - Pokrój je na takie małe kosteczki, wiesz, jak ostatnim razem? To było pyszne.

- Jasne. - Pobiegl spełnić jej życzenie.

Leisha spojrzała na Meenę spod swoich ciemnych, gęstych rzęs.

- No dobra. Poszedł sobie. Przepraszam za to. A tak; przy okazji, dzięki, że uratowałaś mu tyłek. Prawdę mówiąc, tęskniłabym za nim, gdyby wyleciał w powietrze z całą resztą w tym Maroku. Ale wróćmy do Luciena. Więc; czujesz nieodparty pociąg do niesamowicie przystojnego obcokrajowca, który skrywa mroczny sekret. Ciągnie swój do swego, ty też coś wiesz o mrocznych sekretach: Ale co on takiego zrobił, że zaciągnął cię do łóżka? Jesteś taka zahamowana, że po wuefie nie chciałaś nawet brać prysznic z resztą dziewczyn, pamiętasz? Dlatego Angie Harwood nazywała cię Meena- Śmierdzina.

Meena znów się zarumieniła.

- Sama nie wiem. Po prostu... nie widziałam w tym nic złego. On mi się naprawdę podoba, Leish.

Leisha gapiła się na nią.

- Och, coś widzę w twoich oczach, Meeno. Tu nie chodzi tylko o podobanie. Zakochałaś się.

- Chyba tak. - Spojrzała na czubek głowy Jacka Bauera i westchnęła. - Ale on wraca do Rumunii.

- Kiedy?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Nie pytałam. Nie chciałam mu się narzucać.

- Więc co, to była jednorazówka czy jak?

- Nie. - Meena poweselała. - Zaprosił mnie dziś na koncert symfoniczny.

Leisha skrzywiła się.

- Och! Czy on cokolwiek o tobie wie?

- Uwielbiam muzykę poważną. Tak się składa, że jestem ukulturalniona. W szóstej klasie grałam na klawirze.

- Dość fatalnie, o ile pamiętam. Siedziałaś w orkiestrze na dwudziestym krześle. Z dwudziestu jeden.

- Powiedziała osoba, która siedziała na dwudziestym pierwszym - odgryzła się Meena.

- Rozumiem, że on nie ma pojęcia... - Leisha postukała się w skroń - o... no wiesz?

Meena się skrzywiła.

- Nie. Nie zamierzam tego spieprzyć, tak jak wszystkich poprzednich związków.

Leisha zmarszczyła brwi.

- Meena. Poważnie. Jeśli chcesz, żeby cokolwiek z tego wyszło, musisz z nim być szczerą. Nie możesz go zwodzić. Twoje zdolności to duża część tego, kim jesteś...

- Ale nie jedyna.

- Mówisz o tej drugiej części, która nie chce mieć dzieci?

Meena otworzyła szeroko oczy. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie próbuję być złośliwa - ciągnęła Leisha. Teraz już nie żartowała. - Zawsze byłaś dla siebie zbyt surowa. Uważam, że jesteś wspaniała. Niby dlaczego wybrałam cię na przyjaciółkę zamiast Lori Delorenzo? Ona miała dużo ładniejszych włosów od ciebie. Ale ty jesteś troskliwa do tego stopnia, że czasem pakujesz się przez to w kłopoty. Troszczysz się o

nieznajomych i to do tego stopnia, że stajesz na głowie, żeby im pomóc, co moim zdaniem jest trochę nie z tego świata. Jesteś zabawna, inteligentna, ładna i miła. Ale prawda jest taka, że jeśli ten facet zostanie z tobą na dłużej, w końcu dowie się, kim naprawdę jesteś. I dowie się, że tak naprawdę wcale nie lubisz chodzić do filharmonii. Chyba powinnaś być z nim szczerą od początku; zobaczysz, co z tego wyniknie. Może się zdziwisz.

- Jak z Davidem? - Meena roześmiała się gorzko. - Nie sędzę. Może lepiej pozwolę mu poznawać prawdziwą - Meenę Harper powoli, po kawaleczku.

- Cóż, moim zdaniem ostatniej nocy poznał już całkiem spory kawaleczek Meeny Harper - wtrąciła Leisha z ironicznym śmiechem. - Poważnie, Meena. Wiem, że narzekam na Adama, ale wytrzymaliśmy ze sobą tak długo, bo to pierwszy facet, przy którym mogę być sobą, nie i muszę nic ukrywać. Jeśli przy tym facecie nie możesz być tym, kim jesteś, to już chyba lepiej, żebyś go sobie odpuściła.

Meena spojrzała zamyślona na przyjaciółkę. Leisha miała sporo racji, całkiem sporo. Najbardziej przerażające było to, że Leisha nie wiedziała, ile Meena ukrywa przed nią. Będzie musiała jej powiedzieć, nie powinna tego układać.

A sądząc po wielkości brzucha i natężeniu dzwonków Karmowych, które rozdzwaniały się w głowie Meeny, ilekroć Leisha wspominała o dziecku - musi powiedzieć jej jak najszybciej.

- Hej! - Leisha spojrzała na zegarek. - Czy ty nie powinnaś być w pracy?

- Tak - odparła z ociąganiem Meena. - Właśnie w tej sprawie tu przyszedłam... Mogę zostawić tu Jacka i odebrać go po pracy? Wiesz, jak wszyscy go uwielbiają...

Roberto, który wrócił właśnie z miską wody dla psa i talerzem idealnie pokrojonych kosteczek mango dla Leishy, usłyszał ostatnią część i aż się zachłysnął.

- Tak, proszę! - wykrzyknął. - Zaopiekujemy się pieskiem!

Meena, tłumiąc wybuch śmiechu, spojrzała na Leishę.

- Po prostu nie chce mi się wracać taki kawał do siebie, żeby go podrzucić, a potem wracać do pracy...

- Kochamy pieska! - piał Roberto. - Zrobimy mu pieskowy pedikiur!

- Wisisz mi przysługę. - Leisha posłała Meenie złe spojrzenie i wrzuciła sobie do ust kostkę mango.

- Wiszę. - Meena pokiwała głową.

- Będziesz mi pilnować syna, kiedy się urodzi. Za friko.
- Uwierz mi - mruknęła Meena pod nosem, oddając Jacka Bauera Robertowi. - Już to robię.

Rozdział 32

13.00 czasu wschodniego piątek, 16 kwietnia
Union Square West 15 Nowy Jork

To jest ostatnia ofiara - powiedział Emil. Wyciągnął czerwoną teczkę i położył z ponurą miną na granitowym blacie stołu.

Lucien zapatrzył się na zdjęcie.

Pewnie kiedyś była ładna... jedna z tych dziewcząt, które nie mogą się powstrzymać od uśmiechu, gdy widzą aparat skierowany w ich stronę.

Zaraz... Skąd on to wiedział?

Ale gwałtowana śmierć ograbiła ją z wszelkiego piękna. Teraz jej twarz była szarą maską, z fioletowymi sińcami pod oczami.

Poniżej szyi...

Lucien odwrócił zdjęcie. Widział już wcześniej takie rany.

Ale nie w tym stuleciu.

- Oceniają czas zgonu w przybliżeniu na trzecią nad ranem - poinformował Emil.

Co on robił o trzeciej nad ranem, kiedy ktoś wysysał całą krew z ciała tej dziewczyny?

Doskonale wiedział. Gdyby robił to, po co tu przyjechał, może by nie zginęła.

- Morderstwa zdarzają się w coraz mniejszych odstępach czasu - mówił Emil. - Ten, kto to robi, jest coraz bardziej zdesperowany.

- Ci, którzy to robią - poprawił go Lucien. - Te ślady ugryzień nie pochodzą od jednej osoby. I kimkolwiek oni są, wiedzieli, że zeszłej nocy byłem zajęty.

- Ale żeby zrobić coś tak bezczelnego, pod samym twoim nosem...

Lucien, choć nie powiedział tego głośno, pomyślał: może właśnie dlatego ją zamordowali. Żeby ze mnie zadrwić.

- Robią się chciwi. - Emil pokiwał głową. - Raz zabili i przekonali się, że im się to podoba. Teraz nie chcą przestać. A może nie mogą.

- Może - zgodził się Lucien. Już sam nie wiedział, co myśleć o tych morderstwach. - To może być uzależniające. I dlatego trzeba przerwać ciąg zabójstw.

- Wszyscy skończymy z kółkami w sercach, kiedy ludzie wreszcie zorientują się, co się dzieje - stwierdził ponuro Emil. - Postanowią nas unicestwić, tale jak chce tego Gwardia Pałatyńska. Tak jak unicestwili twojego ojca.

Emil zadrzał, być może wspominając, jaki koniec spotkał ojca Luciena. Nagle spojrzął z rozpaczą na Luciena i wypalił:

- To moja wina, panie. Śmierć tej ostatniej dziewczyny. Moja i tylko moja. Nie powinienem był pozwolić żonie, żeby zaprosiła... hm... ją na nasze przyjęcie.

Było oczywiście, kogo Emil ma na myśli, mówiąc „ją”. Jej nazwisko zdawało się wisieć w powietrzu apartamentu, tak jak wisiał w nim jej ludzki zapach.

Meena Harper. Meena Harper. Meena Harper.

- Zdaję sobie sprawę, że popełniłem ogromny błąd - ciągnął Emil. - To przeze mnie zostałeś odciągnięty od obowiązków. Zrozumiem, jeśli zechcesz mnie zabić, panie, za to rażące zaniedbanie. Stał przed Lucieniem z pochyloną głową, pokornie czekając, aż jego ciało zostanie uniesione i ciśnięte przez okno na światło dzienne, gdzie natychmiast spali się na słońcu jak ziemniaczana chrupka.

Ale Lucien nie potrafił go winić, tak jak nie potrafił wytłumaczyć tego, co zaszło ostatniej nocy. Nie wiedział jeszcze, dlaczego jest tak głęboko przekonany, że ciemnoooka dziewczyna w piżamie, którą uratował przed katedrą Świętego Jerzego, okaże się źródłem jego duchowego i emocjonalnego odkupienia.

A już z pewnością nie potraktował jej tak, jak traktuję się odkupicielkę. Spędził tę noc, robiąc z nią rzeczy, które teraz, w świetle dnia, pewnie nie do końca nawet pamiętała... ale w trakcie zdawała się z nich czerpać niemalą przyjemność.

On na pewno czerpał.

I teraz esencja Meeny Harper wypełniała jego żyły puste od dawna. Pulsowały jej siłą życiową i energią, elektryzującą witalnością.

Ale to nie wszystko. Nagle wiedział pewne rzeczy.

Nie potrafił tego wytłumaczyć. To nie miało żadnego sensu. Było wręcz swego rodzaju szaleństwem. Jej szaleństwem. Tymi samymi ulotnymi obrazami, które widział kłębiące się w jej głowie, ilekroć do niej zaglądał. Skąd wiedział, na przykład, że dziewczyna ze zdjęcia nie mogła powstrzymać się od uśmiechu przed aparatem?

Dziewczyna ze zdjęcia nie żyła. I on jej nigdy nie spotkał.

Co to znaczyło?

Jeszcze tego nie wiedział.

Ale wiedział, że to coś nowego.

A każda nowość po pięciu wiekach była pożądana.

Bardzo pożądana.

- Już dobrze, Emilu. - Starał się go uspokoić. Przepelniały go ciepłe uczucia dla kuzyna.

Jeszcze tydzień temu szalały z wściekłości z powodu gigantycznej obsuwy. Czy to przez Meenę Harper tak złagodniał?

Czy przez coś innego?

Emil, oszołomiony, uniósł głowę.

- To znaczy... - Rozejrzał się po pokoju, jakby spodziewał się, że zobaczy jakiegoś sługę Luciena z kołkiem w ręce. - Nie chcesz mnie zabić, panie? Ani mojej Żony?

- Myślę, że było już dość śmierci - odparł łagodnie Lucien. - Może lepiej skupmy się na znalezieniu mordercy, czy morderców, i powstrzymaniu ich. Chcesz powiedzieć, że nikt - wstał od stołu i podszedł do wielkich okien - nie potrafił opisać policji żadnego podejrzanego? Nikogo nie widziano, jak podrzucał ciało ani w jego pobliżu?

Emil, niezmiernie uradowany, że zostało mu wybaczone, złapał swoje teczki i szybko przejrzał zawartość.

- O, zgłoszeń nie brakowało. Jest tylu potencjalnych świadków, że policja wciąż ich przesłuchuje. Wszystkim się zdaje, że coś widzieli. Co znaczy, oczywiście, że nikt nic nie widział. Bo ktokolwiek to zrobił, na pewno miał dość rozumu, żeby wymazać pamięć każdego, kto coś widział i mógłby przekazać coś użytecznego.

Lucien zmarszczył brwi, patrząc na miasto. W oddali, za East River, jarzyły się czerwone ostrzegawcze światła wież lotniska.

Przypomniały mu błysk, który dostrzegł przedwczoraj w nocy w oczach swojego brata.

Dimitri zawsze był głodny władzy, wiecznie szukał sposobów, jak powiększyć swoje interesy, swoje wpływy, swoją przewagę. Omal nie umarł z wściekłości, kiedy ojciec zostawił całą ogromną fortunę starszemu synowi, choć Lucien bardzo chętnie by się nią podzielił.

Czy ten głód bogactwa i władzy Dimitriego rozciągał się również na inne sprawy? Tego nie wiedział.

Smutne, kiedy tak się postrzega swojego brata. Ale dlaczego myślał o nim właśnie teraz, kiedy miał na głowie tyle pilniejszych spraw?

Odwrócił się gwałtownie od okna. Emil mówił do niego przez cały czas, a on nie słyszał ani jednego słowa.

- Oczywiście - powiedział. Cokolwiek to było, miał pewność, że Emil zajmie się tym z godną podziwu skutecznością, jak zajmował się wszystkimi innymi sprawami w służbie księcia. - Emilu.

- Panie?

- Będę musiał odwołać swoje plany na ten wieczór. Emil zrobił niepewną minę.

- To znaczy?

Lucien zignorował pulsowanie w żyłach - całkiem nowe doznanie, a przynajmniej zapomniane od pięciuset lat.

- Umówiłem się z panną Harper, że zabiorę ją na koncert. Ale w świetle... tego - wskazał teczkę na stole - oczywiście mam bardziej naglące zajęcia - wyjaśnił.

- Och. - W oczach Emila pojawił się szczery zawód. - Rozumiem. Oczywiście. Zajmę się tym. Ale jesteś pewien, panie? Przecież jest też czas na przyjemności, nie tylko...

- Później. - Rozciągała się przed nim panorama Manhattanu z jego drapaczami chmur. Gdzieś tam czaił się morderca. Lub mordercy. Musiał ich znaleźć i powstrzymać. Ale czy zdąży, zanim znów zabiją?

- Zginęły już cztery kobiety. Nie mogę sobie pozwolić na zaniedbywanie obowiązków.

Ale nawet wypowiadając te słowa, wiedział, że to tylko kwestia godzin, zanim zacznie znów jej pragnąć. Mówił wcześniej, że morderstwo uzależnia.

Ale kto tu był tak naprawdę uzależniony?

Rozdział 33

14.00 czasu wschodniego, piątek 16 kwietnia
Biurowiec ABN Madison Avenue 520 Nowy Jork

- Wiem, kim jesteś - powiedziała bez tchu Tabitha Worthington Stone.
- A może powinnam raczej powiedzieć, czym jesteś.

- Doprawdy? - Wysoki, ciemnowłosy młodzieniec spojrzął na nią ognistym wzrokiem, z bladym uśmiechem igrającym na pięknie wykrojonych ustach. - Więc czym jestem?

- Jesteś... jesteś... - Taylor odwróciła oczy przygryzła pełną dolną wargę i dramatycznym gestem przyłożyła dłoń do czoła. - Nie! Nie przechodzi mi to przez gardło. To po prostu niemożliwe!

- Powiedz to. - Maximillian Cabrera złapał ją za ramiona. - Powiedz to, już!

- O, cześć. - Paul, scenarzysta, skinął Jonowi głową. - Przeszedłeś do Meeny?

Jon z trudem oderwał wzrok od nieprawdopodobnie namiętnej sceny granej na pustym planie filmowym. Taylor MacKenzie jakimś cudem wyglądała seksownie nawet w legginsach i obszernym szarym swetrze, który włożyła na kusą czarną koszulkę.

Szkoda, że Jon nie mógł powiedzieć nic pochlebnego o jej przyszłym serialowym partnerze, Stefanie Dominicu. Uważał, że Dominie wygląda fatalnie. Obcisłe czarne dżinsy, tłuste włosy, dwudniowy zarost na szczęce.

Niemożliwe, żeby obsadzili go w tej roli. O wiele mądrzej byłoby dać ją komuś bardziej zadbanemu. Na przykład Jonowi. Dominie był taki... zbyt oczywisty. Jak na kogoś, kto ma grać wampira.

- Tak - odparł Jon. - To znaczy Meena wie, że tu jestem. Musiałem ją uprzedzić, żeby ochrona mnie wpuściła. - Wskazał przepustkę gościa przypiętą do kołnierzyka dżinsowej marynarki. - Ale nigdzie jej nie widziałem.

- Jest w swoim gabinecie - poinformował Paul. - Pod stertą brudnopisów, które jej właśnie dałem. Chyba że szlifuje swoje CV

Jon zmarszczył brwi.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Dlatego. - Paul wskazał głową plan. Fran i Stan, szefowie Meeny, weszli przed kamery i przekazywali Taylor i Stefanowi swoje wrażenia.

- Jestem zachwycona - mówiła właśnie Fran, pani w średnim wieku, obwieszona naszyjnikami i z masą niesfornych siwych loków na głowie.
- Stefan, aż dostałam gęsiej skórki.

- Dzięki - odparł Stefan lakonicznie. Był tak chudy, że kiedy stał prosto, sterczały mu kości biodrowe.

Jon miał ochotę walnąć go w nerki.

- Prawda, ciociu? - Zza korpulentnego faceta wyszła szczupła dziewczyna o bardzo prostych, czarnych włosach, w wąskiej spódnicy. Shoshona, domyślił się Jon. A ten korpulentny to pewnie drugi szef Meeny, Sy. - Jest po prostu genialny.

Genialny. Mniej więcej tak samo jak Jack Bauer. Pies, oczywiście, nie postać grana przez Kiefera Sutherlanda.

- Dzięki - powtórzył Stefan, odgarniając z oczu niedomyte włosy.

- Czuję między nami świetne wibracje - wtrąciła Taylor swoim srebrzystym głosem. - Chyba jest chemia. Dla mnie może być. Boże, jęknął w duchu Jon. Po co on tu w ogóle przychodził? To po prostu tortura. Widzieć - naprawdę widzieć w prawdziwym życiu, nie na ekranie - swoją ukochaną Taylor w ramionach innego? To było ponad jego siły.

Ale Taylor szła już w jego stronę w swoich małych, białych tenisówkach. Wciągnął powietrze i brzuch, chociaż nie miał za wiele do wciągania, bo ostatnio naprawdę ćwiczył, a nie tylko zamierzał, bo chciał podchodzić do egzaminu do policji i powiedział:

- Cześć, Taylor - kiedy przeszła obok niego, zostawiając za sobą słaby aromat grejpfrutów.

Odwróciła głowę i zobaczyła go; pomalowane błyszczkiem wargi rozchyliły się z zaskoczenia, a potem wygięły w przyjaznym uśmiechu. Poznała go.

- Och, cześć... - Ale zupełnie nie mogła sobie przypomnieć jego imienia.

- Jon - powiedział pospiesznie. - Jon Harper. Starszy brat Meeny Harper.

- A, tak - zachichotała. - Łatwo zapominam imiona. Jak leci?

- Świetnie. - Serce mu łomotało jak piłka do kosza. - Właśnie widziałem ostatni kawałek tej sceny, którą grałaś z... jak mu tam. Świetna robota.

- Oj, dziękuję - odparła Taylor z błyszczącymi oczami. - On ma na imię Stefan. Będzie grał wampira w serialu. Strasznie się cieszę, bo to naprawdę przyciągnie młodszego target. Czy Stefan nie jest obłądny?

Nie, pomyślał Jon. Ty jesteś obłądana. Nie Stefan. Ten gość jest koszmarny.

- To jest pewne, że go obsadzą? Bo wiesz, ja też trochę grałem w ogólniaku...

- Myślę, że zagra... Sieć go chce. I ma tego samego menedżera co Gregory Bane, no wiesz, ten z **Żądzy**. Dimitri Jakiśtam.

Wskazała mężczyznę, który stał w rogu studia, rozmawiając ze Stanem i Fran, Sy i Shoshoną.

Dimitri Jakiśtam był ogromny, bardzo wysoki i szeroki w barach jak książkę Meeny; miał na sobie nienagannie skrojony garnitur, który pewnie kosztował go ze trzy kawałki. Wyglądało, że ma ze sobą dwóch ochroniarzy.

Więc na dodatek był bogaty.

Drugi facet, którego Jon miał wielką ochotę walnąć w nerki.

- Interesujące - rzucił, udając, że go to nie obchodzi. - A ty co teraz robisz? Miałabyś ochotę na drinka?

- Och. - Taylor westchnęła. - Chętnie, ale mam spotkanie z trenerem. Może następnym razem, okej?

Stała na palcach, przytrzymała się jego nadgarstka, żeby nie stracić równowagi, i dała mu całusa - lekkiego jak muśnięcie skrzydeł motyla - w policzek.

I pobiegła wypacać jakiś nieistniejący tłuszcz.

Jon gapił się za nią przez minutę czy dwie, zanim zdołał się otrząsnąć z czaru, który na niego rzuciła. Poszedł szukać siostry. Znalazł ją tam, gdzie skierował go Paul - w gabinecie, który właściwie był biurowym boksem, chociaż miał wąskie okienko z widokiem.

Klepała jak wściekła w klawiaturę; całe biurko i każdą wolną powierzchnię zajmowały kartki porozkładane pozornie bez żadnego ładu i składu, ale Jon wiedział z doświadczenia, że gdyby ktokolwiek ważył się ich dotknąć, rozdarłaby się na niego, bo zostały ułożone w jakimś porządku, chociaż tylko ona wiedziała w jakim.

- Hej, Meen. - Nie miał siedzeń do wyboru, więc usadowił się na sterce brudnopisów, spiętrzonych na krześle przed jej biurkiem.

- Idź sobie - burknęła. Nie oderwała oczu od ekranu komputera.

- Co się dzieje?

- Wszystko. To miejsce zmierza ku katastrofie. Nie uwierzysz, jakie kwestie Fran i Stan, bo niemożliwe, żeby Shoshona zdołała to wymyślić, kazali mi wcisnąć biednej Taylor. Ze nie wspomnę już o Cheryl. Producent jest wszędzie. W życiu nie słyszałam o tych rzeczach. Nie

sądę, żeby to były produkty CDI. Krem przeciwzmarszczkowy Revenant? Ciemne okulary Strigoi? Jest nawet jakieś spa, do którego Victoria ma jechać na totalne odmładzanie. Słyszałeś kiedykolwiek o Regeneracyjnym Spa Młodzieńczego Przebudzenia?

Jon wzruszył ramionami.

- Nie. Ale czego ty się spodziewałaś? Wasz serial jest w kiblu. Mają ten nowy wątek z wampirem i CDI uważa, że to szansa na podniesienie oglądalności. Dlaczego nie mieliby zareklamować paru towarów? Próbują zarobić trochę pieniędzy.

Meena westchnęła.

- Nie wiem, co myślałam. Ze okażą minimum przyzwoitości? Szacunku dla oddanej publiczności, która ogląda serial od trzydziestu lat. Ale pewnie to ja jestem głupia. A w ogóle co ty tu robisz?

- Przyszedłem na przesłuchanie.

- Jakie przesłuchanie? - Oślupiała.

- Do roli wampira. - Boże, ona naprawdę była nieprzytomna.

- Nie ma żadnego przesłuchania. - Roześmiała się, patrząc z niedowierzaniem. - Stefan ma tę rolę. Upewniają się tylko, czy między nim a Taylor jest chemia. Co sprowadza się do tego, czy nie jest niższy od niej.

- Tak - odparł z cieniem goryczy. - Zdążyłem się już zorientować.

Roześmiała się znów, ale tym razem z czułością.

- Biedny Jon. - Wyciągnęła rękę, żeby poczochrąć mu włosy. - Przykro mi.

- Przestań. - Gwałtownie odsunął głowę. Wstydził się swojej naiwności.

- Popatrz na nas. - Meena westchnęła. - Jesteśmy żałośni.

- No cóż. - Odchylił się na krzesło i spróbował oprzeć; stopy o jej biurko. Ale nie było na nim miejsca, wszędzie leżały sterty papierów. - Ty przynajmniej bzyknęłaś się tej nocy.

- Nie bądź wulgarny. A, tak przy okazji, mógłbyś pójść do salonu Leishy i odebrać Jacka? Podrzuciłam go tam w drodze do pracy Proszę. Odwdzięczę ci się jakoś, okej? Właśnie sprzedałam duszę korporacyjnej maszynie, mam ochotę iść prosto do domu i...

- Zacząć pilnie pracować nad wspaniałą powieścią?

- ...przygotować się do dzisiejszej randki - dokończyła z uśmiechem.

- Jezu. - Jon wstał ze sterty papierów. - Dziś znów się z nim spotykasz? Ale cię wzięło.

Uśmiech Meeny się poszerzył.

- Nie sądzisz, że to najwyższa pora, żeby któremuś z nas coś w życiu się udało?

Pokręcił głową.

- Dobra. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

- Odprowadzę cię do windy.

Kiedy zbliżyli się do wind, usłyszał, że siostra zakłęła pod nosem. Gdy spojrzął przed siebie, zrozumiał dlaczego. Na windę czekali Fran i Stan, nemezis Meeny, Shoshona, Stefan Dominie, jego menedżer i ochroniarze. Niezły tłumek.

- Cześć, Meena. - Głos Shoshony ociekał lukrem.

- Cześć, Shoshona. - Wyras twarzy Meeny zdawał się mówić, że chciałaby być gdziekolwiek, byle nie tu.

- Nie wiem, czy już poznałaś nowego członka naszej obsady, Stefana Dominica - powiedziała Shoshona, patrząc na chudego bruneta, którego Jon chciał walnąć pół godziny wcześniej.

- Nie, jeszcze nie miałam okazji - odparła grzecznie Meena i podała rękę facetowi, który teraz będzie miał przyjemność codziennie pakować język do gardła Taylor MacKenzie.

- Miło mi. - Stefan Dominie spoglądał z góry na Meenę.

Gdy ścisnęła mu dłoń, jakby zamarła na sekundę, patrząc na niego. Jon wiedział, że siostra ma wizję.

- Czy my się gdzieś nie spotkaliśmy? - spytała zamyślona.

Hm... Zwykle nie mówiła czegoś takiego. Zwykle rzucała teksty w rodzaju: „Nie jedź autostradą” albo „Na twoim miejscu przeszląbym na pełnoziarniste pieczywo”.

- Nie wydaje mi się.

- Wyglądasz znajomo. - Wciąż nie puszczała jego ręki. - Mogłabym przysiąc, że już cię gdzieś widziałam.

- No cóż - odezwała się Shoshona ze złośliwym uśmiechem. - Stefan jest moim chłopakiem. Pewnie rzeczywiście już go widziałas. Tu, w biurówcu, ze mną.

- Ach. - Meena roześmiała się, zażenowana, i puściła jego rękę. - Wybacz. Oczywiście.

W tej chwili przyjechała winda i Jon wsiadł do niej razem z Dominikiem i jego menedżerem, którzy pożegnali się z Shoshona, jej ciotką i wujkiem.

Ostatnią twarzą, jaką zobaczył Jon, zanim zamknęły się drzwi windy, była twarz Meeny.

Mocno zamyślona.

Właściwie nie dziwnego. Meena miała teraz nad czym rozmyślać. Zupełnie się tym nie przejął.

Wolał myśleć o Taylor MacKenzie i jej pocałunku. Był to o wiele przyjemniejszy temat do rozmyślań podczas jazdy windą niż mina jego siostry, kiedy ścisnęła rękę Stefanowi Dominicowi, zastanawiając się, skąd go zna.

Jon nie wiedział, że właśnie ta zmiana tematu rozmyślań uratowała mu życie.

Rozdział 34

17.00 czasu wschodniego, piątek 16 kwietnia
Park Avenue 910 Nowy Jork

Meena uważnie rozejrzała się po holu, stwierdziła, że nie ma w nim hrabiny i popędziła do windy.

Nie mogła w to uwierzyć. Udało jej się ominąć portiera - na szczęście Pradip nie miał dyżuru - i dotrzeć do windy, i nie napatoczyć się na sąsiadkę. Ten tydzień to był istny rollercoaster - huśtawka w dół, w górę i znów w dół - i Meena nie wiedziała już, czego się spodziewać. W tej chwili wyglądało na to, że czeka ją kolejna górka.

Ale kiedy drzwi windy już miały się zamknąć, pojawiła się znajoma, upierścieniona dłoń i przytrzymała je, zanim się zatrzasnęły.

W następnej chwili Meena usłyszała południowy akcent Mary Lou:

- Juhuu! Meena?

Drzwi otworzyły się i odsłoniły hrabinę stojącą w progu z niewinną miną, ubraną w brzoskwinowy kostium i malowniczy kapelusz, z całą baterią reklamówek z Bergdorf Goodman.

- Och. - Meena ledwie zdołała ukryć rozczarowanie. Dobrze, że szczerze owinęła się płaszczem. Może Mary Lou nie zauważy wczorajszej sukienki. - Cześć, Mary Lou.

- No proszę - wykrzyknęła Mary Lou. - Jaka zarumieniona i śliczna jak obrazek. Wiesz, że właśnie o tobie myślałam? Spotkałam wcześniej Jona i zapytałam, jak się miewasz, a on powiedział, że nie wie, bo jeszcze cię dziś nie widział.

Meena postanowiła, że zabije Jona, kiedy tylko wróci z GJN z Jackiem Bauerem.

- Och, ehm... - powiedziała inteligentnie. Miała ochotę zapaść się pod ziemię razem z podłogą windy.

Ale nie mogła Uczyć na tyle szczęścia. Drzwi się zamknęły i rozpoczęła się długa jazda na dziesiąte piętro.

- Więc książkę ci się spodobał? - spytała Mary Lou zupełnie niepotrzebnie.

Meena sądziła, że to oczywiste, skoro spędziła z nim noc.

- Och. - Meena się poddała. Bo po co zaprzeczać? Była zakochana w Lucienie Antonescu. Świat i tak się dowie, jeśli będą się dalej spotykać. - Spodobał mi się, i to bardzo.

Czy to zabrzmiało zbyt desperacko?

- Bardzo się cieszę. - Mary Lou uśmiechnęła się promiennie. - Wiedziałam, że tak będzie. Bo czyż nie jest przystojny? I miły. Moim zdaniem jest baaardzo miły.

Nagle Mary Lou speszyła się, jakby to ona dla odmiany chlapnęła coś niewłaściwego.

- Ale bez przesady, wiesz - ciągnęła. - Chodzi mi o to, że nie jest żadnym popychadłem. Widziałam, jak robił rzeczy... No cóż, od których włos by ci się zjeżył, uwierz mi.

Meena uniosła brwi. Nie miała pojęcia, o czym hrabina mówi.

- Oj, nie zwracaj na mnie uwagi. Emil twierdzi, że mam tendencję do gadania byle czego. Chodzi mi tylko o to, że Lucien jest prawdziwym mężczyzną, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Meena doskonale wiedziała, co hrabina ma na myśli. Wciąż jeszcze była trochę obolała tu i ówdzie od tej jego męskości. Nagle zdała sobie sprawę, że te dziewczynskie pogawędki mogą być dobrą okazją, żeby dowiedzieć się paru rzeczy na temat księcia. Ale zostało tylko sześć pięter, więc musiała się pospieszyć.

- Odniosłam wrażenie, że jest trochę melancholijny - zaczęła.

- Melancholijny? - Mary Lou miała taką minę, jakby nie bardzo, wiedziała, co znaczy to słowo.

- Tak. - Meena wiedziała, że musi stąpać ostrożnie. Nie chciała, żeby hrabina pobiegła do Luciena i naskarzyła, że Meena go obgadywała. Musiała być subtelna. Ale nie za subtelna. Boże, już zapomniała, jakie to trudne być zakochaną. - Jakby coś go spotkało... może w dzieciństwie... przez co teraz jest w nim tyle smutku,

- Och. - Mary Lou chwyciła przynętę jak szczupak. - Żebyś wiedziała. Jego ojciec był potworem. Ale za to matka! Trudno by znaleźć na świecie bardziej uroczą kobietę. Prawdziwa święta. Nigdy ich nie poznałam, oczywiście, zmarli na długo, zanim weszłam do rodziny. Powtarzam tylko, co mówił mi Emil. Ale w rzeczy samej, ojciec...

- Bił go? - Meena zniżyła głos, chociaż były w windzie same.

- Tak - odszepnęła Mary Lou. - Z tego, co słyszałam.

Serce Meeny ścisnęło się na wspomnienie wyrazu twarzy Luciena, kiedy stali przed portretem Viada Tepesa. Co mogło znaczyć, zastanawiała się, że tak żywo interesował się narodowym bohaterem, który traktował synów tak samo, jak jego traktował ojciec.

I nic dziwnego, że nie lubił **24 godzin**. Serial pewnie przywodził mu na myśl koszarne wspomnienia z dzieciństwa. Biedak! Niesamowite, jak daleko zaszedł mimo tak traumatycznego początku życia.

- Więc co zaplanowaliście na dzisiejszy wieczór? - Mary Lou koniecznie chciała wiedzieć. - Nie mów mi, że cię nigdzie nie zaprosił. Jest piątkowy wieczór!

Meena poczuła, że się rumieni. Doprawdy, będzie musiała coś z tym zrobić; nie mogła się rumienić na każdą wzmiankę o księciu, jeśli mieli być parą, nawet jeśli tylko na czas jego pobytu w mieście.

- Idziemy na koncert.

- Nowojorskiej Orkiestry Symfonicznej? - pisnęła Mary Lou. - Och, cudownie! To ja mu załatwiłam miejsca. Bo wiesz, bilety były wyprzedane od miesiący. Ale znam kogoś, kto zna kogoś... Oj, nieważne, nie chcesz tego słuchać. W każdym razie bardzo się cieszę, że z nim idziesz, wam obojgu to dobrze zrobi. Macie ze sobą tyle wspólnego, że nawet nie macie pojęcia. Oboje za ciężko pracujecie. I oboje potrzebujecie wyluzować się trochę, wziąć sobie trochę wolnego, żeby przez chwilę pocieszyć się życiem. Dlatego pomyślałam, że będziecie taką dobraną parą. A teraz - powiedziała Mary Lou, kiedy winda dojechała na dziesiąte piętro i drzwi się otworzyły - musisz pozwolić sobie pożyczyć na dzisiejszy wieczór moją sukienkę Givenchy, wiesz, tę vintage. Będziesz w niej wyglądać zabójczo. Wiem, że jestem trochę większa od ciebie, ale kiedyś nie byłam, możesz wierzyć albo nie.

Meena otworzyła usta, żeby zaprotestować - nie potrzebowała nic pożyczać - ale Mary Lou nie chciała o tym słyszeć. Nie dało się jej zbyć. Zaciągnęła Meenę do swojego mieszkania i do garderoby, która była wielkości sypialni Meeny, i miotała się po niej, aż znalazła ciuch; którego szukała, rzeczywiście piękną koktajlową sukienkę Givenchy, całą pokrytą ręcznie naszywanymi hebanowymi kryształkami, które chwytały światło i migotały jak czarne diamenty.

- Musisz do niej włożyć halkę - stwierdziła Mary Lou krytycznie, unosząc sukienkę pod światło lamp nad lustrem. - Zapomniałam, jaka jest przejrzysta. Masz halkę?

Na widok cudnej sukienki Meena zapomniała o protestach. Wiedziała, że będzie w niej wyglądać fantastycznie. Nawet jeśli Luciena bardziej zainteresuje to, co jest pod spodem.

- Tak. - Kupiła kiedyś czarną halkę do sukienki, którą miała na sobie jako drużna Leishy. - I jakieś czarne buty na obcasach? - Mary Lou wyjęła pudełko z parą czarnych szpilek z błyszczącej skóry. - Chyba trochę za duże, ale gdybyś wypchała palce...

- Ehm, mam jakieś buty - zapewniła pospiesznie Meena. Człapanie po Lincoln Center w za dużych butach nieszczególnie jej się uśmiechało.

Czuła się jak pijana. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Zachowywała się jak nastolatka, która szykuje się na pierwszy szkolny bal. Nigdy nie spędziła tyle czasu na rozmowie o ciuchach.

Miłość. To musiała być miłość.

- Nie spiesz się z oddawaniem - mówiła Mary Lou, odprowadzając ją do drzwi. - Trzymaj ją, jak długo zechcesz. Cieszę się, że ktoś wreszcie się nią nacieszy po tylu latach. Ostatni raz miałam to na sobie chyba w latach sześćdziesiątych.

Meena się roześmiała.

- To znaczy kiedy byłaś jeszcze płodem?

- Zaraz, czy ja powiedziałam „w latach sześćdziesiątych”? - Mary Lou przyłożyła dłoń do piersi i roześmiała się. - Oczywiście chodziło mi o to, że została uszyta w latach sześćdziesiątych. Czasem nie myślę, co mówię.

- Dzięki, Mary Lou. - Naprawdę była wdzięczna sąsiadce. Antypatia, którą zawsze do niej czuła, zaczynała powoli mijać. - I dzięki, że przedstawiłaś mnie Lucienowi. On naprawdę jest... Cóż, tak jak powiedziałas. Bardzo miły.

To było niedopowiedzenie dekady.

- Och, kotku. - Mary Lou pochyliła się, żeby cmoknąć ją w policzek. Meena poczuła mocny zapach perfum hrabiny. - Tak się cieszę. Nawet nie masz pojęcia. Po prostu wiedziałam, że między wami zaiskrzy, od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam, jak wasze oczy spotkały się wczoraj wieczorem. Zupełnie jakbyście spotkali się już wcześniej.

Meena przełknęła niemal odruchowe: „Bo tak było”.

- Dziękuję, Mary Lou - powtórzyła z sukienką przewieszoną przez rękę. - Po prostu dziękuję.

Musiała pobiec korytarzem, żeby umknąć do mieszkania, zanim łzy, które zaczęły kłuć ją pod powiekami, zdążyły się przelać. Co się z nią działo? Nigdy nie reagowała na nic tak emocjonalnie. No, może na pracę.

O Boże, praca. Powinna usiąść i popracować nad swoją propozycją rumuńskiego księcia, który zabije wampira Shoshony i będzie miał romans z Cheryl. Wiedziała, że jeśli nie skończy tego do poniedziałku, zmaleją szanse, że wątek w ogóle zostanie zaakceptowany.

Kiedy Maximilian Cabrera zdobędzie serca widzów, to ani Fran i Stan, ani CDI, które najwyraźniej sporo inwestowało w te swoje wampiry, nie dadzą się przekonać, żeby go wyeliminować.

Co takiego w Stefanie Dominicu budziło jej niepokój? Kiedy zobaczyła go przy windach, była pewna, że już go kiedyś widziała.

I to wcale nie w biurówcu, jak sugerowała Shoshona.

Nie, widziała Stefana Dominica w zupełnie innych okolicznościach.

I to nie były miłe okoliczności.

Meena otworzyła kluczem drzwi i weszła do mieszkania, na szczęście pustego. Jon nie wrócił jeszcze z Jackiem Bauerem. Odetchnęła z ulgą, że jest sama przynajmniej przez chwilę.

Kiedy już powiesiła płaszcz i torebkę na wieszaku przy drzwiach i rzuciła klucze na tackę na stole, poszła starannie rozwiesić sukienkę Mary Lou w szafie.

Potem przebrała się w swoje „ciuchy do pisania” - legginsy i starą bluzę Jona - wzięła laptop, podciągnęła rękawy i skuliła się w ulubionym wygodnym fotelu, żeby popracować.

I siedziała tak, gapiąc się na pusty ekran.

Jak miała pracować, kiedy mogła myśleć tylko o Lucienie?

Można by sądzić, że to jej pomoże w procesie twórczym, bo przecież miała pisać o nim.

Przynajmniej taka! była teoria. Ale zamiast pisać, wciąż rozpamiętywała, jak zaborczo porwał ją w objęcia i zaczął całować wczorajszej nocy... To, jak niemal ją pożerał, jak nawet jego ciemne oczy zjadały ją za każdym razem, kiedy na nią spoglądał. Smak wina na jego wargach.

A potem przypominała sobie ścieżki, którymi wędrowały dziwnie chłodne wargi, kiedy przesuwiał usta z jej sterczących, krągłych piersi coraz niżej i niżej, na miękką wypukłość brzucha; to, jak jego dłonie rzeźbiły, przyciskały, rozpalały jej skórę, domagając się rzeczy, które dawała mu aż nazbyt chętnie, bo on w zamian dawał tak wiele; to, jak po wszystkim tulił ją do siebie, jakby się bał, że może mu się wymknąć w noc.

Jak mogła myśleć o czymkolwiek innym? Jej skóra wciąż była jak poparzona w miejscach, gdzie jej dotykał.

Oszukiwała się, wmawiając sobie, że uda jej się cokolwiek napisać. Zamiast tego wygoogłała Luciena i zaczęła czytać o jego książkach; zamówiłaby je, ale napisał po rumuńsku. Tak się zaczytała, że kiedy wreszcie zauważyła, która jest godzina, zakłęła, zerwała się z fotela i pognęła do sypialni. Musiała zacząć przygotowywać się, jeśli miała wygłądać olśniewająco i zdążyć na spotkanie na Upper West Side.

Nakładła właśnie ostatnią warstwę szminki, kiedy drzwi otworzyły się i do mieszkania wszedł Jon z Jackiem Bauerem.

- Dlaczego jesteś taka wystrojona? - Schylił się, żeby spuścić psa ze smyczy.

- Koncert. Pamiętasz?

- A, no tak.

Pies podbiegł radośnie do Meeny, gotów zacząć jej skakać do kolan. Wskoczyła na kanapę, bojąc się, że Jack zniszczy jej rajstopy.

- Nie. Leżeć.

Jack Bauer zrobił zdezorientowaną i zawiedzioną minę.

- Jon, możesz go nakarmić albo coś? Nie mogę...

W tej chwili rozległ się brzęczyk domofonu. Meena wystraszyła się, o mało nie wyskoczyła ze skóry. Zeszła z kanapy i sięgnęła po słuchawkę.

- Tak?

- Witam, panno Harper - odezwał się portier Roger. Pradip nie zaczął jeszcze zmiany. - Jakaś dostawa dla pani.

- Nic nie zamawiałam. - Spojrzała na Jona. - Coś zamawiałeś?

Wzruszył ramionami.

- Niby co? Dopiero wszedłem.

- Nic nie zamawialiśmy - powiedziała do słuchawki.

- Nie? - Roger też był zdziwiony. - To jest posłaniec. Z wielkim pudłem z Bergdorf Goodman.

- Ach. - Może Mary Lou coś zamówiła i ktoś pomylił adres. - No to przyslij go na górę.

- Jasne, panno Harper. - Rozłączył się.

- Co zamówiłaś z Bergdorf Goodman? - spytał Jon, kiedy odłożyła słuchawkę. - Myślałem, że jesteście splukani.

- Bo jesteśmy. - Poszła po torebkę; trzeba dać napiwek posłańcowi. - I nic nie zamawiałam.

- Skąd masz tę sukienkę? - dopytywał się Jon. - Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

- Mary Lou mi pożyczyła - mruknęła pod nosem.

- Co mówisz?

- Mary Lou mi pożyczyła - powtórzyła głośniej.

Wybuchnął śmiechem.

- Rany. Takie psiapsiółki? I co będzie dalej? Wspólne wypadki do manikiurzystki? Herbatki w Płaza?

- Zamknij się. Nie jest taka zła.

- A to ci odmiana. Przecież jej nie cierpiałś. Pewnie randka z księciem dała ci całkiem nowe spojrzenie na życie, co? Nagle twoi nadęci sąsiedzi z letnim zamkiem nie są tacy źli.

- Nie żartuję. Zamknij się. - Jak myślisz, ile ją kosztowała ta kiecka? Ze trzy kawałki?

- Nie. To vintage. Z lat sześćdziesiątych.

- No cóż, dobrze ci w niej - przyznał wreszcie. - Poważnie. Lucien zemdleje, kiedy cię zobaczy. Wyglądasz jak księżniczka.

Meena się rozpromieniła. Brat rzadko zdobywał się na komplementy dotyczące jej wyglądu, więc ten bardzo dużo znaczył.

Szczególnie po tym dziwnym tygodniu.

- Oj, Jon. - Miała lzy w oczach. - Dzięki. - Podeszła do niego, żeby go uściskać.

- Rety. - Odwzajemnił uścisk. - Co się dzieje? Tylko powiedziałem, że ładnie wyglądasz. Skąd te fontanny w oczach?

Na szczęście rozległo się pukanie do drzwi. Puściła Jona, otarła oczy - chyba rozmazała tusz - i poszła otworzyć. Jack Bauer rozszczękał się, podekscytowany wizytą.

Mężczyzna w beżowej wiatrówce i czapce bejsbolowej trzymał wielkie pudło ze złotą wstążką.

- Meena Harper?

- Tak, to ja. - Wzięła pudło, wsuwając posłańcowi w dłoń pięciodolarowy banknot.

- Dzięki. - Kiwnął głową i poszedł do windy.

- Ehm... - bąknęła Meena, kiedy stał, czekając na kabinę.

- Tak?

- Nie, nic. - Zaczęła zamykać drzwi. Ale nagle rozmyśliła się, otworzyła je z powrotem i powiedziała: - Niech pan... Niech pan uważa na pizzę z pepperoni, okej?

Gapił się na nią, nic nie rozumiejąc.

- Okej.

Uśmiechnęła się i zamknęła drzwi. Wniosła paczkę do salonu nieodstępowana na krok przez Jacka Bauera.

- Co - zagadnął Jon - cholesterol?

- Zadzławienie. - Postawiła pudełko na stole w jadalni. - Ale może teraz się nie zadławi, jeśli będzie uważał. Od kogo to może być? - Na pudełku widniało jej nazwisko, nie hrabiny.

Rozwiązała złotą wstążkę i podniosła wieko. Pudło wypełnione było bibułką. Rozsunęła arkusiki i wstrzymała oddech...

Skórzana torebka ze smokiem z kryształków pełznącym po boku. Ametystowa.

- Torebka - szepnęła, unosząc ją w jednej ręce, a drugą głaskała każdy kryształek.

- Jaka torebka? - spytał Jon.

- Moja torebka. - Czują się tak, jakby ktoś wycisnął jej powietrze z płuc. - Torebka, o której marzyłam. I to w odpowiednim kolorze. Shoshona ma taką akwamarynową. Ale akwamarynowa jest paskudna. Ametystowa: jest doskonała. Po prostu doskonała. Och, Jon. Jest prześliczna.

Zbierało jej się na płacz. Nigdy nie widziała nic piękniejszego.

- Cóż, ja ci tego cacka nie kupiłem. - Jon zaczął grzebać w bibułce. - Więc kto? Jest jakiś list czy coś?

- On mi kupił. - Meena nie odrywała oczu od torebki. - Wiem, że to on.

Ale skąd wiedział? Przecież mu nie mówiła. Nigdy nie rozmawiali o czymś tak idiotycznym, jak jej niestosowne pożądanie torebki Marca Jacobsa z kryształowym smokiem, na którą nie mogła sobie pozwolić.

- On, czyli kto? - dopytywał się Jon, grzebiąc zawzięcie. - Lucien? Książę z bajki? To się teraz kupuje dziewczynie rankiem po seksie? Torebkę?

- To nie jest byle torebka. - Otwierała ją, by się przekonać, że pasek na ramię można zamienić na elegancki złoty łańcuszek, który pasuje do wieczorowych strojów, albo cienki skórzany pasek na bardziej formalne codzienne okazje. - To jest Marc Jacobs.

- No, tak myślałam. - Jon wyciągnął z czeluści pudełka srebrną kopertę. - Jest list. Na kopercie wypisane było imię „Meena” eleganckim, odrobinę staroświeckim charakterem, w którym natychmiast rozpoznała rękę Luciena, choć nigdy nie widziała jego odręcnego pisma.

- I co też pan Nadziany ma do powiedzenia? - wyzłośliwił się Jon. Meena podejrzewała, że jest zazdrosny, bo nigdy nie kupił żadnej ze swoich dziewczyn nic gustownego i eleganckiego. Kiedyś dał jednej bransoletkę Tiffány'ego, ale i tak z nim zerwała, gdy dowiedziała się, że identyczną kupił matce na Gwiazdkę.

Meena odłożyła torebkę i podważyła paznokciem klapkę koperty. Wyjęła kremową kartkę z papeterii.

Najmilsza Meeno - napisał.

Uśmiechnęła się. Jeszcze nikt nie nazwał jej „najmilszą Meeną”.

Każda chwila z dala od Ciebie jest jak czas spędzony w celi. Nie mogę myśleć o niczym, śnić o niczym prócz Ciebie. Niestety będę musiał pozostać w tym narzuconym samemu sobie więzieniu trochę dłużej, jako że praca nie pozwala mi dziś spotkać się z Tobą. Nie mogę wykręcić się od tego żadnym sposobem... Mam jednak nadzieję, że ten drobiazg wynagrodzi Ci moje niewybaczalne zachowanie. Zobaczyłem to i pomyślałem o Tobie i świętym Jerzym.

Pokonałaś smoka.

Do następnego spotkania,

Twój Lucien

Przeczytała liścik raz, a potem drugi raz. Jej oczy znów napęłniły się łzami.

- On nie przyjdzie - powiedziała do nikogo konkretnego.

Jon gapił się na nią.

- Zaraz... Mówisz o dzisiejszym koncercie?

Kiwnęła głową, nie patrząc na niego. List wypadł z jej palców i sfrunął na podłogę.

- Nie przyjdzie - powtórzyła.

Odwróciła się, podeszła do fotela i klapnęła nań, tiulowa spódnica sukienki od Mary Lou wzdęła się wokół niej.

Jon schylił się, żeby podnieść list.

- Siostra, ty płaczesz?

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - przyznała Meena żałośnie, podciągnęła kolana i objęła rękami.

- Oj, tylko nie namięć na sukienkę hrabiny - poradził Jon. - Pewnie kazałyby ci płacić za pralnię. - Przeczytał list. - „Pokonałaś smoka”? Co to znaczy? Ma aż takiego wielkiego?

Meena opuściła czoło na kolana i rozpląkała się na dobre.

- Nie bądź wulgarny.

- Jasna cholera - usłyszała zaniepokojony głos brata. - Nie płacz, Meen. Wiem, że miałaś fatalny tydzień, ale facet z tobą nie zrywa. Po prostu musi pracować. Pewnie spotka się z tobą jutro. Na litość boską, przysłał ci naprawdę miły liścik. I torebkę.

- No właśnie. - Uniosła twarz mokrą od łez. - Nie mówiłam mu.

- O czym mu nie mówiłaś? - Jon przysiadł na poręczy fotela, odsunawszy najpierw trochę tiulu.

- O torebce. Chciałam ją mieć od zawsze. Ale nas nie stać. I nie mówiłam mu o tym. To zupełnie jakby... - zniżyła głos do szeptu - czytał w moich myślach.

Jon uniósł brwi.

- No cóż - rzucił sucho. - Rozumiem, że to może niepokoić kogoś, kto sam robi to ludziom od piętnastu lat.

- Zaniknij się. - Meena nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Nie - powiedział Jon. - Naprawdę. To musi być prawdziwy cios dla twojego ego przyznać, że na świecie może być jeszcze ktoś, kto potrafi to co ty. Zaraz... Nie, nieważne. Księżę nie potrafi przewidzieć, kiedy ktoś umrze. Jego parapsychiczne zdolności pozwalają mu tylko odgadnąć, jakiej torebki pożąda w tajemnicy jego dziewczyna.

Meena otarła oczy.

- Nie jesteś zabawny.

- Więc czemu się śmiejesz? - odgryzł się.

- Okej. - Westchnęła. - Może i przereagowałam. Ale to dosyć dziwne. Musisz przyznać.

- Moim zdaniem już sam fakt, że spędziłaś noc z księciem, jest dosyć dziwny. Ale kimże ja jestem, żeby to osądzać? Tak czy inaczej, skoro spędzasz wieczór w domu... Chińszczyzna i DVD?

Uśmiechnęła się. Wciąż była trochę wytrącona z równowagi.

Prawdę mówiąc, całkowicie.

Dobrze, że mogła mieć przy sobie Jona, który stawiał ją do pionu.

- Dobry pomysł - przyznała.

- Świetnie. - Jon poklepał ją po kolanie przez tiul. - Skoczę do wypożyczalni i coś wybiorę. Pójdę na kompromis i wezmę coś romantycznego, gdzie też się ludziom wszystko wali. A do jedzenia, może być mu-szu? I dla odmiany kurczak czosnkowy. Chodź, Jack. - Klepnął się po udzie i Jack Bauer, zachwycony, podreptał za nim do drzwi. - Wracamy za chwileczkę.

Meena, uśmiechając się, choć wciąż trochę niepewnie, wstała z fotela. Kiedy Jon i pies sobie poszli, zdjęła sukienkę Mary Lou i starannie rozwiesiła na wieszaku w szafie. Pomyślała, że pewnie będzie jeszcze miała okazję ją włożyć. Przecież nie stało się nic strasznego.

Wzięła list od Luciena i przeczytała go z uśmiechem jeszcze raz. Serce zabiło trochę szybciej.

„Pokonałaś smoka”. Też nie rozumiała, co to znaczy.

Ale jej się podobało.

Postanowiła wziąć prysznic, chciała zmyć makijaż, nie wspominając już o perfumach. Nie było sensu marnować ich na Jona. Zdjęła rajstopy i bosy ruszyła do łazienki, żeby odkręcić wodę i zdjąć seksowne majteczki i biustonosz - absolutnie nie miała zamiaru cierpieć w tym cały wieczór, jeśli nie musiała - kiedy znów odezwał się brzęczyk domofonu.

Jezu, ruch jak na dworcu.

Podniosła słuchawkę.

- Tak?

- Witam, panno Harper - powiedział Roger. - Przesyłka.

- Znowu? Nic nie zamawiałam.

- Wiem, panno Harper - odparł Roger. - To są kwiaty. Posłaniec mówi, że od pana Antonescu. Nie tego z 11 A, ale tego drugiego pana Antonescu, pani znajomego. Wie pani, tego z przyjęcia.

Uśmiechnęła się. Jak zwykle nic nie dało się ukryć przed portierami.

- Przyślij go na górę, Roger.

Torebka i kwiaty? Lucien już miał jej serce. Nie musiał go zdobywać.

Zaczęła szukać w portfelu napiwku dla posłańca z kwiaciarni. Nie miała żadnych małych nominałów. Będzie musiała zapytać, czy posłaniec może jej wydać resztę.

„Pokonałaś smoka”.

Co to mogło znaczyć?

Czekając niecierpliwie przy drzwiach, usłyszała, jak otwiera się winda. Wyrzała przez judasza. Czerwone róże. Wielki bukiet.

Jej serce wezbrało radością. Zupełnie oszalał. Zbyt rozrzutny. Był księciem. Ale to już przesada. Przekręciła zamek i otworzyła drzwi.

- Bardzo dziękuję. Ma pan wydać z dziesiątki?

Mężczyzna opuścił bukiet, odsłaniając twarz. A Meena, po raz pierwszy w życiu, poczuła, że to ona - zaraz umrze.

Rozdział 35

19.00 czasu wschodniego piątek, 16 kwietnia
Park Avenue 910 mieszkanie 11B Nowy Jork

Najbardziej zdumiewające - przynajmniej dla Meeny - było to, iż nigdy by się nie domyśliła, że on jest mordercą. W każdym razie nie na pierwszy rzut oka. Wyglądał elegancko, miał na sobie ciemne, dopasowane dżinsy, kaszmirowy sweter i długi, czarny skórzany płaszcz. Apaszka na szyi, chyba też kaszmirowa, podkreślała błękit oczu...

Oczu, jakich nie powstydzilby się jakiś jasnowłosy umięśniony gwiazdor, który kroczy po czerwonym dywanie albo śmiga na desce surfingowej wzdłuż białej australijskiej plaży.

Zupełnie nie wyglądały na oczy mordercy.

Ale Meena wiedziała, że jest mordercą, od pierwszej sekundy, kiedy otworzyła drzwi, a jego twarz wyłoniła się zza bukietu róż.

Dlaczego nabrała się na starą sztuczkę? Tę z zasłanianiem judasza bukietem? Zasłużyła sobie, żeby ją zabił, bo nabrała się na numer, który sama stosowała setki razy w swoich scenariuszach.

A teraz stała tu i patrzyła śmierci w oczy w samym staniku i jedwabnej halce. Gdyby wcześniej zdała sobie sprawę, że zaraz spotka się oko w oko ze śmiercią, złapałaby szlafrok dla przyzwoitości albo przynajmniej coś do obrony... Lakier do włosów i zapalniczkę jako improwizowany miotacz płomieni czy choćby but, na litość boską, którym mogłaby rzucić w tego faceta.

Ale zdała sobie sprawę z zagrożenia dopiero teraz, niestety za późno. Sięgnęła tylko po blackberry, który w większości możliwych scenariuszy był raczej bezużyteczny.

A w tym wypadku zwyczajnie żaloszny, chyba że Meena chciałaby wezwać patrol policji, żeby tu przyszedł i dał się zabić razem z nią.

Bo ten facet na pewno nie pozwoliłby aresztować się bez walki. Wyrażała to jego przystojna bezlitosna twarz.

Ale co miała zrobić? Po prostu stać tak i dać sobie uciąć głowę we własnym mieszkaniu w samym środku Upper East Side, a potem skończyć jako główna atrakcja kolejnego odcinka **Prawa i porządku**?

Palce jego prawej dłoni spoczywały na wiecie czym. Tak. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale biorąc pod uwagę wszystko, co spotkało ją w tym tygodniu, Meena nie czuła się nawet zbyt zaskoczona. Była to prawdziwa, najprawdziwsza rękojeść miecza.

Wstrzymała oddech, kiedy błękitne oczy spoczęły na niej. Drgnęła, słysząc jego głos.

- Nie przyszedłem tu po ciebie, Meeno - powiedział z niemieckim akcentem, głosem tak niskim, że zdawał się wibrować w jej piersi.

Skąd mógł znać jej imię? Nie miała pojęcia, kim on jest. Nigdy w życiu go nie widziała. A jednak czuła się, jakby znała go od zawsze. Może każdy tak się czuje, kiedy spotyka swojego mordercę.

A może tylko ona.

Wyjął miecz z pochwy. Ostrze zadźwięczało w ciszy mieszkania czysto jak dzwon.

Przełknęła ślinę.

To zdumiewające, o czym się myśli przed śmiercią. Meenie, na przykład, przyszło do głowy tylko: Rany. Ten chyba nie słyszał o grze wstępanej.

A potem: Zaraz, to nie jest nawet zabawne.

A potem: Chociaż, w sumie, to byłaby niezła kwestia dla Victorii.

A potem: Ale ja nie pożyję na tyle długo, żeby napisać jeszcze jeden odcinek. To nie fair. Patrząc na twardej jak skała, rzeźbiony profil mordercy, wiedziała, że nie ma nawet cienia nadziei.

To niesamowite, co człowiek jest w stanie zrobić, żeby przetrwać.

Rozchyliła usta. Zmusiła język, żeby je zwilżył.

- Wiem, że kłamiesz. Trzymasz miecz. Przyszedłeś mnie zabić.

- Nie kłamię. Po prostu powiedz mi, gdzie on jest, a pozwolę ci żyć.

Nie miała pojęcia, o kim - albo o czym - on mówi. Wskazała na torebkę wiszącą na kołku obok drzwi.

- Posłuchaj. Tam jest mnóstwo pieniędzy. Właśnie pobrałam z bankomatu. Weź, co chcesz, i idź sobie. Poza tym mam tylko trochę sztucznej biżuterii po cici Wilhelminie, ale nie jest nic warta. Przysięgam.

Zirytował się. Poczuła, że przyspiesza jej puls. Brawo, Meeno. Rozzłość zabójcę. Bardzo mądre posunięcie.

- Już ci powiedziałem, Meeno. - Uniósł brwi. - Nie chcę cię zabić. Tylko jego. Ale jeśli będziesz utrudniać...

Utrudniać. Nie miał pojęcia, jak bardzo Meena potrafi wszystko utrudnić. Szczególnie wiedząc, że właściwie jest już martwa. Nie miała absolutnie nic do stracenia.

I dlatego wybrała ten moment, żeby z całej siły cisnąć w niego blackberry.

No co. Nie miała nic innego. To i życie.

Potem odwróciła się i popędziła przed siebie.

Rozdział 36

19.01 czasu wschodniego piątek, 16 kwietnia
Park Avenue 910, mieszkanie 11B Nowy Jork

Nie mogła uciec przez frontowe drzwi, jako że w progu stał wymachujący mieczem psychopata w czarnym trenczu.

Ale pomyślała, że jeśli zdoła otworzyć drzwi na balkon w sypialni, a potem krzyknąć, wzywać pomocy, ktoś na pewno usłyszy.

Mary Lou. Usłyszy ją Mary Lou.

Jeśli jest w domu. Mało prawdopodobne w piątkowy wieczór.

Ale kiedy tylko odwróciła się, żeby uciec, coś niemożliwie twardego, z niesamowitą siłą chwyciło jej nagą kostkę i podcięło nogi, zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje.

Przejechała dłońmi po parkiecie, usiłując zamortyzować upadek, i rozciągnęła się jak długa wśród róż.

Wygięła szyję, żeby spojrzeć za siebie, i osłupiała, widząc człowieka z mieczem.

Rany. Był naprawdę szybki. Rzuciła w niego blackberry i nie czekała, żeby zobaczyć, czy trafiła, choć wydawało jej się, że słyszała głuchy odgłos, a potem trzask plastikowych części rozbijających się o drewnianą podłogę, a on i tak zdążył wyrwać spod niej stopę?

Cyborg czy co?

- Meeno - odezwał się tym samym lekko znudzonym tonem i wciąż trzymał ją za kostkę. - Nie masz dokąd uciec. Chyba to wiesz.

Najsmutniejsze, że miał rację. Nawet pozbawiona tchu od impetu upadku zdawała sobie z tego sprawę.

Zawsze była ciekawa, jak to będzie, kiedy wreszcie przyjdzie jej kolej na spotkanie twarzą w twarz ze śmiercią.

Ale teraz, kiedy to się naprawdę działo, zrozumiała jeszcze coś: nie podda się bez walki.

- Nie umrę dziś - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Sorry.

I odwróciła się tak, że teraz zamiast na brzuchu leżała na plecach...

...w o wiele lepszej pozycji, żeby wbić stopę w jego krocze.

Jedyny problem, że on chyba przewidział ten ruch, bo puścił jej kostkę i - tak szybko, że ledwie zdążyła zauważyć, co się dzieje - rzucił się na nią, przycisnął całym ciężarem ciała, wyciągnął na niej ciężki jak stalowa belka.

- Powiedziałem ci, Meeno, że nie przyszedłem cię zabić - powtórzył. Jego twarz od jej twarzy dzieliły centymetry.

Podobnie jak ostrze miecza. Trzymał je oparte od niechcenia o gardło Meeny i przyglądał się jej, jakby była interesującym gatunkiem motyla, którego udało mu się przyszpilić i dodać do kolekcji.

Nie takiego wyniku spodziewała się po swojej niesamowitej, genialnej strategii z kopniakiem w krocze.

- Doprawdy? - wychrypiała, próbując udawać, że ma to gdzieś. Nie szło łatwo, serce jej łomotało tak mocno, że pewnie widział pulsowanie na szyi.

A poza tym, kiedy taki kloc na niej leżał, z trudem łapała powietrza.

Mimo to próbowała być nonszalancka. Jakby miała gdzieś, że on leży rozciągnięty na jej ciele niczym ołowiana kołdra. Jakby nie zdawała sobie sprawy, że jest drobną młodą kobietą w samym staniku i jedwabnej halce, a on waży przynajmniej drugie tyle co ona i trzyma nóż - przepraszam, miecz - przy jej gardle. Zaczynała rewidować swoje stanowisko pod tytułem „nie boję się śmierci”.

- Nie - ciągnął tym swoim niepokojąco głębokim i zbyt spokojnym głosem z lekkim obcym akcentem. - Przecież ci mówię. - Czy jej się wydawało, czy był odrobinę urażony? - Ty mnie nie interesujesz.

Musiała się roześmiać. Nawet jeśli groziła jej śmierć. Albo coś gorszego. Może to była histeria.

Ale musiała przyznać, że to jest zabawne: facet przygniata cię, półnągą, do podłogi, przystawia miecz do gardła, a potem upiera się, że nie jest zainteresowany. Leżąc na tobie.

- Prawie mnie nabrałeś - powiedziała. - W tej chwili wydajesz się bardzo zainteresowany.

Uniósł jasną brew.

- To? - Przesunął się odrobinę. - To tylko telefon. - Po czym, jakby bał się, że może wyjść na gburę, dodał: - Nie chodzi o to, że jesteś nieatrakcyjna. Ale nie w moim typie.

Spojrzała na niego ze złością. Naprawdę, tego już za wiele. Nie dość, że morduje - no okej, przychodzi z zamiarem morderstwa - to jeszcze obraża?

- Ty w moim też nie.

- Och, wiem. - Uśmiechnął się szeroko. Miał białe zęby, ale nierówne. Jeden czy dwa odrobinę krzywe, co dowodziło, że są prawdziwe, a nie porcelanowe. - Ja jestem żywy.

Wybałuszyła oczy. Był obcokrajowcem, więc może źle ją zrozumiał.

- O czym ty mówisz? - spytała. - Miałam na myśli, że nie lubię mężczyzn, którzy wpadają niezaproszeni do mieszkania kobiety, wymachując mieczem.

Teraz przeciągał palcami wolnej dłoni wzdłuż jej ramienia. Robił to jakby bezwiednie, jakby nie mógł się oprzeć gładkości jej skóry.

Ale z całą pewnością ją zrozmiał.

- Wiem. Chodziło mi o to, że wiem, kto jest w twoim typie. Lucien Antonescu. Dlatego tu jestem. Chcę tylko, żebyś mi powiedziała, gdzie on jest. Wtedy sobie pójdę.

Meena znieruchomiałaby, gdyby nie była już unieruchomiona ciężarem jego ciała. Lucien?

Chodziło o Luciena?

Cóż, dostrzegła w tym jakąś wariacką logikę. Faceci z mieczami nie wpadali do jej mieszkania, zanim pojawił się Lucien.

Roger mówił, że kwiaty są od Luciena.

- Znasz Luciena? - spytała gniewnie.

Powinna była wiedzieć. Wszystko szło tak dobrze. Za dobrze. Ta niesamowita noc, którą ze sobą spędzili. Ten list, który podpisał „Twój Lucien”. Torebka.

Powinna była wiedzieć, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

To powinno być dla niej równie oczywiste, jak ten miecz przed jej twarzą. Nawet Leisha jej to sugerowała: Lucien jest żonaty. Oczywiście, że tak.

Tak doskonały facet nie mógł być singlem. Wszyscy byli gejami, albo mieli życiowy bagaż, albo byli zajęci.

I oczywiście szalona żona Luciena wynajęła tego człowieka, żeby ją wystraszył na śmierć.

No więc, udało się.

- Niestety. - Mężczyzna wciąż bezwiednie głaskał jej skórę. Zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy, że to robi. - Nie spotkaliśmy się z księciem osobiście. - Wciąż nie odpowiadał jej na pytanie, czy zna Luciena. - Ale z pewnością zapoznałem się z jego dziełami.

- Jego dziełami? - Nie pojmowała. W głowie miała mętlik. Próbowwała sobie wyobrazić tego człowieka, czytającego książki o historii Europy Wschodniej, i nie udało się jej. Z pewnością nie był erudyta. Psychopatycznym mordercą, może. Ale nie miłośnikiem nauki. - Masz na myśli jego książki?

Zaśmiał się.

- Nie. Chodziło mi o jego nieoficjalne zajęcie. Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

Ale nie umknęła jej insynuacja w jego tonie. Wiedział, że ona i Lucien... Ze byli ze sobą zeszłej nocy.

Boże. Robił zdjęcia? Czy nie to robili prywatni detektywi wynajęci przez żony? Miała ochotę umrzeć.

Wyglądało na to, że Lucien, którego znała, i Lucien którego znał ten człowiek, to dwie różne osoby. Wiedziała, że Lucien ma sekrety, co jej nie przeszkadzało. Ona też miała przed nim sekrety.

Ale była wściekła, że sekretem Luciena okazała się żona. Po prostu wyglądał na takiego drania. Nawet zapytała go wprost, czy jest żonaty, zaprzeczył. Jeśli go jeszcze zobaczy - a z pewnością zobaczy, bo gdy tylko pozbędzie się tego blond mamuta, spakuje torebkę Marca Jacobsa i pójdzie prosto do mieszkania Luciena, żeby ją zwrócić - powie mu, co myśli o facetach, którzy zdradzają żony z niewinnymi scenarzystkami.

- Posłuchaj - powiedziała mocnym, stanowczym głosem. Zirytowana jego śmiechem wyrwała rękę z jego dłoni. Dopiero w tej chwili jakby zorientował się, że jej dotyka. Zrobił zdziwioną minę i natychmiast cofnął dłoń.

- Nie wiem, za kogo się uważasz - ciągnęła - ale nie możesz tak tu wpadać ze średniowieczną bronią i rozstawiać mnie po kątach. Możesz powiedzieć żonie Luciena, że to koniec. Nie chcę mieć z nim więcej nic wspólnego. Okej? Więc jej próba odstraszenia mnie od niego, czy cokolwiek to miało na celu, odniosła zamierzony skutek. Może sobie mieć Luciena z powrotem. Ja go już nie chcę.

Zmarszczył brwi. Wyglądał na niezadowolonego. Ale nie patrzył na nią. Patrzył na swoją dłoń.

- Słyszałeś mnie? - rzuciła ze złością. Zdawała sobie sprawę, że klinga miecza wciąż jest bardzo blisko jej gardła. I jest bardzo ostra.

Z drugiej strony, on był jakby nieobecny - patrzył to na swoją dłoń, to na jej skórę. Pomyślała, że teraz jest doskonały moment, żeby walnąć go kolanem we wrażliwe miejsce. A potem, kiedy będzie zwijać się z bólu, ona złapie lampkę z Pottery Barn i rozwali mu na głowie.

- Czy on cię w ogóle ugryzł? - zapytał, zwracając swoje Spittle oczy z powrotem na jej twarz.

Meena, która układała właśnie trzecią część swojego planu - w której biegła do kuchni po nóż do mięsa - zamarła.

- Co? Ugryzł mnie? O czym ty gadasz?

Mężczyzna zrobił coś, co wprawiło ją w osłupienie - choć właściwie wprawiło ją w osłupienie wszystko, co robił od chwili, kiedy otworzyła mu drzwi. Chwycił ją za podbródek dłonią, która nie trzymała miecza, i odwrócił jej głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, oglądał jej szyję jak lekarz szukający powiększonych węzłów chłonnych.

- Co ty wyprawiasz? - Próbowała usiąść. Usiłowanie zabójstwa to jedna sprawa. Ale z każdą chwilą Meena była coraz mniej przekonana, że właśnie to się stanie.

Szczególnie kiedy odrzucił miecz na bok - padł na drewnianą podłogę z melodyjnym brzękiem - i wciąż dosiadając jej okrakiem, ściągnął w dół halkę, razem ze stanikiem, niemal całkowicie odsłaniając piersi.

- Przestań! - wrzasnęła, szamocząc się pod nim.
- Zamknij się. Leż spokojnie.
- Ani mi się śni. - Wściekła się, tłukła go pięściami w klatę.
- Ugryzł cię. - Położył dłoń na jej obojczyku i przycisnął ją do podłogi.
- Musiał cię ugryźć. Niemożliwe, żeby się powstrzymał. Masz skórę jak jedwab. Sam mam ochotę cię ugryźć. Pytanie tylko, gdzie to zrobił? Nie w tętnicę szyjną. Nie masz żadnych śladów. Czasami gryzą prosto w serce. Sprawdzając?

Meena, z opuszczonymi ramiączkami halki i biustonosza, leżała jak głupia, wytrzeszczając na niego oczy.

W życiu nie dałaby rady napisać takiej sceny. A gdyby napisała, Sy nawet nie przesłałby jej Fran i Stanowi. Bo nikt by w nią nie uwierzył. To było zbyt dziwaczne.

- Kim ty jesteś? - spytała.
- Jestem Alaric Wulf - odparł cierpliwie. To nie brzmiało jak bełkot szaleńca. I nie wyglądał na szaleńca, nie licząc miecza. Był przystojny, jeśli ktoś lubił takich muskularnych blondynów, świetnie ubranych i mówiących z lekkim niemieckim akcentem.

W normalnych okolicznościach jej by się też pewnie podobał. Gdyby nie siedział na niej okrakiem i nie szukał na jej piersi jakichś nieistniejących ugryzień.

- Pracuję dla organizacji, która jest bardzo zainteresowana odnalezieniem Luciena Antonescu. Więc jeśli z łaski swojej zechcesz mi powiedzieć, gdzie on jest, zostawię cię w spokoju. Z przyjemnością.

Wyglądało, że mówi poważnie. Chyba naprawdę wcale mu się nie podobała.

Co zupełnie jej nie przeszkadzało, biorąc pod uwagę, że w stu procentach odwzajemniała jego uczucia.

- Chciałabym poznać nazwę tej organizacji, żeby móc na ciebie złożyć skargę u twoich przełożonych. Czy twój szef wie, jak traktujesz kobiety? Że je straszysz na śmierć, a potem na nich siadasz? Złaż ze mnie... - Znów zaczęła więc się pod nim i walić w niego pięściami.

W tej chwili, kiedy otwartymi dłońmi osłaniał się przed ciosami, rozległ się odgłos klucza obracanego w zamku drzwi wejściowych.

Alaric Wulf zerwał się jak błyskawica, pociągając Meenę za sobą za nadgarstek, a drugą ręką chwycił miecz.

Zanim Jon otworzył drzwi i przestąpił próg, Alaric stał już przed nim, trzymając Meenę za swoimi plecami, i celował mieczem w jego gardło.

- Szit! - powiedział Jon, upuszczając torbę z chińszczyzną i DVD.

Jack Bauer natychmiast skoczył przed siebie i zaczął radośnie wylizywać sos, który wylał się z torby, kompletnie obojętny na to, że kilka kroków od niego stoi uzbrojony mężczyzna i grozi jego pani.

Ale na Luciena Antonescu, pomyślała cynicznie Meena, czekał przez całą noc. Świetnego stróża sobie wybrała. Po prostu świetnego.

Kiedy Alaric zobaczył, kto przyszedł, opuścił miecz.

- Jonathan Harper. - Trochę rozluźnił szerokie ramiona. - Trzydzieści dwa lata. Były analityk systemów w Webber i Stern. Bezrobotny od siedmiu miesięcy. Raz aresztowany za pijaństwo i publiczne obnażanie się w celu oddania moczu pod parkometrem w Miami Beach na Florydzie, podczas wizyty u rodziców cztery lata temu.

Meena zrobiła wielkie oczy.

- Jonathan! - wykrzyknęła.

Zawsze wydawało jej się dziwne, że Jon ciągle musi jeździć na Florydę „w interesach”.

Twierdził, że chce zainwestować swoją część spadku po ciotecznej babce Wilhelminie w letnie mieszkanie, niedaleko rodziców w Boca, co samo w sobie było dziwne.

Ale nic nigdy z tego nie wyszło.

- Szit - powtórzył Jon zupełnie innym tonem, po czym szybko zamknął za sobą drzwi na klucz, jakby się bał, że państwo Antonescu usłyszą. - Dochodziła czwarta nad ranem! Przed Subway. Był zamknięty. W pobliżu nikt się nie kręcił! A ja naprawdę musiałem siku.

Meena pokręciła głową.

- Mimo wszystko...

- I zapłaciłem kupę forsy prawnikom, żeby mi to wymazali z papierów - dodał płaczliwie Jon.

- Prawnicy. - Alaric wzruszył ramionami. Spojrzał na Meenę. Nie podobał jej się błysk w jego lodowatych oczach.

- Musimy porozmawiać. - Pociągnął ją niezbyt łagodnie w stronę zielonej kanapy. - Siadaj.

Pchnął ją na poduchy władczą wielką łapą.

Meena, której gniew osiągnął punkt wrzenia, natychmiast zerwała się z powrotem.

- Nie - wycedziła. Nie musiała znosić tego pomiatania. - Nie siądę. Ciągłe nie wiem, kim jesteś i co tu robisz. Zadzwoń na policję, Jon. Ten człowiek wszedł tu siłą, bez mojej zgody, a potem...

- Siadaj. - Alaric posadził ją z powrotem na kanapie; tym razem położył swoją goryla łapę na jej twarzy i nacisnął w dół.

Ogłuszona tym barbarzyńskim traktowaniem usiadła, gapiąc się na niego. Kto się tak zachowuje?

- Co to za różę? - Jon patrzył na zniszczony bukiet na podłodze. Jack Bauer, w samym środku tego bałaganu, wciąż zlizywał sos wypływający z wywróconych pudełek z chińszczyzną.

Kiedy spojrzał na Alarica, radośnie pomerdał ogonem na powitanie. Jej pies. Jej własny pies!

Spojrzenie Jona padło na szczątki blackberry Meeny.

- To zrobiła twoja siostra - wyjaśnił Alaric. - Bardzo agresywna.

Meena wydała odgłos, który był na wpół jękiem, na wpół krzykiem protestu. Co? To ona była agresywna?

- Meena Harper - ciągnął Alaric drewnianym głosem, ignorując ją - jest w poważnym niebezpieczeństwie. Lucien Antonescu to potwór bez duszy. Odnalezienie go i unicestwienie jest koniecznością, a ty musisz dokładnie wypełniać moje polecenia, jeśli chcesz, żeby twoja siostra żyła.

Jon przez chwilę gapił się na człowieka z mieczem stojącego na środku salonu. W końcu spojrzał na Meenę, która na migi pokazała mu, że ma zadzwonić na policję.

- Ehm - mruknął. - Jasne. Tak.

- Meeno Harper. - Nie patrzył na nią. - Widzę, co robisz. Jeśli nie przestaniesz, nie będę miał żadnych skrupułów, żeby cię do czegoś przykuć. Prawdę mówiąc, zrobię to z przyjemnością.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie:

- Lucien nie jest potworem! Okej, może mnie okłamał i powiedział, że nie jest żonaty, ale zapewniam cię, że nikt nie jest w żadnym niebezpie...

- Nie jest żonaty - oświadczył Alaric. - Nigdy nie był. Nikt nie wie, dlaczego. Niektórzy twierdzą, że po samobójstwie matki nigdy się z tego nie otrząsnął. Inni, że nie spotkał bratniej duszy. A ja odnoszę wrażenie, że ostatnio mogło się to zmienić. - Posłał Meenie przenikliwe spojrzenie i mówił dalej: - Dlatego jest niezbędne dla twojego przetrwania, żebyś mi zdradziła, gdzie on jest. Musisz też przestać gadać, bo twój głos mnie drażni.

- Zaraz. - Jon uniósł rękę. - Przepraszam. Wiem, że przyszedłem spóźniony, ale mam pytanie. Co tu się dzieje, do cholery?

- Sprawa jest prosta. Lucien Antonescu jest księciem ciemności.

Jon kiwnął głową.

- Tak. Wiemy. Ma zamek i tak dalej. Przespał się z Meeną i podarował jej elegancką torebkę. Tam jest. - Jon, ku przerażeniu Meeny, wskazał torebkę Marca Jacobsa, która wciąż leżała na stole w jadalni, w pudełku, w którym ją dostarczono. - Ale jest księciem. Pewnie księżęta tak robią po pierwszej randce.

- Nie. - Alaric pokręcił głową. - Jest księciem ciemności.

Jon zerknął na Meenę, na Alarica i znów na Meenę.

- Księciem cie... Czy on powiedział to, co mi się zdaje?

Przewróciła oczami.

- Wybacz, że cię drażnię - użyła najśłodszy tonu. - Ale Lucien nie jest diabłem.

- Nie powiedziałem, że jest diabłem - wyjaśniał cierpliwie Alaric. Zdjął płaszcz, wygładził go ręką i schludnie powiesił na ozdobnym haku w przedpokoju. Miecz oparł o ścianę koło drzwi.

Przeszedł nad rozsypanymi różami i kawałkami blackberry, nad pojemnikami z chińszczyzną, schylając się po drodze, żeby pogłaskać Jacka Bauera po głowie. - Jest mrocznym księciem. Wszechpotężnym. Władcą wszystkich stworzeń nocy.

Meena i Jon wymienili spojrzenia.

- W takim razie, nie rozumiem. - Meena starała się usunąć z tonu wszelką zjadliwość. - Myślałam, że księżę ciemności to diabeł.

- Diabeł jest personifikacją zła, wrogiem Boga i rodzaju ludzkiego. - Alaric przeszedł przez pokój i usiadł na fotelu Meeny, który obrzucił najpierw krytycznym spojrzeniem. Chyba niezbyt podobał mu się jej gust, jeśli chodzi o urządzenie wnętrza. - Księżę ciemności to Namaszczony, który wykonuje diabelskie dzieło na ziemi, i włada wszystkimi demonami po tej stronie piekła.

- Zaraz - rzuciła Meena, mrugając. - Chcesz powiedzieć...

- Tak. Właśnie to chcę powiedzieć.

Jon był skołowany.

- Nie rozumiem. To jest diabłem czy nie?

- Lucien Antonescu jest wampirem. I to nie pierwszym z brzegu wampirem, ale władcą wszystkich wampirów.

Rozdział 37

20.00 czasu wschodniego, piątek 16 kwietnia
Park Avenue 910, mieszkanie 11B Nowy Jork

Alaric Wulf wpatrywał się w nią. Oczywiście miał naprawdę bardzo niebieskie. Alarmująco niebieskie. Gdyby był kimś innym - albo gdyby Meena spotkała go w innych okolicznościach - powiedziałaaby: wyjątkowo przystojny mężczyzna.

Ale że napadł na nią w jej własnym mieszkaniu, z mieczem, i teraz oskarżał jej chłopaka o wampiryzm mogła tylko powiedzieć: jaka szkoda, że taka uroda została zmarnowana na kogoś takiego... kimkolwiek był.

- Bracie Jon - powiedział. Swoim przenikliwym spojrzeniem zdawał się przygwaźdzać ją do kanapy zupełnie. Tak samo, jak jego ciało przygwaźdżało ją do podłogi. - Przynieś siostrze coś do picia. Coś z cukrem. Ona jeszcze nie wie, ale za kilka minut będzie tego potrzebować.

- Ehm, okej. - Jon poszedł do kuchni.

- Przepraszam - odezwała się Meena. Co było nie tak z tym facetem? - Ale sama mogę sobie przynosić napoje.

- Nie. Zostań, gdzie jesteś. Nie można ci ufać.

Uniosła ręce w geście protestu.

- Co? - Nie mogła powstrzymać się od śmiechu, chociaż to wszystko było takie smutne. - Dlaczego? Bo poszłam na randkę z rzekomym wampirem?

- Nie jest rzekomy. A odpowiadając na twoje pytanie, tak. Jesteś teraz jego służką.

- Służką! - Przeszedł już sam siebie. - Co? Jestem zainfekowana, bo z nim byłam?

- Można to tak ująć, owszem. Z pewnością jest to forma infekcji. Przyniesiesz ten napój czy nie, bracie Jon?

- Napój już idzie - zawołał Jon z kuchni.

- Jon - odrzuciła Meena z kanapy. - Skoro już tam jesteś, to dolej trochę...

Alaric przerwał bezceremonialnie:

- Nie słuchaj jej. Powie ci jakimś szyfrem, zrozumiałym tylko dla was dwojga, jak to u rodzeństwa, żebyś zadzwonił z komórki na policję. Ale jeśli to zrobisz, zabiję cię i umieszczę twoje ciało w miejscu, gdzie go

nikt nie znajdzie. Pewnie w rzece. Wasz portier jest tak głupi, że nie zauważy, jeśli opuszczę budynek, niosąc ciało zawinięte w dywan.

Jon wystawił głowę z kuchni i spojrzał na Meenę.

- Przyniosę nam tylko colę i uniknę tego zawijania w dywan, okej, Meen?

Posłała mu wściekle spojrzenie.

- Tak, świetnie, Jon. - Spojrzała na Alarica. Wiedziała, że sobie poradzi z tą sytuacją.

Niewiele to się różniło od historycznych ataków złości Taylor pod hasłem „Jestem taka gruba”. No, może trochę się różniło.

- Posłuchaj, ehm... Wulf. Doceniam, że próbujesz mnie ostrzec. Naprawdę. Ale na świecie nie ma wampirów. Są wymyślone. Wymyśliliśmy je my, pisarze. Głupio mi, że tak dobrze nam wyszło, że cały świat popadł w paranoję, ale taka jest prawda. Wampiry są fikcją. To wszystko wina Brama Stokera. On zaczął.

- Niestety nie. Wampiry istniały na długo, zanim Stoker się urodził, w niemal każdej kulturze i na prawie wszystkich kontynentach na planecie. Są jak moskity... żywią się krwią innych. Nie mogą istnieć bez żywiciela, na którym żerują.

- A skąd tyle o nich wiesz? - spytała Meena.

- Walczę z wampirami praktycznie codziennie - odparł znudzonym tonem. - To mój zawód. Są ohydny, brutalnymi stworzeniami. Ich banda omal nie zabiła mojego partnera parę miesięcy temu.

- Och, doprawdy. - Meena założyła nogę na nogę i dyndała stopą w powietrzu. - Wampiry! Poważnie?

„Pogódź się z tym, Harper - powiedziała jej Shoshona. - One są wszędzie. Nie uciekniesz przed nimi”.

To nie fair. Dlaczego nie mogła uciec przed głupimi wampirami? Praca, telewizja, salon Leishy, a teraz nawet tu, w domu.

One naprawdę były wszędzie. Nawet ten przystojny - choć ewidentnie obłąkany - nieznajomy, który wdarł się do jej mieszkania, majaczył na ich temat.

- Osaczyły nas w magazynie pod Berlinem - ciągnął. - To po części moja wina. Zacząłem chojrakować. Nie sądziłem, że jest ich aż tyle, i myślałem, że zdołamy je pokonać. Wzięty nas z zaskoczenia. Proszę. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni dopasowanej sportowej marynarki. - To zdjęcie mojego partnera. Tak teraz wygląda. Ma na imię Martin.

Zdjęcie, które jej podał, zszokowało Meenę. Przedstawiało człowieka z połową twarzy. Czaszka obdarta z ciała kłami.

Patrzyła bez słowa. Wulf wyjął zdjęcie z jej bezwładnych palców i, chowając je, powiedział:

- Wiem, zdjęcie to żaden dowód. Zaraz powiesz, że to, co stało się z jego twarzą, mogło być wynikiem wypadku samochodowego.

- Wcale nie chciałam tego powiedzieć - wyjąkała. Nie wiedziała, co chciała powiedzieć. Spojrzała na Jona. Wciąż zajmował się w kuchni napojami. Wolałaby, żeby się pospieszył.

- Proszę - powiedział Alaric. - To są zdjęcia czterech dziewcząt, które zostały ostatnio zamordowane w waszym mieście. Ich ciała znaleziono w parkach, pozbawione krwi do ostatniej kropli.

Rozłożył na stoliku przed Meeną cztery zdjęcia. Zbliżenia twarzy czterech kobiet, włącznie z szyjami i barkami. Jedyne, co je do siebie upodabniało, to ślady ugryzień, otoczone paskudnymi, fioletowymi i zielonymi sińcami, i to nie tylko na szyjach, ale wszędzie... na ramionach, na piersiach, jakby zostały brutalnie zaatakowane przez kogoś...

Albo coś.

Meena patrzyła na zdjęcia. Jon, który wrócił z kuchni z trzema szklankami coli, usiadł obok niej na kanapie i też patrzył.

- To są dziewczyny, o których mówili w wiadomościach?

- Tak.

- Ale nikt nie wspominał, że umarły od pogryzień. Tylko tyle, że zostały uduszone.

- Bo ratusz nie chce wywołać paniki.

- Ale chyba nie mówisz, że zrobił to Lucien - odezwała się Meena słabym głosem, wciąż nie mogąc oderwać oczu od zdjęć. Pracowała w branży, w której fałszowanie takich zdjęć to normalna rzecz... W branży, w której oszukanie widzów, by uwierzyli w coś tak nieprawdopodobnego, było celem, do którego dążyli ona i jej koledzy po fachu. Rozpaczliwie szukała jakiegoś znaku, że i te zdjęcia są fałszywe, że są wymysłem kogoś takiego jak ona czy Shoshona.

Ale zdjęcia wyglądały przerażająco autentycznie. Rozpoznawała twarze dziewczyn, bo widziała ich zdjęcia w wiadomościach. Zdjęcia, które z rozmysłem nie pokazywały niczego poniżej podbródka.

- Nie. - Alaric napił się coli. - Książę nie jest winny tych morderstw, a przynajmniej nie popełnił ich osobiście. Ale zrobił to ktoś z jego rodzaju. Jakiś sługa.

- Sługa? - Meena spojrzała na niego. - Powiedziałeś, że ja jestem jego sługą.

Wzruszył szerokimi ramionami.

- Innym rodzajem sługi. Żeby stać się wampirem, człowiek musi zostać ukąszony trzy razy, a potem wypić krew swojego pana. Zakładam, że nie zrobiłaś tego zeszłej nocy, co?

Wybałuszyła oczy z przerażenia. Jon, siedzący obok niej na kanapie, uniósł brwi tak, że bardziej się nie dało.

- Słyszałem o różnych świństwach, ale to jest...

Meena przerwała mu.

Naprawdę, nasłuchiwała się już dość.

- Przepraszam - powiedziała. Miała świadomość, że się wścieka, bo nagle poczuła, że jest przerażona. Tymi zdjęciami, których nie potrafiła wytłumaczyć w racjonalnie, ale przede wszystkim przerażona pewnymi faktami, które nagle zaczęły układać się w jej głowie w całość. Ale nie możesz tak sobie tu przychodzić i oczekiwać iż uwierzemy, że istnieje wielka wampir za konspiracją, o której nie wie reszta ludzkości, i na której czele stoi mój chłopak, a ty jakimś cudem jesteś w to wszystko wtajemniczony. Kim ty w ogóle jesteś? Łowcą wampirów?

- Tak.

Opadła na kanapę.

- No tak. Oczywiście - rzuciła słabym głosem.

- Poważnie? - Jon był podekscytowany. - Jak się wkręcić do takiej roboty? Są jakieś dodatkowe korzyści?

- Trzeba zacząć szkolenie w bardzo młodym wieku - wyjaśnił Alaric, nie odrywając oczu od Meeny. - W tej chwili nie prowadzimy naboru.

- Jasne. - Jon pokiwała głową. - Oczywiście. Nikt teraz nie prowadzi naboru. Ale rzecz w tym, że byłbym doskonały w tym fachu. Bo wiesz, jestem bardzo zręczny, i zawsze z całego serca nienawidziłem wampirów. Dracula to mój ulubiony film w dzieciństwie. Powiedz mu, Meen. Ten kawałek, gdzie przebijają go kołkiem...

- Dekapitacja jest skuteczniejsza - stwierdził Alaric, wciąż patrząc na Meenę.

- W tym byłbym jeszcze lepszy - stwierdził Jon. - W ogólniaku grałem w drużynie bejsbolowej. Umiem naprawdę dobrze machać kijem. Meena, serio. Powiedz mu.

Nic nie powiedziała. Patrzyła na Alarica, który znów sięgnął do kieszeni. Tym razem wyjął mały złoty medalion i rzucił go na środek stolika tak od niechcienia, jakby to była dziesięciocentówka. Jon porwał medalik i uniósł do światła lampy, stojącej za kanapą.

- Fajne. - Zmrużył oczy. - Co to jest? Poznaję to. Po jednej stronie...
Czy to...?

- Pieczęć papieska - oświadczył Alaric tym swoim znudzonym tonem, którego chyba zawsze używał.

- Papież? Niemożliwe.

- To mój pracodawca. - Wciąż patrzył na Meenę. A Meena na niego. Jakaś oderwana część jej mózgu stwierdziła, że jego usta są za małe w stosunku do twarzy.

Reszta jej mózgu krzyczała, że to nie może być prawda. To nie jest prawda. Ona i Lucien odbyli długą rozmowę na temat wampirów w jego mieszkaniu...

O Boże.

- A to z tyłu to co? - spytał Jon. - Meena, masz, zerknij sama.

Wzięła od niego medalik. Wyraźnie widziała obrazek na rewersie.

Przedstawiał rycerza na koniu; zabijał smoka. Zaparło jej dech.

- Święty Jerzy? - Serce jej się ścisnęło.

- Patron Gwardii Palatynskiej. Mojej jednostki. Święty Jerzy pogromił smoka...

- Wiem - rzuciła szybko Meena. Nie mogła oddychać.

- Czy Lucien nie napisał czegoś o smokach w tym liściku do ciebie? Że pokonałaś smoka? - Jon był podekscytowany.

- Tak - odparła Meena. Dlaczego Jon nie mógł choć raz się zamknąć? Serce jej waliło jak młotem.

Alaric uniósł brew.

- Napisał do ciebie?

- Tak - potwierdził Jon, wstając. Podeszedł do stołu w jadalni. - List jest tu...

- Nie. - Meena zerwała się z kanapy. - Jon, nie dawaj mu...

Jednak Alaric, jak zwykle, był dla niej za szybki. Zanim zdążyła zrobić choć jeden krok, poderwał się z fotela, objął ją stalowym ramieniem w talii i uniósł w górę.

- Daj mi ten list. - Wciąż trzymał wierzgającą Meenę, gdy Jon, zaskoczony takim obrotem sprawy, gapił się na nich z listem Luciena w dłoni.

- Nie dawaj mu listu, Jon! - wrzasnęła ochryple, tłukąc bosymi stopami nogi Alarica.

Czego oczywiście wcale nie czuł.

Nawet nie wiedziała, dlaczego z taką determinacją broniła przed nim tego listu. Po prostu czuła, że on absolutnie nie może go zobaczyć.

Ale nie zdołała temu zapobiec. Jon podał srebrną kopertę Alaricowi, który puścił Meenę, otworzył list i przejrzał zawartość. Spojrzała żałośnie na brata.

- To tylko list, Meen. - Jon wzruszył ramionami. Nie ma na nim nawet adresu. Wszystko w porządku.

Ale nie było w porządku.

Szczególnie kiedy Alaric uniósł wzrok i oznajmił:

- Smok to po rumuńsku dracul.

- Co? - Meena nie zrozumiała.

- Smok - ciągnął od niechcienia Alaric. - Tu, gdzie pisze, że pokonałaś smoka. Ma na myśli siebie. Po rumuńsku smok to dracul. Dracula.

Zachłysnęła się powietrzem. Pokój zaczął się lekko kołysać.

- Zaraz - odezwał się Jon. - Więc święty Jerzy tak naprawdę nie zabijał smoków? Zabijał wampiry? Czy te smoki na obrazach to jakaś metafora wampirów?

„Ale tego dnia - przypomniała sobie słowa Luciena w muzeum - w mieście nie pozostała już żadna dziewica. Oprócz córki króla. Dziewczyna dzielnie poszła do źródła mimo protestów króla, spodziewając się, że zginie. Ale oto pojawił się rycerz zwany Jerzym, który pokonał smoka...”

Nie dziwnego, że Lucien nie wyglądał na zadowolonego, kiedy poprowadziła go do tego obrazka.

- Chyba będę wymiotować - powiedziała. Nagle krew zaczęła jej pulsować w głowie. Zemdleje.

- Siadaj. - Alaric popchnął ją na kanapę. Ale tym razem musiała przyznać, że zrobił to delikatnie.

- Nie, naprawdę - zaprotestowała. Pokój bujał się przed jej oczami. - Muszę iść...

- Napij się. Cukier pomoże. - Jego dłoń na jej ramieniu była ciepła. Żołądek znów wywinął fikołka, kiedy przypomniała sobie, że Lucien miał zawsze chłodne dłonie. Dziwnie chłodne. Nawet jego wargi, przeslizgujące się po jej ciele, były chłodne...

- O Boże. - Wypiła kilka łyków coli i opuściła głowę między kolana. Jeśli nie przywróci właściwego krążenia w mózgu, zemdleje.

- Wampiry nie istnieją - powiedziała do swoich bosych stóp. - Nie istnieją. Nie istnieją...

Wydawało jej się, że im więcej razy to powtórzy, tym bardziej będzie to prawda. Potwierdzały to jednak wszystkie wspomnienia z poprzedniej nocy - nawet wspomnienie głosu samego Luciena.

„Ale wierzysz, że święta Joanna słyszała głosy”. „Jak wykształcona kobieta jak ty może wierzyć w coś takiego, nie wierząc przy tym w stworzenia nocy?” Stworzenia nocy. O Boże.

To prawda. To była prawda.

- Wypij napój - usłyszała łagodne napomnienie Alarica. - A tymczasem ja opowiem ci o człowieku, który nazywał się Vlad Tepes.

Meena, wciąż z głową między kolanami, jęknęła.

- Słyszałaś o nim? - spytał zaskoczony Alaric - W takim razie opowiem twojemu bratu. Vlad Tepes był księciem części obecnej Rumunii, zwanej Wołoszczyzną, która dziś jest lepiej znana jako Transylwania.

Meena jęknęła głośniej. Nie Transylwania. Wszystko, tylko nie Transylwania.

- Był brutalnym i okrutnym człowiekiem. Bezlitośnie stosował technikę tortur, o której może słyszeliście, zwaną wbijaniem na pal...

- Zaraz - wtrącił się Jon. - Ty mówisz o Vladzie Palowniku?

- Owszem - przytaknął Alaric z ożywieniem. - Widzę, że też o nim słyszałaś.

- Wszyscy słyszeli o Vladzie Parowniku. Tortura polegała na wbijaniu drewnianego pala, zwykle niezbyt ostrego, w różne otwory ciała ofiary...

- Potrzebuję czegoś mocniejszego niż cola - przerwała mu głośno Meena, prostując się gwałtownie. - Whisky. Potrzebuję whisky. O Boże...

Pokój zachwiał się niebezpiecznie, więc szybko opuściła głowę z powrotem między kolana.

- Żadnej whisky - zabronił stanowczo Alaric.

- Dlaczego nie może się napić whisky? - zdziwił się Jon.

- Bo się upije i zadzwoni do wampira. I ostrzeże go, że go ścigam, i stracę element zaskoczenia. To się już zdarzało. No więc, Vlad Palownik - ciągnął - rządził na terenach, które tworzą dzisiejszą Rumunię, od roku 1456 do 1462. Był znany z wyjątkowo okrutnych kar stosowanych zarówno wobec wrogów, jak i wobec własnych sług, choć nie sposób ustalić, ilu ludzi rzeczywiście zabił. Mógł nadzieć na pal nawet sto tysięcy ludzi; zostawiał ich na powolną śmierć w straszliwych męczarniach. Umierali czasem nawet parę dni na palach ustawionych wzdłuż drogi do jego zamku, jako ostrzeżenie dla nieproszonych gości wkraczających na jego ziemię.

Meena zamknęła oczy, żałowała, że nie może w ten sposób odciąć się od jego słów.

Ale nie mogła - tak jak nie mogła siłą woli cofnąć czasu do punktu, kiedy portier zadzwonił i powiedział, że jest dla niej przesyłka.

Z takiej przesyłki jak Alaric Wulf nikt by się nie ucieszył. Teraz wiedziała, jak musieli czuć się ci wszyscy ludzie, którym oznajmiała, że czeka ich niechybna śmierć.

- Mówi się, że sam Vlad zginął w bitwie z Turkami w 1476 roku. Ścięto mu głowę i zanocono na włóczęgi sułtanowi w Stambule na dowód, że nie żyje.

Jon nie krył rozczarowania.

- Więc nie był wampirem.

Meena uniosła z nadzieją głowę.

- Może. A może to nie był Vlad Tepes. Ponoć został pochowany w klasztorze na wyspie niedaleko Bukaresztu, ale kiedy ostatnio otwarto jego grób, okazało się...

- Co? - rzucił niecierpliwie Jon.

- Że jest pusty.

Jon miał niepewną minę.

- Więc gdzie jest?

Alaric cierpliwie wyjaśniał.

- Vlad Tepes jest bardziej znany w swoim kraju jako Vlad Smok, ze względu na swoją służbę w węgierskim zakonie Smoka - ciągnął. - Albo, jeśli podstawić rumuńskie słowo, Vlad Dracul. - Nie odrywał od Meeny swojego niewzruszonego spojrzenia. - W anglojęzycznym świecie znany najlepiej jako pierwowzór Draculi Brama Stokera.

Meena gwałtownie chwyciła powietrze. Wiedziała, co będzie dalej, i bała się tego. Była tego tak pewna, jak chyba niczego w życiu.

Ale i bała się bardziej niż jakichkolwiek słów, które słyszała.

- Lucien Antonescu - powiedział Alaric - Jest synem Viada Draculi.

Rozdział 38

21.00 czasu wschodniego piątek 16 kwietnia
Park Avenue 910 mieszkanie IIB Nowy Jork

Meena mogła tylko patrzeć bez słowa na Alarica, kiedy mówił dalej:

- Lucien, który oczywiście wtedy nie miał tak na imię, i jego przyrodni brat, ukryli się po tym, jak Vlad, z nieznanых powodów, choć zapewne miało to związek z jego ambicjami podboju świata, pochwalił się Stokerowi, kim jest. Dzięki temu jeden z naszych oficerów zdołał go wytropić i przebić kołkiem.

Usadowił się wygodniej w fotelu i spoglądał na nich ze śmiertelną powagą.

- Potem wyszła powieść Stokera i nazwisko Dracula zyskało złą sławę, stając się synonimem zła. Od tamtej pory jego synowie ukrywają się wśród ludzi, często zmieniają nazwiska, profesje i próbują zawsze być krok przed nami. Ale zapewniam was, że śmierć Vlada Draculi z rąk Gwardii pięćset lat temu uczyniła z jego najstarszego syna, który obecnie nazywa się Lucien Antonescu, płowego księcia ciemności. Musi zostać unicestwiony, tak jak wszyscy z klanu Draculi, Smoka, podwładni synów Vlada.

Spojrzenie niebieskich oczu Alarica przykuwało Meenę do kanapy.

- A ty nam w tym pomożesz, Meeno Harper, mówiąc mi, gdzie spędziłaś z nim ostatnią noc, żebyśmy mogli go odnaleźć i zgładzić. Jego i wszystkich z klanu Smoka.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, pełnymi niedowierzania oczami. Wciąż widziała twarz Luciena, kiedy opowiadał jej o kobiecie, która rzuciła się do Rzeki Księżniczki, by nie wpaść w ręce Turków.

Jeśli to, co mówił Alaric, jest prawdą, to ta kobieta była matką Luciena. I widział jej samobójstwo na własne oczy.

Te oczy, które wydawały jej się pełne smutku. I nic dziwnego!

Ale to niemożliwe. Bo jeśli naprawdę widział śmierć żony Viada Palownika, to znaczyło, że ma pięćset lat.

Z drugiej strony, jeśli to nie jego matka, to dlaczego tak bardzo chciał pokazać Meenie portret Viada Tepesa? Czy nie dlatego, że ten obraz miał dla mego szczególnie osobiste znaczenie?

Tyle że...

Wampiry nie istnieją.

Czy naprawdę miała myśleć, że Lucien Antonescu jest wampirem, który magicznym sposobem dostał się do muzeum, ogłuszył wszystkich strażników i wyłączył alarmy, żeby zaimponować dziewczynie?

Ale co z nietoperzami, które ich zaatakowały?

- To nie może być prawda - powiedziała słabo, kręcąc głową. - On nigdy... Chodzi o to, że wydawał się taki... normalny.

Po prostu ideał.

Ani przez chwilę nie wyczuwała momentu jego śmierci. Oczywiście że nie. Bo już był martwy.

Co takiego powiedziała Leisha przez telefon, kiedy Meena opowiadała jej o swoich niepowodzeniach w pracy? „Jeśli może istnieć dziewczyna, która potrafi przewidzieć moment śmierci każdego człowieka, to dlaczego wampiry nie mogłyby istnieć?” Nagle zrobiło jej się zimno. Sięgnęła po koc leżący na końcu kanapy, pod którym często zasypiał Jon.

Ale jej ręka opadła bezwładnie, jakby po drodze brakło jej siły.

On jest martwy.

Boże.

Wampiry istnieją.

I ona się z jednym przespała.

- Przez wieki nauczyli się wtapiać w tło - mówił Alaric. - Musieli, żeby przetrwać. Popatrzcie na swoich sąsiadów, państwa Antonescu.

Jon wybałuszył oczy.

- Co?! Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

- Nigdy nie wydało wam się dziwne, że nie widujecie ich na dworze za dnia?

Meena i Jon wymienili spojrzenia.

- Widziałam Mary Lou na dworze za dnia - powiedziała Meena. - Ciągle ją widuję.

- Gdzie? - spytał Alaric. - Wymień jedno miejsce, w którym ją widziałas.

Meena otworzyła usta, chcąc powiedzieć, że wiele razy widziała Mary Lou na ulicy, przed budynkiem, w sklepie spożywczym, w cukierni.

Ale nagle zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała jej w żadnym z tych miejsc. Ani razu.

- Widuję ją w holu - mruknęła. Chłód, który czuła, nagle się nasilił.

- Być może - stwierdził Alaric. - Kiedy wychodzi z garażu, gdzie ona i jej mąż trzymają samochód ze specjalnie przyciemnianymi szybami.

- No tak. Widuję ją w holu. Czasem mam wrażenie, że zawsze tam jest. - W swoich wielkich ozdobnych kapeluszach. I rękawiczkach.

- Zaraz - odezwał się Jon. - Przecież mają wielki taras. Dopiero co byliśmy u nich na przyjęciu i pili z nami koktajle na tarasie. - Po czym dodał: - Rzeczywiście, to było po zachodzie słońca.

- Przekazują hojne darowizny na walkę z rakiem! - wykrzyknęła Meena. - Nie powiem, że szczególnie ich lubię...

- Tak jak i Jack Bauer - dodał Jon.

- ...ale nie mogą być wampirami.

- Pies ich nie lubi? - spytał Alaric Jona.

- Nie cierpi. Dostaje szału za każdym razem, kiedy spotyka któreś z nich w windzie. Zawsze tak reagował, od kiedy go wzięliśmy. - Spojrzał na Meenę. - Za Lucieniem też nie przepada, co? Jeśli można sądzić po tym warczeniu, które słyszałem wczoraj wieczorem w korytarzu.

Meena poruszyła się niespokojnie.

- Jack Bauer jest nerwowo. Zawsze był. Dlatego nazywa się Jack Bauer. Ma mnóstwo zmartwień. Zagłada świata i tak dalej.

- Rzeczywiście, widać to po nim - zauważył Alaric. Spojrzeli na Jacka Bauera. Drzemał rozciągnięty na grzbiecie w swoim legowisku, z rozłożonymi łapami, z brzuchem i genitaliami na widoku i z wywieszonym językiem.

- No cóż - powiedziała Meena. - Oczywiście nie cały czas.

- Myślę - zaczął Alaric - że twój pies tak się denerwuje w windzie i na korytarzu, bo to wampirzy pies.

- Teraz mój pies jest wampirem? - wykrzyknęła Meena z oburzeniem. - I kto jeszcze? Ja?

- Nie powiedziałem, że twój pies jest wampirem - odparł spokojnie Alaric. To było wkurzające, że przez cara czas zachowywał taki spokój, nawet kiedy groził komuś śmiercionośną bronią. - Powiedziałem, że to wampirzy pies. Niektóre zwierzęta, w szczególności psy, są bardziej wyczulone na zapach wampirzego rozkładu niż inne i z tego względu były używane od zarania dziejów jako pomocnicy przy tropieniu i kontrolowaniu wampirze populacji. Nawet specjalnie hodowano psy do tropienia i chwytania wampirów. Wygląda, że twój pies ma jakiś pradawny instynkt, który pozwala przed nimi ostrzegać.

Wzruszył ramionami.

- Zapewne go za to besztowałaś, ale on tylko próbował cię ostrzec przed złem, którego sama nie wyczułaś.

Meena, zawstydzona - bo rzeczywiście besztła Jacka Bauera za jego zachowanie, a nawet zamknęła go na noc w łazience - poczuła ulgę, kiedy Jon zmienił temat.

- Jeśli Antonescu są wampirami, dlaczego nas nie pogryźli, tak jak ktoś pogryźł tamte dziewczyny?

Wskazał zdjęcia na stoliku.

- Mieli mnóstwo okazji.

- Bo wtedy byśmy ich schwytali. Tak, jak schwytamy tego, kto im to zrobił. Po śmierci Draculi klan zszedł do podziemia i bardzo się stara nie ściągać na siebie uwagi mordowaniem ofiar. Znajdują tylko „dawców” o słabej woli, których mogą używać jako zapasu na dłuższy czas, i wysysają ich powoli, po troszeczkę. Tyle że zamiast słowa „dawca” bardziej pasowałoby „niewolnik”.

Meena zaśmiała się gorzko.

- I myślisz, że Lucien posługuje się mną jak taką niewolnicą? To pomyśl jeszcze raz, Wulf.

- No właśnie - stwierdził Jon sceptycznie. - Nie wiem, czy zauważyłeś, ale mojej siostrze trudno zarzucić słabą wolę. Nie sądzę, żeby ktokolwiek zdołał z niej zrobić niewolnicę. Chyba że seksualną.

W chwili, kiedy Jon wypowiedział słowa „seksualna niewolnica”, Alaric zrobił dziwną minę.

Wstał z fotela.

- Podciągnij halkę - powiedział do Meeny. wygięła szyję, żeby móc spojrzeć mu w twarz.

- Słucham? - spytała, śmiejąc się, jakby nie wierzyła własnym uszom.

- Podciągnij halkę - powtórzył rozkazującym tonem. Więc jednak się nie przesłyszała.

Spojrzała na Jona, który wzruszył ramionami, nic nie rozumiejąc.

- Nie. Nie zrobię tego.

W tej chwili, tak szybko, że aż trudno uwierzyć, Alaric chwycił ją za ramię i poderwał z kanapy. Jack Bauer, obudzony jej piskiem, patrzył na tę gwałtowną scenę.

- Hej, spokojnie! - krzyknął Jon.

- Przestań! - wrzeszczała Meena, kiedy Alaric zaczął ciągnąć w górę brzeg jej halki. - Co ty wyprawiasz?

- Tętnica udowa - mówił Alaric. Nieomal dyndał nią w powietrzu, trzymając za jedno ramię, i wolną ręką szarpał halkę. - Zapomniałem. Te biegle w miłości zawsze korzystają z tętnicy udowej.

- Hej - powtórzył Jon niepewnie. - Mojej siostrze nie podoba się, że robisz coś takiego.

- Nie robię tego dla przyjemności, głupcze. Muszę zobaczyć, czy została ugryziona. - Rzucił Meenę z powrotem na kanapę, wylądowała z lekko rozsuniętymi nogami i halką podciągniętą do połowy ud. Przytrzymując ją jedną ręką, drugą wskazał jej udo i powiedział triumfalnie: - Jest!

Wściekła, spojrzała w dół i zobaczyła to, o czym mówił. Spodziewała się ujrzeć najwyżej malinkę. Owszem, kiedy się nad tym zastanowiła, była skłonna przyznać, że zabawy z Lucieniem wczorajszej nocy trochę wymknęły się spod kontroli. Dużo z tego, co się działo w jego łóżku; było jedną zamazaną plamą.

Ale nigdy nie spodziewałaby się zobaczyć tego.

Ślad zębów. Nie dało się zaprzeczyć. Podobny do tych, które widziała na ciałach martwych dziewczyn ze zdjęcia Prawdę mówiąc, taki sam. Tyle że nie taki duży i mniej zasiniony.

- Boże - sapnęła bez tchu.

Potwornie zawstydzona zsunęła nogi i obciągnęła halkę. Co nie zmieniało faktu, że i jej brat, i ten bezczelny nieznajomy widzieli jej najbardziej seksowne czarne majteczki.

- Nic dziwnego, że przysłał ci torebkę - skomentował Jon. - Wewnętrzna strona uda - stwierdził Alaric. Puścił ją. - Od razu powinienem był szukać właśnie tam. Przez tętnicę udową często wprowadza się cewniki i stenty, bo daje dobry dostęp do serca. Ale ugryzienie w tym miejscu zwykle pozostaje niezauważone. - Spojrzenie, które jej posłał, było nieodgadnione, ale kryła się w nim i ciekawość, i niedowierzanie. - Pamiętasz, jak cię ugryzł?

- Ja... Ja... Pamiętam, jak mówił, że ugryzie mnie tylko, jeśli mu pozwolę - wyjąkała. Ciągle miała zimne dreszcze.

- No i? - Jon wciąż stał, górując nad Meeną i nad Alarikiem, który usiadł obok niej. - Pozwoliłaś?

Zamrugnęła i popatrzyła na niego. To nie mogło dziać się naprawdę. Lucien ją ugryzł? Lucien, który obronił ją przed atakiem nietoperzy? Lucien, który okrył ją swoją marynarką u Mary Lou? Ugryzł ją?

A co więcej, była pewna, że jej się to podobało.

- Powiedziałam tak - mruknęła, z wzrokiem wbitym w kolana. Czują, że jej policzki robią się szkarłatne. - O Boże. Zdaje się, że powiedziałam tak.

W ciszy, która nastąpiła po tym wyznaniu, Jack Bauer kichnął. Otrząsnął się, ziewnął i przeciągnął lekko. Wskoczył na kanapę, pobieżnie obwąchał Alarica Wulfa i uwalił się na kolanach Meeny brzuchem do góry, żeby go podrapała.

- Nie rozumiem tego. - Jon zaczął chodzić po pokoju. - Jeśli te... te wampiry są na całym świecie, ukrywają się wśród ludzi i żerują na niewinnych kobietach jak moja siostra, to dlaczego trzymacie to w sekrecie? Czy służby publiczne nie powinny wydawać ostrzeżeń, żeby takie dziewczyny jak Meena nie pakowały się w podobne sytuacje? Co?

Meena chyba nigdy nie widziała, żeby jej brat tak się wściekł. Nie dawał się wyprowadzić z równowagi.

Ale kiedy to się udało, uspokojenie go było niemal niewykonalne.

- Uważasz, że lepiej, gdyby sprawy wyglądały tak jak w XVIII i XIX wieku, kiedy tysiące niewinnych ludzi oskarżano o wampiryzm i mordowane, bo tacy ludzie jak ty, których siostry zostały pogryzione, wskazywali niewłaściwe osoby? Nie, nie wydaje mi się. Lepiej, kiedy ludzie myślą, że wampiry nie istnieją, a problemem po cichu zajmują się profesjonaliści jak ja.

- Okej - przyznał Jon, nie przestając chodzić. - Dobra. Więc jak to zrobimy? Święcona woda? Drewniane kołki? Masz jakieś zapasowe? Idę z tobą. Chcę wbić drewniany kołek w serce tego gościa. Idziemy. Jestem gotowy. No jazda.

Alaric nie ruszył się z miejsca obok Meeny.

- Nie.

- Mówię poważnie - nalegał Jon. - Nie boję się. Księżę ciemności? Nie rusza mnie. Nikt nie będzie gryzł mojej siostry i przysyłał jej za to torebek. Nie ujdzie mu to na sucho. Chodź. Idziemy. Meena, powiedz nam, gdzie on się zatrzymał. Marnujemy czas.

Meena, głaszcząc Jacka po brzuchu, patrzyła to na Jona, to na Alarica. Nie wiedziała, co ma zrobić. W uszach słyszała dziwny ryk. Czuła się tak, jakby w miejscu jej żołądka została wielka dziura.

Nie, nie żołądka. W miejscu duszy.

- Już ci powiedział, że nie idziesz, Jon - przypomniała bratu.

- Idę. Tylko daj namiar, gdzie on mieszka.

- Nie - powiedziała twardo. Jej palce zeszywniały na jedwabistej, rudawej sierści Jacka Bauera.

Alaric, który zajmował strasznie dużo miejsca na kanapie, odwrócił się do niej.

- Meeno. Wiem, że ten człowiek, ksiązę, powiedział ci rzeczy, które sprawiły, że coś do niego czujesz. Litość, a może nawet miłość. Ale cokolwiek ci mówił, jest zły i robi złe rzeczy.

- Nie wierzę. Sam mi powiedziałaś, że Lucien nie zamordował tych dziewczyn.

Na szczęście Alarica drgnął mięsień. Jego małe usta skurczyły się z frustracji jeszcze bardziej.

- A jeśli ich nie zabił, to co tu w ogóle robi? - zapytała gniewnie. - Powiedz mi. Przyjechał tu znaleźć mordercę, prawda?

- Tak - odparł Alaric powoli. - Ale to nie czyni z niego dobrego człowieka. W ogóle nie jest człowiekiem. Jest potworem. Popatrz, co ci zrobił. Nawet o tym nie wiedziałaś. On jest żywym trupem. To nie jest naturalne. I stworzył innych podobnych sobie... i to ktoś z nich skrzywdził te dziewczyny. Moi towarzysze i ja musimy go powstrzymać, zanim jego śludzy zabiją kogoś jeszcze. Więc proszę, powiedz mi, gdzie on jest, i wyjdę stąd. Już nigdy nie będziesz musiała mnie oglądać.

Pokręciła głową. Ścisnęła ucho Jacka Bauera tak mocno, że w końcu zirytowany szarpnął głową. Jej palce były jak lód.

Ale nie puściła.

- Nie mogę.

- Nie możesz? - Alaric uniósł brwi. - Czy nie chcesz?

- Nie chcę. - Głos jej drżał.

Ale co ona miała zrobić? Nigdy nie chciała wierzyć w wampiry. Były stworzeniami śmierci. Nienawidziła śmierci. Nigdy nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

A teraz on ściągnął je do jej domu.

No, może nie on to zrobił. Sama ściągnęła to na swoją głowę tamtej nocy, kiedy zapięła smycz Jackowi i poszła na spacer pod katedrę.

- Nie wygłupiaj się, Meena - krzyknął Jon. - Co ty wyprawiasz? Ty nie jesteś taka! Chcesz chronić faceta, który robi ci krzywdę? Odbiło co?

- Nie chronię jego. - Wargi miała zlodowaciałe. Drżała na całym ciele. Nic nie mogła na to poradzić. Nigdy w życiu nie było jej tak zimno, nawet w czasie najcięższych nowojorskich zim, kiedy wiatr hulał między wieżowcami. - Chronię was - mówiła cicho, przez zły. - Nie rozumiecie. On was zabije. Za to, że chcecie mu mnie zabrać. Zabije was obu.

Alaric odwrócił się przodem do niej, przekładając ramię przez oparcie kanapy.

- Co ona mówi? - spytał Jona.

Twarz Jona zrobiła się lekko zielonkawa.

- Ona wie - zdołał tylko wydusić słabym głosem.
- Co wie?
- W jaki sposób ktoś umrze. Zawsze wiedziała. Już tak ma. Po prostu wie. Jeśli Meena mówi, że on nas zabije, to już po nas.

Rozdział 39

12.00 czasu wschodniego, piątek 16 kwietnia
Park Avenue 910, mieszkanie 11B Nowy Jork

Alaric wiedział, że może troszkę go poniosło. Szczególnie kiedy dziewczyna rzuciła w niego telefonem. Telefonem!

Ale Meena Harper pokazała więcej bojowego ducha, niż się spodziewał.

Oczywiście, że na nią skoczył. Żeby ją unieruchomić. Nic poza tym. Bo co innego mógł zrobić?

Nie wiedział, dlaczego nie potrafił utrzymać rąk z dala od niej. To niespodzianka. Miała taką miłą skórę. Miękką i gładką... jak wosk, którego używał do nacierania nart, kiedy co roku jeździł do Kitzbuhel między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem.

Nie mógł powstrzymać się, żeby jej nie dotknąć... A kiedy już dotknął, dotykał dalej, chociaż ją to irytowało.

No cóż, ona jego też irytowała. Nie chciał jej dotykać. Chciał dowiedzieć się, gdzie jest książkę, pójść tam, zniszczyć go, a potem wrócić do hotelu i wziąć miłą gorącą kąpiel.

Absolutnie nie chciał tkwić w nowojorskim mieszkaniu, zapchanym tanimi - aczkolwiek całkiem wygodny mi - meblami z IKE-i, z wielkooką kochanką księcia ciemności, która na dodatek miała zdolność przewidywania, jak i kiedy kto umrze.

- Ona wie takie rzeczy? - spytał jej brata, chociaż podchodził do tego sceptycznie.

- Nigdy się nie myli. Wie. Po prostu wie.

Zagapił się na Meenę Harper. Od kiedy wstąpił do Gwardii, widział wiele dziwów: sukuba odrywającego się od ciała swojej aktualnej zabawki z niezadowolonym wrzaskiem, bo Alaric oblał go święconą wodą.

Chupacabras - często mylone z parszywymi kojotami, choć tak naprawdę są oddzielnym gatunkiem wampirów, wysysającym krew z owiec w Teksasie. Ale kiedy nie mogą znaleźć owiec, chętnie wysysają krew ze śpiących dzieci, jeśli mogą się do nich dostać przez otwarte okna.

Demony, lecące na niego z rozdziawionymi paszczami, kiedy miejscowy ksiądz próbował wypędzić je egzorcyzmami je z opętanych wieśniaków w kolumbijskich górach.

I oczywiście tyle wampirów, że nie chciało mu się liczyć, z krwią ciekącą po podbródkach, z czerwonymi plamami na koszulach; szarżowały na niego z ciemności i wykrzykiwały świnstwa.

Wampiry, romantycznie przedstawiane przez film i literaturę, w rzeczywistości miały niewyparzone gęby. Tylko te przebywające w centrach miast, jak tu, znały się na grzeczności i próbowały stwarzać pozory zachowywania dobrych manier.

Ale Alaric nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek spotkał jasnowidza - w każdym razie nie takiego, który miałby coś cennego do powiedzenia. Jeśli ich moce były autentyczne, dlaczego nie używali ich, żeby się bogacić?

Nigdy tego nie rozumiał. Na ich miejscu natychmiast przewidziałby zwycięskie liczby na loterii, zabrał pieniądze i wyprowadził się na Antigüe.

Watykan też w nich nie wierzył - pewnie z tych samych powodów - i nie miał ani jednego na liście płac.

Jednak reakcja Jona Harpera mówiła mu, że on wierzy w zdolności siostry. Meena też wierzyła, sądząc po jej nieszczęśliwej minie. Zgoniła psa na podłogę i siedziała z łokciami opartymi na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach. Ze swoją drobną budową, krótkimi ciemnymi włosami, z długimi, smukłymi kończynami i szyją, ubrana tylko w czarne koronki i halkę, wyglądała jak baletnica.

Baletnica, która przeżywa załamanie nerwowe.

Pomyślał, że w innym miejscu, w innym życiu mogliby całkiem miło spędzić ze sobą czas, bo wcale nie była brzydka. Prawdę mówiąc, nawet piękna.

Ale teraz nic by z tego nie wyszło.

Jasne, że go nienawidzi.

Alaric oczywiście wiedział, co musi zrobić:

Wezwać wsparcie. Pozwolić Holtzmanowi gadać z tą dwójką. On chciał tylko adres. Señor Śliski zajmie się resztą.

Wychodząc, wyprawi jeszcze na tamten świat Emila i Mary Lou Antonescu. To będzie całkiem satysfakcjonujący wieczór.

- Posłuchaj. - Meena uniosła twarz mokrą od łez i patrzyła na niego gniewnie. Jej oczy w drobnej twarzy wydawały się jeszcze większe i ciemniejsze. - Wiem, że mi nie wierzysz. Nikt mi nigdy nie wierzy. Ale ja nie zmyślam. Też ci nie wierzyłam, dopóki... Cóż, dopóki nie pokazałeś mi śladu po ugryzieniu. Wtedy już wiedziałam. Wiem też, że

on jest martwy. I dlatego nigdy nie mogłam przewidzieć... Nieważne. On was zabije. Obu. Musisz mi uwierzyć.

Jej głos, który przedtem tak go irytował, teraz, kiedy się martwiła, zrobił się szorstki, a zarazem słodki. I nieprawdopodobnie seksowny.

Co się z nim działo? Przecież nie da się złapać w sidła tej... kimkolwiek była. Nie ma mowy.

Ma do zabicia parę wampirów. A potem czeka na niego przepyszna hotelowa kolacja.

- Poczekaj chwilę. - Wyjął komórkę, wybrał numer Holtzmana. - Muszę gdzieś zadzwonić. To mi zajmie tylko moment. Chcesz jeszcze jedną colę? Trzęsiesz się. Może herbatę. Twój brat może ci zaparzyć herbaty.

- On cię znajdzie pierwszy - powiedziała. Po jej gładkim policzku płynęła samotna łza. Oczy miała zamknięte, jakby obserwowała coś pod powiekami. - Gdzieś... w sali ze szkła. Atrium. Wszędzie jest woda. Jakby basen. Tak. Hotelowy basen. Ale w powietrzu. To nie ma sensu... Może... na dachu. Mieszkasz w hotelu z krytym basenem na dachu?

Kciuk Alarica znieruchomiał nad guzikiem połączenia.

- Bo właśnie tam cię znajdzie - ciągnęła. Czy naprawdę widziała to wszystko? - Lubisz pływać?

Nie krył zdumienia.

- Skąd, u diabła, to wiesz? - spytał groźnie, zanim zdążył ugryźć się w język

Potrzeba było nie byle czego, żeby wystraszyć Alarica Wulfa.

Na przykład tego, w jaki ohydny sposób przekłête chupacabras uniosły głowy znad pożeranej owcy, kiedy podchodził je i niechcący nadepnął na gałązkę.

A krew owcy kapłała z ich małych ostrych ząbków, gdy przekrzywiały głowy.

Meena już nie płakała.

- Po prostu wiem różne rzeczy. - Wzruszyła ramionami. - Uwierz mi, nigdy nie prosiłam o ten dar. I gdybym mogła, oddałabym go natychmiast. Myślisz, że lubię wiedzieć, że mój chłopak sięgnie do wody i złapie cię za włosy, kiedy będziesz jutro pływał, a potem wyciągnie cię i rozerwie ci...

- Nie robi tego. - Alaric schował telefon i usiadł na kanapie obok Meeny. - Nie robi tego. Bo ja już wiem powiedziałaś mi, i to wszystko zmienia. Prawda? Tak to działa?

Modlił się, żeby tak działało. Nie był religijny. Ale bał się.

I tak, jak on sprawił, że uwierzyła w wampiry, tak ona sprawiła, że uwierzył w jej moce.

Wierzył. Dobry Boże w niebiosach, wierzył,

- Ostrzegasz mnie, że on tam będzie, a to spowoduje, że zmienię swoje plany. Będę się przed nim pilnował. Czy to nie działa w ten sposób? Może nawet nie pójdzie pływać. Jego serce biło szybko.

Ostatnimi czasy sporo było potrzeba, żeby przyspieszyć mu puls.

Ale wizja, którą mu opisała - księżę ciemności rozrywający mu gardło, kiedy on będzie sobie spokojnie robił długości w Peninsula?

To podziałało.

Znikąd nie mogła wiedzieć, że właśnie tam się zatrzymał.

Więc nie mogła zmyślać.

Może jednak w tym całym jasnowidzeniu coś było.

- Popatrz jeszcze raz. - Wciąż przemawiał łagodnie, bo w mowie ciała Meeny Harper dostrzegwał coś... to, jaki siedziała skulona, od kiedy pokazał jej ślad po zębach, co mówiło mu, że jest podłamana; potrzebowała delikatnego traktowania, jeśli miała dojść do siebie.

Ale z trudnością ukrywał niecierpliwość w głosie.

- Co widzisz? - Sięgnął po koc i otulił jej szczupłe ramiona.

Pokręciła głową.

- Nic dobrego. Obu was zabije.

- Dlaczego mnie? - zajęczał Jon. - Co mu zrobiłem?

- Ale gdzie? - dopytywał się Alaric, ignorując Jona. - Gdzie teraz?

Meena mówiła dalej.

- Nie na basenie... W jakimś ciemnym miejscu. Ale coś... coś się pali. - Otworzyła gwałtownie oczy i spojrzała oskarżycielsko na Alarica. W jej głosie pojawiła się odrobina dawnej zjadliwości. - Nie możesz mieć mu tego za złe. On się tylko próbuje bronić. Chciałeś go zabić pierwszy. Ty zacząłeś.

- Ja? - Alaric dziabnął się kciukiem w pierś. - Och, jasne, to ja jestem księciem ciemności, namaszczeńcem wszystkiego, co nieboskie, strażnikiem piekielnych dzieł. Jasne, to moja wina.

- On sobie nie wybierał ojca - odparła z żarem Meena - tak jak i ty nie wybierałeś.

Alaric pomyślał przelotnie, że miałby wiedzieć, kim był jego ojciec, choćby po to, żeby dać staremu zasłużonego kopa w tyłek za to, że go porzucił.

- Meeno - odezwał się Jon. - Nie sądzisz, że powinnaś nam po prostu powiedzieć, gdzie on jest, żebyśmy mogli go zabić, zanim on zabije nas?

W filmach zawsze tak to robią. Zabijają Draculę w trumnie, za dnia, kiedy śpi bezbronny.

- Oni nie śpią w trumnach - wtrącił Alaric.

- Nie? - zdumiał się Jon. - Przecież...

- Stoker dodał ten element dla pogłębienia dramaturgii. Kto wie, może Dracula mu tak powiedział, wymyślił jakiś chory żart. Skrzywiony facet. Gdyby tak wyglądała prawda, bardzo by to ułatwiało sprawę.

- Ty. - Meena spojrzała gniewnie na Alarica. - Przekazałeś już swoje straszne posłanie. Okej. Mój chłopak jest synem Draculi. Dzięki. Możesz już iść.

- Hm... Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Mam zadanie do wykonania. Pogromić smoka i tak dalej. Myślałem, że wyraziłem się jasno.

- Ach tak. - Meena kiwnęła głową. - Jak ten na twoim medaliku.

- Właśnie. - Puścił do niej oczko. - Jak święty Jerzy.

- Nawet widzę podobieństwo - rzuciła ironicznie. - No to powodzenia.

A teraz wynoś się z mojego domu, zanim wezwę policję.

Alaric rozejrzał się po pokoju. Zauważywszy telefon na małym stoliku koło kanapy, chwycił słuchawkę, rzucił na podłogę i rozdeptał ciężkim butem.

Meena otworzyła oczy tak szeroko, że szerzej się nie dało.

- Zdaje się, że twoja komórka też nie działa. - Popatrzył znacząco na kawałki blackberry na podłodze.

- Nie możesz mnie więzić w moim własnym domu - powiedziała Meena ognście jak na kogoś, kto niedawno posłużył za bank krwi dla pana ciemności.

- Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł - odparł grzecznie - zrobię to z największą przyjemnością. Tylko mi powiedz, gdzie mogę znaleźć Luciena Antonescu, i już mnie nie ma. I nigdy więcej nie będziesz musiała mnie oglądać.

- Podasz mi swój adres mej Iowy, tak? - zagadnął Jon. - Mówiłem poważnie, że chcę spróbować się w tej waszej Gwardii. Wiem, że nie prowadzicie naboru, ale' myślę, że byłbym świetny w...

- Och, wszystko mi jedno - przerwała mu Meena. - Obaj działacie mi na nerwy. Proszę bardzo, zostań. Zostań sobie nawet całą noc, mam to gdzieś. Idę spać.

Odwróciła się i boszo poszła korytarzem, ciągnąc za sobą koc. Zatrzasnęła drzwi sypialni tuż przed nosem Jacka Bauera.

- W tamtym pokoju chyba nie ma telefonu, co? - spytał Alaric Jona.

- Oczywiście, że jest.

Alaric jak błyskawica przeskoczył przez stół i śmieci zaścielające przedpokój i otworzył drzwi gustownie urządzonej - znów Pottery Barn, stwierdził krytycznie - sypialni Meeny w chwili, kiedy podnosiła słuchawkę, żeby wybrać numer. Wyrwał jej słuchawkę z dłoni.

- Oj, nieładnie. Co mówiliśmy o używaniu telefonu?

- Nie dzwoniłam do Luciena. Nie jestem głupia. Nie chcę, żebyście zginęli. Dzwoniłam do mojej przyjaciółki Leishy. Muszę porozmawiać z kimś, kto jest samcem.

Alaric otworzył drzwi na balkon. Wieczorne powietrze było o wiele chłodniejsze niż wtedy, kiedy wchodził do budynku. Naciągały burzowe chmury, gnały przez rzekę jak armia nacierająca na miasto.

- Stój! - krzyknęła Meena, wybiegając za nim w chwili, kiedy wyciągnął rękę za ozdobną barierkę z kutego żelaza.

- Nikomu nie możesz mówić, co się tu dzieje. Ani twojej przyjaciółce Leishy. Ani matce. Ani policji. Jeśli nie chcesz, żeby zginęli. Rozumiesz mnie, Meeno? Te potwory zabijają ich w mgnieniu oka.

- Rozumiem - odparła sztywno Meena. - Ale czy ty rozumiesz, że tam, na dole, są ludzie? Jeśli wyrzucisz słuchawkę, możesz kogoś trafić.

Wyrzucił przez barierkę balkon.

- Masz jakieś wizje dotyczące czyjegoś nagłego zgonu?

Przygryzła wargę.

- No... nie. Ale...

- Leci - powiedział, puszczając słuchawkę, którą wiatr szybko porwał z jego dłoni.

- ...to nie działa w ten sposób - dokończyła Meena. - Muszę najpierw poznać daną osobę. Brawo. Prawdopodobnie właśnie kogoś zabiłeś.

Daleko na dole zawył alarm samochodu. - Jestem niedobry. - Pokręcił głową. - Zabiłem samochód.

- Uważasz, że to wszystko jest zabawne? - Patrzyła na niego gniewnie w resztkach światła księżyca, wyglądającego spomiędzy burzowych chmur. - Wcale nie jest.? Ja...

Nie musiał słyszeć dalszych słów; wiedział, co chciała powiedzieć. Widział to w jej oczach.

Zresztą słyszał to już setki razy.

Czuł się odrobinę rozczarowany. Meena Harper wciąż go zaskakiwała, od swojej obrony - żadna ofiara nie walczyła tak zajadle, jak ona - po odkryciu jej parapsychofizycznych zdolności.

Byłoby miło, gdyby i w tej kwestii okazała się nieprzewidywalna.

Ale właśnie na tym polegał problem z wampirami i dlatego należało je skutecznie wyplenić.

Dobierały się do umysłów nawet najbardziej rozsądnych, inteligentnych ludzi i zmieniały ich w ćpunów, jak heroina.

- Wiem - stwierdził obojętnie. - Kochasz go. Nie możesz bez niego żyć. Ale zapewniam, mogę cię z tego wyleczyć. Powiedz mi tylko, gdzie on jest. Zabiję go, a wtedy..

- Nie - przerwała mu. - Nie to chciałam powiedzieć. Czy ty kiedykolwiek słuchasz, co się do ciebie mówi? Czy tylko wpadasz, wymachując tym swoim wielkim mieczem, a pytania zadajesz później? Fakty są takie, że on cię zabije. I mojego brata też. Chyba rozumiesz, że nie mogę do tego dopuścić, Alaricu.

Po raz pierwszy wypowiedziała jego imię. Nie wiedział dlaczego, ale dźwięk jego imienia w jej ustach zrobił coś dziwnego z włoskami na karku... lekko się zjeżyły.

A może przyczyną była tylko błyskawica.

- Nie mogę być odpowiedzialny za to, co się stanie z twoim bratem. - Z trudem zachowywał spokój. I to nie tylko dlatego, że zaczynał sobie zdawać sprawę, że pociąg, który czuł do niej, był nie tylko fizyczny. - A poza tym powinnaś cieszyć się, że wreszcie znalazł sobie jakieś hobby.

- Zabijanie wampirów? - Głos Meeny wzniósł się ponad odległy pomruk grzmotu. - Chciałam, żeby znalazł pracę, i może jeszcze położył suche tynki w pokoiku dla dziecka Leishy. Ale nie, żeby dał się zabić, polując na nieumarłych!

- Cóż, trzeba było o tym pomyśleć, zanim przespałaś się z Lucieniem Draculą. - Alaric skrzyżował ręce na piersi. Daleko w dole właściciel samochodu wyłączył wreszcie alarm. Na tej wysokości odgłosy ruchu, choć słyszalne, ledwie do nich docierały. Pomyślał, że musi jej być zimno w samej halce, ale nie było tego po niej widać, choć nie miała ze sobą nawet koca z kanapy. Pewnie gniew ją rozgrzewał.

I wstyd, sądząc po zarumienionych policzkach. Nie spodobało jej się, że tak bez ogródek mówił o jej schadzce z Antonescu.

- Ale skoro nie pomyślałaś - ciągnął brutalnie - będziesz musiała pogodzić się z konsekwencjami. Z których jedną jestem ja. I nigdzie stąd nie pójdę, dopóki nie powiesz mi, gdzie jest książę ciemności. Taki masz wybór. On albo ja.

Patrzyła na niego z wściekłością. Bez słowa odwróciła się na boki i wróciła do sypialni. Jej decyzja była dość oczywista. Zrozumiał, że to będzie długa noc.

Rozdział 40

00.00 sobota 17 kwietnia
Klub The Box Chrystie Street 189 Nowy Jork

Lucien bez trudu odnalazł Dimitriego.

Przecież był księciem ciemności. Potrafił odnaleźć każdego, kogo chciał.

Tylko nie tego, kto zabijał dziewczyny i porzucał ich ciała w parkach na całym Manhattanie.

Ta osoba - czy osoby - chciały pozostać przed nim w ukryciu, z oczywistych powodów.

Ceniły swoje życie.

Powiedziano mu, że jego brat podejmuje grupę finansowych analityków w klubie ze striptizem w centrum. Lucien nie chodził w takie miejsca - nie lubił dymu, a poza tym, jeśli chciał popatrzeć, jak kobieta się przed nim rozbiera, nie musiał płacić za tę przyjemność.

Ten klub, najbardziej zatłoczony, jaki kiedykolwiek widział, okupowali nie tylko mężczyźni.

Jak widać, kobiety - w różnym wieku - też interesował pokaz. Klub nie miał miejsc siedzących. Stoliki kosztowały „butelkę”, a „butelki” nie były tu tanie.

Klienci mogli liczyć na stolik tylko, jeśli kupili butelkę szampana czy wódki za jedno tysiąc dolarów. Absurdalne.

Ale w ten sposób klub zarabiał.

Lucien nie miał czasu, żeby zatrzymać się i słuchać psioczenia tłumu gości. Przepchnął się między ludźmi i wszedł po schodach do łoży wybitej czerwonym aksamitem, w której siedział jego brat i bankierzy - z jakiegoś powodu Dimitri bardzo chciał zaprzyjaźnić się z nimi.

Mimo to trudno mu było wyciszyć gwar w głowie. I to wcale nie gwar rozmów ludzi dookoła.

Gwar, który słyszał, od kiedy rozstał się z Meeną tego ranka, i który pojawiał się za każdym razem, kiedy w pobliżu byli ludzie.

Przedziwne odczucie. Nie potrafił go porównać z niczym, co zdarzyło mu się doświadczyć do tej pory. Zupełnie jakby miał w mózgu pszczołę. Jej brzęczenie milkło, kiedy wokół nie było nikogo. Żywego, oczywiście.

Ale kiedy w pobliżu znalazł się ktoś z bijącym sercem, znów zaczynała brzęczeć.

Zresztą nie chodziło tylko o to brzęczenie. Wiedział różne rzeczy. Wystarczyło mu spojrzeć w twarze ludzi, których mijał. Na przykład kelnerki z tacą pustych szklanek, która zręcznie przemknęła obok niego w czarnym satynowym biustonoszu, koronkowym pasie do pończoch i butach na platformach. Powinna uważać na wąskich schodach, bo inaczej potknie się i skręci sobie kark.

Tego nie mógł dowiedzieć się, czytając jej myśli. Po prostu to wiedział - od jednego spojrzenia w jej mocno umalowane oczy.

- Proszę się trzymać poręczy - doradził, kiedy prześliznęła się obok niego.

- Dzięki - odparła z sugestywnym uśmiechem na czerwono u szminkowanych ust. - Ale wolałabym potrzymać coś innego.

I nie tylko ona powinna uważać. Chłopak u szczytu schodów, krzyczący do telefonu, też.

- Nie uwierzysz, co to za miejsce - mówił koledze po drugiej stronie. - Kobieta na scenie pali papierosa! Ale nie ustami, tylko...

- Synu - powiedział do niego Lucien.

- Koleś. - Młokos odwrócił się do niego. - Nie jestem twoim synem. I nie wiem, gdzie jest łazienka, więc... Głos mu zamarł, kiedy chłopak spojrzał w oczy Luciena. Przełknął ślinę. - Przepraszam. Mogę panu w czymś pomóc?

- Tak. - Lucien wyciągnął rękę. - Oddaj mi kluczyki do samochodu. Chłopak, który nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat - z pewnością użył fałszywych dokumentów, żeby wejść do klubu - sięgnął drżącą dłonią do kieszeni marynarki i oddał kluczyki.

Lucien schował je do kieszeni.

- Jedź do domu taksówką. - Poklepał go po ramieniu. - Zdaje się, że wypiełeś trochę za dużo, żeby dojechać bezpiecznie.

- Ale... - Popatrzył za nim, kiedy Lucien ruszył w stronę ciemnoczerwonych pluszowych zasłon, oddzielających siedzenia w łóżach od środkowej części balkonu z miejscami stojącymi. - Przyjechałem z Long Island.

- Więc jedź pociągiem - odparł Lucien, puszczając do niego oczko. - Któregoś dnia mi podziękujesz.

Znalazł Dimitriego w zaciemnionej prywatnej loży z sześcioma czy siedmioma mężczyznami w ciemnych garniturach; wszyscy siedzieli rozwaleni na kanapach z bogato zdobionymi poduszkami, wokół stołu zastawionego drinkami. Nie było kobiet. Miary pojawić się na scenie niżej, mniej lub bardziej rozebrane, robiąc sztuczki z rekwizytami, które

zadziwiłyby nawet jego ojca chociaż wychował się na XV-wiecznym tureckim dworze.

- Lucien! - wykrzyknął Dimitri na jego widok. - Co za niespodzianka. Panowie, poznajcie mojego brata Luciena. Lucien, to kilku moich przyjaciół z TransCarta.

Spojrzał na mężczyzn, których przedstawiał mu brat. Wszyscy w średnim wieku, odrobinę za grubi od siedzenia po całych dniach przy komputerze i wszyscy mieli umrzeć...

...w ciągu tygodnia.

Zaraz. Wszyscy?

Jak to możliwe?

I dlaczego? Jakaś katastrofa firmowego samolotu?

W niewyraźnych przeblyskach, które pojawiały się w jego głowie, widział tylko jakieś pomieszczenie, bardzo ciemne pomieszczenie. Może jakąś piwnicę.

I krew. Dużo krwi.

Kraksa samochodowa na podziemnym parkingu? Jedyne w miarę logiczne wytłumaczenie.

Biedacy.

Co się z nim działo? Skąd on wiedział, że ci wszyscy ludzie umrą?

I dlaczego to wiedział?

- Witam panów - powiedział grzecznie do tych skazańców. Oczywiście nie było sensu ich ostrzegać. Właściwie przed czym? - Przepraszam, że zakłócam panom zabawę. Ale chciałem zamienić stówko z bratem w cztery oczy.

Zirytował Dimitriego, zauważył to. Ale brat szybko się opanował.

- Oczywiście - powiedział. - Przepraszam na chwilę, panowie.

- Nie spiesz się - rzucił wesoło jeden z przyszłych trupów. - Następnym akcie dopiero za dziesięć minut. Powinien się pan do nas przyłączyć, Lucien. Podobno dziewczyna pali, ale nie...

- Widziałem to - odparł Lucien. - Kiedyś w Turcji Ale dziękuję za zaproszenie.

Dimitri wstał i przeszedł pod zasłoną, którą przytrzymali dla niego Lucien.

- O co chodzi? - burknął, idąc za nim wzdłuż balkonu w stronę drzwi z napisem „wyjście”. - Jestem tu w interesach. Nie mam czasu na te niezbyt braterskie pogawędki z tobą.

Łysy mężczyzna o potężnych bicepsach, ubrany w czarną koszulkę i spodnie i zasłaniający drzwi ciałem, I oświadczył:

- Wyjście tylko w nagłych wypadkach, Proszę iść schodami.
- To nie będzie konieczne, Marvin - powiedział łagodnie Lucien.
- Nie - odparł Marvin zdezorientowany. Odsunął się na bok i otworzył dla drzwi. - Przepraszam pana. Nie wiem, co mówiłem. Miłego wieczoru.

- Dziękujemy - rzucił Lucien. Wyszedł na schody przeciwpożarowe nad zaułkiem z tyłu budynku. Wieczne powietrze przejmowało chłodem. Na dworze było ciszej niż we wnętrzu klubu, gdzie królował rock.

Teraz Lucien usłyszał odległy grzmot; nad New Jersey zbierało się na burzę.

Bramkarz zamknął za nimi drzwi.

- No więc? - spytał z rozdrażnieniem Dimitri; wyjął i zapalił cygaro. - O co chodzi? Wydawało mi się, że podczas ostatniego spotkania powiedzieliśmy sobie już wszystko.

- Nie. Nie wszystko. Myślałem o tobie.

- Naprawdę? - Dimitri miał niepewną minę. - I co wymyśliłeś?

- Zastanawiałem się, o co chodziło z tym małym - Lucien zakręcił palcem w powietrzu - popisem ostatnim razem.

Dimitri spojrział w niebo.

- Powinienem był wiedzieć. Za dużo myślisz. Jak zawsze. Obchodziły cię tylko książki. I przeszłość. Nigdy przyszłość.

- A brałeś kiedykolwiek pod uwagę, że tylko dzięki studiowaniu błędów przeszłości - Lucien mówił łagodnym głosem - w ogóle mamy jakąś przyszłość?

Przewrócił oczami.

- Jasne. To, co teraz robisz, jest takie szlachetne. Urabiasz umysły maluczkich ludzi. I pewnie nie przyszło ci do głowy, że nasz rodzaj zaczyna mówić, że zmiękleś.

Lucien uniósł brew.

- Doprawdy. A ty myślisz, że zmiękleł?

- Nie powiedziałem, że ja. Ale dałem ci okazję, żebyś pokazał im, jak bardzo się mylą. - Rozmasował kark, jakby przypominając sobie twarde lądowanie, które zafundował mu Lucien. - Właściwie to powinieneś mi dziękować. Myślę, że spisałem się wzorowo jako przykład, że wciąż nad wszystkim panujesz.

- Interesujące. Tym bardziej że wcześniej też zostałem zaatakowany.

Dimitri spojrział na niego zaskoczony. Lucien nie potrafił stwierdzić, czy to zaskoczenie jest szczerze. Brat zawsze miał talent aktorski.

- Tu? Wmieście?

- Tak. I to na oczach człowieka. - Nie zamierzał wspominać bratu ani słowem o Meenie. Nic więcej ponad to, co powiedział. Nie był głupi, by zdradzać się przed przyrodnim bratem, że jest zainteresowany jakąś kobietą a już tym bardziej istotą ludzką. - Nie wiesz przypadkiem czegoś na ten temat?

- Na miłość boską, Lucien. - Strzepnął popiół z cygara za barierkę schodów. - Oczywiście że nie. Za kogo ty mnie uważasz?

Lucien sięgnął po symbol smoka wiszący na szyi brata.

- Za kogoś, kto próbował mnie już zabić w przeszłości, żeby przejąć tron. Widzę, że ciągle to nosisz. - Zadyndał wisiorkiem między palcami; już jego dłoń przy gardle Dimitriego była groźbą bez słów. - Podobnie jak twój syn i ten drugi chłopak, który siedział w twoim klubie. Chcesz mi powiedzieć, że to nic nie znaczy?

- Oczywiście że coś znaczy. - Splunął przez barierkę, na uliczkę znajdującą się dobrych piętnaście metrów pod nimi. - Jesteśmy spokrewnieni z Draculą, na miłość boską! Dlaczego nie miałbym użyć tego i rodzowego herbuj żeby wypromować się jako biznesmen? Nigdy nie rozumiałem, dlaczego nie chcesz robić tego samego.

Lucien wykrzywił się z obrzydzeniem.

- Może dlatego, że nie widzę nic godnego podziwu w pokrewieństwie z kimś, kto zabił setki niewinnych kobiet i dzieci, i kto w końcu został za to całkowicie słusznie uśmiercony.

Dimitri miał znudzoną minę.

- No cóż. Jeśli ujmujesz to w taki sposób...

- Więc mówisz, że ani ty, ani twój syn nie mieliście nic wspólnego z zamachem na mnie przed katedrą Świętego Jerzego? - Lucien mierzył go surowym spojrzeniem.

- Bracie. - Dimitri smętnie pokręcił głową. - Co ja takiego zrobiłem? Od kiedy tak strasznie mi nie ufasz?

- Zdaje się, że od dnia, gdy próbowałeś pochować mnie żywcem w Targoviste.

- Stara historia. Zawsze za długo chowałeś urazy. Ojciec też tak uważał.

- Jakoś nie mam wielkiego poważania dla tego, co mówił ojciec - powiedział Lucien. - Gdyby nie jego długi język, ten głupiec Stoker nigdy nie dowiedziałby się o naszym istnieniu, nie mielibyśmy na karku Gwardii Palatyńskiej i nie musielibyśmy zmieniać nazwiska.

Dimitri zmarszczył brwi; Lucien dobrze znał tę minę.

- Na gwardzistów też są sposoby - stwierdził. - Nie są tak wszechmocni, jak chcieliby myśleć.

Lucien wyciągnął ręce, chwycił brata za kłapy drogiej marynarki i uniósł go w powietrze. Nie tylko oderwał go od podłoża, ale też dźwignął za barierkę schodów przeciwpożarowych i trzymał piętnaście metrów nad jezdnią. Dimitri, spanikowany, chwycił go za rękawy; zerkał z przestrachem w dół i sapał. Cygaro poleciało na ziemię i, uderzając w cement, eksplodowało chmurką czerwonych iskier.

- Ojciec też się przechwalał, że gwardziści nigdy go nie złapią - przypomniał Lucien. - i popatrz, co mu zrobili. Chcesz, żeby i tobie to się przytrafiło?

- Nie mówiłem poważnie - wyjąkał Dimitri. Nie był w najwygodniejszej pozycji; wisiał przyduszony i unieruchomiony wysoko nad ziemią. - Przestań się wygłupiać, puść mnie.

Lucien mocniej zacisnął pięści.

- Być może naprawdę masz się czym martwić, Dimitri. Ale nie przejmuj się za bardzo Gwardią Palatyńską, bo dziś rano obudziłem się z dziwnym przeczuciem, że to wszystko, te martwe dziewczyny, ten zamach na mnie, jakimś cudem wskazuje na ciebie.

Dimitri zaczął charczeć. Wydawało się, że mówi: Nie, nie, to nie ja...

Ale Lucien tylko się uśmiechnął.

- O tak. Prawdę mówiąc, mam pewność. Nie mogę tego udowodnić... jeszcze. Ale udowodnię. A kiedy to już zrobię, spotka cię coś gorszego niż dekapitacja, zapewniam cię. Podobnie jak wszystkich, którzy ci pomagali. W przeszłości przyznałem oko na twoją głupotę, bo jesteś moim bratem, Dimitri, a rodzina to... cóż, rodzina. Ale teraz wszystko się zmieniło. Nie musisz wiedzieć jak. Wystarczy ci wiedzieć, że więcej nie będę przymykać oka, kiedy giną istoty ludzkie i w grę wchodzi życie kolejnych. Rozumiesz mnie?

Dimitri kiwnął głową. Chyba nie czuł się szczególnie komfortowo w tej sytuacji.

- Oczywiście - wykrztusił. - Panie.

- Grzeczny chłopczyk - odparł Lucien.

Po czym nagle otworzył dłonie i pozwolił bratu spaść.

Dimitri poleciał parę metrów w dół i zmienił się w coś czarnego i smukłego, skrzydlatego, zębatego i pazurzastego, co sfrunęło wdzięczną spiralą i wylądowało na ziemi obok upuszczonego cygara...

...i z powrotem przybrało postać Dimitriego.

- Niech cię szlag, Lucien. - Podniósł się i otrzepał; garnitur. Był wściekły. - Wiesz, że nie cierpię, kiedy to robisz!

Lucien uśmiechnął się do siebie. I kto tu zmiękł? Odwrócił się i zapukał w drzwi ewakuacyjne. Marvin, wciąż bardzo usłużny, otworzył je i go wpuścił. Choć metoda, jaką zszedł z piętra jego brat, była szybsza, Lucien wolał raczej schody.

Rozdział 41

1.00 czasu wschodniego sobota, 17 kwietnia
Park Avenue mieszkanie IIB Nowy Jork

Meena leżała w swojej ciemnej sypialni i wpatrywała się w sufit. Jack Bauer ułożył się obok, opierając łebek na jej barku.

Bardzo starała się o niczym nie myśleć, bo za każdym razem, kiedy sobie przypominała, co się dzieje - dlaczego, na przykład, słyszy przytłumione odgłosy rozmowy dwóch mężczyzn rozmawiających w salonie i *Szybkich i wściekłych*, których Jon puścił z DVD - chciało jej się płakać.

Odgłosy z salonu wydawały się całkiem niewinne - dwaj dorośli faceci oglądają film o samochodach i giwerach. Jakimś cudem udało im się nawet pozbierać chińszczyznę, która nie wyleciała z kartoników, i teraz ją wcinali, więc i Meena czuła pomieszane zapachy mu-szu i smażonych klusek. Ot, typowy piątkowy wieczór w jej mieszkaniu. Komu by się chciało wychodzić, kiedy na dworze zbiera się na burzę? Słyszała wycie wiatru w koronach drzew na dole i dalekie grzmoty, a od czasu do czasu ścianę rozświetlała błyskawica, której blask przebijał przez szczeliny żaluzji i firankę na drzwiach balkonowych.

Doskonale wiedziała, co się tak naprawdę dzieje. Alaric Wulf pilnował jej drzwi, żeby nie wymknęła się do Luciena. Z tego samego powodu roztrzaskał wszystkie jej telefony. Miała nadzieję, że nie pomyślał o mejlach; jeśli rozwali laptopa, ona na pewno znajdzie sposób, żeby pozwać organizację. Co z tego, że szefem jest papież.

Alaric nie musiał się bać, że będzie próbowała się wymknąć. Nieszczerólnie spieszyło jej się do konfrontacji z Lucieniem. Nawet zabrała ze sobą do łóżka broń - drewniany drut do dziergania - pozostałość po jej krótkim i skazanym na niepowodzenie flircie z rękodzięłem, który przeżyły kiedyś do spółki z Leishą.

Trzymała mocno drut w jednej ręce, a drugą bezwiednie głaskała głowę Jacka Bauera i obserwowała cienie tańczące na suficie, kiedy przez chmury prześwitywał księżyc.

Nie bardzo wiedziała, co zamierza zrobić z drutem.

Wbicie go w serce każdego mężczyzny, który wejdzie do jej pokoju - czy będzie to człowiek, czy wampir - wydawało jej się dobrym planem. W tej chwili nie żywiła zbyt ciepłych uczuć dla jakiegokolwiek przedstawiciela płci przeciwnej.

Wciąż jeszcze nie do końca przelknęła to, co dziś odkryła. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie w stanie to zrozumieć, a choćby nawet w pełni uwierzyć.

Była pewna tylko tego, że po wszystkim, co widziała i przeszła tego wieczoru, jest bardzo zmęczona. Chciała odpocząć.

Ale nawet kiedy przebrała się w swoją najmiłszą w dotyku, najbielszą koszulę nocną i opatuliła kołdrą po szyję, nie miała co marzyć o śnie. I to nie z powodu grzmotów czy przyciszonych głosów dobiegających z pokoju.

Mogła myśleć tylko o tym, że mężczyzna jej snów, facet, którego uważała za ideał i dla którego byłaby nawet skłonna przeprowadzić się do Rumunii, jest wampirem. I Wampirem! Jednym z tych głupich, bajkowych stworów, których nie cierpiała!

Choć nie do końca. Bo prawdziwe wampiry w niczym nie przypominały tych bajkowych.

Prawdziwe wampiry robiły rzeczy o wiele straszniejsze niż te z filmów - rzeczy, których obraz już na zawsze miał pozostać wypalony w jej mózgu. Rzeczy, których nie wymyśliłby żaden scenarzysta.

A jakby tego było mało, Lucien to najwyższy władca wszystkich wampirów. Syn Włada Palownika. Draculi.

Zamknąwszy się w sypialni na klucz, wygrzebała stary, zniszczony egzemplarz powieści - kupiła ją jeszcze w liceum, kiedy przechodziła gotycką fazę fascynacji śmiercią - i spróbowała przeczytać jeszcze raz. To był błąd.

Bo wtedy wszystko jej się przypomniało. Nie tylko wszystkie przerażające fakty związane ze stworami, z którymi walczył Alaric Wulf.

Mina! W książce była przecież dziewczyna o imieniu Mina! Zakochała się w Draculi i nawet wypła jego krew, a potem, jak większość kobiet w tego rodzaju powieściach, musiano mężczyznę ratować.

To prawda, że w powieści jej imię miało inną pisownię.

Ale mimo wszystko.

Jak to możliwe, że ciągle przytrafiały jej się takie rzeczy? Jakby nie było już wystarczająco fatalnie, że wiedziała, w jaki sposób umrą ludzie wokół niej i czuła się moralnie zobligowana, żeby ich ostrzegać.

Dlaczego na dodatek musiała zakochać się w synu najbardziej nienawidzonego bohatera gotyckiej literatury? I jakby tego było mało, dać mu się ugryźć?

Pomyślała, że kiedy już to wszystko przetrwa, a przetrwa, będzie musiała przetrwać, bo przecież nie ma innego wyjścia - napisze książkę.

Musi jakoś ostrzec świat. Bo jak inaczej ma ocalić inne kobiety przed tym, co sama teraz przechodzi?

Kobiety są z Wenus. Wampiry z piekła. Może da taki tytuł.

Leżała, dumając o swojej książce, i obserwowała cienie na suficie. Była tak pochłonięta rozmyślaniami o tym, co powie, gdy Oprah zapyta o różne rzeczy, które robił z nią Lucien, że nie zauważyła, kiedy Jack Bauer uniósł głowę i, nadstawiając uszu, wbił spojrzenie w drzwi balkonowe.

Była pewna, że Gwardia Palatyńska będzie próbowała powstrzymać ją przed występem u Oprah. Alaricowi Wulfowi bardzo zależało, żeby prawda o istnieniu wampirów nie przedostała się do opinii publicznej.

Ale dlaczego, skoro powodowały tyle bólu i cierpienia?

I przecież nie mówiła nawet o tych, które mordują młode dziewczyny.

To prawda, dała Lucienowi pełną zgodę na to, co zrobił. I nawet bardzo jej się podobało. Co nie zmienia faktu, że to nie w porządku.

Jack Bauer zadrzał. Warczał; jego lisia mordka był skierowana w stronę balkonu. Meena spojrzała na niego a potem na drzwi balkonowe. Wydało jej się, że coś czarnego przemknęło z trzepotem za firanką.

Pewnie gołąb. Albo reklamówka miotana silnym wiatrem.

- O co chodzi, mały? - szepnęła Meena. - Ptaszek? Upolujesz ptaszka?

Jack podniósł się i, stojąc ze zjeżoną sierścią na środku łóżka, zawarczał głośniej. Całą uwagę skupił na drzwiach balkonowych, ciągle drżał.

Meena poczuła, że ją też zaczyna mrowić skóra.

To nie ptak.

Kto tam był? A może raczej co?

- Okej, piesku - powiedziała cicho, spuszczać nogi z łóżka. W garści mocno ścisnęła drut do dziergania. - Zostań.

Wiedziała, że powinna iść po Alarica Wulfa. Po to tu był. Żeby jej bronić.

Nieprawda. Tkwiał tu, bo chciał wydobyć od niej adres jej kochanka.

Żeby go zabić.

A właściwie dać się zabić. Razem z jej bratem.

Nie mogła do tego dopuścić, tak jak nie mogła pozwolić, żeby Alaric zabił Luciena - choć był wampirem, choć zrobił jej to, co zrobił, choć ją okłamał. Pokój rozświetliła błyskawica. Po sekundzie czy dwóch rozległ

się grzmot, bliższy niż przed chwilą. Burza przekroczyła rzekę. Będzie tu za parę minut.

Nie mogła pobiec po Alarica. Gdyby to zrobiła, zginąłby z ręki Luciena, a zaraz po nim Jon, jeśli nie zwariowała i rzeczywiście Lucien stał za szklanymi drzwiami. Oczywiście to niemożliwe, bo mieszkała na dziesiątym piętrze i nie było tu schodów przeciwpożarowych, po których mógłby wejść. Nie chciała myśleć o nietoperzach ani o tym, jak w książce Brama Stokera hrabia Dracula wspinał się po ścianach jak jaszczurka.

Uniosła drut na wysokość ramienia i ostrożnie podeszła do drzwi, ale firanka zasłaniała jej widok na balkon. Jack Bauer wciąż warczał, zeskoczył z łóżka i pobiegł za nią, chociaż Meena syknęła:

- Jack! Niedobry pies! Zostań!

Jak zwykle nie zwrócił na nią uwagi.

Położywszy rękę na klamce, Meena zaczerpnęła głęboko powietrza i pociągnęła. Nagły podmuch wiatru pomógł jej otworzyć drzwi. Podekscytowany pies wybiegł na balkon.

Meena, z sercem w gardle, wykrztusiła:

- Jack! Nie! - I wypadła za nim, żeby go złapać, zanim stanie mu się krzywda.

Tyle że na balkonie nie było nikogo. Niczego.

Stała, drżąc, na coraz silniejszym wietrze. Niebo nad jej głową było jak wariacka mozaika ciemnych chmur, co kilka sekund podświetlanych błyskawicami. Księżyc już się schował.

Zagrzmiało tak głośno, że dźwięk aż zawibrował w jej płucach.

Może dlatego nie od razu usłyszała swoje imię. Głos był dziki i głęboki jak grzmot.

Nagle zauważyła Jacka - znów warczał wpatrzony w taras państwa Antonescu; nos wytknął przez żelazne pręty.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła to, co on.

Rozdział 42

1.15 czasu wschodniego sobota 17 kwietnia
Park Avenue 910 mieszkanie 11B Nowy Jork

Lucien.

Stał tam. Na tarasie swojego kuzyna Emila. Miał długi czarny płaszcz, który łopotał wokół niego na wietrze.

Co tam robił? Dlaczego tak stał, wpatrując się w nią?

Środek nocy. Po niebie przewalały się chmury wzdęte od deszczu.

Położyła dłoń na łomoczącym sercu.

- Meeno.

Jego głos był jak płynny jedwab. Niemal czuła, jak pieści jej skórę niczym gładka, biała bawełna jej koszuli nocnej.

Wołał ją. Wołał ją tak, jak błyskawica woła grzmot. Co miała zrobić? Co miała mu powiedzieć?

Podeszła do barierki i, opierając się o nią, powiedziała nad trzymetrową przepaścią, która ich rozdzielała:

- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać, Lucien. - Głos jej się łamał.

W drżących dłoniach wciąż ścisnęła drut. Miała nadzieję, że go nie zauważył.

- Dlaczego nie, Meeno? Gniewasz się na mnie, bo odwołałem dzisiejsze spotkanie? Nie dostałaś mojego listu?

Jego głos owijał się wokół jej serca, tak jak jego płaszcz owijał się wokół jego nóg przy każdym podmuchu wiatru.

- Dostałam. Bardzo dziękuję za torebkę. Ale to po prostu nie jest najlepszy moment.

- Może mógłbym do ciebie przyjść. Dzwoniłem, ale nie odbierasz.

- Wiem. - Z trudem przelknęła ślinę. Jeśli naprawdę był księciem ciemności, to w końcu się dowie. Więc równie dobrze mogła mu powiedzieć prawdę. - Nie mogłam odebrać. W moim salonie siedzi członek Gwardii Palatyńskiej. Rozbił wszystkie telefony.

Znieruchomiał. A właściwie wszystko znieruchomiało razem z nim. Niebo nad nimi zamarło.

Błyskawice, grzmoty, jej serce... Nawet wiatr ucichł. Czarne chmury odcięły blask księżyca, i mrok ukrył twarz Luciena.

- Meeno - usłyszała.

To słowo powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć. Jakby ten niespodziewany meteorologiczny popis nie wystarczył, żeby ją przekonać. W tym jednym słowie krył się cały smutek świata.

I groźba.

Jakaś mała jej część - romantyczka w jej duszy - czepiała się nadziei, że Lucien zaprzeczy.

Wampir? Skądże znowu. Co za bzdura. Wszyscy wiedzą, że wampiry nie istnieją.

Ale w jego głosie usłyszała prawdę.

- Próbowałem ci powiedzieć - zaczął. - W muzeum...

- Idź sobie - szeptała, żeby ci w salonie nie usłyszeli. Ale mimo to nie potrafiła ukryć przerażenia i bólu. - Idź sobie, Lucien. I nigdy nie wracaj.

- Meeno.

Księżyc wciąż krył się za sunącymi po niebie chmurami.

Teraz w głosie Luciena było mniej bólu, a więcej irytacji. Jakby miał prawo irytować się na nią.

- Nie mogę uwierzyć, zrobiłam z siebie idiotkę. - Ścisnęło ją w gardle, czuła, że zaraz się udławi. Przyciskała drut do piersi, jakby to był jakiś talizman, który ochroni przed złem. Ale nie potrzebowała drutu do dziergania! Potrzebowała krucyfiks. - Myślałam, że łączy nas jakaś niesamowita więź. Nie pytaj dlaczego. Może dlatego, że uratowałeś mi życie przed katedrą. Ale nie wiedziałam, że to ciebie atakowały te nietoperze. Nie wiedziałam, że jesteś... jesteś...

Nie mogła wypowiedzieć tego słowa.

- Meeno. Mogę to wyjaśnić.

Mówił poważnie? Wyjaśnić?

- Kim oni byli? - spytała gniewnie. - Znałeś ich, prawda?

W słowach Luciena zabrzmiał żal.

- W pewnym sensie...

- I przez cały czas - mówiła Meena urywanym głosem - czytałeś mi w myślach, tak? Stąd wiedziałeś, gdzie mieszkam. I ta torebka! - Pokręciła głową. - Ta głupia torebka! Powinnam była mu powiedzieć, żeby ją wyrzucił przez okno zamiast telefonu. „Pogromiłaś smoka”. Boże, nie mogę uwierzyć, że polecałam na coś takiego! Nie chcesz przypadkiem pisać dialogów do mydlanych oper, Lucien? Mogę ci załatwić pracę w mojej firmie.

- Meeno. - Teraz ton był ostry... tak ostry, jak jego zęby, pomyślała, których nawet nie poczuła, kiedy zatapiał je w jej skórze. - On tam ciągle jest? Ten gwardzista?

- Och, co się stało? - Wiedziała, że pewnie brzmi to bardziej histerycznie niż sarkastycznie. - Nie możesz dowiedzieć się, czytając mi w myślach?

Niezwykle silny podmuch wiatru, który pojawił się znikąd, uderzył nagle w jej balkon i zbiłby ją z nóg, gdyby nie upuściła drutu i nie chwyciła się jedną ręką barierki, drugą zasłaniając oczy.

Przez kilka sekund nic nie widziała - wzbiła się chmura kurzu i śmieci, kiedy to nagle wiosenne tornado porwało zwiędłe płatki geranium w skrzywkach.

Dostrzegła niewyraźny zarys dużego, podobnego do nietoperza stworzenia, które zawisło między jej balkonem a tarasem Antonescu, odcinając resztki światła, które padało z okien innych mieszkań. Zupełnie jak wtedy, kiedy nietoperze sfrunęły z wież i przypuściły atak na nią i Jacka Bauera.

Teraz wiedziała, że wcale nie chodziło im o nią. Atakowały Luciena.

I nie zrobiły mu żadnej krzywdy dlatego, że nie był człowiekiem. Ich małe pyszczki i pazury nie mogły go zabić, bo nic nie mogło. Nic, z wyjątkiem odrabiania mu głowy mieczem - przynajmniej według Alarica Wulfa - albo wbicia mu w serce zaostrego kawałka drewna.

A ona, jak głupia, właśnie upuściła jedyny zaostriżony kawałek drewna, jaki miała.

Kiedy wiatr ucichł i mogła otworzyć oczy, zobaczyła, że Lucien stoi przed nią, na jej balkonie, zaledwie krok od niej.

Czuła, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi. Uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz - w tę nieprawdopodobnie wrażliwą piękną twarz - i zobaczyła wyraz niemal oburzenia.

Dopiero teraz rozpoznała uczucie, które kazało tak łomotać sercu. Strach.

I to nie tylko o życie Jona i gwardzisty w jej salonie. Także o swoje życie.

- Szczerze mówiąc - powiedział spokojnie Lucien - nigdy nie potrafiłem czytać w twoich myślach. Zawsze były odrobinę pogmatwane.

Meena, której ręce drgały konwulsyjnie, mocniej chwyciła żelazną barierkę. Co ona zrobiła?

Co się dzieje? Co on tu robi? Zabije ją?

- Myślałam, że wampiry nie mogą wejść do czyjegoś domu bez zaproszenia - wyjąkała, choć zaczęły jej dzwonić zęby. Czy znów jej się wydawało, czy głęboko w jego żrenicach błyszczały czerwone ogniki?

- Właśnie. - Znow zagrzmiało, tak głośno, że barierka zadrżała pod jej dłońmi. Burza nad ich głowami osiągała apogeum. - Mój ojciec chciał, żeby wszyscy w to wierzyli i nie zamykali drzwi na klucz. Więc tak powiedział temu staremu głupcowi Stokerowi.

- Ach tak. - Nie odrywała spojrzenia od jego oczu, choć ukradkiem macała bosą stopą po posadzce balkonu, szukając upuszczonego drutu. Ale nawet jeśli go znajdzie, to czy będzie miała odwagę, i siłę, wbić go w jego serce czy może miejsce, w którym kiedyś znajdowało się serce?

Po prostu powinna skoczyć. Śmierć musiała być lepsza niż coś takiego.

- I nie wiem, dlaczego to było dla niego istotne - ciągnął Lucien. - Jeśli chcemy, potrafimy zmienić się w mgłę i przeniknąć przez dziurkę od klucza.

- Umiesz zmienić się w mgłę?

Jego czerwone spojrzenie nie schodziło z jej twarzy.

- Tak. Umiem zmienić się w mgłę. Albo w wilka. A ty mnie nie zabijesz, Meeno. A już na pewno nie drutem do dziergania. I nie skoczysz z balkonu ani nawet nie krzykniesz na tego gwardzistę, żeby tu przyszedł, choć tak bardzo się mnie brzydzisz. - Zmarszczył brwi. - Dlaczego, Meeno?

Więc jednak mógł czytać w jej myślach. Mógł.

Prawie.

Nagle świat przechylił się przed jej oczami, jakby zwariował.

Lucien objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Jego twarde mięśnie, które czuła przez materiał koszuli nocnej, wyprostowały rozbujany świat.

Ale nie do końca.

Jego głos był jak balsam.

- Rozumiem, dlaczego się gniewasz...

- Nie. - Wygięła szyję, żeby na niego spojrzeć. Wstydziła się łez, które płynęły z jej oczu, ale w żaden sposób nie potrafiła ich powstrzymać. - Nie wydaje mi się, żebyś mógł to rozumieć. Kilka godzin temu myślałam, że jesteś największym szczęściem, jakie mogło mnie spotkać w życiu. A teraz dowiedziałam się, że w ogóle cię nie znam. - Ukłuło ją sumienie. - No dobrze, ty też mnie wcale nie znasz, ale ty nie jesteś nawet człowiekiem...

Niebo rozbłysło pojedynczym olśniewającym błyskiem i wydało z siebie potężny grzmot.

I nagle zaczęło padać. Grube krople uderzyły w jej głowę i ramiona.

- Meeno - powiedział Lucien głosem, który, jak grzmot, zdawał się gniewny i desperacki. - Byłem człowiekiem... kiedyś. - Odwrócił się tak, by osłaniać Meenę od deszczu. Świat wokół niej wciąż huśtał się mdląco. Jack Bauer, widząc ich tak blisko, dostał białej gorączki, ale nie miał odwagi się zbliżyć. - Myślisz, że nie tęsknię za tym, by znów móc czuć to wszystko?

Jego głos przepełniało cierpienie. Wiedział, czym jest, i nienawidził tego. Ale nauczył się to akceptować, tak samo jak Meena nauczyła się akceptować swoje zdolności.

- Myślisz, że podoba mi się, co zrobił ze mnie ojciec? - mówił z rozpaczą. - Nie. Ale czy miałem wybór? Nie wiem, jaki piekielny pakt zawarł, i z kim... Z demonami, czarownikami czy z samym diabłem. Wiem tylko, że któreś nocy umarłem i obudziłem się taki. To samo zrobił mojemu bratu Dirnitriemu. Powiedział nam, żebyśmy nie martwili się, bo teraz już nigdy nie umrzemy. W przeciwieństwie do mojej matki. To jej śmierć kazała mu szukać tego groteskowego półzycia.

Meena, w schronie jego ramion, patrzyła na niego z przerażeniem. Deszcz za nim był jak ciężka kurtyna, przetoczył się kolejny grzmot. Nie chciała tego słuchać. Nie chciała słyszeć ani jednego słowa.

- Oczywiście - ciągnął Lucien z gorzkim uśmiechem - nie mogło to przynieść nic dobrego. Pojawiły się popędy. Staralem się im nie poddawać. Ale niełatwo z nimi walczyć. A ojciec nas zachęcał, przynosił nam... podarki. Dimitri, który zawsze miał słabą wolę, bez oporów pozwolił, żeby opanowała go ta gorączka, żeby rządziły nim prymitywne instynkty. Mordował niewinnych i stał się bardziej potworem niż człowiekiem. Ale ja... nie wiem. Może dzięki tej łasce, że urodziła mnie moja matka, o której, jak wiesz, mówiono, że była na półaniołem...

- Lucien.

Litowała się nad nim. Szczerze. Uniosła rękę. Nie wiedziała, po co. Może żeby pogłaskać go po policzku. Wiedziała, czym jest. I nienawidziła tego. Ale on cierpiał.

Drgnął, zanim zdążyła go dotknąć, i odwrócił oczy, by spojrzeć na deszcz.

- Nie twierdzą, że jestem lepszy od mojego brata ani że moja matka była lepsza niż jego matka. I nie twierdzą, że nie mogłem zrobić więcej, by powstrzymać jego i ojca. Mogłem. Powiniennem być. I w końcu powstrzymałem.

Spojrzał na nią. Jego oczy płonęły jak rozżarzone węgle. Pospieszenie opuściła głowę, jakby ją sparzyły.

- Kiedy ojciec został wreszcie unicestwiony i ja stałem się księciem, zapowiedziałem, że koniec z mordowaniem.

Nie chciała tego słuchać. Wciąż miała świeżo w pamięci zdjęcia, które pokazał jej Alaric.

Ale nie mogła tak po prostu stać, kiedy on kajał się przed nią, zawstydzony i złamany. Tym bardziej że burza smagała jego plecy huraganową ulewą.

Tak jak powiedział - teraz może i był wampirem.

Ale kiedyś był człowiekiem.

- Chodź do środka - szepnęła. - Przemokłeś. Popatrzył na nią, jakby zdumiony, że wciąż trzyma ją w ramionach. Nagle jego spojrzenie skupiło się, stało przenikliwe jak laser, a ona wcale nie miała pewności, czy jej się to podoba.

Widział w niej Meenę, kobietę, którą kochał, czy swój następny posiłek?

Wiedziała, że to może być największy błąd, jaki popełniła w życiu.

Ale otworzyła drzwi do sypialni.

Wszedł za nią w ciemność.

- Uważasz mnie za potwora.

Nie mogła zaprzeczyć. Więc zaczęła udawać gościnność.

- Mam tu gdzieś ręcznik. - Podniosła Jacka Bauera, który, wciąż warcząc, wszedł za nimi do pokoju. Wsadziła go do szafy i przy okazji wyjęła ręcznik. Jack Bauer rozejrzał się, zdezorientowany, po jej butach i szczerknął, kiedy zamknęła drzwi. Wiedziała, że nic mu nie będzie. Był tam bezpieczniejszy niż ona tu.

A co ważniejsze, nikt go nie usłyszy - tym bardziej przy burzy szalejącej na dworze i przy filmie, którego odgłosy wciąż dochodziły z salonu.

- Zrobiłaś mi coś - oskarżył ją zdławionym głosem, kiedy podała mu ręcznik i pomogła zdjąć mokry płaszcz.

- Co? Ja ci coś zrobiłam? Nic ci nie zrobiłam - szepnęła, nie wierząc własnym uszom. Usiadła na łóżku. - Popelniłam wielki błąd i zakochałam się w tobie. I uwierz mi, że żałuję tego tak samo, jak innych największych życiowych błędów, takich jak trwała, którą zrobiłam sobie w ósmej klasie, bo nie posłuchałam Leishy, i pójście na szkolny bal z Peterem Delmonico. Okej? Więc po prostu nazwijmy to wszystko jedną naprawdę fatalną decyzją i skończmy z tym. Kiedy przestanie padać, musisz iść. Uwierz mi, wyświadczam ci wielką przysługę. Bo mój jeden

krzyk i ten facet z Gwardii Palatyńskiej wpadnie tu w mgnieniu oka i przebije cię kolkiem.

Zobaczyła, że jego czerwone spojrzenie omija ją i pada na drzwi do salonu.

Pokręciła głową i obiema garściami chwyciła go za przód koszuli, pociągając na łóżko, obok siebie.

- Wiesz, że nie mogę odejść - powiedział Lucien, wciąż wpatrzony w drzwi.

- Owszem, możesz. - Wciąż nie puszczała jego koszuli. - Dlaczego miałbyś nie móc?

Spojrzał na nią; na szczęście czerwony blask przygasł.

- Wiesz, dlaczego, Meeno.

O czym on mówi? Przecież nie mogło mu chodzić I o to... niemożliwe, żeby on...

- Nie mogę odejść, bo cię kocham, Meeno - wyznał aksamitnym, ciepłym głosem. Ujął jej dłonie. - Pokonałaś smoka.

On ją kochał? Lucien Antonescu ją kochał? Jeszcze kilka godzin temu ta rewelacja uczyniłaby ją najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

Ale teraz...

Teraz wiedziała, że nie był tylko Lucieniem Antonepti, profesorem historii Europy Wschodniej. Był księciem ciemności.

- Ale ty coś przede mną ukrywasz, Meeno. - Wciąż trzymał ją za rękę. - I to nie tylko gwardzistę w salonie. Wiedziałem to od pierwszej chwili, kiedy cię poznałem. Coś, co ukrywasz przed wszystkimi...

- Coś ukrywam? - Oczywiście doskonale wiedziała, O czym on mówi. Ale kłamała automatycznie. Bo zawsze - kłamała.

- Tak, ty. - Chwycił ją za ramiona. - Wiem. Nie powinienem był myśleć, że zdołam cię zwieść. Akurat ciebie. Ale nie mogłem być z tobą tak szczery, jakbym chciał, bo bym cię przeraził. Ale ty... ty też nie byłaś ze mną szczerą. W tobie coś jest. Od kiedy... od kiedy byliśmy razem... ja...

- Co? - spytała. Serce jej łomotało. Podjęła ogromne ryzyko, wpuszczając go do pokoju i do serca. W każdej chwili mógł tu wpaść Alaric, a za nim Jon. I gdyby wydarzyło się najgorsze, to byłaby jej wina.

Wpuszczając go do pokoju, właściwie zrobiła to, co on robił przez tyle lat ze swoim ojcem i bratem i do czego jej się przyznał - popełniła morderstwo.

Co ona wyprawiała?

- Od kiedy rozstałem się z tobą dziś rano, mam przedziwne wrażenie, że wiem, w jaki sposób umrą niemal wszyscy ludzie, z którymi się stykam. I cokolwiek o mnie myślisz, nie chodzi o to, że zginą z mojej ręki.

Gapiała się na niego. Rzadko jej się zdarzało, że nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jestem pewien, że ten człowiek w salonie opowiedział ci o mnie dużo kolorowych historyjek. Niektóre nawet mogą być prawdziwe. Jestem tym, kim jestem, od bardzo długiego czasu - ciągnął Lucien. Starannie dobierał słowa. - Ale nigdy, nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego. Dopiero od kiedy byłem z tobą. Zechcesz mi powiedzieć, co się właściwie dzieje? Myślę, że to ma jakiś związek z tym twoim sekretem. Z tym czymś, co ukrywasz. I co nie pozwala mi swobodnie czytać w twoich myślach. I przez co tak silnie identyfikujesz się z Joanną d'Arc, która słyszała głosy. Bo teraz i ja tak się czuję. Jakbym słyszał głosy.

Zadrzała. W sąsiednim pokoju usłyszała stereofoniczną krakę samochodową. *Szybcy i wściekli* zbliżali się do ogłuszającej wybuchowej kulminacji.

- To ja - powiedziała, wzdychając. - To pewnie minie, kiedy znów się pożywisz.

Ścisnął mocniej jej ramiona. Niezbyt delikatnie.

- O czym ty mówisz? - wychrypiął.

- Wypiłeś moją krew - przypomniała mu. - Niedużo, więc pewnie niedługo ci przejdzie. To cię powinno nauczyć, żebyś bardziej uważał. Jak to mówią, jesteś tym, co jesz.

Rozdział 43

2.00 czasu wschodniego sobota 17 kwietnia
Park Avenue 910 mieszkanie 11B Nowy Jork

Lucien patrzył na nią z góry. Jej twarz była jak blady księżyc w ciemności.

Jak wyglądała w jej oczach jego twarz? Jak maska szoku.

- Potrafisz przewidzieć - mruknął, upewniając się, że dobrze usłyszał - w jaki sposób ktoś umrze?

- Nie w każdym przypadku. Oczywiście nie w twoim. Ty już umarłeś.

Trzymał ją za ramiona, zaciskając dłonie na jej jedwabistej skórze. I tylko patrzył na nią bez słowa.

- Dlatego musisz odejść - mówiła szorstkim tonem. - Wiem, że zabijesz tego gwardzistę z Watykanu. I Jona.

Przy imieniu „Jon” jej głos się załamał.

Miał wrażenie, że grzmot za oknem pochodził z jego własnego wnętrza. Pokręcił głową, jakby próbował strząsnąć z siebie jej słowa tak jak kropelki wody, które wciąż wisiały na końcach jego włosów.

- Nie, Meeno, nie zrobiłbym tego. Nie zabiłem człowieka od wieków i musisz uwierzyć, że nigdy nie zabiłbym twojego brata ani nikogo, kogo kochasz.

Mimo ciemności dostrzegł łzy w kącikach jej oczu, błyszczące jak diamenty.

- Ale to zrobisz - odparła wprost.

- Meeno. - Jego serce, które, jak sądził, umarło wraz z jego duszą, nareszcie wracało do życia.

- To, co widzisz... twoje wizje... nie muszą się sprawdzić. Prawda? Inaczej nie zadawałabyś sobie trudu, żeby ostrzegać ludzi.

- Nie. - Uniosła rękę i otarła nadgarstkiem załzawione oczy. - Ale ty jesteś wampirem, Lucien. I to nie pierwszym z brzegu wampirem. Jesteś władcą wszystkich wampirów, księciem ciemności. Naprawdę mam tak po prostu zaufać ci, że nie zrobisz krzywdy temu człowiekowi? Ani mojemu bratu? Alaric Wulf ma naprawdę wielki miecz i...

Puścił jej ramiona. Ale tylko po to, żeby wziąć ją w objęcia i przytulić policzek do jej włosów.

- Ćśśś... - szepnęła. - To, co widziałaś, to tylko jedno z możliwych przyszłości.

- Dopóki coś się nie zmieni. - Odepchnęła go. - A to musi się zmienić, żebyś odszedł stąd na zawsze. I chyba powinieneś powiedzieć Mary Lou i Emilowi, żeby stąd zniknęli. Bo o nich Gwardia Palatyńska też wie. A ja naprawdę staram się nie być uprzedzona wobec tego, czym jesteście. Bo Bóg mi świadkiem, że mam własne problemy z ludźmi, którzy myślą, że jestem okropną osobą tylko dlatego, że mam tę obsesję na punkcie śmierci. Ale ciebie ludzie nazywają księciem ciemności. To sugeruje, że jesteś zły i niezbyt godny zau...

- Nie jestem zły - warknął. Po chwili zastanowienia dodał: - Już nie.

- Zdaje się, że określają cię też mianem „namaszczeńca wszystkiego, co nieboskie”. Może się myłę, ale moim zdaniem to nie sugeruje niczego dobrego.

- O gwardzistach trudno mówić, że są bezstronni, przynajmniej jeśli chodzi o moją osobę. Ale od kiedy objąłem swój tytuł, ciężko pracowałem, żeby wprowadzić mój lud w nową, oświeconą epokę i chronić interesy zarówno nasze, jak i rodzaju ludzkiego.

- Widziałam zdjęcie jednego z gwardzistów z odgryzioną połową twarzy. Alaric powiedział, że zrobiły to wampiry.

Lucien skinął głową. Alaric. Alaric Wulf.

- Tak. Znam tego człowieka. I jego partnera. - Starał się nie pokazać, jak bardzo jest wstrząśnięty tym wszystkim, co się tu dzieje. - Rzeczywiście, zaatakował ich klan Smoka.

- Czy to ci... Czy Smoki - wypowiedziała to słowo, jakby miało ohydny smak - zaatakowały nas przed katedrą tamtej nocy?

- Tak. Ale nie nas. Chodziło im o mnie. Ty nigdy nie byłeś w niebezpieczeństwie.

Zaśmiała się gorzko.

- No dobrze, nie groziło ci niebezpieczeństwo, kiedy ja tam byłem - poprawił się Lucien.

- I to Smoki mordują te dziewczyny?

Spojrzał na nią. Jak to możliwe, że tak silna osobowość kryła się w tak niemożliwie drobnym, delikatnym ciele?

- Tak myślę.

- Więc... ta nowa, oświecona epoka jakoś się nie sprawdziła, co?

Nigdy nie czuł takiej rozpacz. Dlaczego to wszystko działo się właśnie teraz, kiedy nareszcie miał szansę na odrobinę szczęścia?

Pakt zawarty przez jego ojca zapewnił nieśmiertelność jemu i jego rodzinie. Ale za jaką cenę?

- To skomplikowane - powiedział. - Oni chcą zerować, ale ja nie pozwalam im zabijać. Wiedzą, że jeśli nie usłuchają, będą reperkusje. Ale teraz jest ich o wiele więcej niż kiedyś. Nie panuję nad wszystkimi. Próbowałem podzielić się władzą, ale wydaje mi się, że to mój brat stoi za tym buntem przeciwko mnie. Robił to już wcześniej. Zawsze chciał tronu.

Sięgnęła po ręcznik i zaczęła wycierać Lucienowi włosy na karku.

- To jak ze scenarzystami - mruknęła, delikatnie całując miejsca, gdzie przed sekundą przyciskała ręcznik. - Każdy chce zostać głównym scenarzystą.

Spojrzał na nią zaskoczony. Dotyk jej ciepłych ust na skórze przeszył go elektryzującym dreszczem. Nie wiedział, jak zareagować. Nie wiedział, czy ten pocałunek nie znaczy nic...

Czy znaczy wszystko.

- Słucham? - spytał osłupiały.

Patrzyła na niego wielkimi oczami. Wyglądała na tak samo zaskoczoną tym, co zrobiła, jak on. Rzuciła ręcznik.

- Co nie zmienia faktu, że zabijesz mojego brata.

- Nie zabiję - powtórzył z naciskiem; wziął ją za rej i przyciągnął do siebie. Wtulił twarz w ciepłe zagłębienie, w miejscu, gdzie szyja łączyła się z obojczykiem. Ale pilnował się, żeby jej tam nie pocałować. Widział egzemplarz Draculi leżący w kącie pokoju, jakby ktoś rzucił go tam ze złością. - Meeno, powiedziałem ci, kocham cię. Nigdy bym...

- Wiem, że byś nie chciał - szepnęła w jego wilgotne włosy. Jej głos drżał. - Ale wiem też, że mój brat nie zna cię tak jak ja. I będzie próbował cię zabić. Chce się do nich przyłączyć.

- Do kogo? - Czuł, jakby miał watę w mózgu. Czy to był efekt jej bliskości, czy resztki jej krwi, wciąż krążyły w jego żyłach?

- Do Gwardii Palatyńskiej.

Ledwie ją słyszał. Nagle jego koszula była rozpięta, a Meena całowała jego barki, jakby nie mogła się powstrzymać; jej wargi były miękkie jak płatki kwiatu. Mógł myśleć tylko o gładkości jej skóry - była jak świeżo nalane Montrachet - i o tym, że słyszy, jak bije puls w jej żyłach w jego żyłach; echo bicia serca, które kiedyś miał.

Więc powiedział tylko:

- Chyba nie musimy się tego obawiać. Tak jak nie musimy obawiać się, że go zabiję.

Mówiąc to, ściągnął jej śnieżnobiałą koszulę przez głowę; nie bardzo wiedział, czy ona w ogóle ma świadomość, co się dzieje.

Kłęczała przed nim, całkiem naga, badawczo patrząc w jego twarz wielkimi ciemnymi oczami. Choć w pokoju nie paliło się światło, widział, jak koniuszek jej lewej piersi drga z każdym uderzeniem jej serca. Fala pożądania uderzyła w niego z niezwykłą siłą. Nic takiego nie czuł przez wieki swojej egzystencji. A chodził po tym świecie już pół milenium.

- Meeno - wydusił. Jego głos był jak otwarta rana. Pożądał tej kobiety aż do bólu. Wyciągnął dłoń, by chwycić tę drżącą pierś.

Kiedy poczuł pod palcami satynową skórę, przestał się kontrolować, przyciągnął Meenę do siebie zdumiony lekkością jej gorącego ciała. Całował ją zachłannie, przytłoczony pragnieniem, by ją zjeść... pożreć... połknąć.

Z cichym okrzykiem - nie wiedział, czy protestu, czy pożądania - położyła dłonie na jego piersi. Chciała go odepchnąć?

Z ociąganiem oderwał od niej usta i zapytał z przymkniętymi powiekami:

- O co chodzi?

- Żadnego gryzienia - szepnęła. - I tym razem mówię poważnie.

Rozdział 44

10.15 czasu wschodniego sobota 17 kwietnia
Park Avenue 910 mieszkanie IIB Nowy Jork

Jon spojrzął na naleśnik skwierczący przed nim na patelni. Ideal. Naprawdę. Był dziś rano jak w transie. Tuzin naleśników, jeden bardziej złoty od drugiego. To będzie śniadanie, którego nikt nie zapomni.

Kiedy uznał, że naleśnik dosmażył się, zrzucił go na stosik na talerzu koło kuchenki, nucąc pod nosem.

Pomyślał, że wesołość jest chyba na miejscu, kiedy jego siostra przeżywa trudne chwile.

Ale czy mogło być coś fajniejszego niż to, że w ich mieszkaniu zjawił się łowca wampirów z Watykanu?

Wyjrzał z kuchni, żeby skontrolować stół w jadalni. Jest niezłe. Stół zastawiony. Sok pomarańczowy nalany do szklanek. Serwetki poskładane. Jadalnia wyglądała jak kawiarnia Sarabeths w porze drugiego śniadania. Tyle że nie było wózków, japiszonów i wrzeszczących dzieciaków.

Żałował, że nie może zadzwonić do Weinberga i zaprosić go na swoje doskonałe naleśniki. I opowiedzieć mu, co się dzieje. Wampiry na Manhattanie? W życiu by nie uwierzył.

Sekretna organizacja łowców wampirów?

Weinberg, tak jak on, chciałby się do nich zaciągnąć. Bez dwóch zdań. Skopać tyłki nieumarłym!

Z drugiej strony, Weinberg bardzo niechętnie odniósł się do pomysłu wstąpienia do policji.

Może jednak nie chciałby się zaciągnąć. Może wolałby zostać w domu i gapić się w CNN i narzekać na tego seryjnego mordercę, który...

Jon znieruchomiał z dzbankiem naleśnikowego ciasta w dłoni. Seryjny morderca. Seryjny morderca, o którym ostatnio w kółko gadał Weinberg.

Oczywiście. To był ten sam wampir, na którego polował Alaric Wulf.

No dobra, może nie ten sam, który ugryzł jego siostrę, o ile Jon dobrze rozumiał, co jest grane - a wciąż nie miał pewności, czy dobrze rozumiał.

W każdym razie jakiś wampir.

Och, teraz już na bank musiał powiedzieć Weinbergowi.

Odstawił ciasto, złapał pierwszą z brzegu komórkę i zaczął wybierać numer.

- To jest mój telefon? - Meena weszła do kuchni. Była całkowicie ubrana, w dżinsach, koszulce, czerwonej apasce na szyi i czerwonych pantoflach. Krótkie włosy kręciły się lekko na szyi po porannym prysznicu.

Jon spojrzał zaskoczony na telefon w swojej dłoni.

- No - powiedział, wciskając „Rozłącz”. - No tak. Sorki. Hm... poskładałem go wczoraj, kiedy poszłaś spać. Działa całkiem dobrze. Rany okazały się powierzchowne.

- Daj mi go. - Wyciągnęła rękę.

- Nie ma mowy. - Jon zerknął do salonu. Ale Wulfa tam nie było. Ciągłe siedział pod prysznicem w drugiej łazience. Zostawił Jona na straży ze stanowczym poleceniem, że ma nie dopuszczać Meeny w pobliże telefonów, komputerów i drzwi wyjściowych. - Cały czas jesteś... no wiesz, zainfekowana i tak dalej.

- Jon. - Skarciła go surowym spojrzeniem. Wyglądała lepiej w jasnym świetle słońca niż wczoraj wieczorem. Po pierwsze, zrobiła makijaż. I już nie płakała. Prawdę mówiąc, wyglądała dziarsko. To było jedyne słowo, jakie przyszło Jonowi do głowy na określenie jej nowego wizerunku. Chociaż wiedział, że nienawidziła tego świata. Jack Bauer jak zwykle dreptał obok niej z wywieszonym językiem.

- Nie bądź idiotą - powiedziała. - Nie zadzwonię do niego.

Nie musiała mówić, o kogo jej chodzi. Oboje wiedzieli. Wampir.

- Chciałam tylko sprawdzić wiadomości - dodała.

Zawahał się. Naprawdę wyglądała dużo lepiej. Może już jej przeszedł ten facet.

Gdyby Jon dowiedział się, że jego dziewczyna jest wampirzycą, też by mu szybko przeszło.

No chyba że byłaby to Taylor MacKenzie.

- Hm - mruknął. Spojrzał na blackberry. Wibrowała przez cały ranek jak szalona. Ktoś próbował się z nią skontaktować i był bardzo uparty.

To mógł być wampir. Jeśli tak, to on, Jon, mógł dać Meenie telefon, a potem podsłuchać rozmowę, dowiedzieć się, gdzie jest ten gość, powiedzieć Alaricowi Wulfowi i pomóc mu go zabić.

Wtedy już na pewno by go zatrudnili ci palantyni czy jak się tam nazywali. Miałby nową pracę! I to odjechaną.

Z drugiej strony, Meena była pewna, że jej nowy chłopak go zabije.

To trochę gasiło jego zapał.

Telefon zawibrował w jego dłoni, kiedy tak stał i zastanawiał się, czy jej go dać, czy nie.

- To może być Leisha - powiedziała Meena. - Może rodzi.
- Ma termin za dwa miesiące - zauważył.
- Tak twierdzi lekarz. Nie ja.
- A twoja wiedza medyczna jest powszechnie znana - rzucił ironicznie.
- Prawdę mówiąc, jest.

Spojrzał na telefon.

- Nieznany numer.
- Pewnie dzwoni z pracy - stwierdziła Meena.
- W sobotę?
- Leisha jest fryzjerką - przypomniała mu.

Przewrócił oczami i podał jej telefon. Ona już się chyba nie martwiła, że księżę ciemności go zabije. Więc dlaczego on miałby się martwić?

Meena wcisnęła „Odbierz”.

- Halo?

- Co tam się dzieje? - huknął głęboki bas z jadalni. Jon posłał Meenie spłoszone spojrzenie.

No i narobiła kłopotów. To z pewnością zmniejszy jego szanse na przyjęcie do Gwardii Palatyńskiej.

- Eee, nic - powiedział, wychodząc z kuchni z talerzem naleśników. - Dzwoni jej przyjaciółka. Rodzi dziecko. W porządku, sprawdziłem. Naleśnika?

Alaric Wulf wyglądał na wkurzonego. Włosy miał mokre po prysznicu i zostawił gdzieś koszulę, więc teraz popisywał się naprawdę imponującym zestawem mięśni naramiennych i pectorałów, nie wspominając już o twardych jak skała mięśniach brzucha, które nadawały całkiem nowe znaczenie słowu „sześciopak”. Jon pomyślał, że gdyby udało mu się wypracować taką rzeźbę sylwetki, Taylor MacKenzie już wiele miesięcy temu jadłaby mu z ręki.

Ale z drugiej strony, facet miał parę bardzo paskudnych blizn, które kazały Jonowi jeszcze raz przemyśleć przyłączenie się do antywampirzej akcji. Czy to rana po ugryzieniu?

Wyglądała... „Obrzydliwie” było jedynym słowem, jakie przyszło mu do głowy.

Meena, wykazała się odwagą, za którą Jon miał ją podziwiać do końca życia, uniosła palec w międzynarodowym geście oznaczającym „jedną chwileczkę”, jednocześnie kiwała głową i słuchała tego kogoś, kto do niej dzwonił, Alaric Wulf był siny z wściekłości; żyły nabrzmiały mu na szyi i czole. Stał na środku pokoju, spopielał Meenę spojrzeniem, i kompletnie ignorował Jona. Nie zauważył nawet jak ładnie jest nakryty

stół ani tego, że Jon usmażył bekon. Prawdziwy bekon! Nawet nie z indyka. Musiał otworzyć okno, żeby wygonić trochę smrodu przypalonego tłuszczu.

- Rozłącz... się... w tej... chwili - powiedział Wulf.

Jon zerknął na Meenę, która zdawała się w ogóle nie zauważać Alarica. Ze zmarszczonymi brwiami mówiła do telefonu:

- Chwileczkę, zwolnij... Gdzie dokładnie jesteś?

Alaric przeszedł przez pokój trzema długimi krokami.

Jon był przekonany, że gołymi rękami urwie głowę siostrze.!

Ale on sięgnął tylko po telefon.

Meena śmignęła za fotel - poruszała się tak samo szybko jak Wulf - i rzuciła gniewnie:

- Chwileczkę, okej? Rozmawiam przez telefon. To ważne.

Alaric Wulf zerknął wreszcie na Jona, jakby żądał wyjaśnienia.

- Mówiłem - bąknął Jon. - Tak. Jej przyjaciółka jest w ciąży i ona myśli... to długa historia. Przysięgam, że niema nic wspólnego z wampirami. Słuchaj, zrobiłem śniadanie. Może zjemy, zanim wystygnie? Zrobić ci kawy? Meena ma taki fajny ekspres, że to naprawdę proste.

Alaric zawarczał coś. Jon nie zrozumiał. Nie wyglądało, że się uspokoił. Stał na miejscu z rękami założonymi na swojej szerokiej, pociętej szramami kłacie, czekając, aż Meena skończy rozmowę.

- Rozumiem - mówiła Meena do słuchawki. - Nie, dobrze zrobiłaś. Zostań, gdzie jesteś. Zaraz po ciebie przyjedziemy.

Na twarzy Alarica Wulfa odmalował się wyraz totalnego niedowierzania. Meena spojrzała na niego i zmrużyła oczy.

- Tak, dokładnie wiem, gdzie jesteś. Znajdziemy cię. Obiecuję. Daj nam pół godziny. Do zobaczenia.

Rozłączyła się.

- Musimy iść - powiedziała. - Musimy...

Zanim zdążyła dokończyć, Wulf eksplodował.

- Byłaś z nim tej nocy - ryknął, celując w Meenę oskarżycielsko palcem. - On tu był!

Meena wybałuszyła oczy. Jon gapił się osłupiały na łowcę wampirów.

- O czym ty mówisz? - zapytał. - Byliśmy tu całą noc. A ona nie...

- Mówię o tym.

Wulf pociągnął czerwoną apaszkę, którą Meena zawiązała na szyi, bo pasowała jej do butów.

- Przestań! - krzyknęła ze złością. - Często dusisz ludzi? Twój szef naprawdę nie ma do ciebie pretensji za takie traktowanie kobiet?

Alaric, jeszcze bardziej rozszluszczony niż ona, objął ją w pasie swoim niedźwiedzim łapskiem, żeby znów nie uciekła. Wolną ręką rozwiązał apaszkę.

Kiedy sfrunęła na ziemię, Jon zagapił się na znajomy, okrągły ślad na smukłej szyi siostry.

Byłby skłonny udzielić jej dobrodziejstwa wątpliwości - w końcu to była jego siostra Meena, która nienawidziła wampirów - gdyby jej policzki nie miały tego samego koloru, co apaszka u jej stóp.

- Jasna cholera, Meena. Co ci odbiło?

- Nie rozumiecie - powiedziała, wymierzając Wulfowi w goleń kopniaka, który kazał mu ją puścić z tłumionym „uch”.

Ale mimo pozorów wojowniczności w jej oczach stały łzy.

- On nie jest zły. Przejmuje się tymi morderstwami tak samo jak wy - mówiła do Alarica. - Wiem, za kogo go uważasz, ale on taki nie jest. Nie jest taki jak jego ojciec. Zakazał klanowi Draculi mordować ludzi. Myślę, że ścigasz nie tego, kogo trzeba. - Jak on się tu dostał? - spytał Jon Wulfa, ignorując siostrę, gdyż było oczywiste, że zwariowała. - Przez cały czas pilnowaliśmy drzwi.

- Frontowych drzwi. - Wulf miał ponurą minę. Ani na chwilę nie oderwał spojrzenia od Meeny. - Powinniśmy byli pilnować też balkonowych.

- Drzwi balkonowych? - Jonowi łamał się głos. - Jesteśmy na dziesiątym piętrze. Facet umie latać czy jak?

I Meena, i Wulf spojrzeli na niego; Meena ze smutkiem, Wulf z politowaniem. Jon, przypominając sobie, o kim mówi, przełknął ślinę.

Naskoczył na siostrę.

- Tak się strasznie martwiłaś, że nas zabije - wykrzyczał. - I wpuściłaś go tu?

- Ona nic nie może na to poradzić. - Wulf odwrócił się gwałtownie i ruszył do łazienki, pewnie szukać koszuli. - Jest jego sługą. To, czy przeżyjemy, czy zginiemy, nie ma dla niej znaczenia. Byleby tylko on z nią był.

Jon spojrział oskarżycielsko na siostrę.

- Jezu Chryste, Meena. Poznałaś jednego wampira i twoja głęboko zakorzeniona nienawiść do mizoginicznych potworów wyfrunęła przez okno, a ty zmieniłaś się w jedną z takich dziewczyn? Myślałem, że nienawidzisz takich dziewczyn.

Meena wciągnęła powietrze.

- Nie jestem - krzyknęła. - Nie jestem jedną z tych dziewczyn. Nie jestem żadną sługą. Ciągle nienawidzę wampirów. Tylko nie Luciena. Bo on nie jest taki jak reszta. I troszczę się o was obu! No dobra - spojrzała na oddalającego się Alarica - o jednego z was.

Wulf tylko machnął ręką za plecami i poszedł korytarzem do sypialni Jona.

- Taka jest prawda. - Meena spojrzała na Jona oczami pełnymi łez. - Musisz mi uwierzyć. Nie jestem jego sługą.

- Jeśli po prostu zostawisz Luciena w spokoju, nie ma się o co martwić. - Pokręcił głową. - No nie wiem, Meen. Wpuszczasz księcia ciemności do mieszkania, kiedy powiedziałas, że mnie zabije? A potem pozwalasz mu się ugryźć? Drugi raz? Jak dla mnie, to bardzo służalcze zachowanie. - Zniżył głos, żeby Alaric go nie słyszał. - I nie stawia mnie w najlepszym świetle, rozumiesz, jeśli chodzi o posadę.

- O posadę? - zdumiała się.

- No wiesz. Jeśli mam dostać robotę w Gwardii, nie mogę mieć siostry, która sypia z wrogiem. Musisz z tym skończyć.

Dotarło do niej. Spojrzała na niego miazdzącym wzrokiem.

- Och, przepraszam. Zapomniałam, że w tej całej historii chodzi o możliwości zatrudnienia dla ciebie, panie Obrażalski.

Jon spiorunował Meenę wzrokiem.

- Jeden raz - szepnęła, unosząc palec. - I powiedziałem ci, że to był środek nocy! I strasznie chciało mi się siku! Skąd mogłem wiedzieć, że policjant podjedzie akurat w tej sekundzie pod tego Subwaya?

Wulf wrócił, zapinając koszulę.

- Co mu powiedziałaś? - spytał.

- Komu? - Zamrugła zbita z tropu.

Przewrócił oczami.

- Przecież, mówił że...

- Nic mu nie powiedziałam. I przestań go tak nazywać. On taki nie jest.

- Powiedziała mu wszystko - stwierdził Wulf, patrząc znacząco na Jona.

Jon uniósł brwi.

- Przecież mówi, że nie...

- Wasi sąsiedzi się wyprowadzą. - Wulf zapiął ostatni guzik. - Mam nadzieję, że nie pożyczyci od was cukierniczki, bo już jej nie zobaczycie.

- Nie wiem, dlaczego mnie nie słuchasz. - Meena piała ze złości. - Lucien nie jest taki jak inne, hm, wampiry, które znasz. Jest dobry i ciepły, i szczodry, i był maltretowany przez ojca, który zmienił go w to,

czym jest. Nie miał żadnego wyboru. Powinieneś ścigać jego brata, Dimitriego. Wiedziałaś, że próbował nas zabić kilka nocy temu? Czy raczej nasłał na nas kolonię nietoperzy, żeby zrobiły to za niego. Chce zniszczyć Luciena, żeby zostać księciem ciemności czy jak to tam nazywasz. I jeśli do tego dojdzie, świat naprawdę będzie miał problem.

Wulf spojrział na Jona ze znudzoną miną.

- Teraz poproszę tej kawy.

- A, jasne, już się robi. - Jon popędził do kuchni.

- Podlizuch - prychnęła Meena. Poszła za Alarikiem, który stanął przed lustrem w jadalni i sprawdzał, czy nie przegapił jakichś miejsc podczas golenia. - To Lucien pilnuje, żeby nikt z nich nie zabijał. Owszem, piją ludzką krew, ale tylko od dawców, którzy się na to godzą.

- Spróbuj to powiedzieć Caitlyn - odparł Wulf.

- Kto to jest Caitlyn?

- Takie imię nadałem ostatniej ofierze mordercy. - Wulf napił się kawy, którą Jon dostarczył mu w ekspresowym tempie.

- Nie słyszałaś, co powiedziałam? - Wkurzył ją. - Lucien próbuje się dowiedzieć, kto morduje te dziewczyny, i powstrzymać go. Tak jak wy. Dlaczego nie możesz go osądzać za to, co robi, a nie za to, kim jest?

- Co to miało znaczyć? - Wulf wysunął sobie krzesło, żeby usiąść przy stole, i sięgnął po pasek bekonu usmażonego przez Jona.

- Osądzasz Luciena ze względu na to, kim jest czyli Wampirem, przyznaję. Ale nie zachowuje się jak wampir.

- Nie? - spytał ironicznie Wulf, zerkając od niechcienia na jej szyję.

Meena poczerwieniała.

- To jest... to jest tylko... Myśmy się tylko wygłupiali.

- Ty może się wygłupiałaś - powiedział, zabierając się do naleśników Jona. - Ale zapewniam cię, że dla niego to nie były wygłupy. Fakty są takie, że jeśli raz wpuścisz wampira, to już nigdy sobie nie pójdzie. Oni są jak bezrobotny, bezdomny krewny.

- Hej - powiedział Jon, czerwieniąc się.

- Bez urazy. - Wolf ugryzł tosta.

Meena popatrzyła na jego talerz.

- Co ty robisz?

- A na co ci to wygląda? - odpowiedział pytaniem. - Mam przed sobą ciężki dzień, bo muszę cię pilnować, żebyś nie zrobiła czegoś głupiego. Więc będę potrzebował siły. Mam przecucie, że będziesz próbowała zrobić całe mnóstwo głupstw.

- Teraz nie mamy na to czasu - odparła zirytowana. - Musimy iść.
Chyba że chcesz wypuścić mnie z domu samą.

Uniósł jasną brew.

- To nie wchodzi w grę. A dokąd to musisz tak pilnie się udać?

- Właśnie dzwoniła do mnie Elena. - Popatrzyła na Jona. - Wreszcie wyrwała się od swojego chłopaka. Obiecałam, że po nią przyjadę.

Rozdział 45

12.00 czasu wschodniego, sobota 17 kwietnia
Psikus
ulica Czterdziesta Druga Zachodnia 141, Nowy Jork

Alaric nie bardzo rozumiał, jak doszło do tego, że w sobotnie południe siedzi na Times Square, w restauracji o nazwie Psikus.

Ale gdyby ktoś go zapytał, jak według niego wygląda piekło na ziemi, opisałby właśnie to miejsce.

- Poproszę dużą dietetyczną colę - mówiła Meena kelnerce zza dziewięciostronicowego, naprawdę miało dziewięć stron, menu.

Kelnerka w zielonych poliestrowych spodniach i daszku na czole patrzyła na nią z niechęcią.

Nie było to zamówienie, które mogłoby ją zadowolić.

Albo usprawiedliwić fakt, że zajęli stolik przy oknie z widokiem na Times Square, żeby Meena mogła wypatrywać tej jakiejś Eleny - podobno mieli ją uratować.

- Może tacy torpedy? - zasugerowała kelnerka. - A pieprzne placki są dziś daniem dnia, dwanaście sztuk za pięć dziewięćdziesiąt dziewięć.

- Tylko dietetyczną colę - odparła Meena z uśmiechem. Znow miała na szyi zawadiacko zawiązaną czerwoną apaszkę. Wyglądała przez to trochę jak amerykańska aktorka próbująca udawać Francuzkę.

Tak jak ten lokal był jakimś sieciowym kombinatem, próbującym udawać restaurację.

Kelnerka zwróciła się do Jona.

- Ja wezmę torpedy i placki - powiedział. - I paprykowe kręcone frytki i lekkie skrzydełka, i cebulową cegłę.

Meena pokręciła głową.

- Jesteś wstrętny. Nienawidzę cię.

Alaric nie miał pojęcia, co ma znaczyć ta wymiana zdań.

Nienawidziła brata za to, że nie liczył się z kaloriami?

Jon się uśmiechnął.

- Och, i colę - powiedział do kelnerki.

Kelnerka rozpromieniła się z aprobatą, wzięła jego menu i uśmiechnęła się do Alarica.

- A dla pana?

- Kawa - odparł Alaric, oddając jej menu. Było ciężkie. Pewnie tak samo jak cebulowa cegła.

- Czarna.

Uśmiech kelnerki zniknął.

- Zaraz będzie - rzuciła i poszła.

- Powiedz mi jeszcze raz. - Alaric oparł łokcie o klejący blat stołu. - Kto to jest Elena?

Meena popatrzyła na niego ze złością. Jasne, że Alaric nie jest jej ulubieńcem.

- Dziewczyna, którą poznałam. Dopiero co przyjechała do Stanów. Dałam jej mój numer i kazałam zadzwonić, gdyby miała kłopoty, bo wyczułam, że jej chłopak będzie próbował ją zabić.

- W odróżnieniu od nas - wtrącił z goryczą Jon, wskazując siebie i Alarica. - Kiedy wizje ostrzegają Meenę, że jej chłopak będzie próbował kogoś zabić, po prostu zaprasza go do domu, idzie z nim do łóżka i pozwala ugryźć się w szyję.

Meena torpedowała wzrokiem swojego brata.

- Lucien zabije was tylko w samoobronie. Jeśli wy nie zaatakujecie jego, nie będzie miał z wami żadnego problemu i nie...

- Chciałbym wrócić do rozmowy o dziewczynie z metra - przerwał im Alaric. Przymknął oczy i rozmasowywał palcem wskazującym i kciukiem nasadę nosa. - Mam dosyć słuchania, jaki cudowny jest Lucien. A przez te wasze nieustanne kłótnie dostałem migreny.

Spędzenie nocy na kanapie też nie pomogło.

Ani to, że o włos przegapił okazję dekapitowania Luciena Antonescu. Jeśli Holtzman dowie się o tym, będzie mu truć do skończenia świata.

- Och - prychnął Jon. - Nasze kłótnie? A ty i ona? Kiedy wy zaczynacie, jesteście jak stare niedobre małżeństwo.

Alaric otworzył jedno oko i zerknął na Jona.

- Pamiętaj, że mam przy sobie miecz. I jestem skłonny użyć go w Psikusie. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby ktokolwiek zwrócił uwagę.

Jon z nadąsaną miną wziął błyszczącą kartę koktajli, która stała na brzegu stołu razem z keczupem i innymi przyprawami. Alaric wiedział, że jest zdenerwowany, bo chciał wstąpić do Gwardii Palatyńskiej, a każda krytyczna uwaga z ust Alarica rozwiewała jego sen o nowej wspaniałej posiadzie.

Wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał powiedzieć Jonowi, że jego sen nigdy się nie ziści. Chociażby dlatego, że aby się ziścił, potrzebne są lata treningu, a Jon był za stary, żeby zacząć szkolenie.

Ale też dlatego, że i Jon, i jego siostra, potwornie irytowali Alarica.

Oczywiście każde na swój sposób. Na przykład Alaric nie czuł do Jona seksualnego pociągu, jaki czuł do jego siostry. Za co wciąż ganił się w duchu. Jak mogła go pociągać kobieta, która sypiała z władcą wiecznej ciemności? Nie była nawet atrakcyjna! Miała za krótkie włosy jak na jego gust, i trochę krzywe zęby.

A do tego wkurzający nawyk dyndania nogą. Robiła to i teraz, pod stołem. Czuł, jak jej but ociera się o jego nogę. Ten kontakt był za bardzo intymny, biorąc pod uwagę, że spędziła noc pod jego samym nosem, kochając się z synem Draculi.

- No więc, Gerald, ten jej chłopak - ciągnęła Meena, jakby Jon nigdy jej nie przerwał - zabrał dziewczynie paszport i trzymał ją w niewoli, zmuszając do... - Spojrzała w dół i zakaszła. - obsługiwania innych mężczyzn. Elena jakimś cudem uciekła i zadzwoniła do mnie, bo to był jedyny numer, jaki miała. I spotka się ze mną tu. Chociaż nie wiem, jak zareaguje, kiedy zobaczy was dwóch. - Spojrzała na nich. - Nie ufam mężczyznom.

- No cóż, ja też ci nie ufam. - Wciąż masował grzbiet nosa. - Szczególnie teraz.

- Och, no tak. - Odpowiedź Meeny ociekała sarkazmem. - Bo to jest podstęp, żebym mogła uciec z moim kochankiem wampirem. Albo zawiadomić go, gdzie ma cię szukać. Jakbym nie mogła tego zrobić tej nocy, kiedy oglądałeś film w pokoju obok. Zobaczymy, co sobie pomyślisz, kiedy ona tu przyjdzie pobita, przerażona i sama.

Alaric opuścił rękę i otworzył oboje oczy, żeby jej się przyjrzeć.

- Zachowujesz się, jakbyś robiła to już wcześniej. Wzruszyła ramionami.

- To się zdarza. Niestety.

- Nie rozumiem. To moja siostra jest wampirem czy nie?

Alaric i Meena spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- No co. Przecież to oczywiste pytanie. Została ugryziona. Dwa razy. Więc jest czy nie jest? Musimy ją zadźgać?

- Och, to bardzo miłe z twojej strony, Jon - skwitowała Meena, tak samo jadowitym tonem. - Gadaj sobie do woli o przebijaniu mnie kolkiem, niech cała knajpa usłyszy.

- Już ci mówiłem. - Alaric skrzywił się, ból głowy nie mijał. - Żeby stała się wampirem, on musi ją ugryźć trzy razy, a potem ona musi wypić jego krew. Ugryzł ją dopiero drugi raz. Piłaś jego krew?

- Nie! - wykrzyknęła przerażona. Poczł, że jej nogą przestała podskakiwać i oparła się o jego nogę. Ale Meena chyba nie wiedziała, że to jego noga, a nie noga stołowa.

Wiedział, że powinien odsunąć tę nogę.

A jednak tego nie zrobił. Nie wiedział dlaczego. To bardzo niepokojąca sprawa.

No dobra. Wiedział, dlaczego.

I to była jeszcze bardziej niepokojąca sprawa.

Musiał wyplątać się z tej misji tak szybko, jak to możliwe.

- A co więcej, nie zamierzam - mówiła. - Tak się składa, że lubię takie rzeczy jak blask słońca i obiady w Psikusie. Nawet jeśli właścicielem jest Consumer Dynamie Inc. i pewnie lokal niedługo zagra w **Nienasyconych**, sądząc po tym, w którą stronę to wszystko zmierza - dodała ponuro. - A poza tym, czy siedziałabym tu w środku dnia, gdybym była wampirem? - Spojrzała w sufit. - Nie wierzę, że naprawdę prowadzę taką rozmowę. W Psikusie.

Zjawiła się kelnerka i z hukiem postawiła przed Meeną i Alarikiem napoje. Dla Jona miała uprzejmy uśmiech.

- Pańskie taco torpedy i pieprzne ziemniaczane placki zaraz będą gotowe.

- Dziękuję - odparł Jon, odwzajemniając uśmiech.

Przy stoliku obok nich jakiś mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i spodniach khaki zaprasowanych w kant roześmiał się, kiedy komórka przy jego pasku zatrzeszczała' nagle i rozległ się z niej dziecięcy głos, na tyle donośny, że było go słycać na całym pierwszym piętrze restauracji:

- Tatus? Jesteś tam?

Spodnie w Kancik uśmiechnął się złośliwie. Wcisnął guzik z boku tego skrzyżowania walkie-toki z telefonem i krzyknął:

- Jestem, ptysiu! Na Times Square!

Kobieta siedząca naprzeciw niego przy stoliku - wyposażona w parę ekstremalnie wielkich sztucznych piersi, pięknie wyeksponowanych pod zbyt ciasną szydełkową bluzką, na którą narzucona była kurtka z norek - siorbała mrożone daiquiri i stukala w swoją komórkę długimi tipsami.

Alaric posłał facetowi ostrzegawcze spojrzenie. Spodnie w Kancik udał, że go nie zauważył.

Na własne nieszczęście, pomyślał Alaric.

- Tam jest - powiedziała Meena; jej noga znów znieruchomiała, a kręgosłup wyprostował się jak kij bilardowy.

Alaric odwrócił się na siedzeniu i zobaczył dziewczynę, która wśliznęła się na krzesło przy dwuosobowym stoliku w ciemnym kącie restauracji, jak najdalej od wielkich okien na Times Square, przez które wlewały się promienie słoneczne.

Miała na nosie ogromne okulary, choć przebywała w pomieszczeniu, co już samo w sobie byłoby podejrzane, gdyby nie paskudny, fioletowy siniak, który wypełzał spod dolnego brzegu oprawki, wskazujący na świeżutko podbite oko. Była w szarej bluzie z kapturem, spod którego wystawały kępki niezbyt atrakcyjnie ostrzyżonych jasnych włosów.

Alarica najbardziej uderzyły jej buty: białe czółenka na obcasach - zupełnie nieodpowiednie na tę porę dnia, a już na pewno nie z podkolanówkami, które znikają pod džinsami - z plastikowymi motylami na palcach.

Przez chwilę rozglądała się bezradnie zza swoich okularów, aż jej spojrzenie padło na ich stół.

Szybko odwróciła głowę i wzięła dziewięciostronicowe menu, za którym ukryła twarz.

- Dobry Boże. - Alaric westchnął. Widywał już zmaltretowane istoty ludzkie w dzielnicy ćpunów, w której mieszkał jako dziecko.

Ale ostatnimi czasy widywał tylko ludzi zmaltretowanych przez nieumarłych. Trudno mu było uwierzyć, że ten ktoś, kto to zrobił, przynajmniej zdaniem Meena, miał w piersi bijące serce!

- Zostańcie tu. - Meena odłożyła serwetkę na stół. - Zaraz wracam.

- Idę z tobą. - Alaric wstał. Jego ton wyraźnie mówił, że to nie jest prośba.

- Zostań, gdzie jesteś, i pozwól mi się tym zająć - warknęła Meena. - Tylko ją wystraszysz.

I już jej nie było.

Zdumiony tym wybuchem - doprawdy, jak to możliwe, dziewczyna traci co noc tyle krwi, a wciąż jest energiczna? - patrzył za Meeną, która odeszła od stolika i podeszła do Eleny.

Dziewczyna spojrzała na nią...

...i wybuchnęła nerwowym płaczem. Meena przysunęła sobie krzesło i objęła ją, mówiąc coś uspokajająco.

- Moja siostra potrafi być bardzo rozrywkowa, co? - Jon dziobał słomką lód w swojej coli. - Trudno stwierdzić, co ten cały książę w niej widzi.

Alaric burknął; ani przytaknął, ani zaprzeczył. Prawda była taka, że zaczynał mieć własne teorie na ten temat.

- No bo przecież on mógłby mieć każdą - ciągnął Jon. - Taylor MacKenzie, na przykład. Dlaczego woli taką żonę jak moja siostra?

Właśnie, dlaczego, pomyślał Alaric.

- Poznała tę kobietę w metrze? - spytał Jona, zamiast odpowiadać na jego pytanie. - I powiedziała jej, że miała wizję na temat jej śmierci?

- Nie - odparł Jon i siorbnął coli. - Kazała jej tylko zadzwonić, gdyby miała kłopoty. Meena nie mówi ludziom, że umrą. Kiedy to robiła, nikt jej nigdy nie wierzył. Więc teraz tylko udziela im rad.

Wulf znów spojrzął na Meenę.

- A jeśli nie słuchają rad?

Jon, zmieszany, wzruszył ramionami.

- Wtedy... no cóż, umierają.

Alaric pokręcił głową. Fatalnie. Siedział w Psikusie na Times Square z kobietą, która sypiała z księciem ciemności i nie zamierzała tego zaprzestać!

Ale teraz przekonywał się, że ta kobieta może być tym, za kogo się podawała - jasnowidzką.

A jeśli to prawda, to stanowiłaby cenny nabytek dla jego pracodawcy.

To Meena Harper, a nie jej brat, mogłaby pomóc Gwardii w walce z nieumarłymi.

Z jednej strony, osoba, która mogłaby ostrzegać jego i współtowarzyszy o zasadzce, mogłaby być niezwykle przydatna.

Z drugiej strony, Alaric nie był pewien, czy w przyszłości chciałby spędzać więcej czasu z Meeną Harper.

- Tatusz, wiesz co? - ryczała komórka na biodrze faceta przy stoliku za Alarikiem. - Oglądamy Astro-Boya!

- Super, kolego! - odrzyknął Spodnie w Kancik. Alaric zacisnęła pięść.

- Proszę bardzo - krzyknęła kelnerka, która pojawiła się właśnie z tacą pełną smażeniny. - Pańskie tacos torpedy i pieprzne placki, kręcone frytki i cebulowa cegła...

- A lepkie skrzydełka? - zaniepokoił się Jon.

- Są tu. - Ustawiła kilka tysięcy kalorii przed bratem Meeny.

- Cudownie. - Jon zaczął pałaszować. Musieli wyjść przed śniadaniem, bo Meena upierała się, że nie mogą się spóźnić na spotkanie z Eleną.

Alaric przyjrzał się jedzeniu przed sobą. Wszystko wyglądało zadziwiająco smacznie. Szczególnie lepkie skrzydełka.

Jon zauważył jego tęskne spojrzenie.

- Wcinaj. Poważnie. Nie uwierzysz, jakie to dobre. I lepiej się pospiesz, zanim Meena wróci, bo jak ona się do tego zabierze, to nic nie

zostanie. Dlatego nic nie zamówiła. Stara się zdrowo odżywiać, ale nigdy jej to nie wychodzi. Jest uzależniona od Psikusa. Może wygląda na niepokązną, ale nie uwierzysz, ile jedzenia potrafi w siebie wpakować. Żałuj, że nie widziałeś jej szufladki ze słodyczami w pracy. To naprawdę obrzydliwe.

Alaric przyjrzał się koszyczkom stojącym przed nim na stole. Wzruszył ramionami, ostrożnie wziął jedno skrzydełko i ugryzł.

Nigdy do tej pory nie doświadczył takiej eksplozji smaku. Foiegras w Per Se nie umywało się do tego.

Za jego plecami telefon Spodni w Kancik zanikał głośno i rozwrzeszczał się jak głupi. Ptyś krzyknął:

- Tatuś, tatuś, mamusia chce wiedzieć, kiedy przyjdiesz do domu!

Alaric odłożył kość kurczaka. Napiął wszystkie mięśnie, szykując się do akcji. Naprawdę, nie miał wyboru. I po prostu musiał wytrzeć podłogę tym facetem za to, że psuje mu kulinarną przyjemność, a przy okazji wszystkim dookoła. To był najzwyczajniejszy brak manier.

Jon wytarł twarz serwetką.

- Nie. - Uniósł rękę. - Pozwól, ja to załatwię.

Alaric patrzył sceptycznie, jak Jon wstaje, idzie do sąsiedniego stolika i szarpnięciem odczepia telefon od paska Spodni w Kancik.

- Ptyś - rzucił do telefonu - możesz powiedzieć mamie, że tatuś nie może teraz rozmawiać, bo je lunch z inną panią? I ta inna pani ma naprawdę duże melony? Koniecznie powiedz mamusi o melonach.

- Okej - pisnął radośnie Ptyś w telefonie.

- Co jest, do cholery? - Spodnie w Kancik zerwał się, a jego krzesło przewróciło się do tyłu.

Alaric wziął sobie kolejne skrzydełko i obserwował przedstawienie...

Dopóki nie zauważył mężczyzny w skórzanej kurtce, bluzie z kapturem, w bejsbolówce Yankees naciągniętej nisko na oczy i w lustrzanych ciemnych okularach. Facet wchodził po schodach, nie odrywając wzroku od Meeny i Eleny.

Wulf odłożył skrzydełko i sięgnął po serwetkę, żeby wytrzeć palce.

- Spokojnie, Phil - powiedziała kobieta w kurtce z norek. - Nie denerwuj się tak. Pamiętaj o swoim sercu.

- Może powinien pan odbierać telefony na zewnątrz. - Jon oddał Philowi komórkę. - To panu zaoszczędzi kłopotów.

- Może i tak - odparł Phil naburmuszony. Głośnik telefonu znów zatrzeszczał i rozległ się z niego piskliwy, kobiecy głos:

- Phil? Phil? Co Petyś mówi o tobie i jakiejś kobiecie? - Phil wcisnął guzik i głos urwał się nagle. Przyłożył telefon do ucha i, mówiąc:

- Oj, kotku, nieważne, to taki żart, jakiegoś nowojorskiego wariata - szybko ruszył w stronę schodów, ocierając się ramieniem o mężczyznę w bejsbolówce i okularach, który dłonią w rękawiczkę sięgał właśnie pod skórzaną kurtkę, idąc w stronę stolika Meeny i Eleny.

Alaric zaklął i zerwał się od stolika, sięgając po miecz. W tym samym momencie Jon siadał po przeciwnej stronie stolika, bardzo zadowolony z siebie.

- Widzisz? Niektóre sytuacje da się rozwiązać bez wymachiwania mieczem. Zaraz. Co się dzieje? Dokąd idziesz?

Ale Alaric przeskoczył już nad kobietą w kurtce z norek - została na swoim miejscu, żeby dokończyć daiquiri i SMS-a - i w locie wyciągnął Senora Śliskiego z pochwy.

Przy stoliku Eleny Gerald - bo oczywiście to był Gerald, chłopak Eleny, któż by inny - wyciągnął spod kurtki coś małego i czarnego i przycisnął to do pleców Meeny, mówiąc coś do niej przyciszonym głosem spod okularów i daszka czapki.

Nikt w restauracji nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Wszystkie oczy były skierowane na wariata w czarnym skórzanym płaszczu, który wykonywał akrobatyczne skoki z mieczem.

Tylko Alaric widział, że plecy Meeny; znów są proste jak kij bilardowy, a jej oczy wielkie i wystraszone. Za to na twarzy Eleny po drugiej stronie stolika nie malował się nawet cień zaskoczenia.

Raczej ulga, że to nie do jej żeber jest przyciśnięty pistolet.

Przynajmniej dopóki Alaric nie wylądował z trzaskiem obok nich.

Wtedy zareagowała, i owszem. Jej usta ułożyły się w idealnie okrągłe „o”. Zrobiło się jeszcze większe, kiedy Alaric jedną ręką chwycił Geralda za gardło, a drugą zręcznie trzasnął płazem miecza w jego nadgarstek, wytrącając mu broń z ręki. I spojrzał z uśmiechem politowania na leżącego na podłodze rugera kaliber 22.

- Wybierałeś się na strzelnicę?

Gerald otworzył usta i zasyczał, odsłaniając garnitur niezwykle spiczastych siekaczy...

...i giętki, czubaty język, który wyskoczył z ust jak język węża. Meena, przerażona, zerwała się z krzesła i i przyłgnęła do ściany, strącając na podłogę kilka pamiątkowych zdjęć.

- O Boże! - krzyknęła. - On jest...

- Tak, on jest - powiedział spokojnie Alaric, wciąż trzymał wampira za gardło. - Wyświadczyć mi przysługę, skarbie, co? Sięgnij do mojego płaszcza.

Meena uniosła drżącą dłoń i zanurzyła ją do głębokiej kieszeni trenca Alarica.

- Mam. - Wyjęła małą, kryształową fiolkę. Przyjrzała jej się ciekawie. - Co to jest?

- Woda święcona. Chcę, żebyś chlapnęła mu nią w twarz.

Wampir zasyczał jeszcze bardziej zjadliwie i zaczął chrapać pazurami rękę Alarica.

Meena, przerażona, patrzyła to na fiolkę, to na wampira.

- Nie mogę tego zrobić. - Była wstrząśnięta.

- Owszem, możesz, Meeno. To już nie jest człowiek. Potwór. Popatrz na niego. Próbował cię zastrzelić.

- Nie chodzi o to.

- Nie chcę przerazić gości w restauracji, odcinając mu głowę. - Alaric mówił prawdę. Siedzący przy stolikach odłożyli swoje lepkie skrzydełka i gapili się, skołowani, nie wiedząc, co jest grane. - Ale muszę go jakoś spacyfikować. Więc proszę cię, zrób, co mówię, i polej mu twarz święconą wodą. Naprawdę, to nic złego. On już jest martwy. Nie zrobisz mu żadnej krzywdy.

- Nie. - Pokręciła głową. - Naprawdę nie mogę tego zrobić. To jest Stefan Dominie, nowa gwiazda **Nienasyconych**. Wiedziałam, że skądś go znam. Widziałam go na tym zdjęciu, które pokazała mi Elena na swojej komórce. To on jest Geraldem.

- Cudownie - rzucił Alaric, spoglądając w niebo.

To była bez wątpienia najgorsza misja, jaką w życiu wypełniał.

Rozdział 46

13.00 czasu wschodniego, sobota 17 kwietnia
Park Avenue 91C7 mieszkanie 11A Nowy Jork

Emil nie wiedział, jak ma pocieszyć zapłakaną żonę. Nigdy nie widział Mary Lou tak zrozpaczonej.

- To prawdopodobnie tylko na jakiś czas, kochanie - powiedział, patrząc, jak wrzuca naręcza eleganckich kreacji, w większości wciąż na wieszakach, do swoich! usztywnianych waliz Louisa Vuittona. Pokojówka wzięła dziś wolne, więc nie miał jej kto spakować.

- Kocham to mieszkanie - szlochała. - Nie chcę wyjeżdżać. I będzie mi brakowało wyprzedaży próbek!

- Wrócimy, ani się obejrzysz.

Absolutnie nie wierzył, że to prawda, ale próbował ją pocieszyć, bo zmieniła się w istną fontannę.

- I w Tokio też jest mnóstwo sklepów - uspokoił ją.

- W Tokio! - powtórzyła żałośnie Mary Lou. - Co będę miała do roboty w Tokio? Nic!

Właśnie o to chodzi, pomyślał Emil. Nie będziesz miała do kogo wysłać mejli i kogo zapraszać na przyjęcia. Ale nie odważył się tego powiedzieć głośno.

- Będziesz zachwycona Tokio. I naprawdę nie sądzę, żebyś musiała zabierać tyle sukienek. Wszystko, czego będziesz potrzebować, możemy kupić na miejscu - dodał z lekkim wahaniem, bo nie chciał jej zdenerwować jeszcze bardziej. - Ale pospiesz się, kochanie. Widziałem, jak łowca wampirów wychodził z małą Harper już jakiś czas temu. Na pewno niedługo wróci. Nie sądzę, żebyśmy mieli dużo czasu.

- Meena! - Mary Lou wysyczała to imię, jakby było przekleństwem. - Tyle dla niej zrobiłam, a ona na nas doniosła!

Emil bezradnie spojrzał na zegarek.

- Nie wydaje mi się, żeby miała jakiś wybór. Wyswatałaś ją z księciem. Nie wiem, czego się spodziewałaś. Nigdy nie jest dobrze, kiedy nasz rodzaj miesza się z ludźmi.

Mary Lou próbowała zapiąć wieko walizki. Nie chciało się domknąć. Emil nie wiedział, czy to ją zdenerwowało, czy jego ostatnia uwaga sprawiła, że żona do reszty straciła cierpliwość i wrzasnęła:

- Ja też byłam człowiekiem, kiedy mnie poznałeś! Pamiętasz? Chcesz powiedzieć, że do siebie nie pasujemy?

- Ależ skąd, kochanie. - Odchylił wieko walizki i zaczął upychać wszystkie wystające rękawy i futrzane kołnierze, które sterczały na boki.
- Mówię tylko, że chociaż księżę jest bardzo zadowolony, że poznał pannę Harper, i bardzo ją lubi, to jest logiczne, że przy całym tym szumie medialnym wokół zamordowanych dziewcząt należało się spodziewać, że Gwardia Palatyńska zacznie tu węszyć. I wcześniej czy później znajdą i nas. A teraz... cóż.

Mary Lou, pociągając nosem, klapnęła na łóżko obok walizki. Jej jasne włosy, zwykle doskonale ufryzowane, zwisały smętnie. Makijaż był rozmazany.

- Jeśli on zamierza nas zabić, to dlaczego nie przyszedł od razu? - spytała gniewnie. - Wolę dostać kołkiem w serce, niż opuszczać Manhattan!

Emil pomyślał, że to dość dramatyczne oświadczenie, ale nie odezwał się, bo żona i tak nie panowała już nad emocjami. On sam czuł się wytrącony z równowagi po spotkaniu z księciem dzisiejszego ranka; o bardzo wczesnej godzinie Lucien pojawił się niespodziewanie na ich tarasie, po czym wszedł do salonu przez drzwi balkonowe.

- Panie! - wykrzyknął Emil. - Wszystko w porządku?

- Nie - odparł ponuro Lucien. Pod koszulą rozpięła do pasa widać było jego szczuple ciało.

Emil pożałował, że został przemieniony, kiedy był już w średnim wieku, a nie u szczytu kondycji fizycznej. - W mieszkaniu panny Harper jest łowca wampirów z Gwardii Palatyńskiej.

Emil o mało nie upuścił szklanki ludzkiej krwi, którą pił na śniadanie.

- Co?

- Tak. Sugeruję, żebyście oboje z Mary Lou natychmiast zmienili miejsce zamieszkania.

Nie wiedział, czy dobrze usłyszał.

- Panie? Czy nie byłoby... czy nie powinniśmy... - bełkotał, ale doprawdy, co innego można zrobić w obliczu takiego oświadczenia? - To znaczy, czy nie powinniśmy go zabić?

- Obawiam się, że nie możemy. - Lucien usiadł na ulubionym miękkim fotelu Mary Lou w salonie. - Meena jest jasnowiedzką.

Ta rewelacja już do reszty zbiła Emila z tropu.

- Co? - spytał znów. Dość głupio, jak sądził. Był o sto lat młodszy od księcia - na całe szczęście, sądząc po tym, co słyszał na temat cierpień, jakich Lucien doznał z rąk swojego ojca - i nigdy tak do końca nie

przywykł do faktu, że jest spokrewniony z rodziną panującą, więc nie bardzo wiedział, jak się przy nim zachowywać.

- Potrafi przewidzieć, w jaki sposób umrą osoby znajdujące się w jej pobliżu - wyjaśnił Lucien. - W każdym razie ludzie. Teraz ja też to potrafię, bo napiłem się jej krwi.

Nie wyglądał na szczególnie zadowolonego z tego faktu.

Emil nagle zrozumiał, co księżę robił przez całą noc.

Doprawdy, niezwykle. Nigdy nie słyszał o jasnowidzach, w każdym razie autentycznych. O nikim, kto potrafiłby wygłaszać sensowne przepowiednie.

A to, że Lucien też potrafił teraz wieszczyć... oczywiście byłoby lepiej, gdyby potrafił przepowiedzieć coś bardziej interesującego niż to, kiedy umrze jakiś człowiek. Na przykład wyniki rozgrywek sportowych.

- Tak czy inaczej - ciągnął księżę - Meena miała wizję, że zabiję jej brata i tego pogromcę. Oczywiście to się nie może wydarzyć.

Ostatnie zdanie wprowało Emila w osłupienie. Księżę nie chciał zabić gwardzisty, który zagrażał ich istnieniu?

Rozumiał, że Lucien chce postępować inaczej niż jego ojciec za czasów, kiedy to on był władcą ciemności.

I generalnie zakaz zabijania ludzi dla pożywienia -szczególnie kobiet i dzieci - to mądra strategia z punktu widzenia opinii publicznej, czego księżę Dracula nigdy chyba nie rozumiał.

Ale kiedy papieska jednostka zamierzała unicestwić cały gatunek, to pozwolenie im na to nie wydawało się już dobrym pomysłem.

Emil jednak nie zamierzał sprzeciwić się księciu. Za bardzo cenił własną skórę.

- Oczywiście, panie - powiedział.

- Ale nie możemy też narażać ciebie i Mary Lou na niebezpieczeństwo - mówił Lucien. - Więc musicie się spakować i zniknąć. Nie polecam wyjazdu do Sighisoary. Sądzę, że oni już o niej wiedzą.

Emil słuchaj tego wszystkiego z rosnącym przerażeniem.

Wiedzą o Sighisoarze? Mieszkał tam, pod samym nosem Gwardii, od wieków. A teraz, przez to, że księżę zakochał się w sąsiadce która na dodatek była jakimś psychodziwadłem - miał porzucić ją na zawsze? Zamiast zostać i walczyć?

Ale znów powiedział tylko:

- Dobrze, panie. Bo zawsze mówił tylko to. Ale nie to chciał powiedzieć.

- A co z twoim bratem? - spytał.

- Niby co z moim bratem? - odparł Lucien ostrym tonem. Emil pomyślał, że chyba posunął się za daleko.

Ale Dimitri z pewnością będzie chciał zostać i walczyć.

To stanie się źródłem problemów.

- Hm... - Wiedział, że musi bardzo ostrożnie dobierać słowa. - Pomyślałem tylko, że może zechcesz ostrzec swojego brata, że Gwardia jest w mieście, żeby on i twój bratanek też mogli uciec.

- Owszem, powiem mojemu bratu. Kiedy przyjdzie odpowiednia pora.

Emil uznał, że ta uwaga ostatecznie pokazuje, w którą stronę wieje wiatr. Zdecydował, że najlepiej zrobić to, co kazał książę: zabrać Mary Lou z miasta najszybciej jak się da.

Nie tylko dlatego, że w mieszkaniu po sąsiedzku był gwardzista z Watykanu, czy dlatego że Gwardia Palatyńska miała zostać użyta jako pionek w trwającej wojnie między dwoma braćmi...

Ale dlatego, że w oku Luciena dostrzegł błysk, którego nie widział nigdy przedtem.

I chyba domyślał się, co - czy raczej kto - zapalił ten błysk.

Pomyślał, że już nigdy nie spojrzy na Meenę Harper tymi samymi oczami. Jeśli jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy, oczywiście.

Teraz zwrócił się do żony, która wrzucała buty do kolejnej walizki.

- Kochanie. Dość. W Tokio też mają buty. Spojrzała na niego zapłakanymi oczami.

- Ale niektóre mam od ponad czterdziestu lat! I wiesz, że znowu robią się modne.

- Wrócimy po nie, kochanie. - Poglądził ją po ramieniu.

- Jesteś pewien? - Pociągnęła nosem.

Emil wrócił myślami do zaciętej miny księcia. Nie wiedział, co planuje Lucien.

Ale był pewien, że książę ma jakiś plan.

I to nie będzie ładny widok dla nikogo, kto przypadkiem znajdzie się w pobliżu, kiedy wprowadzi ten plan w życie.

- Całkowicie - zapewnił żonę. - Musimy jechać. Sądzę, że zanosi się na bitwę.

- Już to mówiłeś. - Mary Lou wciąż pociągała nosem. - Gwardia Palatyńska...

- Nie. Między księciem a jego bratem.

- Ależ to oczywiste - rzuciła Mary Lou z goryczą. - Nienawidzą się od lat. Sądziłam, że jeśli książę pozna miłą dziewczynę, to może trochę

złagodnieje. I pomyślałam, że Meena będzie dla niego idealna przez te swoje umiejętności.

Emil gapił się na nią.

- Jakie umiejętności, kochanie?

Przecież nie mogła wiedzieć, mówił sobie. Jakim sposobem? On sam nie miał pojęcia, dopóki książe nie powiedział mu dziś rano. A przecież wiedział o wszystkim, co się dzieje w ich świecie. Czyż nie?

- No wiesz. - Machnęła ręką niecierpliwie. - Przewiduje, jak umrą ludzie. Pomyślałam, że księciu to się spodoba. Jaki dar ją wyróżnił spośród innych dziewczyn.

- Ty o tym wiedziałaś? - W Emilu narastało przerażenie. - Wiedziałaś, że Meena Harper potrafi to robić, i kiedy zapraszałaś ją na kolację w naszym domu... z księciem?

- Oczywiście. - Patrzyła na niego jak na idiotę. - Prawie codziennie jeżdżę z nią windą. Myślisz, że nie wiem, co się dzieje w tej jej głowie? No cóż, to prawda, że ma tam niemały mętlik. Ale ten jej brat jest jak otwarta książka. Po prostu dodałam dwa do dwóch. Przyznaję, że mnie; kusilo, żeby ją trochę uszczknąć, żeby się przekonać, jak to jest. Tylko że ty zawsze mówiłeś, żeby nie jeść w domu. Ale kiedy dowiedziałam się, że książe przyjeżdża, pomyślałam sobie, jakby było miło, gdyby ci dwoje się zeszło. Dziewczyna, która potrafi przewidzieć ludzką śmierć, i twój kuzyn, książe ciemności, z tym wszystkim, co potrafi. Ci dwoje razem... To by dopiero była para z mocą! A gdyby ją przemienił? Tylko pomyśl, jakie to daje możliwości!

Emil czuł się tak, jakby jego wnętrzności zmieniły się w kamień.

- Nie powiedziałaś o tym nikomu, co? O Meenie i jej I zdolnościach. I o tym, że zesza się z księciem. Powiedz mi, że nikomu o tym nie mówiłaś.

- No, nie. - Mary Lou zatrzepotała powiekami. - To znaczy, nikomu ważnemu. Tylko Lindzie. I Faith. No i Carol z twojego biura. I Ashley. A, i Becce oczywiście.

- O Boże - jęknął Emil. I sięgnął po komórkę.

Rozdział 47

19.00 czasu wschodniego, sobota 17 kwietnia
Parafia Świętej Klary ulica Sullivana 154 , Nowy Jork

Meena siedziała przy lśniącym kuchennym stole naprzeciw Eleny i patrzyła, jak dziewczyna podnosi do ust kubek gorącego kakao wciąż trzęsącymi się dłońmi, chociaż minęło już parę godzin od jej uratowania. Pomyślała, że Elena chyba nigdy nie przestanie się trząść po tym, co przeszła.

- Chcesz więcej mleka do kakao, kochanie? - spytała siostra Gertrudę, stojąc nad nią z dzbankiem.

Elena nie odpowiedziała. Nie wiadomo, czy nie rozumie, co mówi zakonnica, czy może ogłuchła od tych ciosów, jakie otrzymała od swoich oprawców.

A może po prostu była w szoku.

Meena jej się nie dziwiła. Ona też była w lekkim szoku po tym, jak Alaric przeskoczył przez stoliki, poskromił Stefana, po czym zapewnił wszystkich, że Stefan to ćpun, a on jest tajniakiem z policji i właśnie go aresztuje.

Gdyby była jedną z tych osób siedzących w Psikusie i jedzących lepkie skrzydełka, nigdy by w to nie uwierzyła.

Ale wszyscy - nawet kelnerzy i kierownik, który zafundował wszystkim cebulowe cegły na przeprosiny za te przykrości - wydawali się zadowoleni z tego wyjaśnienia.

Dopiero kiedy tylnym wyjściem opuszczali Psikusa, żeby złapać taksówkę do kościoła Świętej Klary - gdzie, jak upierał się Alaric, uzyskają pomoc dla Eleny i „załatwią całą tę resztę” - odkryli jeszcze dwa wampiry czekające w cieniu pod schodami.

Ale uciekły na widok Alarica, trzymającego Stefana na ostrzu miecza. Najwidoczniej spodziewały się tylko Meeny, Eleny i oczywiście Stefana, a nie Meeny, Eleny, Stefana, Jona i ogromnego łowcy wampirów z Gwardii; Palatyńskiej.

Najpierw chłopak Meeny. Potem jej najbliżsi sąsiedzi. Teraz jeden z aktorów serialu, przy którym pracowała.

Czy wszyscy jej znajomi okażą się wampirami?

Ale dlaczego Stefan Dominie alias Gerald próbował ją porwać?

Alaric był w innej części domu parafialnego i aplikował święconą wodę na różne części ciała Stefana Dominica, próbując odkryć odpowiedź na to właśnie pytanie.

W parafialnej kuchni Meena ledwie słyszała wrzaski wampira.

- No to proszę. - Siostra Gertrudę dołała mleka do kubka Eleny, chociaż dziewczyna nie powiedziała, że chce więcej. Potem zakonnica pochyliła się, żeby poprawić grubą, puchową kołdrę, którą okryła ramiona Eleny. Pyszne i gorące. Dobre dla ciała. Dobre dla duszy.

Elena nie zdawała sobie sprawy, jakie to szczęście, że w ogóle jeszcze ma duszę.

A może wiedziała. Meena nie miała pojęcia, ile ta dziewczyna wie.

Ona sama wiedziała tylko jedno.

Sposób, w jaki Alaric uratował ją i Elenę w Psikusie, trochę zmiękczył jej podejście do gwardzisty. Trudno nie podziwiać kogoś, kto potrafi przeskoczyć kilka restauracyjnych stolików i gołą ręką złapać za gardło wampira, który próbuje cię porwać.

- Czy to się często zdarza? - spytała Abrahama Holtzmana, wskazując kierunek, z którego dobiegały stłumione krzyki Stefana Dominica. Holtzman przedstawił się Meenie jako szef Alarica Wulfa i w tej chwili nerwowo chodził po kuchni, od czasu do czasu wpadając na siostrę Gertrudę, i mówił: Och, najmocniej przepraszam, siostro.

- Dobry Boże, nie - odparł, zatrzymując się gwałtownie na środku kuchni. Miał przerażoną minę. - W normalnych okolicznościach nie akceptujemy takich rzeczy. Alaric ma swoje metody, oczywiście, i cóż, choć nie mogę powiedzieć, że bym je w pełni aprobował, na przestrzeni lat okazały się zaskakująco skuteczne...

Meena uniosła rękę.

- Proszę nie kończyć - przerwała sucho. - Rozumiem, o co chodzi.

Niemniej trochę ją martwiło, że Jon tak ochoczo zgodził się „pomóc” Alaricowi i kilku franciszkanom, którzy mieszkali na parafii, torturować Stefana.

- Panno Harper - powiedział Holtzman lekko zaniepokojony. - Z pani tonu wnoszę, że nie żywi pani szczególnie ciepłych uczuć do gwardzisty Wulfa, a tym samym zapewne do całej Gwardii, co u osoby w pani obecnej sytuacji jest zupełnie zrozumiałe.

Poczuła, że się rumieni. Wiedziała, że Alaric powiadomił swojego szefa o jej „obecnej sytuacji” - to znaczy, że sypia z księciem ciemności - i wręcz paliła się ze wstydu. Ten zupełnie obcy człowiek - mógłby być

jej ojcem - znał najbardziej intymne szczegóły jej życia, i to nie było w porządku.

Czy siostra Gertrudę też wiedziała? Meena zerknęła nerwowo na starszą kobietę, ale ta z pogodnym uśmiechem próbowała namówić Elenę na zjedzenie świeżego ciastka czekoladowego z partii, którą właśnie wyciągnęła z piekarnika. Meena szufłowała je non stop od chwili, gdy zakonnica przyprowadziła ich do kuchni, kiedy wysypali się z taksówki, w której Alaric trzymał Stefana Dominica przyduszonego pod własnym płaszczem dla ochrony przed słońcem, i na ostrzu miecza, ku zdumieniu szofera.

- Jakiekolwiek wrażenie zrobił na pani gwardzista Wulf - kontynuował Abraham Holtzman - a nie wątpię, że było ono bardzo kolorowe, powinna pani wiedzieć, że to jeden z naszych najlepszych oficerów. Co roku ma na koncie więcej upolowanych wampirów niż przeciętny gwardzista przez całą karierę. Fakt, że udaje mu się to przy zerowych stratach wśród ludności cywilnej jest naprawdę niezwykłym osiągnięciem w naszym zawodzie, i Zamyślił się. - Jest szorstki w obejściu, przyznaję. Ale biorąc pod uwagę jego przeszłość, trudno spodziewać się czegoś innego.

Meena uniosła brwi.

- Jego przeszłość?

- Widzi pani, chodzi o to, że on jest... - Zerknął zmieszany na siostrę Gertrudę i Elenę i szepnął: - ...bękartem.

Ukryła uśmiech.

- W Stanach nazywamy takie osoby wychowanymi przez samotną matkę - odszepnęła. - I tak naprawdę to nie jest nic strasznego. Dotyczy mnóstwa ludzi.

- Och, jego przypadek jest szczególny. Matka była narkomanką i go porzuciła. Wychowywał się na ulicy, dopóki nie umieszczono go w domu dziecka, w którym znalazła go Gwardia Palatyńska. Ale teraz proszę mi powiedzieć - ciągnął niefrasobliwie, zanim Meena zdążyła otrząsnąć się z zaskoczenia; ta rewelacja po części wyjaśniała, dlaczego Alaric zdawał się żywić urazę do całego świata - o co chodzi z tym pani jasnowidzeniem? To chyba dość niewiarygodne, prawda? Może Alaric źle zrozumiał. To mu się często zdarza. Jego zdolności interpersonalne pozostawiają wiele do życzenia, czemu trudno się dziwić.

Meena się zjeżyła. Co jest nie tak z tymi facetami z Gwardii Palatyńskiej? Czy wszyscy są takimi arogantami?

- Właśnie tak - odparła. - Źle zrozumiał.

- Przypuszczałem, że w tym rzecz. - Abraham wyjrzał przez okno domu parafialnego, po czym spojrzał na zegarek. - Słońce zaczyna zachodzić. Siostra, chyba powinniśmy przenieść pannę Elenę do pokoju bez okien.

- Dobry pomysł. - Siostra Gertrudę delikatnie położyła ręce na ramionach dziewczyny. - Chodź, kochanie. - Chwileczkę - powiedziała Meena, gdy Elena wstała posłusznie i pozwoliła zakonnicy poprowadzić się do drzwi. - Nie rozumiem. Pokój bez okien? Co się takiego stanie, kiedy słońce zajdzie?

- No cóż. - Abraham Holtzman był lekko zmieszany. - Moim zdaniem jest bardzo prawdopodobne, że kiedy zapadnie zmrok, Smoki przyjdą tu pani szukać, panno Harper.

- Mnie? - Patrzyła na niego ze zdumieniem. - A czego Smoki mogą chcieć ode mnie?

- Oto pytanie za milion dolarów - odparł Abraham z zapalem typowym dla wszystkich uczonych. Iak się składało, że był ekspertem w dziedzinie demonologii. - Nie bez powodu ten wampir na dole zadał sobie tyle trudu, żeby porwać panią za dnia. Bardzo ryzykowne zadanie.

Z łatwością mógł usmażyć się żywcem. Komuś bardzo na pani zależy, panno Harper. A czy jest to władca ciemności, czy ktoś inny...

Meena chciała powiedzieć, że to śmieszne sugerować, że za próbą porwania stał Lucien.

Owszem, pamiętała, że tuż zanim zasnęła w jego ramionach, wymogła na nim obietnicę, że sobie pójdzie i nigdy nie wróci, bo inaczej zabije jej brata i Alarica.

Ale porywać ją wbrew jej woli, żeby mogli być razem? Nigdy. Lucien ją kochał, a ona kochała jego. Nigdy nie! wysłałby kogoś, żeby zrobił jej coś takiego. Prędeż sam by się porwał.

Zaraz. Nie, nie zrobiłby tego.

A może jednak?

Ale Abraham Holtzman nie dał jej szansy powiedzieć ani słowa.

- Najlepsze, co możemy w tej chwili zrobić, to okopać się tu, jak to mówią, i przygotować na nadejście nocy. Pani i ja możemy bronić się, oczywiście, ale ta młoda dama... - Spojrzał ze współczuciem na Elenę, która wciąż stała w drzwiach z siostrą Gertrudę. - Cóż. Ją najlepiej umieścić w bezpiecznym miejscu, jak sądzę.

Siostra Gertrudę skinęła głową, zupełnie nieprzejęta sugestią, że jej kościół może po zmroku zostać zaatakowany przez wampiry.

- Na wszelki wypadek powieszę trochę czosnku na drzwiach. - Zakonnica dziarsko skinęła głową.

- Doskonały pomysł - pochwalił Holtzman. - Babcine sposoby zawsze są skuteczne.

- No i mam moją półautomatyczną berettę - dodała wesoło siostra Gertrudę, klepiąc się po habicie. - Ze srebrnymi kulami. To powinno załatwić parę tych kreatur.

Meena wytrzeszczyła oczy. Nic dziwnego, że miała złe przeczucia.

Ci ludzie byli kompletnymi wariatami.

W tej chwili Elena zaskoczyła wszystkich, mówiąc:

- Ja... - Stała opatulona absurdalnie wielką koldrą, podtrzymywana ramieniem niskiej, korpulentnej zakonnicy. - Ja... przeprasza - wydusiła wreszcie. Spod spuchniętej powieki wypłynęła łza i powoli potoczyła się po posiniaczonym policzku. - Ja nie chciała tobie dzwonić, Meena. Nie chciała cię wsadzić w kłopoty, jak ja w kłopoty. Ale on znalazł wizytówkę, co mi dałaś. Zaraz ją znalazł. I dzisiaj, nie wiem po co, kazali mi tobie dzwonić. Powiedziały, że zrobią mi tak samo... co innym dziewczynom, jak nie zadzwonię. Ja strasznie przeprasza!

Zakryła twarz drżącymi dłońmi i wybuchnęła płaczem. Siostra Gertrudę zaczęła uspokajająco cmokać i przytuliła szczupłe ciało Eleny do swojego obfitego biustu.

- No już, już, kochana. To paskudne, paskudne stwory. Nie możesz się obwiniać. Nie wiedziałaś.

- Ja nie wiedziała - szlochała Elena w habit siostry Gertrudę. - Ja nie wiedziała!

Meena wstała od stołu i podeszła, by położyć dłoń na plecach Eleny. Serce jej się ścisnęło na widok dziewczyny. - Nic się nie stało, Eleno. Dobrze, że do mnie zadzwoniłaś. Przecież cię prosiłam, pamiętasz? Powiedziałam, że ci pomogę, i pomogłam. - No, właściwie to Alaric pomógł. Ale to ona przyprowadziła ze sobą Alarica i jego miecz. - Ale muszę wiedzieć: jakie inne dziewczyny?

Elena uniosła posiniaczoną, mokrą od łez twarz z ramienia siostry Gertrudę.

- Dla bankierów. Gerald, on nie menedżer dla aktorek. - W oczach Eleny był niewymowny smutek. - On tylko chce dziewczyny, żeby karmić bankierów.

- Karmić bankierów? - Meena pokręciła głową, kompletnie skołowana... i przerażona. - Elena, o czym ty mówisz?

- Bankierów - powtórzyła Elena. Oczy miała wielkie z przerażenia. -
Co ich chcą przerobić na wampirów.

Rozdział 48

19.30 czasu wschodniego, sobota, 17 kwietnia
Parafia Świętej Klary ulica Sullivana 154 Nowy Jork

- Boże święty - powiedziała Meena, kiedy siostra Gertrudę odprowadziła Elenę do łóżka.

Dziewczyna wciąż szlochała; nie dało się z niej wydobyć żadnych spójnych informacji.

- Co? - Abraham Holtzman spojrział na nią nieprzytomnie. - Ach, tak. Siostra Gertrudę. Tak, bardzo pomogła podczas zamieszek spowodowanych awarią zasilania w siedemdziesiątym siódmym. Wiele osób myślało, że przyczyną było uderzenie pioruna. Ale tak naprawdę to...

- Proszę nie mówić. - Meena zacisnęła powieki. - Wampiry.

Zanim Abraham zdążył odpowiedzieć, w korytarzu przed kuchnią rozległy się ciężkie kroki.

Nagle sprężynowe drzwi otworzyły się z hukiem, ukazując Alarica Wulfa z kosmykiem jasnych włosów opadającym na oko.

- Czy on... nie żyje? - spytała z wahaniem Meena. Była rozdarta między nadzieją, że zabili Stefana, który zrobił tak straszną krzywdę Elenie, a przerażeniem, że może pragnąć czegoś tak okropnego jak czyjaś śmierć, nawet jeśli to wampir.

- Zrobiliśmy sobie przerwę. - Podszedł prosto do wielgachnej lodówki. - Pić mi się chce.

Meena patrzyła, jak sięgnął po mleko, wyprostował się i zaczął łąpać je prosto z butelki, nie zwracając sobie głowy nalewaniem go do szklanki.

No cóż, pomyślała. Zabijanie wampirów to jego praca. Nic dziwnego, że traktował ją trochę... nonszalancko.

A teraz, kiedy szef Alarica opowiedział o jego dzieciństwie, Meena sądziła, że rozumie też powody jego braku zdolności interpersonalnych.

- I co powiedział? - spytał Holtzman niecierpliwie swojego towarzysza. - Zaczął mówić, Wulf?

Drobne usta Alarica wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Dobre, Holtzman. Widzę, że jesteś dziś w nastroju do żartów.

- Posłuchajcie. - Meena patrzyła to na jednego, to na drugiego. - Naprawdę doceniam wszystko, co dla mnie robicie. Ale jeśli wam to nie

robi różnicy, to jestem zmęczona po tym ciężkim dniu i bardzo chciałabym już iść. A poza tym... - jej oczy błysnęły buntowniczo, choć

Alaric patrzył na nią łagodnie znad butelki z mlekiem, w żaden sposób jej nie prowokując - ...wiem, co na to powiecie, więc nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle próbuję, ale naprawdę uważam, że gdybym mogła porozmawiać z Lucieniem, oczywiście przez telefon, moglibyśmy bardzo wiele wyjaśnić. Pozwólcie mi do niego zadzwonić. Pewne rzeczy, o których mówiła Elena, wydaje mi się, że on o tym nie wie. A poza tym... - ostatnią część wypowiedziała w pośpiechu - Jack Bauer musi iść na spacer.

Alaric, wciąż trzymając w dłoni butelkę z mlekiem, zerknął na okna i gęstniejącą ciemność za nimi. Kiedy wspomniała o psie, przybrał wyraz twarzy, który Meena potrafiła opisać tylko w jeden sposób.

Jakby ktoś go kopnął w brzuch.

Ku jej zaskoczeniu nie skomentował w żaden sposób tego, co mówiła o Lucieniu. Mruknął tylko, jakby do siebie, odwracając oczy od okien:

- Pies. Zapomniałem o psie.

- Co? - Meena spojrzała najpierw w okna, potem na Abrahama Holtzmana, który zbladł. Nie musiała być jasnowiedzką, by wiedzieć, że napięcie w kuchni wzrosło o jakieś dziesięć punktów.

- Co to znaczy, że zapomniałeś o psie? Dlaczego masz taką minę?

Zanim którykolwiek z nich zdążył odpowiedzieć, sprężynowe drzwi znów otworzyły się i do kuchni wszedł jej brat. Ale w nim nie było ani krztyny nonszalancji, którą widziała u Wulfa.

Szurał nogami jak stary człowiek, był przygarbiony, miał otępiąły wzrok. Wydawało się, że patrzy przez Meenę na wylot. Nie wiedziała, czy w ogóle zauważył jej obecność, dopóki, podszedłszy do niej, nie wymamrotał:

- Meen... załuj, że cię przy tym nie było. To było nierealne.

Wtedy zdała sobie sprawę, że mówi o tym, co działo się w piwnicy domu parafialnego, z której od jakiegoś czasu nie słyszała żadnych krzyków. Dlatego spytała, czy' Stefan nie żyje.

- Nie chcę o tym słyszeć - powiedziała stanowczo. Nie pochwałała tortur, nawet w przypadku wampira, który bezlitośnie pobił młodą dziewczynę, a potem zmusił ją, żeby zadzwoniła do Meeny, by zastawić na nią pułapkę i porwać.

Zabić go na miejscu? Z tym na pewno nie miałyby problemu, szczególnie że przez całą jazdę taksówką do Świętej Klary Stefan Dominie syczał inwektywy pod jej adresem spod płaszcza Alarica,

nazywając ją dziwką diabła i całym mnóstwem równie ohydnych przezwisk...

...choć Alaric Wulf groził mu, że podniesie płaszcz i pozwoli mu się usmażyć w słońcu wpadającym przez okna samochodu. Ale z drugiej strony, zawsze była szansa, że dzięki rehabilitacji, i może miłości Shoshony, Stefan Dominie zdoła zmienić się na lepsze. Dlaczego nie? Lucien się zmienił. A przecież był księciem ciemności, rzekomo najbardziej podłym ze wszystkich demonów, z którymi wojowała Gwardia Palatyńska.

Więc gdyby zabili Stefana, zabiliby też wszelkie szanse na to, że pomogą mu stać się lepszym, łagodniejszym wampirem... takim jak Lucien.

- Zabijecie go?

- Chciałbym, ale nie mogę - odparł Alaric z żalem.

- Oczywiście że nie, panno Harper. - Abraham Holtzman wyciągnął jakąś książeczkę z kieszeni sztruksowej marynarki i zaczął kartkować. - Według Polityki kadrowej Gwardii Palatyńskiej - powiedział, odszukawszy odpowiednią stronę - „nieetycznym jest zabijanie jakiegokolwiek demonicznej istoty, gdy pozostaje ona naszym więźniem i jest zdana na naszą łaskę”. „Ten wampir oczywiście zostanie osądzony przez oficera Gwardii za swoje zbrodnie i stracony, jeśli okaże się winny.

Meena spojrzała na Alarica.

- Nie rozumiem, co wy właściwie robicie po całych dniach. Myślałam, że ścigasz demony i je zabijasz. Nie wspomniałeś o żadnych sądach.

- Och, zawsze jest sąd - zapewnił ją Alaric, który znieruchomiał z butelką w połowie drogi do ust. - Osądzam demony na miejscu i w ekspresowym tempie. A potem przeprowadzam egzekucję.

Popatrzyła na Abrahama Holtzmana, który szybko wyjaśnił:

- W ogniu bitwy, jeśli demon próbuje zabić kogoś z naszych łowców, oczywiście wolno im się bronić.

- No dobra, ale czy dowiedzieliście się w końcu, o co chodzi? - spytała niecierpliwie Alarica i Jona. Nie potrzebowała wykładów z Polityki kadrowej Gwardii Palatyńskiej. A z bolesnej miny Alarica wносиła, że on też nie jest zachwycony.

- Nic nie powiedział - odparł Jon. - A laliśmy wodą święconą nawet po...

- Mówiłam, że nie chcę wiedzieć - przerwała mu Meena, unosząc rękę dla wzmocnienia przekazu. Ale Jon nie zwracał na nią uwagi.

- Oni mają supermoc leczenia się, wiesz? To naprawdę niesamowite, Meen. Jak tylko im się coś zrobi, zaraz się goją, pod warunkiem że nie przebije się kołkiem ich serca albo nie utnie głowy. W ogóle ledwie to czują. No, może przez kilka sekund. Więc nie musisz się martwić. Twarz Stefana Dominica będzie jak nowa, zanim zaczną się zdjęcia. Prawda, Alaricu?

Wulf tylko wzruszył szerokimi barkami, nie miał ochoty brać udziału w tej rozmowie. Zajął się z powrotem butelką mleka i kalendarzem Ligi Pobożnych, wiszącym na ścianie.

- Chociaż może lepiej ostrzec Fran i Stana, że zatrudnili prawdziwego wampira - ciągnął Jon. - Doszedł już do siebie po wydarzeniach w piwnicy na tyle, by roześmiać się ironicznie. - Taylor może mieć opory przed tak bliskim kontaktem fizycznym z żywym trupem. Ale co ja tam wiem? Jestem tylko bezrobotnym analitykiem systemów...

Meena przerwała mu, zwracając się do Alarica:

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że zapomniałeś o psie?

Z ociąganiem odwrócił się od kalendarza i otworzył lodówkę, żeby schować niedopitą butelkę mleka. Omijał wzrokiem Meenę.

- Powiedz je Holtzman - rzucił, kiedy się wreszcie wyprostował.

Poczuła, że coś zimnego płynie jej po plecach. Nie podobał jej się ton Alarica Wulf a. Nie potrafiła go opisać, ale jej się nie podobał.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków - powiedział Holtzman.

Tym razem głos Alarica smagnał jak bat.

- Kiedy fakty są oczywiste?

- Za wcześnie, żeby mieć jakąkolwiek pewność bez właściwej...

- Dlaczego - spytał gniewnie Alaric - wampiry zaatakowały Meenę Harper?

Dopiero teraz spojrział na nią, a kiedy to zrobił, znów uderzyło ją, jak przeszywające i błękitne są jego oczy. Miały kolor nieba. Kolor oceanu.

Kolor błękitnego płomienia.

Lodowata kropla potu na plecach Meeny zmieniła się w strużkę.

- Powinna być najbezpieczniejszą kobietą w całym mieście - mówił Alaric. - Jest wybraną. Kochanką księcia ciemności. Nikt nie powinien ważyć się choćby tknąć jej palcem, w obawie przed jego gniewem. To, co się dziś stało, w ogóle nie powinno się wydarzyć. A jednak wydarzyło się. Zadawałem sobie to pytanie tysiąc razy. Dlaczego? I myślę, że jest tylko jedna odpowiedź.

Abraham Holtzman jęknął w proteście. Meena i Jon odwrócili głowy w jego stronę. Opuścił Politykę kadrową Gwardii Palatyńskiej i patrzył na Alarica.

- Nie, Wulf. To niemożliwe.

- Nie? Więc jakie jest inne wyjaśnienie?

- Oczywiście - odparł. - Jeśli to nie był sam książę, to kilku zbuntowanych Smoków. Przecież wiesz, że to się zdarza od czasu do czasu. Jak wtedy, kiedy ty i Martin zostaliście zaatakowani w tym magazynie.

- Więc dlaczego on tak boi się nam o tym powiedzieć? - spytał gniewnie Alaric.

Meena aż podskoczyła, słysząc jego ostry ton.

O czymkolwiek rozmawiali, Alaric głęboko wierzy! w to, co mówił.

Na tyle głęboko, że chciał wybić szefowi z głowy wszelkie inne możliwości.

- Jeśli nie odpowiada przed żadnym autorytetem, dlaczego tak się boi podać nam nazwisko tego kogoś, kto kazał mu przystawić pistolet do pleców Meeny? - huknął Alaric tak głośno, że zadzwieczały garnki wiszące nad kuchenką. - Powiedz mi, Holtzman. Spróbowałem wszystkich sztuczek z tym chłopakiem na dole i nie uzyskałem nic. Nic! To się dzieje, Holtzman.

Przyjmij to wreszcie do wiadomości. Oni nie przyjdą dziś po Stefana Dominica. Oni chcą jej. I od początku chcieli jej.

Zerknęła na Abrahama, żeby sprawdzić, jak przyjął tę wieść. Był blady jak ściana. Zimny strumyczek potu na jej plecach zlodowaciał.

- O rety - powiedział Holtzman. - W takim razie... w takim razie powinienem chyba zadzwonić do bazy.

- O czym wy mówicie? - Meena była wściekła. Lodowiec wspinający się po jej plecach zmienił się w czapę polarną. - Co to wszystko ma wspólnego z moim powrotem do domu, żeby wyprowadzić psa?

Alaric zamrugał, jakby dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że ona tu stoi.

- Do domu? Ty już nigdy nie wrócisz do tego mieszkania.

Rozdział 49

20.00 czasu wschodniego, sobota, 17 kwietnia
Parafia Świętej Klary Nowy Jork

- Co? - krzyknęła Meena. To słowo odbiło się rykoszetem po kuchni, jak kula z pistoletu.

- Hej. - Jon uniósł rękę. - Nie tak szybko. Myślę, że powinniśmy sami móc zdecydować, czy chcemy podjąć ryzyko...

- Chcecie decydować za siebie? Dobra.

Alaric wyjął z kieszeni marynarki zdjęcie swojego partnera, to, na którym brakowało mu połowy twarzy, i uniósł je, żeby wszyscy widzieli.

- Pamiętacie to? - spytał brutalnie. - Właśnie to was spotka, jeśli wróćcie do mieszkania. Bo oni będą tam na was czekać. I to jest najmniejsza krzywda, jaką mogą wam wyrządzić.

- Co? - wykrzyknęła Meena, tym razem trochę ciszej. - Ale... dlaczego?

- Wojna - wyjaśnił Abraham Holtzman. - Alaric uważa, że wpadliśmy w sam środek wojny wampirów. I choć przykro mi to mówić, biorąc pod uwagę fakty, muszę się z nim zgodzić.

- Wojny wampirów? - Meena patrzyła to na jednego, to na drugiego. Przypomniała sobie dziwną reakcję Luciena, kiedy sama, kilka wieczorów wcześniej, wypowiedziała te słowa na tarasie hrabiny.

- Tak jest - powiedział Alaric. On, w przeciwieństwie do swojego szefa, nie zamierzał łagodzić tonu. On nigdy nie owijał niczego w bawełnę. - A ty, Meena Harper, jesteś sztandarem, który chcą zdobyć obie strony. Dlatego nie możesz wrócić do swojego mieszkania.

Rzuciła się w stronę najbliższego krzesła, bo jej kolana nagle zmieniły się w galarete.

- Wojna? Z kim? Między kim a kim? - I dodała: - A co z Jackiem? W tym mieszkaniu jest mój pies. Co się stanie z moim psem?

Wiedziała, że martwienie się o psa nie ma sensu. Ostatecznie to był tylko pies. Ale miała tylko jego.

Dostrzegła, że Alaric Wulf znów zerknął na nią i zmarszczył brwi.

O co chodziło z tymi oknami? Dlaczego wszyscy mieli taką obsesję na punkcie okien?

- Zaraz - odezwał się Jon. - Wojna wampirów? Słucham? O co tu chodzi? I co to ma wspólnego z moją siostrą?

Abraham Holtzman wyjaśnił cierpliwie:

- Alaric mówi o bitwie o tron księcia ciemności. Kiedy Dracula zawarł pakt z mrocznymi siłami, żeby otrzymać życie wieczne w zamian za swoją nieśmiertelną duszę, został namaszczony jako władca tego, co nieświęte, dziedzic Pana Mroku czy też nadzorca wszelkich szatańskich dzieł na ziemi. Kiedy pozbyliśmy się Draculi, ten tytuł przeszedł na jego najstarszego syna, księcia Luciena, kochanka pańskiej siostry.

Meena się skrzywiła.

- Mamy powody sądzić, że Lucien Dracula jest swego rodzaju anomalią w wampiryzmie - ciągnął Holtzman, zaglądając w wyświechtaną książeczkę, którą trzymał w dłoni. - Jego matka, jak być może wiecie, była ponoć anielską istotą i niektórzy twierdzą, że to mogło mieć...

- Holtzman - przerwał mu Alaric. Kiedy Abraham spojrział na niego, wskazał palcem okna. - Streszczaj się.

- A, tak, tak. - Abraham zamknął Politykę kadrowa ku uldze wszystkich. - No więc Lucien ma przyrodniego brata...

- Dimitriego - wtrąciła Meena słabym głosem. Widząc zaciekawione spojrzenie Abrahama, wyjaśniła:

- Lucien mi powiedział. Nie przepada za swoim bratem. I nie ufa mu.

- Tak, no cóż, nie bez powodu. - Abraham pokiwał głową. - Dimitri Antonescu, bo chyba tak się teraz nazywa, to paskudny typek. Z zupełnie innej matki. Ambitnej, chciwej kobiety. I z tego, co słyszałem, on jest taki sam. Zamordował własną żonę. Nie podobało mu się, że tron przypadł starszemu bratu. Nigdy nie godził się z tym, w jaki sposób Lucien zarządza sprawami od śmierci ojca. Chce przejąć wszystko, sądząc z plotek, które słyszałem...

Jon zamrugał.

- Myśli pan, że to Dimitri wysłał Stefana Dominica, żeby schwytał twoją siostrę?

- Tak - powiedział rzeczowo Alaric. - Chcieli posłużyć się nią, by przekonać Luciena do oddania tronu albo przynajmniej sprowokować go do jakiegoś głupiego posunięcia, żeby Dimitri mógł go wciągnąć w pułapkę i zabić, a potem przejąć tron.

- Zapewne jakimś sposobem dowiedział się, że jego brat, hm, widuje się z panią, panną Harper - wyjaśniał dalej Abraham. Meena doceniła jego delikatność. - I że jest pani w kontakcie z Eleną...

- Dałam jej wizytówkę - mruknęła, wciąż oszołomiona odkryciem, że idąc do łóżka z Lucieniem Antonescu, straciła ukochanego psa,

mieszkanie, a sądząc z tego, że Smoki najwyraźniej wiedziały o niej wszystko, zapewne i pracę...

Właściwie całe swoje życie.

Ale co z Lucieniem? Gdzie on był? Wiedział o tym wszystkim? Był bezpieczny? Gdyby tylko pozwolili jej do niego zadzwonić!

- Tak, tak, oczywiście - ciągnął podekscytowany Abraham. - Prawdopodobnie znaleźli wizytówkę w rzeczach Eleny, a później skojarzyli fakty. Mój Boże. Robią się coraz bardziej przebiegli, nie sądzisz, Alaricu?

- Potrafią czytać w myślach - powiedziała Meena, czując mdłości. - Kiedy wczoraj widziałam się w pracy ze Stefanem... nie skojarzyłam go ze zdjęciem, które pokazała mi Elena, ale wiedziałam, że coś jest nie tak. Musiał to wyczuć... i mój związek z Lucieniem...

Ukryła twarz w dłoniach. To wszystko jej wina, bo była po prostu głupia.

- No widzi pani - mówił Abraham niemal wesoło. - To wszystko wyjaśnia. Więc pewnie poszedł do Dimitriego...

Jon przerwał mu.

- Jechałem windą z tym całym Stefanem i jego agentem czy ktokolwiek to jest. Miał na imię Dimitri.

Po tych słowach nastąpiło kilka sekund ciszy. Odezwał się Alaric:

- Jechałeś windą z jednym z najbardziej zdeprawowanych wampirów wszech czasów Dimitri Antonescu, czy też Dracula, ustępując okrucieństwem, moralnym zepsuciem i rozpasaniem tylko swojemu ojcu. Masz szczęście że żyjesz.

Teraz i Jon osunął się na krzesło.

- Szit - powiedział, blednąc. Jego twarz stała się biała jak koszula.

Meena nie dziwiła się mu. Doskonale wiedziała, jak się czuje.

Ale zmieniła zdanie, kiedy spytał:

- A co z naszymi rzeczami w mieszkaniu? Niby co mamy teraz zrobić? Ubiegać się o pomoc rządową? Wątpię, żeby nam uwierzyli, kiedy powiemy, że straciliśmy mieszkanie przez wojnę wampirów.

- Jon! - wykrzyknęła oburzona.

- No co. - Zamrugał ze zdumienia. - Na litość boską, tracimy nasz cały majątek. Pomyśl o swojej nowej torebce. Była warta z pięćset dolców.

Kiedy wspomniał o torebce, którą dał jej Lucien, Meena poczuła, że coś w niej wybuchło.

- To jakiś absurd - wykrzyknęła, zrywając się na nogi, choć trzęsły jej się kolana. Wrzeszczała głównie na Alarica, który stał oparty o szafki, z

rekami założonymi na piersi, i patrzył na nią. Jego małe usta skurczyły się do rozmiarów winogrona. - Musicie mnie puścić do domu! - Oczywiście nie chodziło o torebkę. Chodziło o coś znacznie ważniejszego. - Albo przynajmniej pozwolić mi zadzwonić do Luciena. On może to powstrzymać. Naprawdę może.

- Ale my nie chcemy tego powstrzymywać - powiedział wprost Alaric.

- Co? - To był chyba największy idiotyzm, jaki słyszała tego dnia. - Dlaczego nie?

- Leży w naszym interesie - wyjaśnił skwapliwie Abraham Holtzman - żeby walczące wampiry same się unicestwiły. Byle tylko cywilom nie groziło.

Potrzebowała chwili, zanim dotarło do niej w pełni znaczenie jego słów, ale kiedy dotarło, poczuła się, jakby dostała pięścią w twarz.

Więc oczekiwali, że ona tak po prostu pozwoli, by Lucien został zaatakowany przez brata i klan Draculi? Że nie kiwnie palcem, by go ostrzec czy pomóc mu?

Oczywiście że, tego oczekiwali. On ich nie obchodził. Widzieli w nim tylko to jedno: Księcia ciemności.

- Więc jeśli Lucien - powiedziała słabo - pójdzie do mieszkania, żeby mnie znaleźć...

- Właśnie na to mają nadzieję - uściślił Alaric. - Będą tam na niego czekać.

Jej oczy napełniły się łzami. Nie spuszczał z niej wzroku.

- Och, po prostu cudownie. - Głos trząsł się jej tak samo mocno jak kolana. - Niech wampiry same się wykończą. Ale jak widać nikogo nie obchodzi, co się stanie z moim psem!

Kiedy wypowiedziała ostatnie słowo, przez kuchenne okno wpadł jakiś pocisk, zasypując wszystko tłuczonym szkłem.

Coś ciężkiego i twardego uderzyło Meenę w brzuch, aż runęła na podłogę. Z opóźnieniem zorientowała się, że był to Alaric Wulf. Powalił ją własnym ciałem niemal tak samo jak wczorajszego wieczoru.

Ale tym razem nie po to, żeby zapobiec jej ucieczce. Chciał osłonić ją przed płomieniami koktajlu Mołotowa, który rozprysnął się na ścianie.

- Nic ci nie jest? - Podniósł głowę; jego twarz była ledwie parę centymetrów od jej twarzy.

Impet jego ciała, kiedy cisnął ją o podłogę i przygniótł, pozbawił ją tchu. Jutro będzie obolała, ale poza tym nic jej się nie stało. Kiwnęła głową i sapnęła:

- Jon?

- Jestem cały!

Wejrząwszy zza szerokiego barku Alarica, dostrzegła rękę machającą spod stołu.

- W porządku - krzyknął Jon. - Ale wszędzie jest pełno szkła. I ściana się pali.

- Schowajcie się! - Abraham pobiegł do zlewu, żeby napełnić dzbanek wodą i ugasić płomień. - Trzymajcie się z daleka od okien. Zaczyna się.

Wahadłowe drzwi otworzyły się z impetem i jakiś mężczyzna w koloratce zawołał:

- Nikomu nic nie jest? Zdawało nam się, że słyszeliśmy... O rety.

- Tak, tak - powiedział Abraham. - Pewnie śledzili Alarica ze śródmieścia, tak jak się obawialiśmy. Musimy dopilnować, żeby ojciec Joseph zamknął kościół na noc. Trzeba będzie odwołać wieczorną modlitwę. Na terenie parafii nie może być żadnych cywilów. Proponuję wywiesić tablicę, że mieliśmy wyciek gazu. Jon, proszę iść sprawdzić, jak ojcu Bernardowi idzie struganie kołków z zeszłorocznego żłóbka.

- Już się robi. - Jon wysliznął się spod stołu; w tej samej chwili Alaric uwolnił Meenę od swojego ciężaru i podał jej rękę, żeby pomóc wstać.

Spojrzała przez ramię na dymiącą ścianę kuchni i wyszła za Alarikiem na korytarz. Zakonnice i zakonnicy - parafia Świętej Klary była obsługiwana przez franciszkanów, jako że po sąsiedzku znajdował się klasztor - pędzili na swoje stanowiska bojowe. Meena w życiu nie widziała tylu krucyfiksów.

- Alaric - rzuciła bez tchu. - Proszę, pozwól mi zadzwonić do Luciena. Muszę z nim natychmiast porozmawiać. On ich powstrzyma. Jest ich księciem. Posłuchają go.

Roześmiał się ponuro rozbawiony jej naiwnością.

- Nie dotarło do ciebie? Nie posłuchają go, skoro wszczęli przeciwko niemu rebelię. Uwierz mi, że tak jest. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, myślę, że właśnie o to chodziło z tymi ciałami zabitych dziewczyn.

- Co masz na myśli?

- Przynęta - odparł enigmatycznie. Pokręciła głową. Czasami był taki wkurzający.

- Nie wiem, o czym mówisz. Elena wspomniała coś o bankierach...

- Bankierach? - Szedł długim krokiem przez budynek, omijając zakonnice z kuszami.

- Alaric. Dokąd idziesz?

Jej pytanie powtórzył znajomy głos zza ich pleców:

- Wulf! - krzyknął Abraham Holtzman. - Dokąd się wybierasz?

Alaric zatrzymał się, Meena wpadła na niego. Powoli odwrócił się w korytarzu, żeby spojrzeć na szefa, który wychylał się z kuchennych drzwi.

- Idę - odparł stanowczym tonem - po psa.

- Po psa? - Meena gwałtownie odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. - Ale...

Abraham Holtzman przerwał jej zirytowany:

- Chyba nie mówisz poważnie, Wulf. Mamy tu regularną bitwę. Potrzebujemy cię! To samobójcza misja. Wejdiesz prosto w pułapkę.

- Jestem do tego przyzwyczajony. Masz tu więcej wyszkolonych żołnierzy, niż potrzebujesz. Siostra Gertrudę potrafi zabić wampira z zamkniętymi oczami. Ojciec Bertrand załatwił sześć naraz po zeszlorocznych jasełkach aniołkiem z choinki.

- Nie o to chodzi, Wulf - syknął Abraham, zniżając głos, gdy jeden z nowicjuszy, słysząc jego poprzednie słowa, zachichotał nerwowo. - Nie zgrywaj bohatera tylko po to, żeby zaimponować dziewczynie.

Meena, do której dotarło, że o niej mowa, chciała wyjaśnić, jak błędnie Abraham ocenia sytuację. Alaric Wulf jej nie cierpiał.

- Skończy się na tym, że cię zabiją - ciągnął Abraham. - Naprawdę potrzebujemy cię tu, jeśli jeszcze sam nie zauważyłeś.

- Wróć z psem za niecałą godzinę. - Alaric zniknął za kolejnymi wahadłowymi drzwiami.

- Uparty głupiec. - Abraham, przewracając oczami, wrócił do kuchni.

Meena spoglądała to na jedne drzwi, to na drugie; zrozumiała, że narobiła więcej szkody niż koktajl Mołotowa. Jak jej się to bez przerwy udawało?

Pognała za Alarikiem.

- Czekaj - zawołała.

Był już w holu i przypinał miecz do pasa. Sądząc po spojrzeniu, jakie posłał jej spod jasnej grzywki, która znów opadła mu na te jego błękitne oczy, nie był zachwycony jej widokiem. I nie dziwiła się mu.

- Czego chcesz?

Nagle, jakby dopiero teraz, dotarło do niej, jaki jest wielki. Jego dłonie, stopy - wszystko w nim było wielkie, wręcz ogromne. Kiedy wchodził do pomieszczenia, nie wchodził tak po prostu. On wpadał, wracał, przytłaczał je całe swoim ogromem.

Nie potrafiła zliczyć, ile razy przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny żałowała, że wszedł w ten sposób w jej życie.

A teraz, kiedy ją ocalił - i to dwa razy - nie potrafiła wyrazić słowami, jak jest wdzięczna, że jednak się w nim zjawił. A przecież zawodowo pisała dialogi.

- Przepraszam. Nie chodziło mi o to, że chcę, żebyś ty po niego poszedł. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego wielkiego nadgarstka. - Nie musisz tego robić.

Jego dłonie, zajęte przypinaniem miecza, znieruchomiały.

- Owszem - powiedział w stronę wydeptanej wykładziny w kwiatki. - To moja wina. Nie powinienem był zapomnieć o psie.

- Przecież nie wiedziałeś, Alaricu. - Oplotła palcami jego nadgarstek. Jego skóra była ciepła we wszystkich tych miejscach, w których skóra Luciena była tak dziwnie chłodna. - Nie wiedziałeś, że tak się stanie. Skąd mogłeś wiedzieć?

- Ty wiedziałaś. - Rzucił w nią te słowa niemal oskarżycielko. Teraz na nią patrzył; niebieskie oczy badawczo studiowały jej twarz. - Ty wiesz o wszystkim, zanim się to stanie.

- Nie. - Bezpośredniość spojrzenia Alarica wytrącała ją z równowagi. - Nie wszystko. Tylko... no wiesz.

- Tak - mruknął, spuszczaając wzrok. - Wiesz tylko to, jak umrą ludzie. Ale nie psy.

Pokręciła głową.

- Nie. Nie psy. Ale posłuchaj. - Wysunęła podbródek, próbowała zdobyć się na dzielny uśmiech. - Zapomnij, co mówiłam przedtem. Jack Bauer sobie poradzi. Sam powiedziałeś, że to wampirzy pies. Będzie umiał o sobie; zadbać. Więc zostań. Naprawdę. Chcę, żebyś tu został. Ją zostają. Proszę cię, zostań ze mną.

Spojrzał jej w oczy, mrużąc powieki.

- Nie musisz się martwić. Holtzman cię obroni, kiedy mnie nie będzie.

- Mnie obroni? - Zupełnie nie zrozumiał, co próbowała mu powiedzieć. - Ja się nie martwię o siebie.

Miał niepewną minę.

- Mnie się nic nie stanie. A ty chcesz swojego psa.

- Alaricu. - Podbródek zaczął jej się trząść i doskonale zdawała sobie sprawę, że jej dzielna mina zaraz się rozplynie. - Możliwe że jednak ci się coś stanie. I choć bardzo kocham Jacka Bauera, to jednak ty jesteś człowiekiem, a on tylko psem.

Jego spojrzenie było nieodgadnione.

- Jak? - zapytał ją z ciekawością. Teraz to ona nie zrozumiała.

- Słucham?

- Jak to się stanie? - Znów zajął się zapinaniem pasa. - Moja śmierć. Widzisz ją, prawda? Myślisz, że jeśli pójdę, to zginę. Więc jak to jest tym razem? Nie na basenie. Ciągłe widzisz to ciemne miejsce? I ogień?

- Nie - skłamała. - Ależ skąd. Widzę, jak przeżywasz długie, szczęśliwe życie i umierasz jako staruszek w jakimś raj dla emerytów. Może na Florydzie. W Palm Beach?

Było za późno. Zauważył łzy w jej oczach. Jego szerokie ramiona zeszytywniały i odwrócił się od niej, by sięgnąć po swój czarny płaszcz, na wieszaku przy drzwiach.

- Kłamiesz - powiedział. Nigdy nie spędziłbym emerytury na Florydzie. Prędeż na Majorce. Albo Antigui, Ale nie na Florydzie. Nie powinnaś okłamywać gwardzisty, żeby chronić jego uczucia. Informacje, które możesz nam dostarczyć przed misją, mogą ocalić nam życie. - Włożył płaszcz i spojrzał na nią tymi niesamowitymi niebieskimi oczami. - Nigdy więcej mnie nie okłamuj, Meeno. Przyrzeknij.

Mruganiem odpędziła łzy, które wciąż wisiały jej na rzęsach.

- Doprze - powiedziała szorstko. - Przyrzekam. Widzą dla ciebie śmierć w ciemności i dymie. Zadowolony?

- No proszę. - Poweselał. - Widzisz dobrze wiedzieć. To mi się podoba. - Niezgrabnie dźgnął palcem w jej mostek, a potem w swój. - Musimy nauczyć się lepiej komunikować, jeśli w przyszłości mamy pracować razem.

- Co? - Pokręciła głową, nie rozumiejąc. Drapało ją w gardle i z emocji, i od dymu, którego nawdychała się w kuchni. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Dlaczego mielibyśmy pracować razem w przyszłości? Próbuję ci powiedzieć, że jeśli to zrobisz, nie będziesz miał przyszłości. Ale skoro mnie nie słuchasz, to chcę pójść z tobą.

- O nie - zaśmiał się ponuro.

- Ale to dla mojego psa ryzykujesz życie...

- Nie. - Pokiwał jej przed nosem wielkim palcem. - I jeśli cię przyłapię, że za mną idziesz, przykuję cię do czegoś dla twojego własnego bezpieczeństwa. Nie sądz, że tego nie zrobię.

Wierzyła mu.

- Wiem, że to zrobisz. Więc przynajmniej pozwól - masz.

Ściągnęła apaszkę, którą miała zawiązaną na szyi.

Alaric spojrzał w dół, kiedy zaczęła obwiązywać delikatny, czerwony materiał wokół jego nadgarstka, tego, który przed chwilą trzymała.

- Co to jest? - Jego głos brzmiał trochę dziwnie.

Dar, pomyślała. Od damy dla świętego Jerzego, który idzie bić się o nią ze smokiem. Chyba traciła resztki zdrowych zmysłów.

Nie było mowy, żeby powiedziała Alaricowi Wulfowi to o damie i rycerzu.

- Nie wiem - odparła, starając się powstrzymać łzy które znów napłynęły do oczu. - Chyba amulet na szczęście. Skoro naprawdę idziesz i nie pozwalasz mi iść z tobą.

- O, idę - zapewnił ją, kiedy ściągnęła mu rękaw, zasłaniając apaszkę. - I to sam. Gwardia Palatyńska nie zostawia nikogo na polu walki. To się tyczy również psów.

- Więc masz jeszcze to na szczęście - dodała głosem zdławionym od łez.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Jego brew uniosła się, małe usta skurczyły jeszcze bardziej niż zwykle z... zaskoczenia? Dezaprobaty? Nie mogła zgadnąć.

- Meeno Harper - powiedział, patrząc na nią z przejęciem.

- Tak?

- To dla ciebie. - Wsunął jej w dłoń coś długiego i twardego. - Nie bój się tego użyć.

Po czym otworzył drzwi domu parafialnego, rozejrzał się na zewnątrz i wyszedł za próg, zatrząskując je za sobą. Poszedł.

Meena spojrzała, co takiego Alaric Wulf włożył jej w dłoń.

Zaostrzony drewniany kołek. Nie mogła się nie uśmiechnąć. Alaric był taki wkurzający. Więc dlaczego stała tu i płakała?

- Tu jesteś.

Jon wyszedł z korytarza. Trzymał kilka plastikowych dzbanków na mleko.

- Chcieli, żeby ktoś je napełnił święconą wodą. Zgłosiłem się na ochotnika. Więc czy mogłabyś pójść i nabrać trochę z chrzcielnicy?

Pospiesznie otarła łzy z policzków i wsunęła kołek do kieszeni dzinsów:

- Jasne.

Wiedziała, co musi zrobić. Co powinna była zrobić dawno temu.

- Jon?

Szedł już korytarzem. Słyszając swoje imię, odwrócił się.

- Tak, Meen? Co?

- Nic. Tylko... - Podeszła do niego z opuszczoną głową, szurając nogami. - Trochę się boję. Czy mój starszy brat mógłby mnie przytulić?

- Oczywiście. - Otworzył szeroko ramiona. Kiedy trzymał ją w objęciach, mówił znad jej głowy:

- To dopiero szaleństwo, co? Zawsze myślałem, że to twoje jasnowidzenie jest niesamowite. Ale wampiry?

- Rety, dzięki, Jon - wycedziła Meena kwaśno, z policzkiem na jego sercu. - Ty zawsze wiesz, co powiedzieć, żeby dziewczyna poczuła się lepiej.

- No cóż - mruknął speszony. - Przepraszam. Wiesz, co miałem na myśli.

- Tak - odparła. Odsunęła się od niego i uśmiechnęła przez łzy. - Wiem. I dzięki. Przepraszam, że zniszczyłam nam obojgu życie.

- Nic się nie stało. - Poczochrał jej włosy. - Nie martw się. Alaric na pewno szybko wróci z Jackiem, obaj będą cali i zdrowi. A teraz idź je napełnić. - Wepchnął jej dzbanki w ręce. - Ja muszę lecieć. Abraham ma mnie nauczyć, jak najlepiej obciąć wampirowi głowę. - Potruchtał z powrotem do kuchni.

Patrzyła za nim, póki nie zniknął. Uniosła rękę. Trzymała w niej komórkę, którą wyłuskała mu z kieszeni dzinsów, kiedy ją obejmował.

Sprawdziła, czy bateria jest naładowana.

Ekran telefonu rozbłysnął natychmiast.

Doskonale.

Bo miała do wykonania ważny telefon.

Rozdział 50

10.30 sobota, 17 kwietnia
Klub Concubine Lounge
ulica Jedenasta Wschodnia 115 Nowy Jork

Lucien Antonescu możliwie spokojnie wysłuchał wyznania swojego kuzyna Emila, że jego żona Mary Lou wiedziała o zdolności Meeny Harper do przepowiadania śmierci - wiedziała o tym na długo przedtem, zanim ich ze sobą poznała. A właściwie był to powód, dla którego ich poznała.

To, że Mary Lou wybrała dla niego młodą kobietę posiadającą tak niezwykły talent, bardzo mu pochlebiało.

Ale to, że rozpowiedziała wszystkim znajomym o tym talencie, narażając Meenę na takie niebezpieczeństwo?

Tego nie mógł przyjąć ze spokojem.

Jeszcze nad ranem, patrząc na śpiącą Meenę, i przed rozmową z Emilem, podjął kilka decyzji.

Po pierwsze, oczywiście nie będzie mógł wrócić na swoje uniwersyteckie stanowisko w Rumunii ani do żadnego z tamtejszych domów.

Skoro Gwardia Palatyńska wiedziała już, kim jest. I oczywiście znów będzie musiał zmienić nazwisko. O dziwo, te niedogodności nie rozżłościły go tak bardzo, jak zapewne rozżłościłyby, gdyby nie poznał Meeny. Jej obecność w życiu Luciena sprawiała, że wszystko, co do tej pory wydawało mu się nieznośne, teraz trochę go irytowało.

Oczywiście Gwardia Palatyńska nie była już organizacją, która zadowalała się ściganiem swojej zdobyczy pieszo i wbijaniem staromodnego kolka w serce.

O nie. Czasy się zmieniły.

Teraz wykorzystywali wysokiej klasy technologie, by śledzić finansowe zasoby i nieruchomości wroga, monitorowali konta bankowe nawet w krajach, które uznawały naruszenie tajemnicy bankowej za przestępstwo, jak Szwajcaria czy Kajmany. Jeśli nie mogli schwytać potwora, znajdowali sposoby, by przejąć jego pieniądze. I robili to z bezwzględnością, jakiej pozazdrościłaby im nawet CIA...

...gdyby nie działali w tak głębokiej tajemnicy, że nawet CIA nie wiedziała o ich istnieniu.

Pieniądze były większym problemem niż cokolwiek innego. Nie miałby nic przeciwko, żeby zaczynać od zera, gdyby był sam.

Ale nie mógł prosić o to Meeny. To niemożliwe.

A nigdzie nie wybierał się bez Meeny... mimo jej nalegań, by nigdy więcej nie pukał do jej drzwi.

Teraz już nigdy nie może czuć się bezpieczna. Każdy wampir na świecie będzie chciał jej posmakować. Doświadczyć tego, czego doświadczył Lucien - osiąść umiejętność przewidzenia śmierci każdej istoty ludzkiej, z jaką nawiąże kontakt.

Krew Meeny, krążąca w żyłach Luciena, wyostrzyła także jego inne zmysły, jak żadna inna krew, jaką zdarzyło mu się pić.

Wiedział, że nikomu nie może się z tego zwierzyć. W zwykłych okolicznościach sam fakt, że Meena była jego, stanowiłby dostateczną ochronę.

Ale to nie były zwykłe okoliczności. Gwardia Palatyńska miała ją w rękach i dowiedziała się o nim. Jak mógł ją należycie chronić? Nie mógł jej nawet znaleźć, nie mógł się z nią skontaktować. Jego gorączkowe telefony przełączały się wprost na pocztę głosową. Jej mieszkanie, według Emila, któremu kazał siedzieć na miejscu, dopóki nie znajdzie Meeny, stało puste; został w nim tylko jej: pies. Według raportów kuzyna wyglądało na to, że przez cały dzień nie było tam nikogo, a przynajmniej żadnego człowieka. Czyżby porzucili dom?

Oczywiście że nie. Wiedziałby, wyczułby na pewno, gdyby coś jej się stało.

Ale nie czuł nic... nic, prócz przerażenia i ucisku w piersi, w miejscu, gdzie było kiedyś jego serce. Od wieków nic nie czuł w tym miejscu. Do chwili, kiedy Meena Harper zjawiała się w jego życiu.

Potem dostał od Emila telefon, który wszystko zmienił:

Zapłakana i skruszona Mary Lou, która koniecznie chciała naprawić swój błąd i pomóc jak się da, surfując po Internecie, trafiła na plotkę, że w jadłodajni w śródmieściu miał miejsce incydent, w którym brał udział mężczyzna z mieczem...

...i przyjaciel pewnego gwiazdora popularnej opery mydlanej.

Oczywiście mogło chodzić tylko o gwardzistę Meeny. I syna Dimitriego, Stefana. Jedyne wyjaśnienie.

Ledwie Lucien usłyszał imię „Dimitri”, wskoczył do zaciemnionego samochodu Emila i pojechał do centrum, do klubu swojego brata. Jeśli odkryje, że brat miał cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Meeny... Jeśli on czy ten idiota, jego syn, tknęli ją choćby palcem...

Nawet najgłębsza dziura na świecie będzie za płytka na ich grób.

Ale kiedy zajechał do Concubine, klub był już zamknięty.

Oczywiście Lucien niezbyt się tym przejął. Po prostu wybił kopniakiem drzwi.

Pusty klub robił dziwne wrażenie. Z zapalonymi światłami, bez sztucznego dymu stracił sporo ze swojej tajemniczości. Jedynym błyszczącym przedmiotem w dużej sali, otoczonej czarnymi aksamitnymi zasłonami, był metaliczny blat baru. Lokal nie lśnił czystością, podłoga lekko się kleiła.

Może ekipa sprzątająca jeszcze nie przyszła.

A jednak Lucien, ze swoimi zmysłami wyostrzonymi dzięki Meenie, czuł, że jest tu kilka dusz - ludzkich, i w ogromnym niebezpieczeństwie...

...i to nie przez niego.

- Halo? - zawołał. Gdzie ci wszyscy ludzie? Dlaczego ich nie widzi?

Jego głos rozległ się głuchym echem po sali tanecznej, barze, kącie dla VIP-ów. Nikogo. Nic.

Gdzie jego brat? Dlaczego Luciena tak bardzo ciągnęło do tego miejsca, skoro źródła jego wszystkich kłopotów - Dimitriego - tu nie było?

Nagle coś usłyszał. Ciężkie kroki dobiegające z frontowej części budynku.

- Mogę w czymś pomóc?

To Reginald, stuczerdziestokilogramowy ochroniarz i bramkarz Dimitriego, jak zawsze dumnie prezentujący swoje imię na plakietce na złotym łańcuchu. Jego ciemna głowa błyszczała świeżutko ogolona.

- Witaj, Reginaldzie. - Lucien szczerze ucieszył się, że go widzi. To będzie proste. Niektórych ludzi, jak Meeny, nie dało się kontrolować, gdyż ich umysły były zbyt przepełnione czy poranione.

Ale umysł Reginalda to jak otwarta równina.

- Jak pan się tu dostał? - Ochroniarz miał w dłoni pistolet, który trzymał na modłę hollywoodzkich gangsterów; bokiem, zamiast pionowo, podtrzymując nadgarstek drugą ręką, by pewniej celować.

Lucien ucieszył się jeszcze bardziej. Biedny Reginald.

- Opuść pistolet, synu. Pamiętajsz mnie. Byłem tu niedawno z wizytą u brata.

Reginald posłusznie opuścił broń.

- Ach, tak. - Rozpoznał go. - To pan sponiewierał pana Dimitriego.

- Zgadza się. - Lucien uśmiechnął się ciepło na to wspomnienie. - Przyszedłem zrobić to jeszcze raz. Nie wiesz przypadkiem, gdzie teraz jest pan Dimitri?

Reginald pokręcił głową, wtykając pistolet z powrotem za gumkę dresowych spodni, choć zdaniem Luciena to nie najlepsze miejsce na naładowaną broń.

- Nie - powiedział Reginald. - Wszyscy byli czymś strasznie nakręcani i poszli sobie jakiś czas temu. Zostałem tylko ja. Nie powiedzieli, kiedy wrócą ani nic. Nawet nie wiem, czy mam dziś otwierać, czy jak.

- Interesujące. A nie wiesz przypadkiem, czym się tak „nakręcili”?

- A skąd. Nikt mi nigdy nic nie mówi.

Lucien sięgnął do mózgu mężczyzny swoimi myślami i wysondował go delikatnie. Mówił prawdę. Nic nie wiedział... oprócz...

- Jesteśmy tu sami?

- Nie - przyznał Reginald. Lucien czuł jego strach. Ostry i zimny jak nóż. - Są jeszcze ci w piwnicy.

- W piwnicy - powtórzył Lucien. - Zechcesz mnie zaprowadzić do piwnicy?

Strach Reginalda niemal go ukłuł.

- Pan Dimitri zapowiedział, że nikt nie ma tam chodzić - zaprotestował. Bardzo nie chciał schodzić do piwnicy.

- W porządku - powiedział Lucien spokojnie. - Ja będę z tobą. Nic złego nie przytrafi ci się w piwnicy, kiedy ja z tobą będę.

Reginald uwierzył mu, ale tylko dlatego, że Lucien był w jego mózgu i uspokajał go. Z ociąganiem podszedł do baru, żeby wziąć klucze, a potem poprowadził Luciena do drzwi, które otworzył drżącymi rękami mimo obecności Luciena.

Cokolwiek było na dole, ludzie pracownicy Concubine, którzy nie mieli o tym wiedzieć, nie tylko wiedzieli, ale i bali się tego.

Zszedł za Reginaldem po wąskich, betonowych schodach, z każdym krokiem coraz silniej wyczuwając, że zbliża się do śmierci. I czuł ją nie tylko nosem, wsączała się przez jego pory, tak jak wilgoć przesączała się przez ściany piwnicy. Właśnie to zauważył, kiedy wszedł do klubu - łomot ludzkich serc, pełnych życia, a zarazem drżących przed niechybną zagładą.

Czy to czuła Meena Harper każdego dnia, szła ulicą, jechała metrem, zajmowała się codziennymi sprawami?

Jak mogła to znieść?

Podeszli do pary drzwi. Za pierwszymi Lucien słyszał serca łomoczące tak głośno, że miał ochotę zakryć uszy rękami.

Za drugimi nie słyszał nic.

Wskazał ruchem głowy drzwi, za którymi była tylko cisza.

- Otwórz.

Reginald, trzymając pęk kluczy niczym różaniec, miał taką minę, jakby miał się rozplakać.

- Ja naprawdę nie chcę, proszę pana. Proszę mnie nie zmuszać.

Lucien kiwnął ze zrozumieniem głową. Ludzki umysł miał swoją wytrzymałość. Uniósł nogę i jednym potężnym kopniakiem wybił ciężkie, stalowe drzwi.

W ciemnym pomieszczeniu, na betonowych płytach, jak w kostnicy, leżało siedmiu analityków finansowych z TransCarta, których Dimitri przedstawił mu poprzedniego wieczoru.

Tyle że nieżywi.

Choć z drugiej strony, nie byli też całkiem martwi.

W stanie między życiem a śmiercią. Ktoś odwinął ich sztywne, białe kołnierzyki i każdego z nich zgrabnie ugryzł w tętnicę szyjną, i to trzy razy z rzędu.

Wokół ust każdego mężczyzny Lucien dostrzegł ślady krwi.

Byli w trakcie przemiany. Przechodzili metamorfozę. Kiedy się zbudzą, będą wampirami.

I będą głodni jak diabli.

- Kto to zrobił? - spytał gniewnie Lucien, odwracając się do Reginalda, który, mimo przerażenia, nie mógł pohamować ciekawości i zaglądał przez połamane drzwi.

- Nie mam pojęcia. Do licha, co się stało tym gościom? Dlaczego tak leżą i dlaczego mają pogryzione szyje? Czy oni... oni...

Nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie tego słowa.

- Tak - odparł Lucien.

Wypadł z pokoju na korytarz i stanął przed drugimi drzwiami, za którymi słyszał bijące serca.

Reginald wybałuszył na niego oczy.

- Wiem, że pan nie wywali tych drzwi. Jeśli za tymi pierwszymi były wampiry, to kto będzie za tymi? Niech pan się nie wygłupia...

Lucien wybił drugie drzwi.

Z ciemności zamrugało na niego tuzin kobiet, jak najbardziej żywych. Wszystkie mniej lub bardziej porozbierane, leżały na tanich materacach i

wyglądały na bardzo osłabione, a do tego zdezorientowane tym nagłym światłem, które wpadło do pokoju. I nie pachniało tu najprzyjemniej.

Wdział, że żadna z dziewcząt nie jest wampirem. Jeszcze.

Ale wszystkie zostały pokąsane i wysrane na tyle, żeby były potulne.

Rozwiązała się tajemnica, co miały jeść po przebudzeniu wampiry z sąsiedniego pokoju.

- Gerald? - zapytała jakaś dziewczyna ze zdumieniem.

- To nie Gerald - odparła inna, jeszcze bardziej osłupiała.

Wszystkie były przerażone.

Lucien odwrócił się i kiwnął na Reginalda.

- Zabierz je stąd i wyprowadź na górę. Czekajcie tam na mnie.

- Okej - odparł Reginald, bardzo chętny do współpracy, kiedy tajemnica piwnicy się wyjaśniła. - Ale co z... - Wskazał głową sąsiednie pomieszczenie.

Lucien rozejrzył się po małej celi, w której dziewczyny przetrzymywano od długiego czasu, bez żadnej toalety, nie licząc wiaderka. Dostrzegł rozklekotane krzesło i rozbił je na kawałki.

- To się nada. - Uniósł jedną z drewnianych nóg i oglądał zaostriżony odłamany koniec. - Idźcie już.

Kiedy Reginald zaczął zaganiać dziewczęta po schodach - a musiał je mocno przekonywać, że to nie jest pułapka i że zostaną puszczone wolno - Lucien zabrał się do swojego zadania.

Była to ponura robota. Nie wiedział, czy ci ludzie prosili, by ich przemienić, czy też jego brat tworzył sobie jakąś armię specjalistów finansowych, która miała zajmować się jego interesami.

Znając brata, obstawiał to drugie.

Tak czy inaczej, ci ludzie nie mieli się obudzić nieśmiertelni, obdarzeni nadludzkimi mocami i głodni ludzkiej krwi.

W ogóle nie mieli się obudzić.

Kiedy skończył swoje ohydne zadanie, wyrzucił nogę od krzesła, umył się najlepiej, jak mógł - bo ludzie nie do końca przemienieni w wampiry wciąż wydzielali ogromne ilości krwi - i wyszedł z betonowego pomieszczenia, oglądając się w drzwiach przez ramię.

Kiedy widział ich w klubie z striptizem, nawet mu do głowy nie przyszło, że mogą skończyć w takim miejscu.

Wtedy myślał, że zginą na podziemnym parkingu, w jakimś wypadku samochodowym. Nie sądził, że to on zada im śmierć.

Ale przecież tak nie było. Zrobił to jego brat.

Dimitri znał zasady. Co on sobie wyobrażał? Jak mógł w taki sposób przemieniać ludzi, zostawiając ich w piwnicy nocnego klubu, żeby obudzili się pozostawieni sami sobie, a potem rzucać im na pożarcie osłabione kobiety?

Teraz przynajmniej wiedział, skąd brały się ciała znajduwane w parkach.

- Reginaldzie - zawołał, wychodząc z piwnicznych schodów.

Ochroniarz czekał na niego przy barze. Dał dziewczynom po puszcze coli i po miseczce orzeszków, jakby były honorowymi gośćmi klubu. Lucien dostrzegł, że Reginald splądrował też dla nich składzik zgubionych rzeczy. Wszystkie były teraz całkowicie, choć dość dziwacznie, ubrane.

- Tak, szefie? - wycierał bar, jakby klub był otwarty, a on wypełniał swoje obowiązki.

- Gdzie pan Dimitri trzyma sejf? - spytał Lucien.

- W swoim gabinecie - odparł skwapliwie Reginald. - Proszę, pokażę panu.

Nie potrzebował już parapsychofizycznych bodźców, żeby wykonywać polecenia Luciena. Wyglądało na to, że na widok niedoszłych wampirów w piwnicy i ich niedoszętego posiłku jego lojalność dla pana Dimitriego wyparowała.

- Drogie panie - zawołał Lucien do dziewczyn. - Za mną, proszę.

Dziewczyny, gawędzące cicho w swoich ojczystych językach, zabrały swoje napoje i orzeszki i poszły za Lucieniem i Reginaldem do pluszowego gabinetu Dimitriego.

- Tam. - Reginald wskazał lustro wiszące za dużym biurkiem w stylu art déco. - Za tym lustrem. Trzyma tam masę gotówki. Na wypadek gdyby musiał się szybko związać.

- To się bardzo dobrze składa - stwierdził Lucien, - Proszę się odsunąć, drogie panie.

Podniósł przycisk do papieru w kształcie charta i rozbił nim lustro.

- Facet strasznie lubi wszystko rozwalać - rzucił Reginald pod adresem dziewczyn, które wyraźnie były pod wrażeniem.

Lucien chwycił drzwi sejfu i oderwał je gołymi rękami, rzucając z głuchym hukiem na podłogę.

- O kurde - usłyszał głos Reginalda. Młode damy zachłysnęły się z podziwu.

Nie zwracał na nich uwagi. Miał tu ważne sprawy. Tak jak stwierdził Reginald, sejf był pełen gotówki. Leżała też spora kupka paszportów. Lucien rzucił je na biurko Dimitriego.

- Przejrzyjcie to - polecił. - Może znajdziecie swoje dokumenty.

Zrobił się harmider, kiedy dziewczyny rzuciły się do biurka. Lucien dokładnie przeszukał sejf, ale nie znalazł w nim już nic użytecznego ani dla niego, ani dla nikogo, kto mu przychodził do głowy. Może nie licząc kluczyków i dokumentów samochodu.

- Reginaldzie. Co to jest?

- To od lincolna continentala pana Dimitriego. Trzyma go w garażu w mieście. Czasami daje mi pojeździć Czarny mark III z 1969 roku. Cudna bryka.

Lucien kiwnął głową.

- Jest twoja. - Rzucił kluczyki i dokumenty w stronę ochroniarza, który złapał je zręcznie.

- Żartuje pan? - Spojrzał na kluczyki w dłoni. - Ale co powie pan Dimitri?

- Niewiele - odparł Lucien - kiedy z nim skończę. Moje panie, proszę tu podejść.

Kłody dziewczyny zgromadziły się wokół sejfu, Lucien wręczył każdej z nich po kilka cegiełek studolarówek.

- Weźcie te pieniądze i paszporty i zacznijcie nowe życie, gdzieś daleko stąd. Albo wróćcie do starego, jeśli to was uszczęśliwi. Byle byście zapomniały, co się tu stało. A ja się zajmę ludźmi, którzy was skrzywdzili. Już nikogo więcej nie skrzywdzą. Obiecuję. Nie macie się już czego bać. Więc idźcie i bądźcie zdrowe i szczęśliwe.

Dziewczyny, które ledwie mówiły po angielsku, uśmiechnęły się - najpierw do pieniędzy w swoich rękach, potem do siebie nawzajem i do niego.

Nie musiały znać angielskiego, żeby wiedzieć, co im powiedział.

Bo nawet nie wypowiedział tego na głos. To, co miał im do przekazania, przekazał im bezpośrednio do umysłów, przy okazji delikatnie wykasowując im pamięć.

Wiedział, że minie dużo czasu, zanim całkowicie wyzdrowieją. Nawet on nie mógł tego dla nich zrobić. Ale wiedział, że to dobry początek.

- Reginaldzie. Wyprowadź panie na zewnątrz i dopilnuj, żeby bezpiecznie wsiadły do taksówek. Niech taksówkarze zawiozą je na lotnisko. Tam będą mogły zdecydować, dokąd chcą się udać dalej.

- Robi się - odparł Reginald i odwrócił się z szeroko otwartymi ramionami, by wyprowadzić dziewczyny.

- Aha, Reginaldzie - zawołał Lucien. Ochroniarz się odwrócił.

Lucien wręczył mu resztę pieniędzy z sejfu.

- Weź to. I nigdy tu nie wracaj.

Reginald zrobił oburzoną minę.

- Proszę pana! Nie mogę. Mam samochód. Pojadę nim do Georgii i zamieszkać u brata.

- Więc podziel się z dziewczynami. Ale jeśli tu zostaną, wszystko się spali.

- Spali, proszę pana? - Nie zrozumiał. - Jak to?

- W pożarze - wyjaśnił cierpliwie Lucien. - Proszę. Weź pieniądze. Zapewniam cię, że nie zostanie nikt, kto mógłby cię o cokolwiek oskarżyć.

Reginald się zawahał. Jedna z dziewcząt powiedziała coś w swoim języku; Lucien zrozumiał: „Nie bądź głupi. Bierz, i tyle”.

Wziął pieniądze, po czym dał każdej z nich po cegiełce banknotów. W końcu wszyscy wyszli, uśmiechając się do Luciena z wdzięcznością i jakby z czcią.

Tylko Lucien wiedział, że nie mają za co być mu wdzięczni. A już na pewno nie mieli go za co czcić.

Polewał właśnie ciała w piwnicy rumem z baru - już dawno się przekonał, że bacardi pali się najszybciej i najskuteczniej, pozostawiając bardzo niewiele tkanek - kiedy zawibrowała jego komórka.

Wyjął ją i na wyświetlaczu zobaczył imię, za którym tęsknił cały dzień.

Meena.

Rozdział 51

21.15 czasu wschodniego, sobota 17 kwietnia
Parafia Świętej Klary 154 Nowy Jork

- Lucien? - krzyknęła Meena, kiedy ktoś nareszcie odebrał. - To ty?
Musiała zatkać palcem drugie ucho, żeby go usłyszeć.

A to z powodu wrzasków dobiegających z poziomu ziemi, dwa piętra niżej.

Zresztą te wrzaski to była jej wina; właśnie cisnęła balonem z wodą święconą w bandę wampirów, które próbowały przeleźć przez kościelne ogrodzenie, żeby dostać się na teren parafii.

- Meena. Nic ci nie jest?

- Nie, wszystko w porządku. Przepraszam, ledwie cię słyszę. Gdzie jesteś? Połączenie jest fatalne.

- Nie, to ja przepraszam - powiedział Lucien. Miała wrażenie, że jest gdzieś strasznie daleko.

- Mam tu bardzo słaby zasięg. Poczekał... o, już. Teraz mnie słyszysz?

Na dźwięk jego głosu Meenę ogarnęła fala ciepła. Nagle poczuła, że wszystko będzie dobrze. Co było idiotyczne, bo jeden człowiek nie mógł przecież wyprostować tego wszystkiego, co poszło nie tak przez ostatnich kilka godzin.

Nawet Lucien, który nie był zwykłym człowiekiem.

- Tak, o wiele lepiej. Przedtem było cię słyhać jak z jakiegoś tunelu. Więc nie jesteś u siebie?

- Nie. Meeno, ale gdzie ty jesteś? Czy ja słyszę krzyki?

Spojrzała w dół, na wampiry za ogrodzeniem kościoła. Poczowała dreszcz strachu i nienawiści.

Ale natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia za tę nienawiść. Sama nie mogła uwierzyć, jak szybko odmieniły się jej uczucia. Jeszcze przed chwilą czuła litość dla tych stworzeń, które przecież nic nie mogły poradzić na swoją naturę, i upierała się, że na pewno pozostały w nich jakieś dobre cechy, jak w Lucienie, a teraz bezlitośnie rzucała w nie z dachu balonami wypełnionymi ciecżą, która działała na nie jak kwas akumulatorowy. Co się z nią działo? W co się zmieniała?

- KONIEC -